



PANOWIE Z Pitchfork

KAMIL GRUCA



REBIS

PANOWIE z PITCHFORK

*Przebaczcie teraz, dostojni słuchacze, Jeśli
zuchwały, ale płytki umysł Śmie wam przed oczy
przedmiot wielkiej treści Na tak nikczemnym
stawiać rusztowaniu.*

William Shakespeare, *Król Henryk V*, w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka Prolog

czyli słów kilka o Francji początków XV wieku ok 1415 przyniósł królestwu Francji oficjalne zakończenie wojny domowej i nie tylko oficjalne rozpoczęcie wojny z Anglią. Od 1392 roku, kiedy to pojawiły się pierwsze objawy choroby psychicznej króla Karola VI, sytuacja polityczna w kraju nie była stabilna.

Szałeństwo władcy, przeplatane okresami poczytalności, prowadziło do problemów z rządem.

Na początku piętnastego wieku w okresach zwanych absencją monarchy dwie postaci wyrosły na czołowych przywódców królestwa. Pierwszą z nich był Ludwik ksią-

żę Orleanu, młodszy brat króla, nominowany regentem.

Człowiek o ogromnej ambicji, wielkich zdolnościach dyplomatycznych i niewielkiej ojcowiźnie, którą przekazał

mu Karol V. Ta charakterystyka wystarcza, by zrozumieć dążenia odsuniętego od wielkiej polityki zdolnego księ-

cia, który dzięki szaleństwu brata mógł zyskać na znaczeniu, i rzeczywiście udało mu się to osiągnąć. Skupiwszy wokół siebie potężnych arystokratów i wzięwszy sobie żonę z bajecznie bogatego mediolańskiego rodu Visconti-

ch, książę stał się bardzo wpływowy. Zapędy Ludwika hamował jednak nie mniej ambitny i bardzo potężny człowiek, książę Burgundii Jan bez Trwogi. Miał on w swoim władaniu najbardziej rozwinięte w tamtym rejonie świata hrabstwo Flandrii, a ponadto bogate terytoria na północy i środkowym wschodzie kraju. Będąc księciem krwi królewskiej (jego dziadkiem był Jan II Dobry), nie miał zamiaru dzielić swoich wpływów z nikim, a hołd oddawał jedynie królowi.

Dość szybko ogromne królestwo Francji okazało się zbyt małe dla owych dwóch możnych, których konflikt interesów i wzajemna nienawiść, skrzętnie ukrywana pod uroczystymi obietnicami przyjaźni i dozgonnego przymierza, ujawniły się dobitnie w 1407 roku. Wkrótce po tym, gdy Ludwik Orleański pod nieobecność w stolicy Jana bez Trwogi obsadził gros najważniejszych stanowisk pań-

stwowych swoimi sprzymierzeńcami, doszło do bezprecedensowego wydarzenia. Kilkunastu

wynajętych morderców zmasakrowało na paryskiej ulicy Vieille du Temple jadącego z nielicznym orszakiem Ludwika. Niedługo potem księżę Burgundii przyznał się publicznie, że zlecił

to zabójstwo, lecz prędko znalazł dla swojego postępu dobre wyjaśnienie. Przez dobre mamy tu na myśli: takie, które długo uznawano za wystarczające. W 1408 roku doktor teologii Jean Petit wygłosił w Paryżu wielogodzinną mowę obronną. Postawił w niej niezwykle śmiałą tezę dotyczącą tyranobójstwa. Stwierdził, że nie tylko nie jest ono naganne, ale wręcz winno być postrzegane jako obowiązek moralny dobrego księcia.

Mimo że przemówienie doktora miało postać sylogizmu, a sylogizm ów był poprawny, nie wszyscy zgodzili się z opinią uczonego. Poszło, jak to często bywa w nie-zawodnych rozumowaniach, o przesłanki. Mniej więcej połowa wielkich możnych nie chciała przystać na to, że Ludwik Orleański był tyranem. Wielu duchownych widziało natomiast problem w uznaniu przesłanki większej, z której wynikało, że czasami dobrze jest kogoś zabić, co jednak popadało w konflikt z dziesięciorgiem przykazań.

Zgody nie było, ale z drugiej strony nie było też ludzi, którzy śmieliby się przeciwstawić księciu Burgundii. Nawet król był bezradny, a co więcej, przez większość czasu, jak się wyżej powiedziało, niepoczytalny. Wyszło więc na to, że rządy sprawował „tyranobójca”.

W 1411 roku dorosły już syn zamordowanego księ-

cia, Karol Orleański, wyrósł na człowieka na tyle silnego, by sprzeciwić się zabójcy ojca. Wybuchła wojna domowa między stronnictwem Burgundii a sprzymierzeńcami Orleanu, których od nazwiska jednego z ich najokrutniej -

szych przywódców zwano Armaniakami. Podczas trwających latami zmagani zawarto wiele rozejmów, wielokrotnie przyrzeczono sobie przyjaźń i przymierze, a następnie rozejmy zrywano, a słowa nie dotrzymywano.

Nawet król dał przykład niezdecydowania, raz stając po jednej, raz po drugiej stronie (a mówimy o decyzjach podjętych w okresie poczytalności). Żadne stronnictwo nie powstrzymało się od wezwania na pomoc zamorskich sąsiadów z Anglii. Sąsiedzi natomiast przyglądali się temu zamieszaniu z wielkim zainteresowaniem i cze-

9
kali. W końcu w 1415 nastąpił pokój, który choć chwiejny, miał potrwać dość długo. Ostatecznie żaden z Francuzi nie był zadowolony: ani przegrani Burgundczycy, co nie dziwne, ani też ogromnie wyczerpani zmaganiem Armaniakowie, którzy ostatecznie pozyskali królewską przychylność. Zadowoleni byli natomiast sąsiedzi, któ-

rych młody i bardzo wojowniczy król, Henryk V, postanowił wpaść z sąsiedzką wizytą...

I

Temps de douleur et de tentation Age depleur, d'envie et de tourment Temps de langedeur et de damnation Age

*mineur, pres du definement.**

EUSTACHE DESCHAMPS

arol d'Albret konetabl Francji pomału dopijał

K wino stojące na długim królewskim stole. **Z**

jego szerokich barków spływała czerwona aksamitna houppelande

Z

wysokim,

podbitym

sobolami

kołnierzem. Fałdy sukni przygniatał na piersiach ciężki złoty

łańcuch,

na

którym

wisiał

emblem

przedstawiający nastroszonego jeżozwie-rza - prezent od Ludwika Orleańskiego i pamiątka lepszych czasów.

Konetabl tak był pogrążony w myślach, że prawie nie zwracał uwagi na nieludzkie wrzaski dobiegające sporadycznie zza niedomkniętych drzwi sąsiedniej

** Czasie pokuty pełen i cierpienia Wieku lamentu, katuszy i zazdrości Czasie niemocy, czasie potępienia I grozy, same czynisz nieprawości.*

(za: M. Defourneaux, *Życie codzienne w czasach Joanny d'Arc*, przeł. E. Bą-

kowska, PIW, Warszawa 1963

komnaty. Sala jadalna rezydencji Saint Pol urządzona była z godnym wspaniałego monarchy przepychem, jednak d'Albret na to również nie zwracał uwagi. Z

zadumy wyrwał go dopiero odgłos drzwi otwieranych przez służbę w niebieskiej liberii ozdobionej trzema złotymi liliami. Odźwierny wszedł do komnaty i rozejrzał się z konsternacją, nie widząc króla.

- Król szykuje się do kąpieli - oznajmił zmęczonym głosem konetabl. - Nie potrzebujemy cię już... - do dał po chwili, doskonale wiedząc, kto stoi za plecami odźwiernego.

Sługa skinął pokornie głową i ustąpił miejsca bardzo bogato ubranemu mężczyźnie, który pewnym, żołnier-skim krokiem wszedł do jadalni.

- Witajcie, panie Karolu - rzucił od progu marszałek Boucicaut. Miał na sobie obszerną wzorzystą houppelande z jedwabiu o niemal sięgających ziemi podszytych futrem rękawach.

- Witajcie, panie Janie. - Konetabl wstał i uściśnął

podchodzącego do stołu mężczyznę.

- Wybaczcie, że przybywam dopiero teraz, ale jak wiecie, byłem w podróży... - Boucicaut zerknął z ukosa na suto zastawiony stół.

- Proszę, usiądźmy i posilcie się nieco. - D'Albret dwornie odsunął marszałkowi jedno z krzeseł.

- Ależ nie mogę - zachnął się Boucicaut - skoro wy stoicie.

- Kiedy nalegam. - Konetabl był wyraźnie zmęczony, a jego twarz zdradzała lekkie poirytowanie rytualnymi kurtuazjami. Chciał jak najszybciej przejść do sedna, ale **12**

marszałek, najwyraźniej pełen werwy po zagranicznej podróży, nie dawał za wygraną:

- Mowy o tym być nie może i gdybym nawet noc całą w siodle spędził, nie godzi mi się przecież pierwej niż wy spocząć przy królewskim stole.

- Jednak jesteście utrudzeni podróżą - odrzekł d'Albret - ja zaś siedzę tu w towarzystwie naszego miłościwego króla i uczuję już od dobrych trzech pacierzy.

- Lecz osądźcie sami i postawcie się, błagam, w mojej sytuacji - nie ustępował marszałek - wszak wasze krzesło po prawicy króla stoi, a zatem nie może być tak, bym to ja po lewicy zasiadł pierwszy.

- Dobrze, siadam więc, ale tylko dlatego, że wojna grozi królestwu i trzeba nam się jak najprędzej naradzić. -

Konetabl poddał partię i usiadł, najwyraźniej doszedłszy do wniosku, że grzeczności stało się

zadość. Humor bynajmniej mu się nie poprawił. W duchu przeklinał straszliwy obyczaj, nieunikniony nawet w obliczu spraw pań-

stwowych. Marszałek przeciwnie, był pogodny i wydawał

się lekko zawiedziony szybką rezygnacją d'Albreta. Usiadł

jednak również i ugryzł kurczaka. Konetabl wpatrywał

się weń, charakterystycznie marszcząc czoło. Boucicaut pojął wreszcie, że sprawa jest bardzo poważna. Przełknął

kęs, rozumiejąc, że zagalopował się trochę z dworską grą.

- Cóż was trapi, panie Karolu? - zagadnął. - Czyżby Anglicy?

Konetabl wolno pokiwał głową.

- Jest niemal pewne, że Henryk uderzy, posłowie wrócili z pustymi rękoma, a negocjacje okazały się farsą -

odparł ponuro.

Marszałek zostawił kurczaka i założył ręce na piersi.

- A szpiedzy? Co mówią szpiedzy? - odezwał się po chwili.

- Szpiedzy mówią, że cała Anglia od ponad roku kipi od przygotowań. Londyńskie warsztaty pracują bezustannie, podobnie w Bristolu... Mnóstwo dział, Tower pęka w szwach od składowanych w niej strzał, a w Southamp-ton zbiera się ogromna flota. Inwazja jest nieunikniona.

Chyba że...

- Dojdzie do zamachu stanu? - wszedł mu w słowo Boucicaut.

- Jak oceniacie szanse, panie Janie? - spytał z zainteresowaniem d' Albret.

- Na przewrót? Spore - odrzekł po chwili namysłu marszałek. - Na udany? Nikłe... bardzo nikłe.

- Niewielu potrafi wam dorównać, jeśli idzie o znajomość polityki zagranicznej. A zatem wychodzi na to, że będzie wojna.

Raptem z sąsiedniej komnaty doszedł dziki wrzask.

Zaraz potem uchylone drzwi rozwarły się na oścież. Do jadalni wpadł półnagi człowiek toczący nieprzytomnie oczyma. Był to ukochany przez lud pomazaniec Boży, najstarszy syn Karola Mądrego, nadzieja Francji i Wale-zjuszy - Karol VI.

- Nie pozwólcie, panie Karolu, by mnie dopadły! -

wrzeszczał król, nerwowo oglądając się na rozwarte drzwi. - W imię Boże, te diabły znów do mnie lgną! -

zaskowyczał błagalnie, zwracając się do d' Albreta.

Marszałek i konetabl siedzieli w bezruchu. Twarze mieli blade jak pergamin. Nie trwało to jednak długo. Do 14

sali wpadł jakiś człowiek, również półnagi, lecz wymalowany na czarno. Rozejrzał się, a dostrzegłszy przerażonego króla, pobiegł ku niemu z dzikim sykiem. Monarcha rzucił się do rozpaczliwej ucieczki w stronę najbliższych drzwi. Nim do nich dotarł, do komnaty wbiegł drugi półnagi i pomazany sadzą mężczyzna. W zaciśniętej pię-

ści trzymał haftowaną złotą nicią królewską koszulę i również syczał. Król zniknął za drzwiami, a goniący go ruszyli za nim. Następnie przez salę przebiegł jeszcze z tuzin „diabłów”, które kierując się spojrzeniem d' Albreta, pobiegły za oddalającymi się okrzykami.

Dopiero po jakimś czasie marszałek Boucicaut odzyskał mowę.

- Cóż to jest, do licha?'. - wykrztusił w końcu.

- Król bierze kąpiel. . - mruknął konetabl, a jego brwi zmarszczyły się jeszcze bardziej niż zwykle.

- A jaki w tym udział tych poczernionych ludzi?

- Król tak nie lubi kąpieli, że jedynie tuzin „diabłów”

może go przekonać, by zaszedł do łaźni - kwaśno wy-jaśnił konetabl.

- Słyszałem różne plotki, ale nie sądziłem, że stan naszego pana jest aż tak godny pożałowania - westchnął

Boucicaut.

- Stan króla to z pewnością nie największe z moich zmartwień. - D' Albret przez chwilę patrzył w nieokre-

ślony punkt na powierzchni dębowego stołu, po czym przeniósł wzrok na marszałka. - Martwię się, co na to wielcy panowie. Burgundczyk przysparza mi największych trosk: niepokoi mnie, że mógłby się sprzymierzyć z Anglikami.

- Zaczekajcie chwilę i dobrze pomyślcie - strofująco rzekł Boucicaut - zanim powiecie coś więcej na temat księcia. Wszak wiecie, panie Karolu, że zawdzięczam mu życie.

Konetabl popatrzył nań z lekkim niedowierzaniem, ale marszałek był zupełnie poważny.

- Niech i tak będzie, skoro taka wasza wola - powiedział. - Ale są też inni, o których się martwię...

- Wiem - rzekł beznamiętnie marszałek. - Kwiat francuskiego rycerstwa: młodzi, butni, a nade wszystko nie-rozważni i nie znający wojny. Książę Orleanu to jeszcze młodzian, ponoć dobry poeta, ale nie zna wojaczki, a *inter arma silent musae*. Jan, książę Alencon, nieco starszy, miał do czynienia z wojną, ale ponosił klęskę za klęską -

nawet flamandzkie pastuchy zdobyłyby Paryż, gdyby on dowodził obroną. Są jeszcze hrabiowie Artois, Vendôme, Vaudemont...

- Dziękuję wam, panie Janie, za to wyliczenie, ale zdaję sobie sprawę, z kim będziemy musieli współpracować.

Byłoby prościej, gdybyście zaczęli od ludzi, na których możemy liczyć - jest ich wszak znacznie skromniejsza liczba. Wśród książąt niewątpliwie tylko Jan książę Bur-bonii daje mi jakąś nadzieję. Ale to są detale. Najważ-

niejsze jest dla mnie, byśmy jako przedstawiciele króla ustalili wspólną strategię pokonania Anglików i poskromienia krnąbrnych wasali miłościwie nam panującego Karola.

Widocznie „diabły” dopadły nieszczęsnego króla, bo odgłosy pogoni ustały. Zapadła cisza.

- Dobrze, panie Karolu, radźmy zatem - przerwał ją **16**

marszałek. - Tylko gdzie jest mistrz kuszników? Czy w obliczu tych wszystkich nieszczęść i on...

- Ależ nie, nie przybył, gdyż ma jakoweś sprawy rodzinne do załatwienia. Wybaczcie cierpkie słowo, ale prywatą wydaje się wspólną cechą rycerstwa związanego z Burgundią.

Okryta rumieńcem długowłosa hrabina leżała na olbrzymim łożu zupełnie naga. Jedwabne zasłony i także po-

ściel miały barwę królewskiej czerwieni. Kolor lekko rozchylonych ust leżącej kobiety pięknie z nimi współ-

grał. Sir Robert poczuł, jak zalewa go fala podniecenia.

Przez chwilę obawiał się, że jego policzki mogą mieć barwę prześcieradeł i ust kobiety. Nie trwało to jednak długo. Dama wygięła gibkie, kształtne ciało i skinęła na spragnionego rycerza. Mężczyzna

pojął w lot, że nadszedł czas zaznać niebiańskich wzlotów alkowy, które -

nie licząc jednej niezbyt wspaniałej wizyty u ladaczniczy -

znał do tej pory jedynie z romansów. Ponętna dama czekała. Sir Robert rzucił się na łożo i zaczął ją gwałtownie całować. Ona, wyraźnie zaskoczona tą raptownością, uległa momentalnie. Jej uda oplotły go miękko wokół

pasa, twarz wykrzywiła się w grymasie rozkoszy. Usta rozchyliły się i usłyszał, jak szepczą jego imię. Zachęcony podwoił miłosne wysiłki. Oddech kobiety był teraz urywany, mimo to wypowiadała jego imię coraz głośniejszym głosem, aż w końcu je wykrzyczała. Sir Robert czuł, jak krew płynie w nim z zawrotną prędkością, i wtedy zrozumiał, że głos, który słyszy, należy do mężczyzny.

Zamarł. Nagle nie było już pięknej kobiety ani pięknego łoża, ani purpurowych prześcieradeł. Był tylko nara-stający wrzask giermka:

- Panie Robercie! Proszę wstawać!

Otworzył oczy i opadła go wściekłość.

- Co się stało?! - odwrzasnął. - Dlaczego tak się drzesz, Grzegorzu?!

- Bo ojciec jasnie pana wezwał do siebie i. . - wydukał

giermek.

- Już dobrze, nie rób takiej obrażonej miny, wybaczam ci to przebudzenie, choć było zupełnie nie po mojej my-

śli. Prowadź do ojca!

Namiot wypełnia woń stęchlizny i nie mytych od dawna męskich ciał. Pośród tych zapachów Robert wyczuwał

jeszcze delikatną nutkę sadzy i dymu, którymi przesiąkła jego przesywanica i nogawkę - pozostałości po wczoro-rajszym nocnym szturmie.

Grzegorz krzątał się po namiocie wyraźnie skruszony.

W jednej ręce trzymał but swego pana.

- Nie mogę nigdzie znaleźć drugiego, panie - odezwał

się. - Wczoraj, jak wróciliśmy, byłem tak wykończony, że zasnąłem, czyszcząc pański hełm, i zbudziłem się. . -

Giermek głęboko wciągnął powietrze. Był na skraju za-

łamania. - Zbudziłem się dopiero przed chwilą i poszedłem po wodę.

- Nie przejmuj się, ja też nie miałem na nic siły i... -

Gromowy huk kompletnie zagłuszył sir Roberta.

A do tego mieszkamy obok stanowisk artylerii - co za koszmar, pomyślał młody rycerz.

Gdy w końcu w miarę kompletnie odziani opuścili na-18

miot, ich oczom ukazał się ten sam straszny widok, któ-

ry oglądali już od miesiąca. Znajdowali się na prawym krańcu królewskiego obozu, przy działach wymierzonych w południowo-zachodnią bramę Harfleur. Bombardy raz po raz odzywały się ogłuszającym śpiewem. Od czasu do czasu słyhać też było drewniany łoskot ramion trebuszy.

Żadne inne dźwięki nie wybijały się nad codzienną krzątaniem obozową.

Sir Robert, wciągnąwszy w płuca przesycone wilgocią i saletrą powietrze, ruszył za giermkim. Przechodzili obok mniej lub bardziej okazałych namiotów, które jednak w większości prezentowały się teraz nader mizernie.

Zewsząd dolatywało szczęknięcie metalu, postękiwania rannych i chorych. Był to już piąty tydzień oblężenia i wspaniały królewski obóz z wzorca porządku zmienił

się w zatęchłą, śmierdzącą zbieraninę płótna, ludzi i odpadków. Co chwila mijali jakichś nieszczęśników o bladych, zapadłych twarzach, usiłujących dobiec do dołów kloacznych przed kolejnym wywracającym wnętrzości atakiem dyzenterii.

A mogłem pozostać bakałarzem. Za jakiś czas byłbym doktorem w Trinity Hall, pomyślał z goryczą sir Robert syn sir Ralfa, pana na zamku Moorow. Gdybym tylko nie był pierworodnym, mógłbym się uczyć sylogistyki Arystotelesa i algebry, czytać mistrza Ockhama... A przyjdzie mi umrzeć pod murami jakiejś nędznej francuskiej miejsciny. Pozostaje tylko pytanie, jak nikczemną śmierć zgotował mi los. Czy będzie mi chociaż dane zginąć z mieczem w ręku, czy też wysram wnętrzości jak ten tu nie-borak?

- Hej, Grzegorzu, poczekaj! - zawołał. - Pomóż mi prze nieść tego trupa gdzie jego miejsce. Doprawdy nie wiem, gdzie są serwanci obozowi. Czyi słudzy mają dziś zmianę, gdzie kapelan? Nie, nie tak, Grzesiu, podwiń mu najpierw nogawice, niech przynajmniej spoczywa z godnością, a nie nagi jak porzucone niemowlę. Czekał, gdzie twój krzyż?

Giermek przestał wiązać rzemień nogawic leżącego w błocie łuczniaka i spojrzął na swe ramię. Zdziwiony nie zobaczył na nim białej opaski z czerwonym krzyżem świętego Jerzego.

- A niech to, panie Robercie, nie wiem - odparł. - Wi-dać zostawiłem nocą w namiocie.

- Na co jeszcze czekasz? Biegnij tam, ale szybko, i wię-

cej o tym nie zapominaj. Gdybyś tak wyszedł za palisadę, to w drodze powrotnej strażnik wpakowałby ci strzałę między żebra, zanimby cię okrzyknął.

Młody giermek puścił się biegiem przez obóz. Tak jak dla wielu wojowników Henryka V, dla Grzegorza Fellawa była to pierwsza wyprawa wojenna. Przeciągające się oblężenie miasta, które stanęło na drodze wojsk młodego Lancastera, podkopywało ich morale. To, co ten nie znający wojny szesnastolatek zobaczył w ostatnim miesiącu, było ponad jego wytrzymałość. Spodziewał się oglądać piękne kropierze i lśniące zbroje, a zamiast tego widział

babrzącą się w mokradłach bandę wynędzniałych ludzi.

Parę dni wcześniej był świadkiem, jak jęczącego lorda Mowbray earla Nottingham i kilku innych rannych rycerzy wsadzono na jakąś nędzną łódkę. Łupina ta miała ich dostarczyć na statki stojące u ujścia rzeki, skąd czekał ich niechlubny powrót do Anglii.

Oblegający liczyli na to, że ubiegłonocny szturm będzie przełomowy, ale zamiast zwycięstwa ponieśli dotkliwą porażkę. Angielskie fortyfikacje w pobliżu bramy zostały doszczętnie spalone, a król wycofał zmordowanych walką ludzi i zapowiedział powtórzenie ataku następnego dnia.

Robert patrzył za biegnącym giermkim. Sam był od niego starszy ledwie o trzy lata i jedynie z obowiązku starał się zachowywać hardą minę. Spojrzał na zwłoki łuczniaka z nie do końca zawiązaną nogawicą i poczuł, że ma ochotę zapłakać.

- Gdzieś ty się podziewał, synu?!

Robert omal nie podskoczył, gdy tuż nad uchem zagrział silny głos jego ojca.

Sir Ralf Neville, pan na zamku Moorow, obudził się rano szesnastego września 1415 roku w wyjątkowo pod-

łym nastroju. Nocny posiłek przewracał mu się w żołądku, a jego czterdziestoletnie ciało wydało mu się starsze niż biskupstwo kanterberyjskie. Na domiar utrapień żo-

łądkowych wilgotny i chłodny wrześniowy poranek przywitał pana Moorow rwącym bólem kości.

- Dziś albo nigdy - powziął twarde postanowienie.

Miał już dość spania w namiocie i w blachach, podobnie jak nie dogotowanego jedzenia, nie dospanych nocy i biegania w przysiadzie pod gradem bełtów. Drażnili go opieszali giermkowie, krnąbrni łucznicy i fałszujący minstrele. Wszystko to jednak było błahostką w porównaniu z trwającym od trzech dni rozwolnieniem. Tak mu ono dopiekło, że sir Ralf był gotów wdrapać się na mury **21**

Harfleur w pojedynkę i zdobyć nieśmiertelną chwałę albo zginąć.

Do brudnego namiotu wkroczył Artur Neville, pan na Pitchfork. Młody baron otoczony był pstrokatą bandą rówieśników ze swojego pocztu. Nie zabrakło też dwóch minstrelów, którzy nie zdążyli jeszcze wytrzeźwieć. Artur Neville był wyśmienitym przedstawicielem swojego stanu. Miał dwadzieścia pięć lat. Naukę fechtunku i jazdy konnej rozpoczął, gdy miał lat siedem, co w połączeniu z jego ogromną siłą i sprawnością uczyniło go w wieku lat siedemnastu zwycięzcą jednego z prestiżowych turniejów w Anglii. Od tego czasu walczył już wielokrotnie w Szkocji. Brał też udział w niewielkich wyprawach łupieżczych do Francji. Talent i zdobyte doświadczenie, a także brak wyobraźni prowadzący do brawury i niezwykła pewność siebie sprawiały, że baron Pitchfork był

bardzo cenionym wojownikiem i wzorem dla innych.

- Witaj, wuju! - Głos Artura miał niski i pełen werwy.

Wydatna zuchwa młodego rycerza wyśmienicie do niego pasowała. W ogóle wszystko w nim

zdawało się do siebie pasować: rude włosy do piegów i zielonych oczu, szerokie barki do umięśnionych ramion, kunsztownie nabijana miedzią włoska zbroja do wielobarwnego herbu na tabardzie, złoty sygnet na lewej dłoni do ciężkiego rycerskiego łańcucha z krzyżem świętego Jerzego na tarczy, a w końcu szczerza prostota głosu i gestów do ignorancji i naiwności.

- Witaj, bratanku... - wymamrotał sir Ralf, siadając na posłaniu. Odezwał się przy tym brzuch rycerza, dając dość niepokojące sygnały. - Czy mógłbyś, zacny kuzynie, **22**

poprosić swoich kompanów, by nie próbowali wejść do tego ciasnego namiotu wszyscy naraz. .? Dziękuję. Bądź

jeszcze tak dobry i każ się uciszyć temu zasranemu graj-kowi, który tak kaleczy flazolet przed wejściem.

Sir Ralf przypominał młodego krewniaka niczym pieczęć swoje odbicie w laku. Siedział skulony i zmaltretowany, z bladą twarzą i podkrążonymi ciemnymi oczyma.

Był jednak na swój sposób spójny, podobnie jak młody baron. Jego brzuch wyraźnie rysujący się pod pikowanym kaftanem pasował do krągłej, ozdobionej krótką brodą twarzy. Jego krótkie, mocne nogi pasowały do zakoń-

czonych serdelkowatymi palcami dłoni. Jego zły humor współgrał z nędznym stanem zdrowia. Natomiast wiatry, które wypuścił, siadając na łóżku, dopełniały wrażenia, jakie robiło wnętrze namiotu.

- Wuj niezdrów? - zagadnął z nie słabnącym entuzjazmem Artur, gdy tylko rozpędził swoją świtę.

- Trochę niezdrów, ale chyba nie o tym przyszedłeś porozmawiać, troskliwy bratanku.

- Zaiste - przyznał młody człowiek. - Sir Jan Holland szykuje swoich ludzi. Dziś o zmroku mają poprowadzić pierwszą falę szturmową na bramę przy rzece Leur.

- Aha. A co my mamy wtedy robić? - Sir Ralf podniósł

się z łóżka i zaczął przewracać leżące w nieładzie rzeczy.

-No... poprowadzić drugą falę - odparł niepewnie baron.

- Ty masz ją poprowadzić, mój szacowny bratanku.

My, to jest ja i mój syn, dajmy na to, i pan Gotfryd, i pan Tomasz, i banda łuczników, i banda zbrojnych, mamy być tą drugą falą.

- No tak. Ale przecież wuj przy mnie będzie jak zawsze, prawda? - Twarz młodego rycerza nie zdradzała cienia urazy.

- A jakże! Oczywiście, że będę. Tylko jedna, drobna kwestia... - Sir Ralf zmarszczył czoło. - Gdzież ja poło-

żyłem ten bukłak?

- Słucham cię, wuju - rzekł młody baron, podając mu zgubę, którą właśnie znalazł.

- Dziękuję. - Wuj, łyknąwszy z bukłaka, odjął go od ust i westchnął. - Ta drobna kwestia, drogi kuzynie, polega na tym, że jesteś dowódcą i winieneś baczyć na to, co robią twoi ludzie, nie wdając się co chwila w bitki. Ty zaś sposobem szkockich dzikusów rzucasz się na pierwszego lepszego wroga, myśląc tylko o tym, czy wyrznąć go w zęby czy w słabiznę.

- Ostatnim razem musiałem, bo twój wierny kompan, pan Gotfryd, był w opresji - sumitował się Artur.

- I dobrześ zrobił, bo inaczej nie byłoby z nami pana Gotfryda. Tylko gdy już zabiłeś tego knechta, co chciał

przeszyć go spisą, trzeba się było wycofać, a nie pchać przed innymi na drabinę.

- Ale przecież o to chodzi w szturmie, nieprawdaż?

O to, by szybko wejść na mury, a ja wchodziłem najszybciej. - W głosie sir Artura dał się słyszeć lekki żal.

- Dobrze już, dobrze, w końcu będę dziś przy tobie, więc nie martw się zbytnio. Dobry z ciebie wojownik, czasem myślę, że może za dobry. No, ale dość gadania po próżnicy. Guillaume, nicponiu!

Do namiotu wpadł nie ogolony młody mężczyzna o by-strym spojrzeniu ubrany w grubą przesywanicę.

- Tak, panie? - Przybyły skłonił się nisko sir Ralfowi i baronowi.
- Szykuj zbroje i powiedz ludziom, że dziś szturmujemy - nakazał mu jego pan. - Wezmę tarczę i młot. Aha, i sprowadź tu mojego syna.
- Gdzieś ty się podziewał? - powtórzył sir Ralf, wpatrując się w swojego jedyne spadkobiercę.
- Właśnie do ciebie szedłem, ojciec - odrzekł Robert. -

Ale Grzesio zapomniał swego krzyża, więc odesłałem go do namiotu, a sam nie wiedziałem, gdzie cię szukać.

- No dobrze, chodź za mną. Już południe, a mamy dziś wiele pracy przed szturmem.

Ruszyli między namiotami, oddalając się od monotonie strzelających dział.

- Dobrze ci się spało, chłopcze? - Spojrzenie sir Ralfa było zatroskane.
- Tak. Póki Grześ mnie nie przebudził. Doprawdy, czasami nie wiem, co my tu robimy, ojciec.

Sir Ralf zatrzymał się i spojrzawszy na syna, wskazał

dymiące zgliszcza drewnianego fortu, za którymi znajdowała się zarzucona jego szczątkami i ciałami fosa. Dalej widoczne było wielkie rumowisko - pozostałości wież i murów południowo-zachodniej bramy.

- Tam jest Harfleur, synku - powiedział. - Bogate francuskie miasto portowe. To klucz do Normandii, pra wóitego księstwa naszego króla, ziemi jego pradziadów.

Jak już je zajmujemy, ruszymy w głąb kraju i dołączymy Normandię i Bretanię do królewskiej Gujeny.

Po drodze **25**

zdobędziemy Rouen, a może nawet Orlean. Wreszcie u kresu wojny będziemy bogaci. Spraw się dobrze, synu, a może w udziale przypadnie ci więcej ziem niż z twojej nędznej ojcowizny.

- Tak, ojciec - westchnął Robert. - Tylko po co to wszystko? Przecież żaden ze mnie wojownik i dobrze o tym wiesz. Nie rób takiej miny. Obaj wiemy, że to mrzonki. Nie nadaję się do wojennego rzemiosła. Brakuje mi odwagi i siły kuzyna Artura. Nie wsławię się w boju, bo nie mam serca nawet do taktyki, którą rozumiem.

Dlaczego nie odeślesz mnie z powrotem do Anglii na uniwersytet? Przez ten rok, gdy byłem w Cambridge, nauczyłem się więcej niż na wszystkich lekcjach fechtunku.

- Dość tego! - uciął sir Ralf. - Jesteś angielskim rycerzem i chcę, żebyś dowiódł tego dziś na tych

murach.

Wydaje ci się, że wiele się nauczyłeś w Cambridge? Tutaj w jeden dzień uczysz się więcej, niż klerkowie zdo-

łają pojąć przez całe życie. Uczysz się tutaj hartu ducha i czynem zaświadczasz, żeś rycerz. Tutaj poznajesz śmierć i życie i uczysz się cenić to drugie przez szacunek dla pierwszego. Czegóż więcej możesz się nauczyć, ślęcząc z nosem w jakichś księgach świętego Tomasza z Akwitania czy innego Bertranda z Clairvaux.

-
Tomasz z Akwinu i Bernard z Clairvaux, ojciec.

Zapadło milczenie. Po chwili napięta twarz Ralfa rozluźniła się, a oczy posmutniały.

- Wiem, synku - rzekł - ale co pocznę, skoro trzos mój pusty? Ta wyprawa to jedyna szansa, żeby to zmieścić. Być może już po dzisiejszym szturmie wzbogacimy się na tyle, że będę mógł opłacić twe nauki.

Robert spuścił głowę.

- Chodźmy już, mamy dużo pracy przed szturmem -

powtórzył w końcu, podnosząc wzrok. Jego twarz znów miała sztucznie hardy wyraz.

W zapadających ciemnościach obóz Henryka V wrzał od przygotowań do szturmu. Wzdłuż palisady zebrały się już poczty sir Jana Hollanda i barona Pitchfork. Wschodnią część obozu zasnuwał dym z bombard i hakownic.

Tuż przed atakiem ogniomistrzowie podwoili wysiłki, by utorować drogę stłoczonym zbrojnym i łucznikom. Ci ostatni sprawdzali gorączkowo lotki strzał i zakładali cię-

ciwy na cisowe lub wiązowe łączyśka. Knechci spoglądali na pobliskie mury, zaciskając dłonie na halabardach, spi-sach, glewiach i partyzanach.

Na tyły czekających wojsk podjechał król. Monarcha, za którym ciągnął jego orszak, prezentował się wyśmienicie na olbrzymim rumaku. Na tabardzie Henryk V

miał pole dzielone na cztery części: w pierwszej i czwartej w polu niebieskim trzy lilie złote, w drugiej i trzeciej w polu czerwonym trzy lwy kroczące w słup złote - barwy rodu panującego.

Henryk siedział wyprostowany w siodle z wysokim łą-

kiem. Nie miał hełmu i w blasku pochodni widać było jego dostojną, dumną twarz. Przez prawy policzek wład-cy biegła długa blizna - wojowniczy akcent w arystokra-tycznych rysach, pamiątka bitwy pod Shrewsbury. Po prawicy króla szedł stępą koń Edwarda księcia Yorku - wuja Henryka. Z lewej jechali obok siebie Humfred książę **27**

Gloucester, najmłodszy syn Henryka IV, i sędziwy, wielce doświadczony doradca monarchy sir Tomasz Erphin-gham. Wszyscy członkowie najbliższej świty królewskiej byli w pełnych zbrojach płytowych i hełmach.

- Synowie Anglii! - przebiły się przez huk artylerii słowa Henryka. - Mury zostały skruszone! Harfleur nas zaprasza! Przyjmijcie tę gościnę tej nocy i porzućcie nie wygodny namiotów! Przyjmijcie gościnę w moim domu, Normandii, w której przedśionku właśnie stoimy! - Król mówił coraz głośniejsze, a wtórowały mu okrzyki aprobaty wojowników. - Jesteście u siebie, musicie jedynie przepędzić intruzów, którzy weszli w wasze progi. Do ataku w imię świętego Jerzego!

Rozległ się gromadny okrzyk. Sir Jan Holland zatrzasnął zasłonę basinetu i wykonał młyńca wysoko uniesionym mieczem. Zza palisady obozu wysypali się angielscy rycerze, knechci i łucznicy. Tych ostatnich było najwię-

cej i najszybciej zaczęli swoją krwawą robotę. Bombardy ucichły, a nocne niebo zasyczało od

przeszywających je strzał i bełtów.

Sir Robert biegł lekko pochylony z zamkniętą zasłoną hełmu. Przed sobą widział szerokie, okryte blachą plecy ojca. Tuż obok biegł baron Pitchfork, ściskając oburącz swoją ulubioną broń - sięgającego mu nad głowę poleaxe'a.

- Grzegorzu, nie odstępuj mnie na krok! - krzyknął

Robert do dyszącego obok giermka. - A ja nie będę odstępował kuzyna, dodał w myślach.

Pierwsza fala szturmujących dopadła do rumowiska, które kiedyś było głęboką, naturalnie utworzoną przez rzekę Leur fosą. Holland i jego rycerze jęli się na nie **28**

wspinać przy akompaniamencie chrzęstu zbrój. Za nimi drapali się knechci. Łucznicy przystawali co chwila, usi-

lując wypatrzeć na murach sylwetki obrońców.

Gdy tylko pierwsza fala zeszła do fosy, spadł na nią deszcz bełtów i kamieni.

- Stać! - rozległ się głos sir Ralfa.

Druga fala dogoniła ostatnich ludzi Hollanda, którzy jeszcze nie zdążyli wejść na rumowisko.

- Rozstąpić się i kryć, póki nie będzie dla was miejsca! - wrzeszczał sir Ralf do stłoczonych rycerzy.

- Kryć się i czekać na komendę! - zawtórował basem baron Pitchfork.

Robert popchnął giermka ku leżącej nieopodal stercie zwęglonych pali - resztek fortyfikacji. Sam przykucnął

obok. Wciąż nie wszyscy ludzie Hollanda zdążyli wejść do fosy. Robert zobaczył ojca i kuzyna schowanych za pobliską kupą głazów. Zaraz potem zamajaczyły mu w tle sylwetki kuszników zebranych na murach. Mimo że dzieliła go od nich znaczna odległość, był gotów przysiąc, że usłyszał wydany po francusku rozkaz.

Po chwili dwóch knechtów z grupy otaczającej Artura padło na ziemię. Jeden z nich, miotany konwulsjami, trzymał się za brzuch, a drugi leżał w nienaturalnym bezruchu. Z jego przebitego kapalina płynęła struga krwi.

- Kusznicy, za wami! - wrzasnął Robert i wskazał

skrywające Francuzów mury.

Sir Ralf spojrział w kierunku barbakanu i zaklął pod nosem.

Robert z rosnącym niepokojem zerkał na biegnącą przez fosę pierwszą falę zbrojnych. Dlaczego

wolno?! Wrócił spojrzeniem do zebranych wokół Artura i Ralfa rycerzy. W samą porę, żeby zobaczyć, jak w gło-wę kucającego na samym krańcu grupy sir Tomasza Crawleya trafia bełt. Przyjaciel ojca przekrzywił gwałtownie szyję i martwy osunął się na twarz. Roberta opadło wrażenie, że nic z tego nie dzieje się naprawdę, że to sen.

Strach sprawił, że przestał myśleć o czymkolwiek i zaczął

działać instynktownie. Zobaczył jeszcze, jak kilku łuczników przybiegło w sukurs kryjącym się rycerzom i z niewiarygodną szybkością zaczęło zasypywać francuskich kuszników strzałami. W końcu podniósł się i biegiem ruszył przez zasypaną fosę. Nie słyszał okrzyków i rozkazów. Po prostu biegł i nawet nie wiedział, kiedy dołączył

do walczących w ścisku ludzi sir Jana Hollanda. Z całego szturmu utkwilo mu w pamięci parę scen, jak ta, gdy druga fala zbrojnych wpadła wreszcie w obręb poszarpanego muru, czy kiedy zobaczył ścianę francuskich halabard.

Ostatnim wspomnieniem, jakie zachował, był głuchy metaliczny łoskot, gdy potężne uderzenie okutych drzewc jednej z nich powaliło go nieprzytomnego na ziemię.

Jan Holland ze swoimi ludźmi spychał Francuzów coraz bardziej w głąb miasta. Nad całym polem walki dominował teraz niski głos dzwonu kościoła Świętego Marcina, ostrzegający obrońców przed szturmem. Baron Neville pierwszy z drugiej fali rycerzy przebiegł fosę i teraz widział, jak naszpikowana bronią drzewcową spora grupa francuskich knechtów bierze rozpęd, by wpaść na lewe skrzydło związanego walką oddziału sir Jana.

- Za mną! - Artur nie lubił czekać. Zanim wszyscy jego ludzie przeszli rumowisko, młody baron gnał już na francuskich knechtów.

- Powstrzymaj go, Ralf, to samobójstwo! - wrzeszczał, dysząc ciężko, sir Gotfryd Carlsław, biegnący w niewielkiej grupie zbrojnych, którzy zdołali wejść w obręb murów miejskich pod sztandarem barona Pitchfork.

- Tam jest mój syn, widzę go! - odkrzyknął sir Ralf, przyspieszając biegu.

Francuzi wpadli na lewe skrzydło oddziału Hollanda, a zaraz potem od prawej wbiło się w nich kilkunastu Anglików. Halabardnicy byli całkowicie zaskoczeni, widząc okazały sztandar z białym ukośnym krzyżem i żółtymi widłami, pod którym zamiast dużego pocztu barona walczyło tylko kilkunastu zbrojnych. Sir Ralf biegł ile sił

w nogach, ale nie mógł wyprzedzić rozpędzonego bratanka. Sir Artur wpadł między porządnie okrytych blachami knechtów i roztrącił ich jak figurki szachowe. To-pór jego poleaxe'a spadł z impetem na oszołomionego Francuza, rozrąbując mu kapalin, kaptur kolczy i głowę.

Stojący obok żołnierz zdążył się tylko obrócić, gdy sir Artur zdjął mu szerokim cięciem głowę z barków.

Kolejny halabardnik był już gotów. Odrzucił nieprzydatne w bliskim zwarciu długie drzewce i wyciągnął

kord. Zdążył nawet zastawić się przed lecącym na skroń kończystym dziobem poleaxe'a. Sir Artur błyskawicznie przyciągnął ku sobie broń przeciwnika. Kord wyleciał

z przetrąconej ręki knechta, który zaraz osunął się na ziemię, mimo kolczugi przebity na wylot szpicem broni Artura.

Po prawej ręce barona sir Ralf młócił swoim młotem rycerskim. Ostry dziób i obuch oręza pokrywała już krew.

Jeden z Francuzów przyskoczył do rycerza, tnąc z ukosa tasakiem. Pan Moorow przyjął uderzenie na tarczę, przysiadł nieco i wyprowadził z barku cios na kolano. Knecht zawył, gdy dziób rycerskiego młota przebił okrywającą je stal. Zawył po raz drugi, gdy Anglik wyszarpnął broń ze zgruchotanego stawu, i zamilkł, dopiero gdy uderzenie obucha zmiażdżyło mu czoło.

Grupa pod sztandarem pana Pitchfork wdarła się głę-

boko pomiędzy Francuzów. Ci jednak wytrzymali początkowy impet uderzenia i teraz próbowali się przegrupować. Pierwszy szereg tasakami i kordami spowalniał

nacierających Anglików, a część halabardników z drugiego i trzeciego szeregu, odwróciwszy się od pierwotnego kierunku ataku, wetknęła długie drzewce pomiędzy kompanów walczących z przodu.

- Na nich! Napierać! Nie dajcie im złapać dystansu! -

wrzeszczał ochryple baron Neville, wyszarpując żeleź-

ce poleaxe'a wbite głęboko w żebra jednego z halabardników.

Sir Ralf przyskoczył do linii wroga, ale natychmiast się wycofał, by uniknąć sztychów nastawionych halabard. Jeden grot ześlizgnął się po tarczy, ale drugi dosięgnąłby nogi pana Moorow, gdyby nie Guillaume. Oburęczny giermek wyrósł jak spod ziemi między swoim panem a halabardą.

Zamaszyście ciał mieczem w drzewce tuż przy zakończeniu żelaza. Broń uderzyła ze stukiem o bruk.

Guillaume ponowił atak drugą ręką, w której trzymał

ciężki tasak. Drewno pękło, ale wzmacniające je żelazne **32**

wąsy wytrzymały i halabardnik zwinnie cofnął broń. Jeden z Francuzów przyskoczył do odsłoniętego po ciosie Guillaumea i zamierzył się mieczem, ale był już przy nim sir Gotfryd. Doświadczony rycerz ciał lekko, za to szybko i precyzyjnie. Francuz krzyknął i cofnął się, łapiąc zakrwawioną dłoń, w której do niedawna trzymał rękojeść.

Mimo serii pięknych przewag i nawoływań sir Artura halabardnicy zdołali wywalczyć tak ważny dla nich dystans. Było już jednak za późno. Grupa sir Hollanda zmusiła do odwrotu pierwszy oddział, z którym się star-

ła, i zaczęła otaczać francuskich knechtów. Ci starali się wycofywać jak osaczony przez psy jeź, ale zaraz potem nadbiegła reszta poczty barona Pitchfork. Halabardy zaczęły beładnie opadać na boki, a po chwili pętla angielskich żołnierzy i rycerstwa zacisnęła się na Francuzach.

Walka przeszła w rzeź. Położył jej kres dopiero dźwięk rogu, nakazujący odwrót zatraconym w boju Anglikom.

Posłaniec zeskoczył z siodła i skłonił się przed królem.

- Mów. - Twarz Henryka zdradzała podniecenie, ale głos monarcha miał spokojny.

- Wasza królewska mość, sir Jan Holland z baronem Pitchfork opanowali bramę. Są w mieście!

- Świetnie! Przekaż im, by się wycofali na barbakan i trzymali mury.

- Nie lepiej posłać do miasta większą siłę i skończyć to, nim nastanie dzień? - Książę Yorku wyglądał na za-wiedzionego.

- Nie - odrzekł Henryk. - Nie chcę wystawiać Harfleur **33**

na rzeź i rabunek. To nasz pierwszy przyczółek w Normandii, a teraz, kiedy jesteśmy na murach, Gaucourt i Estuteville z pewnością poddadzą miasto. - Król powiedział to uprzejmym tonem, ale dało się poznać, że nie zamierza dłużej rozmawiać o swojej decyzji.

Posłaniec skłonił się w pas, po czym wskoczył na konia i ruszył ku murom.

- No i mamy nasze zwycięstwo. - Król uśmiechnął się i spojrzał na otaczających go rycerzy. - Późno, bo późno, ale mamy - dodał po chwili, patrząc na zaszępienie oblicze Erpinghama.

Ledwie sir Robert otworzył oczy, odniósł wrażenie, że drzewce halabardy, którą go potraktowano, wbiło mu się w głowę. Jęknął przeciągle.

- Panie Robercie, jak to dobrze, że pan dochodzi do siebie. - Grzegorz miał spore trudności z opanowaniem wzruszenia.

- Co? Co się stało, wygraliśmy? - wymamrotał rycerz.

- Tak, panie, zwycięstwo jest przy nas, ale król nie pozwolił splądrować miasta i teraz będziemy czekać tydzień, zanim Francuzi się poddadzą, bo oni czekają na posiłki i jeśli te posiłki...

- Grzesiu, mówisz zbyt szybko, bym cokolwiek zrozumiał. Mniemam, że jesteś wzruszony, ale nieco zwolnij.

- Tak, tak, oczywiście, panie. - Giermek głęboko odetchnął i zaczął mówić w tempie umożliwiającym zrozumienie jego słów: - Więc nasz miłościwy król powiedział

panu Estutevillebwi, że ma poddać miasto. A pan Estu-34

teville powiedział królowi, że podda miasto, tylko jeśli w ciągu tygodnia nie przyjadą posiłki od delfina i od kró-

la Francji.

- Chyba powiedział, że podda miasto, jeśli nie przyjadą posiłki od delfina lub od króla Francji?

- Tak, właśnie to powiedział - przyznał skonfundowany giermek.

- Bo rozumiesz, Grzesiu, że powiedziałaś coś innego?

- Jak to?

- Powiedziałaś: „jeśli w ciągu tygodnia nie przyjadą posiłki od delfina i od króla Francji”.

- A czy ty, panie, nie powtórzyłaś moich słów?

- Niektóre z nich powtórzyłem, lecz wedle tego, co mó-

wiłem, jeśli król Francji przyjechałby z odsieczą, a delfin by nie przyjechał, to Estuteville miasta by nie poddał.

Nie poddałby go również wtedy, gdyby delfin przyjechał, a król odmówił pomocy. Natomiast wedle tego, co ty rzekłaś, drogi Grzesiu, Estuteville poddałby miasto, nawet gdyby sam król Francji stanął pod bramami Harfleur, o ile tylko delfin wstrzymałby się z pomocą.

Na twarzy młodego Grzegorza Fellawa widać było wy-sięk.

- Chyba pojmuję tę różnicę - odezwał się w końcu -

choć nigdy dotąd nie myślałem o tym, jak wielka jest przepaść między „i” a „lub”.

- Zaiste jest ona ogromna - potwierdził Robert. -A teraz bądź tak miły i przynieś mi jakąś mokrą szmatę, bo głowa mi pęka.

Młody giermek opuścił namiot głęboko zamyślony. Robert zaczął dotykać głowy, chcąc ustalić, czy aby nie przy-35

pominą siodła. Po chwili badania stwierdził ku swemu miłemu zaskoczeniu, że ma ona z grubsza ten sam kształt co przed szturmem, nie licząc guza i lekkiego cięcia z lewej strony czoła.

Rozejrzał się po namiocie. Jak zwykle panował tu ba-

łagan, udało mu się jednak dostrzec zbroję nie do końca zapakowaną do uchylonej okutej skrzyni. Przy świeżo naoliwionym naręczaku leżał hełm, popularny psi pysk, obok zaś chroniąca twarz stalowa zasłona, od której wziął

on nazwę. Była zgięta z lewej strony nieznacznie nad wizurą i miała zerwany lewy zawias mocujący ją do dzwonu. Dzwon również nosił ślady po halabardzie - był wy-raźnie wklęsnięty zaraz tam, gdzie kończyła się zerwana *zasłona*.

Miałem sporo szczęścia, pomyślał sir Robert.

- Miałeś sporo szczęścia, synku.

W wejściu stał sir Ralf. Jego oblicze było pogodne, podobnie jak głos.

- No, wczoraj trochę przetrzepaliśmy francuskie tył-

ki - dodał, wchodząc do namiotu energicznym krokiem. -

Jestem z ciebie dumny. Nawet twój kuzyn nie rzucił się do boju tak szybko jak ty. Teraz jeszcze tydzień będziemy jedli cienką obozową zupkę, a potem zawitamy do Harfleur. Będą kobiety, wino i śpiew. A po prawdzie od dawnajuznicnie...

- Ojciec... proszę cię... - Robert był jak zawsze zażenowany, gdy jego rodzic popadał w radośnie erotyczny nastrój.

- Proś, o co tylko zechcesz, synu. Dla wszystkich wystarczy. - Sir Ralf promieniał.

- Nie czuję się jeszcze zbyt dobrze. Widziałem, jak zgiął pan Tomasz.

Ralf momentalnie spochmurniał i zamilkł. Robert natychmiast pożałował swoich słów. Już nie był pewien, czy woli wesołego satyra, którym od czasu do czasu stawał

się ojciec, czy zmęczonego wojownika, którym musiał

być przez większość życia.

- To był dobry rycerz i jeszcze lepszy kompan. - Sir Ralf usiadł na posłaniu syna.

- Czy msza...?

- Nie, jeszcze nie było mszy za poległych - odparł ojciec. - Ma być w południe. Przyjdiesz?

- Tak. Myślę, że dam radę.

II

Pan Dawid Rambures miał chmurne oblicze i złe przeczucia. Jego czterej synowie dołączyli już do armii królewskiej, podczas gdy on poświęcał uwagę córkom, przedstawiając starszą kandydatowi na męża. Draż-

niło go to jako żołnierza, ale skoro już raz uległ namowom żony, pozostało mu jedynie dotrzymać obietnicy...

Dźwięki fletu rozplýwały się po kamiennej komnacie rytmicznie wspierane przez tamburyn i niewielki bęben.

Zebrani siedzieli na ciężkich drewnianych krzesłach pamiętających czasy Karola IV, stłoczeni wokół grupki pstro ubranych muzyków. Odziany w sześciobarwną houppelande bard o nieco egzotycznej śniadej skórze zaczął śpiewać z równie egzotycznym akcentem:

Belle qui tiens ma vie

Captive dans tes yeubc, Qui

mas l'ame ravie D'un soubz-

ris gracieux, Viens tost me

secourir Ou mefauldra

mourir.

- Czyż on nie jest piękny, Mario? - Na twarzy Julii Rambures pojawił się rumieniec, jej ogromne niebieskie oczy wpatrywały się pytająco w siostrę.

- Naturalnie, ale to niestety jedynie narzędzie - odrzekła Maria. - *Instrutnentum vocale*, można by rzec.

Starsza siostra Julii sprawiała wrażenie znacznie mniej zachwyconej występem grupki bardów. Głównym powodem tego braku zachwyty była obecność Jakuba Vaartbruta - flamandzkiego rycerza, który już od paru miesię-

cy starał się o rękę pierworodnej córki pana Rambures.

Vaartbrut był z natury bardzo łagodny, co harmonizowa-

ło z jego ogromną tuszą i kłóciło się z zamiłowaniem do okrutnych historii wojennych.

Pourquoy fuis tu mignarde

Si je suis pres de toy,

Quand tes yeuhje regarde

Je me perds dedans moy

Car tes perfections

Changent mes actions.

- Może jednak nic z tego nie wyjdzie... - westchnęła z nadzieją Maria.

Siostry zerknęły na pana Jakuba, który właśnie ocierał

spoczone czoło. Rycerz poczuł spojrzenia i zwrócił się ku damom. Na jego okrągłą jak księżyc w pełni twarz wy-płynął łagodny uśmiech szczęśliwego niemowlęcia.

Maria szybko odwróciła wzrok.

-Cóż, chyba jednak wyjdzie... - odrzekła Julia, grzecznie odwzajemniając uśmiech pana Vaartbruta.

Śpiewający mężczyzna wspinał się na wyżyny ekspre-40

sji, wykonując przy tym bardzo dramatyczne gesty. Pan Jakub obserwował muzyków, ocierając na przemian łzy wzruszenia i krople potu pokrywające jego pulchną, delikatną twarz.

Maria spojrzała w jasną księżycową noc za oknem. Za-częła się zastanawiać, czy upadek z wieży

bardzo boli i ja-ką ma szansę zginąć. Po chwili jednak doszła do wniosku, że jej błękitna suknia z cieniutkiej flandryjskiej wełny fatalnie by się komponowała ze zmasakrowanym ciałem.

Tes beautcz & ta grace Et

tes divins propos. Ont

eschauffe la glace Qui me

geloit les os, Et ont remply

mon coeur D'une

*amoureuse ardeur. **

** Piękna, ty życie moje Na oczu*

wieżisz dnie, I duszę mi wydarłaś Uśmiechem, co wdzięczy się. Z

ratunkiem do mnie spiesz, Bo

przyjdzie po mnie śmierć.

Dlaczego, śliczna, się droczysz, Kiedym tak blisko, tuż,

A kiedy spojrzę w twe oczy,

Ginę gdzieś w sobie już.

Doskonałości twe bliskie,

Gesty zmieniają wszystkie.

Wdzięk i czar twej urody I

boskich słów twoich głos Stopiły okowy lodu, Co kości ziębił na

wskroś. I przepętniły mi serce

Żarem miłości goręcej.

(pawana z *Orchesographie* T. Arbeau, przeł. Jerzy Moderski) 41

Pan Jakub lekkim posapywaniem dał wyraz wzrusze-niu. Nagle melodia urwała się, a pochodzący z Genui śpiewak zmarł w dramatycznym przykłęku, zerkając ze zdziwieniem na podniesioną dłoń pana Rambures. Stary rycerz poprawił ciężką wełnianą robę i odgarnął przydługie, staromodnie przycięte włosy.

- Tak, więc... hmm... - odezwał się - bardzo pięknie bawicie nas, moi drodzy, swoim graniem, ale...
hmm...

wypadałoby dać trochę czasu narzeczonym, by mogli...

prawda... hmm...

Większość zebranych wiedziała, że mowy, w przeciwieństwie do młócenia toporem, nie są mocną stroną rycerza.

- . . pozostać ze sobą sami - dokończyła, wstając z ła godnym uśmiechem, żona mistrza kuszników. -
Oczywiście w towarzystwie opiekunów, zgodnie z obyczajem.

Pani Rambures wyglądała olśniewająco w jedwabnej, leżącej się na posadzkę sukni i wysokim heninie. Jej smukła twarz wyrażała spokój i godność. Przy niedźwie-dziowatej postury mężu przypominała łanię.

Zebrani wstali, wygładzili szaty i rozstąpili się przed Jakubem Vaartbrutem. Flandryjczyk podniósł się ostatni, przydeptując faliście wycięty ogon chaperonu. Oczom zdziwionych zebranych ukazała się krótka czarna czu-pryna opadająca na galerię krost.

Maria poczuła, że coś rośnie jej w żołądku, i zaczęła tracić siły. Julia zręcznie podtrzymała siostrę i uśmiechnęła się do zebranych, którzy zwrócili uwagę na młode damy.

- To nic. Proszę się nie martwić - rzekła. - Droga sio-42

stro, tyle razy ci mówiłam, byś kazała służkom lżej wią-

zać tę suknię. - Julia naparła na siostrę i poprowadziła ją do drzwi.

Rozległy się szmery, które jednak szybko ucięła pani Rambures:

- Proszę, mili goście, nie zwracajcie uwagi na wzruszenie wieku młodzieńczego, wszak znane są one nam wszystkim. Z pewnością pamiętacie trwożne oczekiwanie na zrękowiny. Córka moja zaraz dojdzie do siebie, a na razie spróbujcie, proszę, darów z naszych winnic.

Gospodyni klasnęła. Na ten znak służba zaczęła się krzątać jak za sprawą magicznego zaklęcia. Pani Rambures zerknęła na grajków i skinęła głową, a komnata na powrót wypełniła się muzyką.

- Bardzo ci współczuję, ale tym razem to już nieuniknione - mówiła Julia. - Ojciec jest doprowadzony do ostateczności.

- Wiem, chyba że... - Maria nieprzytomnie wodziła oczyma po komnacie. Perfumy. . za mało, żeby się otruć.

Lustro. . mogą zdążyć przybiec, gdy usłyszą hałas. Prze-

ścieradła. ...

- Co ty robisz, Mario?! - zawołała Julia. - Spójrz na mnie i opanuj się! Nie podoba ci się Vaartbrut? Bo brzyd-ki? Bo zniewieściały?

- *Non solum sed etiam*, droga siostrzo, nie tylko to jest powodem.

- Nie wierzę! Nie rozumiem! To znaczy rozumiem, że gardzisz Jakubem, ale co z Clermontem?! Co z nim było **43**

nie tak?! Przystojny, silny, jak z ballady rycerskiej... -

Oczy Julii rozmyły się na moment.

- Otóż to, droga siostrzyczko! Wspaniała prezencja i nic do powiedzenia prócz frazesów wyjętych żywcem z *Le rotnan de la Rose*. Gdyby nie to, że raz uratował ojcu życie, nazwałabym go idiotą. Choć po namyśle i tak jestem skłonna go tak nazwać.

- Sama nie wiesz, co mówisz! - Julia była wyraźnie zniecierpliwiona. - Clermont to wielki pan i wspaniały rycerz. Każda byłaby szczęśliwa, mogąc go mieć za męża!

- Każda.. a w szczególności ty! - odcięła się Maria. -

Ale przedstaw sobie, że ja bym nie chciała. Nie podoba mi się ten pyszny Clermont z tym jego wielkopaństwem.

Chcę być z kimś, kto mnie zrozumie i potrafi wieść interesującą rozmowę, ale jak widzę, to zbyt wiele. Widocznie w głowie mi się poprzewracało, skoro chcę męża obdarzonego rozumem i łagodnym obejściem, zamiast kogoś, komu głowa służy wyłącznie jako wypełnienie hełmu!

- Jesteś mądra, ale nadzwyczaj zarozumiała, siostrzo.

A czasami zachowujesz się po prostu jak rozpuszczone dziecko. Na Clermonta zaś, moja droga, nie zasługujesz!

W oczach młodej damy zaszklily się łzy, które szybko ukryła, odwracając się plecami do siostry, i pobiegła do drzwi. W progu jednak zatrzymała się na moment.

-*Ale roman de la Rose* to piękna książka! - wybuchła.

W drzwiach minęła matkę, która odprowadziła ją zmę-

czonym spojrzeniem.

- Mario... - Głos pani na zamku Rambures był przepełniony spokojem. Weszła do sypialni córki i zamknęła ozdobnie okute drzwi.

- Wiem, po co przyszłaś, matko. - Młoda kobieta od-wróciła wzrok i mimo woli lekko wyduła usta.
- Wiem, że wiesz, kochanie.
- Skoro szanowna pani matka jest taka domyślna, to wie też zapewne, że niczego w tej sprawie nie wskóra.
- Szanowna pani matka ma wobec tego tylko jedno wyjście: pozostawić wolną rękę szanownemu panu ojcu. .

Maria drgnęła.

- Nie wiem, jak osoba tak świątła jak ty, mamó, może się uciekać do tak niskich argumentów - odrzekła z wyrzutem.
- To proste, moje dziecko: nie mam wyjścia. Wiesz, że zależy mi na twoim szczęściu, lecz ostrzegałam, co może się wydarzyć, jeśli będziesz zbyt wybredna.
- Ale ja nie mogę poślubić tego człowieka! Widziałaś go, mamó?! Tę kołyszącą się na boki bekę sadła?! *Vul-gaire parodie de l'hommel*
- Czyżby doskwierała ci jego niemęskość? Dlaczego więc wzgardziłaś względami Clermonta?
- Bo jest nadętym głupcem! A poza tym Julia go kocha i znieawidziłaby mnie do końca życia. - Słowa uwięzły Marii w gardle, a na policzkach pojawiły się łzy.
- Kochanie, masz dwadzieścia trzy lata i powinności wobec rodziny - westchnęła pani Rambures - których nie spłacisz rozumem ani dobrocią. Po prostu musisz wyjść za mąż, bo na klasztor jest już za późno.
- Nie! Nie! - krzyknęła Maria. - Prędeż się zabiję albo ucieknę i dołączę do beginek!
- Do beginek? Co ty opowiadasz, moje biedne dziecko? Jeśli uciekniesz, czeka cię los dużo gorszy niż dzie-45

lenie alkowy z panem Vaartbrutem. Mamy wojnę i lasy roją się od maruderów i grasantów. Jak znajdziesz be-ginki? Ukrywają się i nie zostało ich już wiele. Przystać do nich to wyrok...

Czasami żałuję, że tyle wysiłku włożyłam w twoją na-ukę. Jak widzę, wiele spraw przedstawiłam ci w świetle wielce niepraktycznym. Chciałam dobrze, ale teraz obie poniesiemy tego konsekwencje. Przykro mi, córeczko, ale musimy być posłuszne twemu ojcu. Nie mogę ci po-móc. Taki nasz kobiecey los, córko, ale z czasem nauczysz się z tym żyć. Zaczyniesz czerpać przyjemność z codzien-nych obowiązków i drobnych wydarzeń. A gdy przyjdą dzieci, one będą światłem twoich dni. - Pani Rambures patrzyła w okno, nie reagując na szloch córki. - Poza tym ludzie o znacznej tuszy nie żyją

długo... - dodała. Głos zadrżał jej lekko, więc zamilkła i wyszła.

Nie, matko! Nie po to było to wszystko, pomyślała Maria. Nie po to twoje mądre nauki. Nie po to, bym latała wokół pacholąt tego odpychającego głupca.

Myśli przychodziły jedna za drugą z zawrotną prędko-

ścią. Lustro, perfumy, Vaartbrut, Julia, matka, ojciec, łożo z baldachimem, młode dłonie - nie stworzone do zmieniiania pieluch, ale do pisania. Prześcieradło. Ogromne lniane prześcieradło....

Dłonie w długich rękawicach z kozłej skóry zacisnęły się mocno na lnianym prześcieradle. Gdyby któryś ze stoją-

cych na murach strażników zerknął na barbakan, ujrzał-

by tam niewielką postać w jeździeckim stroju zsuwającą **46**

się do fosy. Jednak wszyscy oni przyglądali się cyrkowcom, którzy po biesiadzie wyszli na dziedziniec, i żaden nie spojrzał na tę część murów.

Wspinaczka po barbakanie nie należała do repertuaru tradycyjnych gier dworskich, niemniej pannie Rambures szła całkiem sprawnie. Równie dobrze radziła sobie z jazdą konną w męskim siodle. Był tylko jeden szkopuł.

U podnóża zamku nie czekał żaden wierzchowiec.

- Tak... hmm. . gdzież ona jest, moja droga? - zagadnął

żonę pan Rambures.

Goście sprawiali wrażenie znacznie mniej przejętych nieobecnością córki mistrza kuszników niż zawartością swoich pucharów.

- W swojej komnacie, drogi małżonku. - Pani Rambures rozglądała się po sali czujnie, choć z życzliwym uśmiechem.

- Hmm. . no tak. A długo tam jeszcze będzie? - indagował pan na zamku.

- Nie wiem, mój drogi. Mam po nią posłać, nie zwa-

żając na jej stan?

- To z nią aż tak źle?

Pani na zamku Rambures spojrzała na męża z lekkim niedowierzaniem.

- Nie wiem, co rozumiesz przez „aż tak źle” - odrzekła - ale chyba zdajesz sobie sprawę, że Jakub

Vaartbrut nie jest najlepszym kandydatem na męża.

-Tak... cóż... Po tym, jak odrzuciła Clermonta, już naprawdę nie wiem, o co jej chodzi.

Wiem, że nie wiesz, pomyślała pani Rambures, sięga-jąc po kielich.

Udało się. Maria Rambures biegła ile sił w nogach przez łąki otaczające zamek. W myślach sławiła dzień, w któ-

rym mistrz cechu kamieniarzy zaproponował, by umoc-nić brzegi zamkowej fosy, skutkiem czego spuszczone z niej wodę.

- Byle tylko dotrzeć do lasu - mówiła sobie Maria. -

Potem jakaś wieś. Tam kupię konia i szukaj wiatru w po lu. Mało to wędrujących w przebraniu szlachetnie urodzonych opiewają w pieśniach?

- Dość tego dobrego! - indyczył się pan Rambures. -

Niech ją tu natychmiast sprowadzą! Nie pozwolę, by moja krnąbrna córka wciąż ośmieszała mnie swymi ka-prysami!

- Oczywiście, mój drogi mężu, tylko nie denerwuj się niepotrzebnie. - Pani Rambures nagłym skinieniem przywołała służę i poinstruowała go szeptem.

- Nie denerwuj się niepotrzebnie... hmm... - mamrotał jej mąż. - Kiedy tutaj zdaje się tak tylko moż-

na cokolwiek działać. Tak... hmm... nie dość, że moje córki wyrosły na rozpuszczone, nie zważające na ojca panny, to jeszcze... hmm... małżonka mnie strofuje. Zapamiętaj, moja droga... hmm... że w tym domu ja decyduję, kiedy dam upust złości.

-Naturalnie, drogi mężu - cierpko odrzekła pani **48**

Rambures. - Ty decydujesz, kiedy dasz upust złości i kiedy się ośmieszysz, bo wierz mi, nie potrzebujesz do tego córek.

Niektórzy z gości oderwali się od napitków i zaczęli nasłuchiwać, o czym to też rozmawiają gospodarze. Nie trwało to jednak długo. Do sali wpadł zdyszany sługa.

- Panna Maria.. uciekła! - obwieścił wszem i wobec, nie pytając państwa o zgodę.

Pierwsze odgłosy pogoni dotarły do niej, kiedy była już wśród drzew. Spojrzała w górę, w rozłożystą koronę wielkiego dębu, przez którą sączyło się blade światło gwiazd i księżyca. Wspinaczka poszła nader łatwo w porównaniu ze schodzeniem po ceglanych murach zamku. Gdy w końcu wdrapała się na grubą gałąź ukrytą wśród po-

zółkłych liści, zaczęła nasłuchiwać. Na chwilę zamarła, pomyślawszy, że ścigający mogli wziąć psy.

Nie usłyszała jednak żadnego ujadania - widać nie sądzili, że uda mi się aż tak oddalić, pomyślała z ulgą.

Po chwili okolica nabrała żywszych barw w świetle pochodni i lamp. Maria zobaczyła ojca - okryty wielkim płaszczem przejechał ledwie parę kroków od drzewa. Zaraz potem mignęła jej sylwetka kasztelana zamku Rambures, a następnie ziemię pod dębem zryły konie kilkunastu rycerzy i zbrojnych, z których większość rozpoznała - byli to ludzie jej ojca. Odczekała, aż ucichnie tętent kopyt, i zaczęła ostrożnie schodzić z drzewa.

Nagle usłyszała rżenie. Po chwili do rżenia dołączył zgłuszony przez listowie tętent. Dziewczyna zamarła z jed-49

nie przypadł do gustu, bo tylko zrobił jeszcze kwaśniej -
szą minę.

Do sali weszła pani Rambures. Wszyscy zwrócili na nią pytające spojrzenia.

- Jeszcze nie wrócili - oznajmiła opanowanym głosem, choć lekko pobladła. - Udajmy się na spoczynek i po módlmy się w intencji rychłego odnalezienia mej córki.

Te słowa zakończyły taniec spojrzeń i wszyscy się od-dalili.

Na murach i dachach Rambures kładło się poranne paż-

dziernikowe światło. Dziedziniec zamku był jeszcze mroczny, lecz wiele się na nim działo. Pan Rambures przemierzał podwórzec wzdłuż i wszerz, wrzeszcząc i gestyku-lując. Miał na sobie gruby futrzany płaszcz, a pod nim pełną zbroję - jedyny element pozwalający odróżnić go od rozjuszonego niedźwiedzia. Wokół mistrza kuszników krążyła grupka ludzi, którzy usiłowali zrozumieć, co też on wykrzykuje.

- Kasztelanie! - zawrzasnął właśnie.

- Tak, pa... - odezwał się wezwany nieszczęśnik.

- Czy te cholerne psy są już gotowe, czy też wciąż mają sraczkę?

- Łowczy powiedział, że już im lepiej.

- Lepiej?! - Mistrza kuszników bynajmniej to nie uspokoiło. - Lepiej zejdz mi z oczu i upewnij się, że straż-

nicy nie śpią, bo Anglicy gotowi, hmm... wziąć zamek jak rozkraczoną marketę! - krzyczał pan Rambures, nie zwracając zbytniej uwagi na odpowiedzi.

- Oczywiście, mój... - usiłował coś dodać kasztelan.

- Preeecz!!! Gascarde! - Pan na Rambures wypatrzył

kolejną ofiarę.

- Jestem, panie!

- Zbierz wszystkich na dziedzińcu, wyruszamy natychmiast.

-Tak jest!

- Vindroit!

- Do usług.

Jedynie pan Vindroit, najstarszy i najbardziej do-

świadczony doradca mistrza kuszników, potrafił zachować spokój wobec furii seniora.

- Jedź do Clermonta i powiedz mu - rzekł pan Rambures - że proszę go, hmm... o pomoc w rodzinnej sprawie i że hmm. . nie pożałuje, jeśli mi jej udzieli. Jeżeli zapyta, co z wojną, to zapewnij go, że zdążymy. .

- Oczywiście.

- Stój! Jeszcze jedno! Powiedz Vaartbrutowi, żeby zabrał moją żonę i córkę do swoich włości. I że może, hmm. .

podkreśl... hmm... tego... hmm, że może... wybaczę mu to partactwo i hmm... może zobaczy jeszcze kiedyś moją córkę.

- Ależ pan Vaartbrut ma złamane dwa zębra... - za-czął Vindroit, lecz zgromiony spojrzeniem mistrza kuszników odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę donżonu.

III

dy w końcu po tygodniu niecierpliwego oczekiwania **G** nikt nie przybył z pomocą obłożonym, panowie Estuteville i Goucourt zgodnie z obietnicą poddali Harfleur. Niedzielnym popołudniem dwudziestego trzeciego września król Henryk wjechał triumfalnie do miasta i na rynku spotkał się z księciem Tomaszem Claren-ceem, który oblegał Harfleur od północnego wschodu.

Angielscy żołnierze szybko wyzbyli się żalu, że nie mogą plądrować miasta, gdy tylko dano im się wyspać pod da-chem i zakosztować potraw oraz trunków w miejskich gospodach. Nie było już

więcej stęchliżny namiotów, nie dogotowanych skorupiaków wyławianych z rzeki i co-dziennego morderczego wysiłku przy pracach obozowych i szturmach.

Na mocy rozkazu króla większość mieszczan wyprawiono za mury miejskie, co miało być karą za ich żelazny opór. Ponury marsz uchodźców nappełnił nielicznych pozostałych lękiem. Jednakże, początkowo przerażeni, po kilku dniach przywykli oni do obcych wojsk i wrócili do swoich zajęć. Anglikom nie można było odmówić trunków i jadła, ale też zdyscyplinowania. Zgodnie z wolą **55**

króla nie grabili i nie prześladowali mieszkańców Harfleur - ostatecznie Henryk chciał, jak uważał, odzyskać swoje ziemie.

Sir Ralf siedział rozanielony w balii z letnią wodą. Czuł, jak jego zmęczone ciało odzyskuje siły i ustępuje ból po-tłuczonych, pokaleczonych i naciągniętych członków.

Na jego ramieniu złożyła ciepły mokry policzek dziewczka służebna Kasia. Słyszał jej cichy miarowy oddech. Spała.

Młodej mieszczce brakowało nieco wprawy w miłosnych zapasach, ale była pełna zapału i szybko się uczyła. Poza tym miała śliczną, delikatną buzię i mocno wciętą talię.

Pan Moorow westchnął, wciągnąwszy głęboko chłod-nawe wrześnie powietrze. Dzień zapowiadał się wspa-niale. Niewielka gospoda koło rynku, w której się zatrzymali, była przeznaczona dla średniej rangi rycerzy. Sir Ralf z synem znaleźli się tu głównie za sprawą protekcji barona Pitchfork, ale też skutkiem zasług w czasie szturm. Śpiewały ptaki, a dobiegający południa dzień pachniał letnią świeżością. Pan Moorow ostrożnie sięgnął po stojący obok balii cynowy kubek wypełniony znacnym bretońskim winem.

Wojna jest rzeczą straszną, pomyślał sir Ralf, nie mo-gąc jakoś sam siebie przekonać do swego ulubionego po-wiedzionka.

Powiedzmy, że bywa rzeczą straszną, poprawił się w my-

ślach, pociągając kolejny łyk z cynowego kubka.

Nagle spokój przerwało pukanie.

- Kto tam? - zapytał.

- Guillaume, panie.

Rozbudzona buzia Kasi i jej wielkie brązowe oczy zdradzały niezadowolenie. Z zaspaną twarzą i przyklejonymi do policzka włosami wyglądała jak urażony urwis.

- Czego chce znowu ten natręt? - wymamrotała.

- Nie wiem, duszko - odrzekł z uwodzicielskim uśmiechem rycerz. - Czego chcesz, Guillaume?

- Odnalazłem tych łuczników, których kazałeś mi znaleźć, panie. Jeśli przyszedłem nie w porę...

- Ostatnimi czasy trudno by ci było przyjść w porę. -

Uśmiech Ralfa zrobił się lubieżny. - Ale nie ma w tym twojej winy. Poczekaj w izbie jadalnej, niedługo zejdem -

zakomenderował rycerz, bawiąc się mokrym kosmykiem włosów Kasi.

- Jak to niedługo? - z wyrzutem szepnęła służka.

- Dobrze, panie - odezwał się giermek, westchnąwszy donośnie.

- To zazdrość, moja słodka gołąbko - wyjaśnił sir Ralf dziewczęciu - nie przejmujemy się tym brakiem manier.

Sir Artur siedział wpatrzony w szachownicę. Na jego twarzy malował się wysiłek. W długiej aksamitnej houppelande, której fałdy leżały zwinięte pod zydlem, wyglądał

jak posąg. Sir Robert wykorzystał chwilę namysłu przeciwnika, by po raz kolejny obejrzeć niezbyt ciekawy wystrój izby jadalnej Portowego Koguta. Kamienne wnętrze było przytulne, acz skromne - żadnych ozdób, nie licząc naczyń na drewnianych półkach. Poza dwoma rycerzami nie było w nim nikogo. Służba i karczmarz, zajęci pracą-57

mi kuchennymi i sprzątaniami, krzątali się po całej karczmie. Tylko jedna służka, siedemnastoletnia Matylda, zaglądała co jakiś czas do głównej izby, aby się upewnić, że panowie niczego nie potrzebują. Panowie jednak niczego nie potrzebowali - gliniany dzban z bretońskim winem był jeszcze do połowy pełny.

Sir Robert zerknął leniwie na szachownicę, prawą ręką macając opatrunek na głowie. Zgodnie z jego oczekiwaniami nic się nie zmieniło i dalej dawał mata kuzynowi w czterech ruchach, czego tamten zdawał się nie dostrzegać mimo godnej filozofa zadumy.

Artur wreszcie drgnął i upierścienioną dłonią przesunął wieżę. Młodszy rycerz odpowiedział momentalnie, realizując od dawna gotowy plan, czym skazał się na kolejne minuty nudy. Na szczęście

z pomocą przyszedł mu jak zwykle niezastąpiony Guillaume.

- Witam panów - rzucił od progu i skłonił się nieznacznie.

Robert skinął giermkowi głową.

- Nie chciałbym przeszkadzać, ale szukam pana Ralfa. .

czy jest w swojej izbie? - zapytał nieśmiało Guillaume.

- W każdym razie nie wychodził z niej dzisiaj. -

Uśmiech odwróconego od szachownicy barona nie pozostawiał wątpliwości, jak należy interpretować to stwierdzenie.

- Rozumiem - odrzekł smętnie Guillaume i ruszył

szybkim krokiem w stronę schodów prowadzących na piętro Portowego Koguta.

Sir Artur nie patrzył już na szachownicę, lecz na Roberta.

- No, no - odezwał się. - Muszę przyznać, że kondycja wuja jest imponująca jak na jego wiek.

Robert uznał, że rozmowa zmierza w kierunku, który mu zupełnie nie odpowiada.

- Chyba tak - rzekł na odczepne i wzruszył ramionami.

- O nie, mój drogi kuzynku - nie dał się zbyć Artur. -

To nie jest coś, co zasługuje na takie zdawkowe wzruszenie ramion. Powinieneś być dumny i szczęśliwy.

- Skoro tak mówisz, Arturze... Ale z czegoż to miał-

bym być dumny?

- Jak to? - zdziwił się Pitchfork. - Dumą powinna cię napawać siła męska ojca. A szczęściem to, że owa siła przekazywana jest z ojca na syna, zatem i ty siłaczem musisz być nie lada. Może tylko nie miałeś się o tym okazji przekonać?

Robert odwrócił oczy od świdrującego spojrzenia kuzyna.

- O! Guillaume już wraca, pewnie ojciec go odesłał -

znów spróbował zmienić temat rozmowy.

- Nie myśl tylko, że mnie tym zbędzisz - rzekł Artur. -

Nie myśl też, że mówię ci o tym na złość. Po prostu troszczę się o ciebie, jakbyś był mi bratem rodzonym.

Giermek przeszedł przez izbę, kręcąc głową, i opuścił

karczmę. Artur już miał podjąć wywód, gdy drzwi Portowego Koguta rozwarły się ponownie i znów pojawił się w nich Guillaume. Podszedł do jednego ze stołów i opadł

ciężko na ławę. Siedział w milczeniu, niecierpliwie uderzając palcami w blat.

- Czyżbyś czekał na mojego ojca, Guillaume? - zagadnął go Robert.

- Tak, choć nie jestem pewien dlaczego, bo przecież mógłbym pójść pod kościół Świętego Marcina i popatrzeć na niewiasty lub pograć w kości ze strażnikami przy bramie montwilerskiej. Właściwie to równie dobrze mógł-

bym znaleźć partnerów do gry w samym Montvilliers, znając waszego zacnego ojca i jego popędliwość.

- Czy Guillaume to nie francuskie imię? - Sir Artur z wyraźną ulgą przyjął możliwość zamiany partii szachów na błahą konwersację.

- Tak, jaśnie panie. Po naszymu William. To przez matkę moją, świętej pamięci Helenę, która pochodzi z La Rochelle w ziemi gujeńskiej. Lecz ojciec mój jest Anglikiem i walczył pod sztandarami Czarnego Księcia.

- No proszę! - zawołał Artur. - To leciwy musi być wasz rodzic, skoro w owych czasach służbę pełnił. Czyżby był pod Poitiers tego sławetnego roku, kiedy to Jan II zwany Dobrym dostał się do niewoli, a święty Oriflamme padł

pod stosem francuskich trupów? - Głos barona zdradzał

podniecenie.

- Nie, panie, aż tak leciwy nie jest mój szacowny ojciec. Z tamtych czasów wspominać może jedynie woń brudnych pieluch i kołysanki świętej pamięci babki mojej Elżbiety.

Więcej szczegółów swego życia rodzinnego giermek nie ujawnił, bo na schodach pojawił się rozpromieniony sir Ralf.

- No, Guillaume, już jestem! - zawołał. - Pokaż mi tych zuchów.

- Czekają na zewnątrz, panie. - Guillaume ruszył do wyjścia, poprawiając przekrzywiony kaptur.

- Witaj, drogi bratanku. Witaj i ty, synku - zwrócił się sir Ralf do młodzieńców. - Czyżbyście trwonili czas na grę w szachy, kiedy tyle pięknych dziewcząt szuka towarzystwa młodych rycerzy?

- Witaj, wuju! Prawda to, że zagraliśmy partię, ale ja na swoje usprawiedliwienie mogę rzec, że na wieczór mam już umówioną schadzkę. Gra jedynie zabijała mi niemiły czas oczekiwania.

Sir Ralf uśmiechnął się szeroko i spojrzał na syna. Robert odwrócił się i zerknął na Guillaumea, ten zaś popatrzył wyczekująco na Ralfa. Wreszcie stary rycerz przeniósł wzrok za spojrzeniem syna i zobaczył zniecierpli-wionego giermka stojącego w drzwiach.

- Oni czekają przed karczmą, panie - odezwał się Guillaume.

- Wiem, gdzie czekają - odparł sir Ralf. - Nie wiem tylko, na co czeka mój syn.

Po tych słowach pan Moorow wyraźnie mniej rozpromieniony opuścił izbę. Artur i Robert wyszli za nim.

Na brukowanym brzegu rzeki Leur, nad którym znajdował się Portowy Kogut, stała grupka łuczników. Ubrani byli prosto i po żołniersku, większość nosiła nogawkę i lekkie wełniane okrycia wierzchnie, na głowach zaś kaptury z długimi liripipe opadającymi na plecy aż do pośladków. Wszyscy mieli krótką broń - kordy, tasaki i zatknięte za pas różnorodne puginały. Wspólnym elementem były naszyte w różnych miejscach rozmaitej wielkości czerwone krzyże - znak wojsk Henryka. Na **61**

czele grupy stał zarośnięty mężczyzna o głęboko osadzonej twarzy i ciemnych oczach. Przez jego krótko ostrzyżoną głowę przechodziła paskudna długa blizna. Rycerze stanęli przed pięcioma łucznikami.

- Jak cię zwą? - zapytał rzeczowo sir Ralf stojącego z przodu wysokiego mężczyznę.

- Will, panie.

- A rodzina? Jak wołają na twoją rodzinę?

- Bali, panie, jestem Will Bali, do usług jaśnie pana. -

Łucznik złożył dworski ukłon.

Zbyt dworski, pomyślał stojący za plecami ojca Robert.

-Hmm. . jakbym gdzieś słyszał.. A skąd jesteś? -

kontynuował sir Ralf.

- Z Moorow, panie. - Mężczyzna odsłonił w uśmiechu zepsute pożółkłe zęby.

- Ha! Mój człowiek! - ucieszył się sir Ralf. - Nie przy-pominasz go sobie skądś, Robercie? Wszak odwiedzamy często Moorow.

- Toż to coroczny zwycięzca wielkanocnych zawodów łuczniczych na naszych włościach - olśniło Roberta.

- To wiele tłumaczy! - rzekł sir Ralf. - Ha! Sprawileś się, dobry człowieku, w czasie szturm.

- Kim właściwie są ci ludzie? - zapytał sir Artur, zirytowany, że nie ma rozeznania w sytuacji.

- Oni, drogi Arturze, uratowali nam skórę w czasie szturm na Harfleur, gdy utknęliśmy za plecami ludzi Hollanda. To oni wystrzelali francuskich kuszników, którzy zabili mego wiernego druha pana Crawleya.

- Doprawdy? - Brwi Artura nieznacznie się uniosły, **62**

nadając mu złudnie przenikliwy wygląd. - W takim razie winniśmy wam, chłopcy, podziękowania.

- O tak - przyznał sir Ralf- tuszę też, że podzięką barona Pitchfork nie ograniczy się do pięknych słów, któ-

re tak miłe damom, nie przynoszą jednak wiele pożytku prostemu żołnierzowi. - Sir Ralf uśmiechnął się beczelnie i łypnął na bratanka.

- Ależ oczywiście. . - zapewnił po chwili namysłu sir Artur i sięgnął po pękatą sakiewkę wiszącą u rycerskiego pasa, na co łucznicy jęli pomrukiwać z zadowolenia. -

Lecz wpierw. . ciekaw jestem, komu dokładnie zawdzię-

czamy wyciągnięcie z opresji. . Przedstaw mi swoich ludzi, Bali.

Łucznik uśmiechnął się krzywo, po czym odstał na bok i teatralnym gestem wskazał na pierwszego mężczyznę stojącego po jego prawicy.

- To jest Tomasz Smith - oznajmił. - Wyborny łucznik mimo nieznacznej postury. Ten dryblas obok niego to Duży Will. Zwiemy go tak dla odróżnienia ode mnie, ale i ze względu na hojność, z jaką obdarzyła go natura. -

Bali wskazał ów hojny dar natury i wszyscy łucznicy zarechotali. Rycerze uśmiechnęli się lekko, gdyż na więcej nie pozwalały im sygnety rodowe zdobiące ich prawice.

- To zaś jest Mały Tomasz - kontynuował z zapalem łucznik. - W skrócie Tomcio, lecz niech was to nie zwie-dzie, panowie. Tak oto odróżniamy tego chłopczyńę od Tomasza Smitha i za tym określeniem nic więcej się nie kryje, nieprawdaż, Tomciu?

Tomcio wyraźnie się zmieszał, wspierając tezę przeciwną, czym wywołał kolejną falę radości wśród kompanów.

- Na koniec wreszcie prezentuję jaśnie panom Mateusza z Moorow - ciągnął Bell. - Choć sędziwy i weteran, to serce w nim młode, o czym zaświadczyć mogą wie-

śniaczki od Plymouth po Dover.

- Dziękuję za to szczegółowe przedstawienie i. . w twoje ręce, Bali. - Artur spuścił garść srebra w nadstawiane dłonie łucznika.

- To ja dziękuję, jaśnie panie, i polecam się na przyszłość wraz z kompanami. Zawsze gotowi służyć domowi Neville... - Mówiąc to, Bali poklepał się ręką po piersi, na której miał metalową zapinkę przedstawiającą stoją-

cego niedźwiedzia na łańcuchu owiniętym wokół pnia.

Pan Filip Munier zwany Josseąuinem siedział za zasłanym pergaminami stołem z orzecha w urządzonej z przepychem komnacie kancelaryjnej swojego domu w Dijon. Był

szambelanem, doradcą i skarbnikiem księcia Burgundii, co nie tylko przynosiło mu spore dochody i honory, ale i pozostawiało furtkę dla innych działań - ryzykownych i ekscytujących. Właśnie takie działania miał teraz podjąć.

Nie martwił się tym jednak zbyt, podziwiając wielobarwną mozaikę zdobiącą ściany. Lubił swój dom, który sfinansował i niedawno powiększył z książęcą pomocą.

Do komnaty wkroczył odźwierny w barwach Jana bez Trwogi.

- Pan Rouecourt z kompanią - oznajmił. - Poprosi łem, żeby zaczekali przy tylnej bramie...

Josseąuin zmarszczył brwi.

- Dlaczego? - zapytał.

- Kompani pana Rouecourta nie są odpowiednio odzia ni... - rzekł z niesmakiem odźwierny.

Szambelan niedbale machnął ręką i zaczął szperać mię-

dzy pergaminami i woskowymi tabliczkami, szukając stosownego pisma. Sługa chrząknął niecierpliwie. Jossequin, który właśnie znalazł dokument, spojrział zdziwiony na mężczyznę. Dopiero po chwili zrozumiał, o co chodzi.

- A tak, możesz iść - rzekł. - Powiedz, żeby czekali.

Jeszcze raz przejrzał pergamin, po czym złożył go starannie. Następnie zdjął ze stojaka niewielkie miedziane naczynko wiszące nad płomieniem świecy i zalał brzeg listu lakiem. Potem odcisnął pieczęć, którą wydobyl spomiędzy pół szaty, gdzie wisiała na złotym łańcuchu. Odczekał chwilę, poprawił chaperon z okazałym, faliście wyciętym ogonem i wyszedł do ogrodu.

Zienną alejką ruszył do tylnej bramy. Za kratą zdobioną w liście i herb pana Jossequina stało czterech męż-

czyn trzymających za uzdy pięć koni. Trzej nosili się po żołniersku, mieli na sobie przeszywanice, a przy boku miecze i kordy, lecz nawet gdyby ich ubrać w habity, ponure spojrzenia i blizny nie pozostawiałyby wątpliwości, jaką mają profesję. Czwarty z oczekujących, ubrany elegancko, bynajmniej nie do boju, uśmiechał się łagodnie. Na jego gładkiej twarzy malowało się coś na kształt dziecię-

cego rozbawienia. Postronny przechodzień, widząc oto-czonego zbirami szlachetnego niewinnego młodzieńca, mógłby pomyśleć, że za chwilę będzie świadkiem okrutnej napaści. Nawet pan Munier był przez chwilę zaskoczony tym kontrastem, ale zaraz sobie uświadomił, że **65**

owo „niewiniątko” mogłoby w każdej chwili wypruć wnętrzości z otaczających go drabów, nie przestając się łagodnie uśmiechać. Jego usługi kosztowały sporo, ale taka była cena skuteczności.

Szambelan dał znak strażnikowi, który wyszedł z wie-

życzki przy murze rezydencji i otworzył furtkę w żelaznej kracie. Jossequin odebrał od niego klucz i jednym gestem odesłał go na drugi koniec ogrodu, po czym skinął na „niewinnego młodzieńca”. Ten błyskawicznie, acz miękko i z gracją przekroczył bramę i stanął przed szambelanem.

- Widzę, że jesteście gotowi do drogi. To dobrze -

odezwał się Munier, zerkając nad ramieniem młodego człowieka na objuczone konie.

- Takie wszak były dyspozycje - rzekł młodzian, uśmiechając się przyjaźnie.

- No tak. Dobrze więc, panie Rouecourt, sprawa jest delikatna. Otóż w służbie księcia jest pewien

człowiek.

Księżę jest jednak przekonany, że nie służy on mu już tak wiernie jak niegdyś, a ściślej mówiąc: wie, że służy ludziom, którym księżę jest wielce niechętny.

- Armaniakom? - zapytał szybko Rouecourt.

- Tak - odpowiedział po krótkim wahaniu szambelan i zaraz podjął przemowę: - Idzie o to, że księżę powierzył temu niegodnemu człowiekowi pewne zadanie, lecz zadbał też o to, by zostało ono wykonane nawet w razie jego zdrady. Oszczędzę wam jednak szczegółów i czasu, wszak czeka was długa droga. Po prostu pojedziecie do Pikardii, niedaleko granicy z Szampanią. Tam, w okolicy Noyon, znajduje się gospoda La gouede gambadante.

Zatrzymacie się w niej i poczekacie. Człowiek ten, jeśli chce wykonać książęce zadanie, stanie w owej karczmie do trzynastego dnia października. Jeśli się zjawi, to o ile będzie posłuszny księciu, będą mu towarzyszyli angielscy posłowie.

Szambelan przerwał na chwilę, by wziąć oddech.

- Jeśli przyjedzie z Anglikami - powiedział - to powiedzcie go z nimi tu do Burgundii, do przygranicznej twierdzy Bar-sur-Seine, a stamtąd pošlecie wieści o ich przybyciu tutaj, do Dijon. Kasztelan Bar-sur-Seine został

już poinformowany, że możecie tam przybyć. - Szambelan popatrzył uważniej na Rouecourta, jakby się chciał

upewnić, że młodzian wszystko pojął.

- Na razie wygląda to tak, jakbyście potrzebowali zwykłych posłańców... - odrzekł pogodnie zabójca. -

Ciekaw więc jestem, co mamy zrobić, jeśli ów człowiek się nie pojawi.

- Otóż wówczas poczekacie parę dni na posłów, a jeśli się nie zjawią, poszukacie niewiernego książęcego sługi i... - Szambelan zawahał się.

Rouecourt pokiwał ze współczuciem głową, chcąc oszczędzić

wysokostawionemu rozmówcy mówienia rzeczy, które szkodziłyby jego reputacji, a były dostatecznie zrozumiałe.

- Gdybyście znaleźli owych Anglików, to jak już rze kłem, odeskortujcie ich tutaj, do Burgundii. Oto dwa li sty... - Jossequin wyciągnął zza fałd długiej sukni dwa opieczętowne pergaminy. - Ten jest zaadresowany do kasztelana Bar-sur-Seine, pošłuży wam za dowód, że je steście pošłańcami księcia Jana. Jeśli dotrzecie do tego **67**

zamku, możecie go przekazać, by nie wzbudzać podejrzeń, ale kasztelan już i tak wszystko wie, więc pismo to będzie raczej dowodem waszego zaangażowania w sprawę księcia. Tu zaś macie nakaz wypłacenia wam wynagrodzenia, a właściwie zaliczki. Udajcie się z nim do kancelarii książęcej, tam dostaniecie pieniądze.

Rouecourt z lekkim, figlarnym ukłonem zręcznie przejął oba dokumenty i błysnął zębami w uśmiechu.

- Jak zatem zwą tego człowieka i po czym go po znać? - zapytał.

Szambelan uśmiechnął się lekko zmieszany.

- Ach tak - odparł - byłbym zapomniał...

Dni w Portowym Kogucie mijaly leniwie. Rycerze zdazyli zaznajomic sie ze wspollokatorami. Wiecezosc z nich re-prezentowala sredniej klasy rycerstwo angielskie. Na tym tle wybijal sie baron Pitchfork, ktory na wlasne zyczenie wolal przebywac w towarzystwie mniej znamienitej galazi swojej rodziny. Sir Roberta zaciekawila inna wyrozniajaca sie postac - doktor Joachim z Oxfordu, uczen slynnego pro-fesora Wiklefa, znany z bieglosci w sztukach wyzwolonych, a przede wszystkim w teologii. Poczatkowo stroniacy od towarzystwa uczony z czasem coraz czesciej szukal kompanii Neville'ow, zwlaszcza barona Pitchfork. Tlumaczył

to brakiem wiadomosci godnych zamieszczenia w kronice.

Rzeczywiscie od czasu zdobycia Harfleur niewiele sie dzialo poza tym, ze znaczna czesc armii angielskiej zostala odeslana do domu na skutek chorob. Najdotkliwsza strata byl brat krolewski, ksiazę Clarence, ktory wslawil sie **68**

w pierwszych dniach oblężenia manewrem odcinajacym kolumne zaopatrzenia i zbrojnych zmierzajaca od wschodu na pomoc panu Estuteville. Choroby nie wybieraly i dotykaly zarowno prostych zolnierzy, jak i moznym.

O wszystkim tym opowiadal doktor Joachim z zalobna mina. Kiedy zas w miescie nie dzialo sie juz nic, ale to nic ciekawego, uczony maz podtrzymywal sie na duchu winem i rozprawial o gramatyce, dialektyce i arytmetyce, a hojniej „podtrzymany” przechodzil nawet do królowej nauk - teologii. Robert z zaciekawieniem sluchal owych wywodow, ktore doktor zwykl byl wyglaszac na modle Augustynowych *Solilokwiow* - sam do siebie. I dziwil sie niekiedy temu, co sluszal, jako ze inaczej zwykl myslil for-mulowac jego mistrz z Cambridge, ojciec Bedford.

Dla sir Ralfa i Artura uczony stal sie szybko wysmienitym zrodlem informacji, gdyz traktujac swoje kroni-karskie zadanie nader powaznie, codziennie wyruszal

zbierac wieści - nawet jesli niewiele sie dzialo.

To wlasnie dzieki czujnosci doktora z Oxfordu doszlo do nich, ze król wyzwal na pojedynek chorowitego delfina Ludwika stojacego ze swoimi silami w Vernon. Rowniez od Joachima dowiedzieli sie, ze polozone po drugiej stronie zatoki Honfleur jest pelne Francuzow pod komenda doswiadczzonego konetabla d'Albreta. Z kolei na wschodzie w pobliskim Caudebec zatrzymala sie silna armia slynnego marszalka Boucicauta. Pomału stawalo sie jasne dla wszystkich, ze kampania nie rozwija sie jak planowano. Normandię zablokowaly trzy potężne armie.

Nie bylo mowy o ruszeniu na Rouen. Nadchodzila jesien, a wielka angielska armia tkwila bez ruchu w pierw-69

szym zdobytym - za ogromna cene - miescie. Zle humo-ry probowano odpędzac czestymi biesiadami.

Pierwsze dni pazdziernika przyniosly tez zmianę po-gody. Zaczely sie deszcze, a zimne i chmurne poranki jeszcze bardziej przytlaczaly uwiezionych w miescie Anglikow. Wszystkim udzielila sie

atmosfera oczekiwania.

Oczekiwano na odpowiedź delfina. Oczekiwano na rozkaz wymarszu i ataku na Honfleur.

Oczekiwano na moż-

liwość powrotu do domów i rodzin. Sir Artur nie mógł

się już doczekać walki i kilkakrotnie zorganizował nawet grupowe zmagania w rycerskim *melee*. Sir Ralf zaczął

myśleć o nadchodzącej starości i nawet krągłe pośladki Kasi budziły w nim melancholię. Sir Robert marzył, że znajduje się gdzie indziej. Czasem myślał o uczonej dyskusji ze swoim mistrzem, czasem zaś o długich włosach nawiedzającej go w snach hrabiny. Grzegorz czekał, aż płatnerz naprawi wreszcie hełm sir Roberta, i śnił, że zostaje rycerzem. Guillaume tak się rozkleił, że od jednego z minstrelów kupił lutnię i ułożył bardzo smętną balladę, która jednak była tak rzewna, że nikt nie chciał jej słuchać - nawet autor. Sir Gotfryd wspominał stare czasy i liczył dni, które spędził na wyprawie.

Piąty października nie zapowiadał żadnej zmiany. Wszyscy snuli się, przeżuwać gorzkie myśli i nie wiedząc, co zrobić z rękoma. Pod wieczór jednak zapanowało niezdrowe podniecenie, ponieważ szykowało się znaczna biesiada, a to za sprawą uczonego Joachima, który zasugerował, że nadchodzą zmiany, bo Ludwik nie odpowiedział na wy-

zwanie w terminie, wobec czego król będzie musiał podjąć jakieś działania. Krążyły plotki, że niedługo wymarsz.

Biesiada rozpoczęła się tuż po zmroku, od razu z impetem. Odszpuntowano beczki, wniesiono pieczone i przystąpiono do zabawy. Sir Artur z najbliższymi kompanami zajął boczną izbę Portowego Koguta, którą mieli wyłącznie dla siebie. Po tym, jak wymienili stosowne uprzejmości i ustalili, kto musi bezwzględnie usiąść pierwszy i dlaczego, na chwilę nastąpiło milczenie. Zebrani wyko-rzystali ten czas, aby przygotować brzuchy do czekające-go je wysiłku. Zaczęto tradycyjnie od lekkich dań, dość chudej zupy i mizernych kwaskowatych jabłek, jednych z niewielu akurat dostępnych owoców. Następne w kolejności były chleb, groch z kapustą i mięsa. Daniom tym towarzyszyły rozliczne sery. Wraz z najcięższymi potra-wami, kiedy żołądki były już dobrze rozgrzane, pojawiły się na stole niezbyt okazałe, lecz smaczne gruszki. Do nich postawiono antałek zacnego bretońskiego wina i pa-rę dzbanków piwa. Nie trzeba było długo czekać, aż po-czerwienieją twarze i zacznie się żarliwa rozmowa. .

- Ha! A gdzież jest, wuju, twój wierny druż pan Gotfryd? - zahuczał Artur.

- Pan Gotfryd uczynił przed Bogiem ślub - odrzekł

zapytany - że nie zazna rozkoszy ucztowania, dopóki nie spędzi na wojnie dwóch miesięcy.

- Osobliwe zobowiązanie powziął twój towarzysz, wu-ju, ale wszak i dziwniejsze rzeczy zdarza się ślubować -

stwierdził Artur i pociągnął długi łyk z kufła.

- To ciekawe, co mówicie, jaśnie panie - odezwał się Joachim z Oxfordu. W jednej ręce trzymał róg, z którego ciekło wino, a w drugiej udko kurczaka. - Macie jakieś szczególne przyrzeczenia na myśli czy ot tak rzuciliście słowem, byśmy sobie przypomnieli znaczniejsze śluby z historii?

- Przyznaję, że samemu zdarzyło mi się raz dziwniej coś obiecać, niż uczynił to pan Gotfryd... - rzekł Artur. - Otóż przedstawcie sobie, panowie, że na wojnie w Szkocji ślubowałem, iż przez tydzień bez przerwy będę gotów do walki. Nie zdejmowałem zbroi, ledwo co spałem, jadłem i piłem na stojąco...

- To pewnie po kilku dniach byłeś tak wycieńczony, drogi kuzynie - wtrącił Robert - że wiele pożytku z ciebie w polu nie było. - Humor dopisywał mu tak bardzo, że dopiero po chwili pojął, że być może trochę przesadził.

Baron Pitchfork zmarszczył czoło, zaraz jednak twarz mu się wygładziła.

- Zapewne masz rację, Robercie - przyznał - ale nie miałem okazji tego sprawdzić, bo przez siedem dni wróg nas nie zaatakował. A dopiero dnia ósmego, kiedy odsy piałem w najlepsze stracone noce, górale ruszyli na nasz obóz i zadali nam spore straty.

Zebrani zarechotali i polały się kaskady wina.

- Ja zaś wyznam wam, choć może nie powinienem tak obyczaj naszych przodków przy młodziu szargać, że zdarzyło mi się parę razy śluby składać na hucznej bie siadzie. - Sir Ralf był czerwony na twarzy i wydawało się wątpliwe, by nawet święty Franciszek mógł go przeko nać do umiaru w słowach i szacunku dla tradycji. - Otóż **72**

razu pewnego, kiedy jeszcze wiosen liczyłem zaledwie dwadzieścia, spodobała mi się wielce pewna dama. Działo się to na turnieju w Pitchfork. Po pierwszym dniu zmagania nastął czas biesiady, a ja, ośmielony wyborym trunkiem, postanowiłem coś pięknej damie obiecać. Padłem jej więc do stóp, kiedy siedziała przy stole, i obejmując jej stopę, złożyłem śluby, że walczyć będę wiernie w jej imieniu, jeśli tylko powierzy mi swą chusteczkę. A głupio to wykoncypowałem, jak się później okazało, bo pierwej jej o imię nie spytałem. Była to bowiem ciotka moja, matki siostra, któ-

rej nigdy wcześniej na oczy nie widział, a jeszcze mi jej przedstawić nie zdążono.

Towarzystwo ryknęło śmiechem, z wyjątkiem Roberta, który usilnie przyglądał się czubkom swoich cizem.

- Ale to jeszcze nic, moi panowie... - Sir Ralf opróż-

nił kufel jednym haustem i z nową mocą wywód podjął. - Innym razem, w środku pewnego poczęstunku na zamku mojego świętej pamięci brata Gilberta, a twego Arturze ojca, wpadliśmy na pomysł iście anatemą grożą-

cy. Otóż pośród ogólnej wesołości nieobecny dziś z nami niestety sir Gotfryd zaproponował następującą zabawę.

Każdy miał śluby złożyć, na pieczoną czaplę, którą akurat jedliśmy, że wypije beczkę wina i przeskoczy konia z rzędem. Jeśli jednak ktoś nie dałby rady, musiałby konia owego w zad ucałować.

- Nie wierzę, wuju! - zaryczał sir Artur, zapanowaw-szy na chwilę nad śmiechem.

- No i jakże skończyła się ta sroga próba? Wielce jestem ciekaw... - Głos mistrza Joachima był już lekko bełkotliwy.

- Jak się skończyła? O tym, moi panowie, mówić nie mogę.

- A czemuż to, panie, jeśli wolno spytać? - Rozbawiony Guillaume oderwał na chwilę wzrok od dekoltu Ma-tyldy, która przyszła zabrać puste półmiski i dzbanki.

- Bo na tąż samą czaplę, tylko nieco chłodniejszą, każ-

dy z nas przysięgł o wyniku skoków nigdy nie mówić -

wyjaśnić.

Matylda targnęła głową i rzuciła wściekle spojrzenie Guillaumebwi, który uszczypnął ją, gdy wychyliła się po dalej stojący kufel.

W tej wybornej atmosferze wieczór przeszedł w noc i w oddzielonej izbie Portowego Koguta ucztowanie dobiegło końca. Zebrani przy stole panowie złożyli głowy w misach, nie zważając na to, że gliniane butle kryją jeszcze trunki. Matylda zajrzała do izby i z ulgą doszła do wniosku, że ciąg uszczypnięć i jowialnych komentarzy na temat jej kształtów dobiegł końca. Nareszcie mogła udać się na spoczynek i pomodlić się, jak co wieczór, by wojska angielskie prędko opuściły miasto.

Jednakże nie wszyscy biesiadnicy spali. Uczony doktor Joachim z Oxfordu zapuszczał żurawia do kolejnych naczyń, nie mogąc darować resztkom trunków. Nagle zaj-rzawszy do kufla pochrapującego sir Ralfa, wyprostował

się, zamrugał i jął perorować:

- Tak, tak, panowie moi mili. W ciężkich przyszło nam żyć czasach. Miało nadejść królestwo Boże, a oto jeste śmy świadkami kolejnych rozłamów i podziałów.

Reszta kompanii leżała bez ruchu i nie wyglądała na świadków czegokolwiek.

- Przepowiadał mój szacowny imiennik nadejście trze ciej ery - ciągnął uczony doktor. - A zamiast trzeciej ery, ery ducha, pokarani zostaliśmy trzema papieżami. Co prawda dwóch zmuszono już do abdykacji, lecz cała ta sytuacja jest haniebna.

Joachim rozejrzał się niespokojnie, ale na szczęście nikt nie słuchał jego wywodu. Ośmielony odchrząknął

i podjął rozważania:

- Tak. . A czyż ziemski namiestnik naszego Pana jest ponad wszystkimi ludźmi, czy mimo sprawowanej godności i niezaprzecznego dostojenstwa jest jedynie czło wiekiem? Rozważmy: jeśli człowiekiem nie jest, to kimże?

Wypada odrzec: Bogiem samym, aniołem lub diabłem.

Z Bogiem jednakowoż wspólne może mieć papież tylko to, że jest jeden w trzech osobach...

Joachim odczekał chwilę, ale żaden z zamroczonych rycerzy nie dał po sobie poznać, że dowcip pojął albo nawet usłyszał. Nie zrażony tym doktor kontynuował:

- Skoro więc nie Bogiem jest, zatem aniołem lub dia błem być musi, jak zwie Benedykt Jana i Grzegorza, a ten ostatni dwóch pierwszych, i jak wreszcie lży pierwszego i trzeciego ów Jan XXIII. Lecz wszakże nie do pomysłu nia jest, by spadkobiercą Piotrowym był szatan lub kłam ca. Zatem jest on prawdopodobnym człowiekiem bądź

aniołem. A przecież co najmniej dwóch z owych święto bliwych mężów, o których rozprawiam, to kłamcy, sko ro każdego z dwóch pozostałych nazywają diabłami, bo wszak jeden z tych trzech prawdziwym papieżem być musi. Ci dwaj kłamliwi aniołami z pewnością nie są. Tak więc są ludźmi lub diabłami. Jeśli są ludźmi, to kłamliwy-75

mi, a zatem, wedle tego, co rzekłem, żaden z tych dwóch kłamców papieżem nie jest. - Tu uczony mąż zwilżył nadwerężone perorą gardło. - Rozważmy jednak tego nieszczęsnego spośród tych trzech, którego niesprawiedliwie dotyczą kłamstwa dwóch pozostałych, a który w istocie jest naszego Boga na ziemi namiestnikiem. Wiemy już, że musi on być człowiekiem lub aniołem. Wszakże każdy anioł ma skrzydła. A przecież nie jest skrzydlaty ani Benedykt XIII z Awinionu, ani Grzegorz XII, ani Jan XXIII.

Zatem którykolwiek z nich jest papieżem, jest również człowiekiem. A czyż nie ustanowił Bóg równości między ludźmi? Czyż nie uczynił ich wszystkich braćmi, którzy wszyscy z praojca swojego Adama i pramatki Ewy wyrosli?

Joachim znów zrobił krótką pauzę, żeby zerknąć na publiczność. Ku jego zaskoczeniu jedna z rycerskich głów była podniesiona. Sir Robert miał minę człowieka przebu-dzonego i od jakiegoś czasu słuchającego. Joachim byłby nawet gotów przysiąc, że w oczach młodego rycerza dostrzega

iskierkę zrozumienia. Wybiło go to nieco z rytmu.

- Mówiłeś o tym, panie Joachimie - ozwał się otrzeź-

wieniec - że primo: papież jest jeden; secundo: że jest człowiekiem, i tertio: że równy jest innym ludziom jako i oni sobie wszyscy wzajemnie. - Twarz Roberta wyraża-

ła grzeczną uczniowską pilność.

- Dziękuję ci, młody panie Moorow - rzekł Joachim. -

Skoro zatem tak się rzeczy mają, skoro nasze myśli co do papieży adekwatne są temu, jak rzeczy się mają, żeby pójść za świętym Tomaszem, to wychodzi na to, że papież, tak jak i inni ludzie, może być przez innych ludzi są-

dzony. Innymi słowy, ludzie mogą o nim wydawać sądy, 76

czyż nie? - Joachim wbił rozmyte przez alkohol spojrzenie w młodego rycerza.

- Mnie o tych sprawach niewiele wiadomo, panie Joachimie, ale trudno zaprzeczyć, że jeśli ktoś może być sądzony, to sąd można o nim wydać. - Na twarz sir Roberta wypłynął wielce łagodny uśmiech. - Bo przecież nawet jeśli czegoś sądzić nie mogę, na przykład żaby, to mogę o tym wydawać sądy, jak choćby, że jest zielone.

I w ogóle trudno mi pomyśleć rzecz, o której sądu wydać by nie można było.

Joachim patrzył przez chwilę na rozmówcę zbity z tropu, po czym przymknął oczy. Gdy je otworzył, miały zupełnie inny wyraz. Nie były już mętne jak wcześniej, a zwarte nieco powieki nadały im bystrości.

- Słyszeliście kiedyś o koncyliaryzmie, młody rycerzu? - zapytał.

- Czyżby to był ruch zmierzający do soboru, który się właśnie teraz odbywa w Konstancji?

- Taaak - przeciągle potwierdził Joachim. - I cóż o nim sądzicie?

Robert wzruszył ramionami i założył ręce na piersi.

- Myślę, że to sprawy duchownych i że tyle wyśmie nitych umysłów potrafi rozstrzygnąć, kto jest papieżem.

Przez chwilę słychać było jedynie odgłosy dogorywa-jącej pijatyki z sąsiedniego pomieszczenia.

- Ale przecież macie o tym jakąś opinię, czyż nie? -

zapytał doktor Joachim. - Uważacie, że dobrze się dzieje w naszym angielskim Kościele?

- Nie wiem doprawdy, nie myślę o tym zbyt.

- Ale o lollardach, wędrownych księżach, którzy do 77

czytania Biblii wedle jej litery nakłaniają, słyszeliście? -

indagował uczony doktor. - O tych, którzy nawołują do powrotu do korzeni naszej wiary i do ubóstwa nakłaniają jeszcze żarliwiej niżli bracia mniejsi?

- Wuj kiedyś napomknął, że byli tacy, kiedy on sam jeszcze był dziecięciem. - Robert nie zdołał ukryć nie-pokoju.

- A co sądzicie o naprawie Kościoła?

- Nie jestem ani cieślą, ani duchownym, nie mam o tym zdania. - Robert rozejrzał się na boki. Marzył o tym, żeby któryś ze śpiących rycerzy ocknął się, co zakończyłoby tę rozmowę.

- Jesteście bardzo sprytni, młody panie. Ale to wiecie.

Jest jednak sporo spraw, o których nie macie pojęcia, a na które mógłbym rzucić światło... - Twarz Joachima stała się nieprzyjemna. Uświadomiło to Robertowi, że czym prędzej musi zakończyć tę dyskusję.

- Nie wątpię. Jednak odnoszę wrażenie, że światło, o którym mówicie, padałoby z jednej tylko strony. Nie przypominałoby zbyt tego, co Augustyn zwał iluminacją.

A skoro tak, to wolę poprzestać na naukach ojca Bedforda o naturze sylogizmów i supozycjach Piotra Hiszpana.

Zapadło milczenie. Na twarzy Joachima zarysował

się leciutki grymas niezadowolenia. Zaraz jednak znikł.

Mężczyzna przerzucił na plecy ogon swojego chaperonu, który podczas ognistej przemowy wylądował na środku stołu, i wstał.

- No cóż, już późno - rzekł - a jutro dzień przygodo wań przed nami, ponoć niedługo opuszczamy Harfleur.

Dobrej nocy życzę.

IV

smego października zakończyło się oczekiwanie i armia Henryka V umniejszona o pozostawioną Ó w Harfleur załogę wyruszyła w stronę Calais.

Przy królu zostało około sześciu tysięcy ludzi, z czego mniej więcej pięć tysięcy stanowili łucznicy. Do tego czasu większość angielskich rycerzy wyleczyła się z marzeń o podboju Normandii i rzuceniu Francji na kolana. Dla większości było też jasne, że przypadnie im w udziale los znacznie mizerniejszy niż ich dziadkom pod Poitiers i Crécy. Większość nastawiała się na monotony tygodniowy marsz wzdłuż wybrzeża, a następnie powrót na zimę do domów lub niezbyt porywające pilnowanie murów Calais. Większość się jednak myliła w tych i wielu innych rachubach...

Poczet barona Pitchfork jechał w awangardzie prowadzonej przez panów Umfraville'a i Cornwalla.

- Grzegorzu - zagadnął giermka Robert.

- Tak, panie?

- Odebrałeś mój hełm od płatnerza?

Twarz giermka przybrała ten wyraz, który miewała ostatnimi czasy zdecydowanie zbyt często jak na gust sir Roberta. Rycerz ściągnął lekko wodze i podjechał do konia Grzegorza.

- Rozumiem, że jest wojna - powiedział - i że nie spodziewałeś się zobaczyć tego, co zobaczyłeś, ale tak dłużej być nie może. Tu chodzi o nasze życie, drogi Grzesiu. Jestem teraz przy tobie, bo miałem na głowie ten hełm.

- Wiem, panie, i bardzo mi wstyd, ale tym razem to nie moje gapiostwo...

- Cóż więc? - Robert pochylił się w siodle i wbił spojrzenie w oczy chłopaka.

- Bo to przez tego płatnerza - odrzekł zapytany. - On miał mnóstwo roboty i powiedział, że może nie zdążyć przed opuszczeniem Harfleur. Ale powiedział też, żeby się nie martwić, bo pojedzie z nami i przy pierwszym noclegu hełm już będzie gotów.

- W takim razie nie ma sprawy - stwierdził Robert. -

Mam tylko nadzieję, że do pierwszego postoju nie trafi-my na zastępy Boucicauta.

- Ha! Nareszcie w siodle! Nie uwierzyłbyś, drogi bratanku, jak fatalnie długi okres bez wojaczki wpływa na męż-

czynę w kwiecie wieku.

Pan Moorow rozkwitł momentalnie, gdy tylko opuścili śmierzące stęchlizną mury nabrzeżnego miasta.

- Drogi wuju, doprawdy jesteś wzorem dla nas wszystkich. Panowie, patrzcie! - Baron Neville wskazał jadącym obok niego rycerzom sir Ralfa. Postać na pierwszy rzut

oka niezbyt okazałą, nie licząc brzucha. - Oto jak starzeje się wojownik. Duch pozostaje w nim młody, a ciało, choć traci nieco na gibkości, zyskuje przecież doświadczenie i staje się jednym z bronię, którą włada. Wuju, dojrze-wasz niczym zacne wino z odległej La Rochelle lub po-bliskiego Clermont.

Sir Artur zdecydowanie podzielał wyborny nastrój wuja. Co za tym idzie, nastrój ten udzielił się licznym kompanom młodego barona. Rozległy się wesołe dźwięki flażoletu. Od rozbawionego towarzystwa odstawali tylko uczoney Joachim, który nieudolnie udawał zado-wolonego, oraz Guillaume, którego w ogóle nie bawiły powszechnie uznane żarty, co tłumaczono sobie jego po-

łowicznie zagranicznym pochodzeniem. Trzecią osobą, której nie udzielała się wesołość, był sir Robert. Ten jednak jechał teraz nieco z dala w obawie przed francuską zasadzką i kamieniem wyrzuconym z procy w nie osło-niętą głowę.

Pod wieczór w lepszych lub gorszych nastrojach dojechali do miasteczka Fecamp. Żołnierze zostali rozlokowani w pobliskich wsiach. Dowódcy po raz kolejny przypomnieli o zakazie pądrowania i zaczęto rozbijać obóz. Gdy tylko Grzegorz uporał się z obowiązkami związanymi z noclegiem, udał się do swojego pana, który

ry z braku lepszego zajęcia postanowił wybrać się z nim do płatnerza.

Znów szli przez las różnokształtnych i różnobarwnych namiotów powtykanych między chaty, w których rozlo-

kowało się znaczniejsze rycerstwo. Tym razem jednak nie czuli ani smrodu stęchlizny, ani prochu, znacznie mniej było chorych na dyzenterię oraz rannych, no i rozmowy nie zagłuszał huk bombard i hakownic.

- Ten kowal to dziwny człowiek, zobaczysz, panie.

- Zapewne, ale czy on przypadkiem nie jest płatnerzem? - spytał Robert.

- No tak, jest płatnerzem - przyznał Grzegorz.

- Czyli jest kowalem i płatnerzem? - wywnioskował

jego pan.

- Tak... i nie tylko.

- Jesteś bardzo tajemniczy, Grzesiu. Dobrze, kim więc jeszcze jest ów człek?

- Słyszałem, jak mówią, że jest też mistrzem miecza -

fechtmistrzem.

- Cóż, to zaiste osobliwa właściwość, choć nie wiem, czy na tyle, by przez nią nazywać go dziwnym człowiekiem.

- Jak to rozumiesz, panie? - spytał zdezorientowany giermek.

- Przyznaję, że bycie rzekomym mistrzem miecza to dziwna właściwość, a zarazem ciekaw jestem, czy tylko dlatego, że kowal ten posiada tę właściwość, nazywasz go dziwnym człowiekiem.

- Jakoś nie bardzo rozumiem, panie. Cóż osobliwego w byciu rzekomym mistrzem miecza?

- Rozważ więc, Grzesiu, że kiedy przypisujesz czemuś właściwości, to dzieje się to zazwyczaj następująco: gdy powiadasz, że ktoś jest kowalem, a potem dodajesz, że jest płatnerzem, łatwo z tego wnieść wniosek, że ów ktoś **82**

jest kowalem i płatnerzem zarazem. Z drugiej strony, je-

śli mówisz o kimś, że jest rzekomym mistrzem miecza, to przecież nikt, kto choć trochę zna mowę, nie wyciągnie z tego wniosku, że ów ktoś, o którym mówisz, jest zarazem mistrzem miecza i rzekomym.

- No tak. . mówienie o kimś, że jest rzekomym, tak po prostu, jakoś zdaje mi się przeczyć rozumowi...

- Zgódźmy się na to, skoro łatwiej ci sobie dzięki temu rzecz całą przedstawić. No, to teraz już chyba rozumiesz moją wyjściową wątpliwość.

- Już teraz chyba tak... - odrzekł Grześ - ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy to, że ów człek jest rzekomym mistrzem miecza, wystarcza, by nazwać go dziwnym. Po prawdzie, panie, wydaje mi się, że od początku to nie z tego względu chciałem go tak nazwać. - Giermek mó-

wił teraz dużo wolniej i drapał się przy tym w głowę.

- Właściwie też tak sądziłem, ale każda chwila jest dobra, by popraktykować dialektykę. Powiedz jednak wreszcie, dlaczego uważasz tego człowieka za dziwnego.

- No, bo... bo on... - zająknął się giermek - to trudno powiedzieć, zobaczysz sam, panie. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Polowy warsztat Jana Huxleya mimo późnej pory tętnił

życiem. Już z oddali słyhać było miarowe uderzenia młotów, a z kilku kroków nadchodzących ogarniała fala ciepła bijącego z palenisk. Oprócz właściciela po warsztacie kręciło się pięciu młodych pomocników, trzymając w garściach różnego rodzaju młotki i obcęgi lub obsłu-83

gując miechy. Przy niewielkim kowadle stał w skórzanym fartuchu zarzuconym na gołe ramiona mężczyzna, którego wiek trudno było oszacować. Z jednej strony długie, związane na karku siwe włosy i tej samej barwy broda kazały sądzić, że człowiek ów jest leciwy, z drugiej jednak energiczne ruchy i atletyczna budowa świadczyły o czymś przeciwnym.

Sir Robert stanąwszy przed kowadłem poczuł się nie-swojo, gdy tylko zaczęły go świdrować niezwykle jasne zielone oczy.

- W czym mogę pomóc, panie Neville? - odezwał się Jan Huxley.

- Przyszedłem po hełm, mój sługa przyniósł go do twojego warsztatu jeszcze w Harfleur.

- A, tak. - Kowal zerknął na Grzegorza. - Wszystko już zapłacone. Stefan, przynieś ten psi pysk, który miał

zerwaną zasłonę.

Jeden z czeladników porzucił niewielki, kuliście za-kończony młotek, którym wyklepywał miseczkę nako-lannika, i zniknął w oddzielonej płachtą części warsztatu.

Sir Robert spojrział z zaciekawieniem na Huxleya, który zajął się oglądaniem leżącego na kowadle

puginału.

- Grzegorzu, mówiłeś może, w którym imieniu przychodzisz? - zapytał Robert.

- Nie, nie mówiłem, panie.

- Czy widziałeś mnie już kiedyś? - zwrócił się młody rycerz do kowala.

Mężczyzna oderwał wzrok od broni i spojrzał na sir Roberta.

- Nie, panie - odrzekł.

- W takim razie jesteś bardzo spostrzegawczy, a do tego obeznany z heraldyką, bo jedyną oznaką mojego pochodzenia, którą mam przy sobie, jest mój sygnet rodowy, którego ci wszak nie pokazałem z bliska. Mimo to wiedziałeś, że Neville.

- Cóż... trochę już stąkam po tym świecie - powiedział Huxley - to i zdążyłem się nauczyć tego i owego.

Na jego twarzy nie było cienia pychy. Właściwie nie było na niej cienia jakiegokolwiek emocji. Z oddzielonej części warsztatu wyszedł czeladnik, trzymając oburącz hełm. Huxley przejął go od pomocnika, obejrzał krytycznie, po czym oddał Grzegorzowi. Robert zerknął na swój psi pysk. Dzwon wyglądał, jakby wykuto go wczoraj. To samo można było powiedzieć o zasłonie. Rycerz sprawdził zawiasy - chodziły lepiej niż wcześniej, a zasłona nie była lekko obłuzowana jak poprzednio. Całość pocią-

gnięto oliwą. Robert wykonał krótki gest i Grzegorz obrócił hełm, odsłaniając wnętrze. Skórzana wyściółka była nowa i przepleciono przez nią solidny okrągły rzemień.

- Świetna robota - pochwalił Huxleya Robert. - Hełm wygląda lepiej niż w chwili, gdy go kupiłem.

- Polecam się na przyszłość, choć mam nadzieję, że następnym razem dostanę jedynie do wyostrzenia po-szczerbiony miecz.

Sir Robert wyprostował się i poczuł, że twarz mu płonie, ale nie dał się sprowokować.

- Też mam taką nadzieję - rzekł nieco chłodniej. -

Chodzą słuchy, że jesteś nie lada fechtmistrem. Może zechciałbyś mnie czegoś nauczyć?

Huxley rozejrzał się dokoła.

- Chodzą też słuchy, że Ziemia kręci się wokół Słoń-

ca - mruknął - ale kto by dał temu wiarę?

- Ja akurat nie byłbym skłonny temu z miejsca przeczyć, ale jeśli twa kuźnia jest niestosowna do rozmowy o fechtunku, to może przejdźmy nieco na bok. - Robert wskazał wzrokiem rosnące kilkanaście kroków dalej krzaki.

- Kiedy ja doprawdy... - próbował się wymówić Huxley.

Robert niedbale zepchnął leżący na kowadle puginał.

Huxley ruchem ledwie uchwytnym dla oka złapał pewnie rękojęść za ledwie piędź za krawędzią kowadła. Sir Robert spojrzał nań rozbawiony. Na twarzy Huxleya odmalowało się zmieszanie, zaraz jednak wróciła na nią skrywająca uczucia maska. Kowal uśmiechnął się nieładnie, po czym wytarł ręce w zatkniętą za fartuch szmatę i wskazał głową pobliskie zarośla. Opuszczając warsztat, zabrał dwa oparte o ścianę miecze i latarenkę ze świecą.

Po chwili znaleźli się za sferą ciepła otaczającą pracownię. Kuźnia stała na skraju obozu, nieco z dala od najbardziej wysuniętych na wschód namiotów i chat, co pozwalało pracować do późna bez narażania czeladników na szykany nie mogących zasnąć żołnierzy. Po krótkim marszu znaleźli się na niewielkiej *przesiece* oświetleni bladym światłem gwiazd i żółtym płomieniem świecy sączącym się z pergaminowego klosza latarenki.

-No dobrze, panie... - rzekł Huxley - uprzedzam, że biorę szylinga za lekcję i nie zwracam pieniędzy, gdy uczeń odniesie rany.

- Cóż... jednorazowa naprawa hełmu kosztowała tyle **86**

samo. Zakładam, że przyjdzie mi jeszcze nie raz walczyć w czasie tej wyprawy, w sumie więc powinno się opłacić.

Robert wydobył okazałą srebrną monetę z niezbyt pękatej sakiewki i rzucił ją kowalowi. Ten zręcznie przyjął zapłatę i schował pieniądze za wywinietą cholewę buta.

Następnie zdjął fartuch, splunął w dłonie i zatarł je.

- No dobra, panie Neville - rzekł - zobaczmy, co po traficie.

Jeden z mieczy rzucił Robertowi, drugi wyciągnął z pochwy i obejrzał uważnie. Następnie machnął nim parę młynków, po czym niedbale wbił sztychem w ziemię i oparł się na jelicach, patrząc na młodego rycerza.

- Tak bez zbrój na ostre? - zdziwił się Grzegorz, uprzedzając nasuwające się Robertowi pytanie.

-Nie martwcie się, panowie, będzie dobrze... z ty-mi ranami tak tylko rzuciłem, dla pełnej jasności...

-

Uśmiech kowala bynajmniej nie dodawał otuchy.

Sir Robert poczuł się nieco urażony. Bądź co bądź był

rycerzem i choć w trzech turniejach, w których brał w życiu udział, wygrał zaledwie dwie walki, to przecież uczył

się fechtunku od dziecka. Nie był ułomkiem, a w tłumie halabarda równie dobrze mogła pozbawić przytomności takiego urodzonego wojownika jak jego szacowny kuzyn. A teraz sir Robert stał z obnażonym mieczem, bez zbroi naprzeciw jakiegoś półnagiego kowalskiego mędr-ka, który odnosił się do niego bez specjalnego szacunku.

Rycerz machnął lekko mieczem, żeby sprawdzić, jak wy-ważona jest broń.

Nieco na sztych.. długie jelce. . nisko na nogach i czas sprawdzić te obozowe plotki, pomyślał sir Robert. Zaraz potem przyskoczył do Huxleya i ciął z prawej prosto w jego lewe ramię. Przemknęło mu przez myśl, że chyba trochę go poniosło i że może skaleczyć jeszcze nie go-towego do walki przeciwnika. Trwało to jednak bardzo krótko, a przeciwnik okazał się bardzo daleki od braku gotowości. Kowal odchylił się głęboko w biodrach i miecz Roberta przeciął powietrze o dobre pół długości klingi od jego ciała.

Zanim zdziwiony obrotem sytuacji rycerz zdążył wró-

cić do właściwej pozycji, Huxley przyskoczył do niego z niewiarygodną zwinnością. Robert ciął na odlew, zarazem się cofając, by zachować dystans, był jednak zdecydowanie zbyt wolny. Kowal przyjął cios na jelce i równocześnie chwycił cofającego się rycerza za przegub.

Na szeroko otwartych oczach Grzegorza rozegrała się trwająca mgnienie oka scenka. Najpierw z dłoni Roberta wyleciał miecz, następnie popchnięty i podcięty rycerz runął jak długi na ziemię, a klinga Jana Huxleya momentalnie zawisła nad głową leżącego.

- Cóż... wygląda na to, że heraldyka i astronomia to nie jedyne twoje zainteresowania, Huxley. - Młody rycerz odzyskał werwę zaraz po tym, jak dotarło do niego, co się wydarzyło.

Kowal uśmiechnął się krzywo, skłonił i cofnął miecz wymierzony w gardło Roberta.

- Jeśli wolno mi coś orzec po tym pierwszym spotkaniu... Z pewnością nie brakuje wam serca do walki, panie Neville. Skądinąd nie brakuje wam rozumu. Teraz **88**

rozchodzi się o to, żeby nie brakowało go również w czasie walki.

Kowal przerwał i pomógł wstać gramolącemu się z ziemi rycerzowi.

- Bo widzicie, panie... - podjął - dziwicie się, że na ostre bez zbrój. Ja was nie będę uczył, jak się na wielkopańską modłę obłapiać za folgi pancerzy i wkładać sobie pancerne rękawice za blachy i pod kolecze spódniczki, ani innych takich sztuczek stosownych i przydatnych raczej w alkwie. Ja, widzicie, mogę was nauczyć robić mieczem. Do tego zaś nie trzeba zbroi, a sam zapal nie wystarcza.

- No dobrze, ale przyznaj, że inaczej się walczy w zbroi -

powiedział. - A do tego inaczej w pojedynku, a inaczej w ścisku bitewnym.

- Przyznam. A uczyć was mogę tego, co wam rzekłem.

Gdy to pojmiecie, łatwiej wam przyjdzie w zbroi walczyć zarówno w walce pojedynkowej, jak i w tłumie. Ale po prawdzie to wam powiem, że do zbroi to wy, panie, trochę figury nie macie, trochę jesteście zbyt wåtli. Za to na pociechę wam rzeknę, że jakby przyszło do kolejnej bitwy, to wszystko niemalże za jedno, czy jesteście wielcy jak niedźwiedź, silni jak tur, zwinni jak jaszczurka czy

przeciwnie - cherlawi, chromi i powolni. W bitwie wszyscy równi, a decyduje los i talent wodza...

To była najdłuższa wypowiedź, jaką sir Robert usłyszał

od kowala tej nocy, potem były już tylko krótkie uwagi, zasłony, zastawy, piwoty, cięcia, pchnięcia, zbita, kon-trola dystansu i znów zasłony...

O poranku po uspionym obozie poniósł się dźwięk rogu.

Zbudzili się prości żołnierze i wielcy panowie, by pospołu przywitać kolejny dzień wyprawy. Każdy witał go wedle stanu swego ducha i ciała. Jedni modlili się w skupieniu, drudzy masowali obolałe kończyny i plecy. Niektórzy opłukiwali się w wiejskich studniach, inni obserwowali ich z niesmakiem lub lękiem i z dezaprobatą kręcili głową. Słudzy zabierali się do swoich porannych obowiązków przy wierzchowcach, namiotach i ogniskach, podczas gdy rycerze trudzili się pilnowaniem, czy dobrze to robią.

- Guillaume, nicponiu! - O ile wyjazd z Harfleur był

dla sir Ralfa pobudzający, o tyle niewygodny obozowy dość szybko przypomniły mu o marności losu ludzkiego i niedolach wojny.

Giermek wszedł do namiotu. Miał pomięte ubranie i także oblicze.

- Strasznie wyglądasz.. Piłeś i łajdaczyłeś się po nocach? - zapytał go z troską rycerz.

Guillaume spojrzał na niego niemrawo, a jego spojrzenie było bardziej wymowne niż doktora paryskiego uniwersytetu w czasie dysputy kwodlibetycznej.

- Nie, panie - odrzekł. - Ot, po prostu pełniłem wartę.

- Widocznie się starzejesz, ale nie przejmuj się, nie ty jeden - pocieszył go sir Ralf. - Poza tym ktoś musi czuwać, żeby spać mógł ktoś. A teraz oporządź konia.

Sir Ralf byłby przysięgł, że wychodzący giermek wymamrotał coś pod nosem po francusku - nie przeszkadzało mu to jednak. W każdym razie bardziej doskwierał

mu ból w kościach i chłód wilgotnego poranka. Po chwili wprawne ucho doświadczonego rycerza wyłowiło spo-

śród odgłosów obozowej krzątaniny zagadkowe dźwięki.

Był to nieregularny stukot drewna o drewno. Zaciekawiony opuścił namiot w nogawicach nie do końca podwiązanych do dubletu. Jego oczom ukazało się dwóch mężczyzn, którzy mimo lekkiej mżawki skakali wokół

siebie z palcatami w dłoniach.

- Robisz postępy, panie Wilfrydzie! - Zdyszany bas Artura był jak zwykle pełen werwy.

- Dziękuję, panie Arturze. - Młody rycerz nazwany Wilfrydem ślaniał się na nogach, był cały w błocie i z trudem łapał oddech.

Mężczyźni zwarli się po raz drugi i trzeci. Z palcatów posypały się wióry. W końcu pan Wilfryd, wyraźnie u kresu sił, przypuścił desperacki atak, który zakończył

się efektownym poślizgiem. Sir Artur rąbnął od nie-chcienia z góry, wykorzystując błąd przeciwnika. Rozległ

się łoskot, a następnie mokry chlupot, gdy pan Wilfryd usiadł z impetem na błotnistej ziemi. Ku zaniepokojeniu Artura i jego wuja padający rycerz nie wrzasnął, co znaczyło, że w najlepszym razie stracił przytomność.

- Żyw? - spytał bratanka sir Ralf, podchodząc do nie szczęśnika.

Sir Artur stanął nad leżącym kompanem, sapiąc, i przyjrzał mu się.

- No... raczej żyw, bo oddycha... - skostatował.

- Słodki Boże, czy tobie, Arturze, naprawdę nigdy nie dość wojaczki? Czy dzień bez wymłócenia jakiegoś nieszczęśnika jest dla ciebie stracony? - Sir Ralf był wyraź-

nie zatroskany, ale uspokoił się znacznie, gdy leżący obok Wilfryd jęknął.

- Czyja wiem, wuju...? - zastanowił się Artur. - Czasami myślę, że tak właśnie jest.
- No cóż, w końcu jesteś rycerzem, co wymaga ćwiczeń, różnie to jednak z głową. Czy to taki trud włożyć hełm, zanim się człowiek zabierze do fechtowania?
- Pewnie nie... - przyznał stojący ze spuszczoną głową baron.
- Co powiedziałby na to twój świętej pamięci ojciec...? - strofował go dalej sir Ralf. - Chociaż nie, nie myśl o nim, pomyśl lepiej o matce... - Rycerz przypomniał sobie nagle, jak to jego brat zupełnie pijany startł się z pewnym francuskim rycerzem na kopie, nie zadawszy sobie trudu, by wziąć tarczę.
- Wiem, wuju, *twoje rady są jak zwykle roztropne*, ale skoro Francuzów nigdzie nie ma...
- Zgoła nie tak się sprawy przedstawiają, jak sądzicie, wielmożny panie... - zza pleców Artura i Ralfa dobiegł cichy głos doktora Joachima.
- Rycerze odwrócili się zdziwieni.
- Tak, tak, moi mili panowie - rzekł uczony - już niedługo przyjdzie wam zamienić drewno na stal, bo marszałek Boucicaut ruszył naszym śladem. To najświeższe wieści, ale potwierdzone. Marszałek opuścił Rouen i zmierza w naszą stronę.
- Tylko marszałek? - Sir Ralf momentalnie wyzbył się dobrodusznego tonu, którym przemawiał do bratanka.
- Zdaje się, że nie tylko on. Podobno parę dni wcześniej z Rouen wyszedł konetabl ze sporą siłą, ale nie wiem dokładnie, dokąd pociągnął.

- Niedobrze... - Pan Moorow zmarszczył brwi zaniepokojony.
- Myślicie, panie Joachimie, że marszałek na nas uderzy? - zahuczał z entuzjazmem Artur.
- Ja o tym nic nie wiem. Wasz wuj, czcigodny panie, z pewnością gotów wydać lepszy osąd w sprawie wojennej niż ja, sługa siedmiu sztuk.

Sir Ralf skrzywił się lekko. Ostatnimi czasy uczony doktor Joachim zaczął go bardzo drażnić.

- Pięknie - orzekł z przekąsem. - Czyli wiecie dużo, tylko nie o sprawach, które są dla nas ważne. Dobrze, niech będzie i mój osąd. Otóż uważam, drogi bratanku, że jeśli Francuzi rozegrają sprawę mądrze, to żadnej bitwy nie będzie, a marszałek depczący nam po piętach wraz z konetabłem, który może być równie dobrze przed nami, dopilnują, byśmy nie dotarli do Calais. Po pierwsze, mogą opustoszyć własną ziemię i nas zgłodzić, jeśli na parę tygodni przyblokują nam ruchy. Przy takim obrocie spraw zamiast chwalebnej nagrody przyjdzie nam błagać o łaskę z napuchniętymi z głodu brzuchami.

- Doprawdy, panie Moorow, chylę czoła przed zmysłem stratega - rzekł doktor Joachim. - Kiedy wojna się skończy, powinniście udać się na uniwersytet i napisać traktat o wojnie.

Rycerz zerknął na doktora, starannie ważąc słowa.

- A mnie doprawdy mało obchodzi uniwersytet i uczone traktaty - odparł. - Co więcej, myślę, że coraz mniej dbam o to, co wy, uczony Joachimie, myślicie.

Doktor skrzywił się i nastąpiła nieprzyjemna cisza, którą jednak przerwał ochoczo sir Artur:

- Ależ wuju! Wszak jesteśmy angielskimi rycerzami.

Z pewnością Francuzi nie okażą się tak tchórzliwi, by nie wydać nam bitwy. A kiedy już staniemy z nimi w polu, poczują na sobie moc angielskiego oręża i po raz kolejny ukorzą się przed swoim prawowitym władcą.

Zarówno sir Ralf, jak i uczony Joachim spojrzeli nań osłupiali.

- Z pewnością nie myślisz, wuju, że Francuzi będą przed nami czmychać jak zajęce - powiedział baron. -

Wszak to rycerze.

Pierwszy z konsternacji otrząsnął się doktor.

- Tak, panie baronie, oto postawa godna angielskiego rycerza. Otóż to, wola walki i niezłomność przekonań.

A teraz wybaczcie, panowie, ale muszę wrócić do mojego pulpitu i umieścić nowe wieści na stronach kroniki.

Uczony wprawnie przywołał do porządku niepokorny ogon chaperonu i ostrożnie przekroczywszy jęczącego pana Wilfryda, pospiesznie się oddalił, lawirując między kałużami.

Artur spojrzał wyczekująco na wuja. Sir Ralf odwzajemnił spojrzenie. Już chciał szczegółowo wyłożyć swój pogląd na przyszłość wojny, ale gdy zobaczył szczyry za-pał na twarzy barona, westchnął tylko.

- Tak, drogi bratanku - powiedział - chodźmy lepiej coś zjeść, zanim przyjdzie nam ruszyć w drogę.

Królewski rumak kroczył stępą biegnącym wzdłuż wybrzeża traktem. Jadący obok sir Tomasz Erpingham ko-94

łysał się w siodle, sennie obserwując okolicę. Podobnie czynili sir Jan Holland i Humfred księżę Gloucaster.

Nagle monotonię podróży przerwał goniec. Młody rycerz zrównał swojego prychającego wierzchowca z kró-

lewskim.

- Najjaśniejszy panie! - zawołał.

- Słucham cię... i słyszę, nie ma więc potrzeby tak krzyczeć. - Znudzony Henryk nawet nie spojrzał na

po-słońca.

- Przepraszam... to przez hełm... hmm... - skonfundował się upomniany. - Brat waszej królewskiej mości księżę Yorku kazał przekazać, że gdy jego wojska przejeżdżały obok Fecamp, spłonęło kilka domostw.

- Czyżby zaskakujący zbieg okoliczności? - leniwie zapytał Henryk. - Czy po prostu zawile próbujesz mi powiedzieć, że moi żołnierze podpalili Fecamp? - Król wciąż obserwował przydrożne krzewy.

- Tak, najjaśniejszy panie, chyba właśnie to chciałem powiedzieć.

- No dobrze - westchnął monarcha. - Czy jacyś ludzie zostali zabici i ile domów spłonęło?

- Nikt nie zginął, a zgorzało z tuzin domostw.

- Przekaż księciu Yorku te słowa: Drogi bracie! W przyszłości pilnuj swoich ludzi, a odpowiedzialnych niech spotka stosowna kara - niezbyt wysoka, skoro nie przelali krwi naszych przyszłych pikardyjskich poddanych.

Zapamiętałeś?

- Tak, wasza królewska mość.

- To jedź z Bogiem.

Gdy tylko ucichł tętent kopyt konia posłańca, odezwał

się Erpingham:

- Rzeczywiście kogoś trochę poniosło. Za nami, nad Fecamp, widać dymy.

Henryk nie odrywał wzroku od jakiegoś odległego punktu przed sobą.

- Drogi panie Tomaszu - rzekł - wojna bez ognia jest jak kiełbaski bez musztardy.

Przemarsz odbywał się bez większych przeszkód i oznak niesubordynacji. Armia Henryka ciągnęła sennie wzdłuż wybrzeża smagana przybierającym na sile wiatrem i coraz częstszymi deszczami. Rozmywany trakt tracił kształt.

Podobnie działo się z celem kampanii. Nie było plądrowania i rabowania, król nie zatrzymywał się, by oblegać nawet pomniejsze twierdze - cały sprzęt oblężniczy i tak został

w Harfleur. Łucznicy zadawali sobie pytanie, czy cała ta wyprawa nie jest po prostu nieprzyjemnym jesiennym spacerem wzdłuż wybrzeża. Wkrótce pytanie to zaczęli sobie zadawać rycerze. Później ustąpiło ono innemu: czy ów nieprzyjemny spacer zamieni się w morderczą ucieczkę przed dużo liczniejszymi Francuzami, o których coraz częściej donosili zwiadowcy. Podłych nastrojów nie poprawił prze-marsz przez hrabstwo Eu i podejście do ujścia Sommy.

- Panowie, słyszeliście najnowsze wieści?! - Na twarz doktora Joachima wystąpiły wypieki, niewątpliwa oznaka, że podnieciło go jakieś doniosłe wydarzenie lub na-96

zbyt się uraczył winem. W tym wypadku przyczyną było jedno i drugie.

Zebrani w namiocie barona Pitchfork rycerze spojrzeli ponuro na przybyłego. Najbardziej nachmurzeni byli Ralf i Guillaume. Niewiele ustępował im Robert, choć u niego trudno było odróżnić marny nastrój od melan-cholijnego zamyślenia. Właściwie pogodne oblicze mieli tylko Grzegorz i sir Artur, lecz jednego tłumaczył wiek, a drugiego wrodzona beztroska. Odzienie zebranych nie olśniewało bogactwem barw. Przeciwnie, baron i jego poczet wyglądali, jakby nieco nieudolnie poprzebierali się za świniopasów, a zdradzały ich jedynie nieliczne elementy pancerzy widoczne spod skorupy błota.

- Jakież to wieści, doktorze? Czyżby ruszyli na nas Francuzi? - zapytał sir Artur.

- Nie, wielmożny panie Neville. Sytuacja jest w pewnym sensie dokładnie odwrotna - mętnie odrzekł zagadnięty. -

Otóż dziś rano w ręce królewskich zwiadowców wpadł

pewien Gaskończyk. Rycerz ten, zachęcony obecnością oprawcy, wyznał po chwili wahania, że na

wschodnim brzegu Sommy w mieście Abbeville stoi ze swoją armią nie kto inny jak Karol d'Albret, konetabl Francji we własnej osobie.

- Dziw, że konetabl był we własnej osobie - mruknął

pod nosem Robert - i że nie był nikim innym, tylko sobą właśnie.

Grzegorz, którego dobiegł ten cichy komentarz, parsknął

śmiechem. Joachim przeszył giermka oburzonym spojrzeniem, ale po chwili podjął strojną w ozdobniki relację:

- Tak więc przed nami d'Albret, szanowni panowie,

a z nim siła francuskiego rycerstwa. Widać nie dane nam **97**

jest przeprowić się przez żwawy nurt Sommy tuż u jej uj-

ścia, by udać się najkrótszą drogą do gościnnego Calais.

Nagle ciężka od błota płachta wejściowa pofrunęła w bok.

Do namiotu wkroczył sędziwy rycerz z ociekającymi wodą siwymi wąsami. Na brudnym tabardzie o niemożliwych do ustalenia barwach z trudem dawało się dojrzeć kilka jasnych ptaków otaczających także tarczę. Na szyi przybysza wisiał

łańcuch, którego ogniwa miały kształt litery „S” - oznaka, że jest on w służbie domu Lancasterów. Joachim momentalnie zamilkł, a zebrani przenieśli uwagę na rycerza.

- Witam, panie Erpingham - odezwał się z szacunkiem Artur.

- Witam, baronie Neville. - Sir Erpingham lekko skłonił głowę, ocierając przy tym zmoknięte wąsy, i rozejrzał

się po namiocie. - Pozwólcie ze mną, panie baronie - do-dał - chciałbym wam coś powiedzieć na osobności. I wy chodźcie, panie Moorow, wraz z synem...

Trzej rycerze spojrzeli po sobie zdziwieni i ruszyli za wysłannikiem króla. Przeszli w milczeniu kilkadziesiąt kroków prowadzeni przez doradcę monarchy, aż dotarli do dużego kolorowego namiotu. Erpingham zaprosił ich gestem do środka. Wnętrze było przestronne i przedzielone na pół lnianą płachtą. W części, w której się znaleźli, stało niewielkie łóżko, obok niego skrzynia z pulpitem, przy niej stojak na zbroję, na którym obecnie znajdował

się jedynie basinet bez zasłony, jako że resztę pancerza Erpingham miał na sobie. W drugiej części, przeznaczony dla sług, nikogo nie było.

- Czy dotarli już do was, panowie, najnowsze wieści z awangardy? - zapytał gospodarz.

- Ponoć jakiś schwytyany Gaskończyk twierdzi, że konetabl stoi w Abbeville. To zaiste zła wiadomość. - Sir Ralf smętnie pokręcił głową.

- To nie wszystko - rzekł Erpingham. - Ostatecznie mieliśmy się przeprawić na wysokości Blanchetaque. Abbeville znajduje się kilka mil od nas, może dalibyśmy radę uprzedzić d'Albreta i przekroczyć Somnę, ale... jest jeszcze jedna fatalna wiadomość. Pan Jaligny stanął nad rzeką ze swym wojskiem i uzbroił brzegi brodu naostrzonymi palami. Nie przejdziemy na wysokości Blanchetaque.

- Czyli musimy szukać brodu w górze Sommy - skonstatował sir Ralf. - Odcinka do Abbeville strzeże jednak pan Jaligny, a od Abbeville przejścia będzie pilnował sam konetabl. Jeżeli nie spartaczą roboty, będziemy szli aż do źródeł rzeki, o ile wcześniej nie przyjdzie nam się poddać z głodu...

Erpingham zagryzł dolną wargę.

- Obawiam się, że sprawy mają się tak, jak je przedstawiliście - rzekł w końcu.

- Nie wierzę, panowie, że z taką łatwością poddajecie się tak marnym nastrojom - ozwał się sir Artur. - Z pewnością mąż o takiej reputacji jak Boucicaut nie pozwoli, byśmy pomarli z głodu, i wyda nam bitwę, a wtedy postawimy na francuskich karkach nasze sabatony.

Obecni spojrzeli na młodego barona z niedowierzaniem. Pan Erpingham odchrząknął.

- Napawa mnie nadzieją wasza hardość, panie baro nie - powiedział - ale nie tylko po to chciałem z wami, panowie, rozmawiać, by przekazać wam złe wieści. Choć dzi o to, że w położeniu, w którym się znaleźliśmy, nale-

ży się uciec do działań nadzwyczajnych. Król chce wam powierzyć pewne zadanie, lecz zanim wyjawię szczegóły, muszę usłyszeć, że zgadzacie się je wykonać.

Erpingham rozejrzał się uważnie po zebranych, oni zaś spojrzeli po sobie. Pierwszy odezwał się sir Artur:

- Będzie dla mnie ogromnym zaszczytem podjąć się zadania wyznaczonego przez samego króla, jeśli tylko przystoi ono szlachetnie urodzonemu.

- Przystoi, bądźcie spokojni, panie baronie - zapewnił

go Erpingham i zwrócił spojrzenie na Ralfa i Roberta.

- No cóż, skoro ma to być warunkiem usłyszenia warunków - rzekł pan Moorow - i skoro mój bratanek już się zgodził, nie pozostaje nam nic innego, jak tylko przyjąć tę zaszczytną misję... - Patrzył na bratanka, a mó-

wiąc, kręcił głową.

- Jakże zatem są te szczegóły? - odezwał się w końcu sir Robert, czując na sobie wzrok pozostałych.

Erpingham pogładził węża z uśmiechem satysfakcji.

- Jak zapewne wiecie, panowie, nie wszyscy Francuzi są do nas wrogo usposobieni - powiedział. - Stronnictwu księcia Burgundii nie odpowiada to, że król Karol jest słaby, a książęta krwi rosną w siłę. Jan bez Trwogi zgodził się nie angażować zbyt wielkich sił w wojnę przeciw nam i na wezwanie króla Francji odpowiedział nader opieszale. Nie róbcie, panowie, niezadowolonych min i nie kręćcie głowami. Takie są prawidła gry wojennej, *nec Hercules contra plures*, nawet miłościwie nam panujący Henryk potrzebuje sprzymierzeńców w walce o swoje prawa do ziemi francuskiej.

- Ponoć ów Jan bez Trwogi to wichrzyciel i morder-100

ca - rzekł pan Moorow. - Sprzymierzeńców należy dobierać starannie...

Doradca królewski zmarszczył brwi.

- Czyżbyście kwestionowali królewskie poczynania, mości Ralfie? - zapytał sztywno.

- Ależ nie, wybaczcie, panie Erpingham, i kontynuujcie.

- Panowie! Spójrzmy na fakty - podjął królewski doradca. - Nie jesteśmy w sytuacji pięknej hrabiówny na wyda-niu, którą otacza wianuszek chętnych do ożenku rycerzy.

Przeciwnie, jesteśmy w sercu Pikardii otoczeni przez dużo liczniejsze siły wroga i możemy maszerować tylko w jedną stronę. Zapomnijmy zatem na moment o słabościach charakteru księcia Burgundii i postarajmy się ustalić, jak sprawić, by sześć tysięcy ludzi wróciło na zimę do domu.

A sprawić to można, układając się z Burgundczykiem. Misja, którą nasz pan wam powierza, polega, panowie, na od-nalezieniu posła Jana bez Trwogi na pobliskim pograniczu z Szampanią, w gospodzie La gouede gambadante.

- Skąd pewność, że znajdziemy tam posłów księcia Burgundii? - Sir Robert wyglądał na zagubionego.

Erpingham zawiesił wzrok na młodym rycerzu.

- Młody panie Neville... - rzekł - proszę się o to nie kłopotać. Po prostu założmy, że jest tak, jak mówię. Je-

śli nie spotkacie w owej gospodzie tych ludzi, po prostu wróćcie z pustymi rękoma, jeśli oczywiście będzie do czego wracać.

- Nie obawiajcie się, panie Erpingham. Wrócimy tu z burgundzką armią - zapewnił go buńczucznie

Artur.

Sędziwy rycerz grzecznie skinął głową baronowi Pitchfork, po czym podjął wywód:

101

- Oto list do pełnomocnika burgundzkiego opatrzony pieczęcią królewską. - Sir Erpingham wyjął dokument. -

Upoważnia on pana barona do prowadzenia negocjacji w imieniu króla. Wy, panowie, odegracie rolę... doradców. A teraz powiem, na co wolno wam przystać w rozmowach.

- Nurtuje mnie pewien szczegół... - wtrącił Robert.

- Tak? - spytał cierpliwie sir Erpingham.

- Po czym poznamy owych posłów księcia Jana?

- Po tym, po czym i oni was poznają. Osoba, z którą

możecie pertraktować, musi mieć list z książęcą pieczęcią.

- No dobrze, ale jak rozpoznamy, że to odpowiednia pieczęć, wszak normalnie listy takiej wagi są drobiazgo-wo badane. - Robert wciąż miał wątpliwości. - Ja jestem zaledwie bakałarzem i nie studiowałem nigdy wiedzy pieczętnej...

Erpingham przerwał mu, unosząc rękę.

- Twoja dociekliwość, panie Neville, napawa mnie przekonaniem, że wybraliśmy właściwych ludzi do negocjacji - stwierdził. - Nie troszczcie się o szczegóły. Pojedzie z wami królewski kronikarz, mąż z dużą wiedzą o pieczęciach i nie tylko. Tuszę zresztą, że go znacie, był

wszak w twoim namiocie, baronie, gdy przyszedłem. Cóż to? Dlaczego się krzywisz, panie Moorow?

- To tylko strawa obozowa daje mi się we znaki - skłamał naprędce sir Ralf.

- No cóż, wybaczcie szczerą, ale wyraźnie się starzejecie - powiedział królewski doradca. - Na pociechę powiem wam, że nie wy jedni.

102

ziękuję za strawę, Joanno.

D Maria siedziała w izbie niewielkiej drewnianej chaty. Na stole przed nią leżała pusta sosnowa miska i koślawa łyżka. W chacie tej schroniła się dwie noce wcześniej, gdy okulał jej koń, kiedy przejeżdżała obok wsi Dencour. Za cienką ścianą znajdował się chlew, którego mieszkańcy ochoczo włączali się w każdą rozmowę prowadzoną w izbie. Maria zdążyła do tego przywyknąć po pierwszym dniu spędzonym w domu Joanny d'Arc.

- Mam nadzieję, że pani smakowało - powiedziała gospodyni - choć to nie jadło z zamkowej kuchni.

- Pewnie, że nie - zgodziła się Maria. - Tam wciąż trzeba się pilnować, by nikt człowieka nie otrul..

Żart, który bawił Marię i dworki, jakoś nie przypadł

do gustu Joannie, która tylko wzruszyła ramionami i zabrała miskę ze stołu.

- Tak... a mała Joasia śpi jak aniołek... - nie dawała za wygraną Maria, próbując podtrzymać konającą rozmowę.

- No, śpi. Dałam jej trochę piwa z korzeniami, to i śpi -

wyjaśniła Joanna.

103

Maria zerknęła na prostą drewnianą kołyskę stojącą w rogu pomieszczenia.

- Często tak jej dajesz tego piwa, żeby zasnęła? - zapytała.

- No, tak w zależności... - bąknęła wieśniaczka.

- Jak to „w zależności”?

- Bo jak nie ma piwa, to i nie daję. A powiem jaśnie pani, że czasem, jak jest, to też nie daję.

- To może prościej będzie, jeśli mi powiesz, kiedy nie dajesz jej piwa?

- Eee... no, jak zasypia sama z siebie albo jak mam jakieś inne ziele, to wtedy jej robię wywar i też śpi...

- Inne ziele? - Maria z każdym kolejnym pytaniem bardziej żałowała, że zagłębia się w ten temat.

- No tak, najjaśniejsza pani. Bo tu u nas wiele różnego ziele rośnie...

- Hmm. . a od dawna jesteś wdową? - zmieniła przedmiot rozmowy Maria.

- Od paru miesięcy. Mąż jakichś grzybów przyniósł

z lasu, co mi one dziwnie wyglądały, to mu mówię, co-byśmy ich nie jedli. A on, że trochę zje na spróbowanie tylko i jak dobre, to więcej przyniesie, bo ich dużo.

- Czyli zatrzał się tymi grzybami i umarł?

- Nie, proszę najjaśniejszej pani, to znaczy tak. To jest zatrzał się i wymioty miał, rozgrzany był, ale nie od tego umarł. Tylko... tylko... - Joanna zaczęła się trwożnie rozglądać.

- Tylko co?

- Licho go wzięło... - dokończyła szeptem kobieta.

- Jakże to? Tak po prostu przyszło i wzięło?

104

- No nie, nie tak po prostu. Tak jakby od środka go opętało i wzięło. Wyszedł w burzę przed chałupę i zaczął

mówić, że potop idzie i że trzeba arkę rychtować. Na chałupę naszą patrzył przy tym. A ja mu mówię: „Tyś głupi czy co? Wracaj do izby, bo cię piorun trzaśnie”. A on mi na to- „Tyś głupia, wracaj do izby, mnie mus łódź rychtować!” A ja mu wtedy...

Maria siedziała jak przyrośnięta do zydła. Szeroko otworzyła oczy, próbując nadażyć za niewiarygodną historią.

- A on już był na dachu i zaczął go naprawiać w po-

środku burzy - ciągnęła Joanna. - No i wtedy go piorun trząśł, jakem go ostrzegała. Gdyby był mądry i mnie po-słuchał, toby żył. A tak opętanego chłopca Bóg mi śmiercią skarał.

- Cóż... późno już, pójdę się zdrzemnąć - powiedzia-

ła Maria.

Świnie wyraźnie się ożywiły.

- Co one takie niespokojne dzisiaj? - zdziwiła się go spodyni.

Nagle przez kwik i miarowy szum deszczu przebił się tętent liczych kopyt. Kobiety zamarły. Pobladała Joanna spojrzała na szlachetną panią. Maria pokręciła głową, z jej twarzy łatwo było wyczytać błaganie. Starsza kobieta chwyciła ją za rękę i pociągnęła do niewielkiej spiżarni.

- Napytacie mi biedy jak nic, jaśnie panno - jęknęła.

Rozległo się walenie w drzwi. Joanna otworzyła drzwiczki do spiżarni i wepchnęła Marię do środka. Zanim je zamknęła, wskazała stojącą w rogu skrzynię.

- W podłodze pod skrzynią jest skrytka - rzuciła szep-105

tern i ruszyła ku drzwiom wejściowym. - Kogo znowu po nocy nosi?! - zawołała.

- Otwieraj, kobieto, w imieniu pana Rambures! - pa-dła odpowiedź.

- Już otwieram, wielmożni panowie, jeno mi coś skobel ostatnio szwankuje...

- Otwieraj natychmiast, bo przemocą wejdziemy! -

dobiegł zza drzwi inny męski głos.

Maria usłyszała go, akurat gdy odsunąwszy skrzynię, podnosiła deski podłogi. Jedna z nich o mało nie wypadła jej z rąk. Znała ten głos i jego właściciela. Był nim młody pan Clermont, do którego wzdychały szlachetne panny od hrabstwa Eu aż po Beauvais. Być może wzdychałyby i gdzie *indziej*, *ale gdzie indziej* pan Clermont bywał zazwyczaj z bronią w ręku i dworne amory nie były mu wtedy w głowie.

Maria, bynajmniej nie wzdychając, wskoczyła do otworu w podłodze i przykryła się deskami. Zgrzytnął skobel, a zaraz potem izbę wypełnili chrzęszczący blachami ludzie. Na ich czele stał postawny młody mężczyzna, Clermont właśnie. Miał na sobie pełną zbroję kunsztownej roboty bogato nabijaną miedzią w motywy roślinne. Pod pachą trzymał w stalowej rękawicy basinet z półkulistą zasłoną. Rękawica z realistycznie wyźłobionymi palcami, a nawet paznokciami, wyglądała jak żywa stalowa dłoń. Zbroję rycerza zdobiły też szlachetne kamienie.

Clermont był modnie ostrzyżony, miał gęstą, krótko przyciętą czarną bródkę i wąsy. Lekko uniesiona prawa brew wygięła się kapryśnie, gdy rozejrzał się po ubogim wnętrzu.

106

- Co za chlew... - skomentował z niesmakiem, a zza ściany zawtórowały mu chórem świnię.

- Czyś spotkała ostatnio samotnie podróżującą niewiastę w męskim stroju? - spytał Joannę jeden ze zbrojnych, starszy od Clermonta, dużo skromniej opancerzony i dużo mniej zdziwiony wystrojem chaty.

- Czy widziałam niewiastę w męskim stroju samotnie podróżującą? - odezwała się wieśniaczka. - A kto to widział, żeby niewiasta w męskim stroju poza karnawałem chadzała?

Zbrojny zmierzył Joannę wzrokiem.

-Nie igraj ze mną, kobieto... - wycedził. - Mów prosto: widziałas czy nie? A jeszcze ci rzeknę, nim odpowiesz, że za kłamstwo w tej materii w ciemnicy zgnić możesz.

- Nie widziałam, wielmożny panie - pospiesznie zapewniła go Joanna i z niepokojem zerknęła w stronę ko-

łyski.

- Rzekłaś. Skoro nie widziałaś, zatem i nie przecho-wujesz u siebie nikogo takiego. Zaczynam jeśli znajdziemy tu ową niewiastę, okaże się, żeś skłamała. A skoro tak, to jako się rzekło, zgnijesz w lochu. Więc jak będzie? Może zmienisz zdanie, nim chatę przeszukamy?

- O panie, roztropnie bardzo mówicie, ale rzecz ma się tak, jakem już powiedziała...

Zbrojny nie był pewien, czy wieśniaczka sobie z niego drwi, na wszelki wypadek wziął jednak zamach do uderzenia.

- Dość tego, panie Montmerty - odezwał się Clermont. - Nie przyszedliśmy tu uczyć moresu niepokornych 107

poddanych, tylko odnaleźć pannę Rambures. Weźcie więc ludzi i spożytkujcie siły użytecznie, bo noc już idzie.

Jeśli się pospieszymy, zdążymy jeszcze zajechać do La Paigneufe, a może nawet Senerpont. - Młody rycerz był

nad wyraz zde gustowany całą tą sytuacją.

- Oczywiście, panie Clermont - rzekł Montmerty. -

Dalej, panowie, słyszeliście, do roboty.

Po tych słowach „panowie”, spośród których część ledwie zasługiwała na to miano, zabrali się do obracania wszystkich sprzętów do góry nogami. Joanna zaczęła błagać i zawodzić:

- Panowie, zmiłujcie się! Jestem sama na tym świecie, z córką jeno! Nie niszczone mi dobytku!

- Na miłość boską, panie Montmerty... głowa boli od tych babskich lamentów. Szukajcie panny Rambures, a sprzę-

ty zostawcie w spokoju - nakazał zirytowany Clermont.

Mężczyźni usłuchali i dalsze poszukiwania nie przypominały już mongolskiego najazdu. Jeden ze zbrojnych otworzył drzwi do spiżarni, sięgnął po stojący na stole kaganek i rozświetlił pomieszczenie. Wszedł.

Maria przy każdym jego kroku słyszała skrzypnięcia desek. Odruchowo zaczęła zmawiać w myślach modlitwę.

Mężczyzna pokręcił się trochę po izbie, poprzewracał

kilka worków z ziarnem, a następnie podszedł do skrzyni. Przez szparki w podłodze do skrytki przesączało się światło. Maria wzięła głęboki wdech, a zbrojny podniósł

płaskie wieko skrzyni i zajrzał do środka.

Maria zamarła. Miała wrażenie, że jej serce bije jak dzwon katedralny. Podziękowała w duchu za hałas, jaki robili przeszukujący chatę zbrojni, i towarzyszący im 108

kwik świń. Po chwili bezowocnej obserwacji zbrojny zatrzasnął wieko i odstąpił.

Z głównej izby doszły odgłosy rozmowy:

- Sprawdziłeś już spiżarnię, Piotrze?

- Tak, panie Montmerty.

- Dobrze.

- Panie Montmerty, czy ktoś już przeszukał chlew?

- Nie, panie Clermont.

- Na co więc czekacie? Doprawdy, to zaczyna być nu-

żące. Gdyby nie deszcz, zaczekałbym na dworze, by nie oglądać tej waszej nieporadności.

- Tak, panie. Piotr! Przestań się gapić w tę kołyskę i przeszukaj chlew.

- Ale proszę tylko spojrzeć, panie Montmerty, jakie to ciekawe dziecko - zadziwiająco łagodnie odrzekł skarcony.

- Co ty bredzisz, do licha... ? - zniecierpliwił się Montmerty. Podszedł do kołyski i złapał podkomendnego za okryte przemokniętym płaszczem ramię. Nie pociągnął

jednak, lecz zwolnił uścisk, w milczeniu przyglądając się rozbudzonemu dziecku. Gdy ujrział wielkie otwarte oczy i poważną buzię dziewczynki, osłupiał. Lekko poklepał

towarzysza po barku i rzekł: - Chodź, przeszukajmy ten chlewik i zabierajmy się stąd. . nic tu po nas.

- Jego głos również bardzo złagodniał.

- Już poszli, można wyjść - szepnęła Joanna, podnosząc deski.

- To dlaczego szepczesz? - zapytała równie cicho Ma ria, wstając z wnęki w podłodze.

109

- Bo Joaśka już śpi, jaśnie pani - wyjaśniła gospodyni.

-Aha.

Odłożyły deski na miejsce, a Maria, otrzepawszy się z kurzu, wygładziła pomięty dublet i skórzany kaftanik.

- Ech. . uratowałaś mnie, Joanno - powiedziała. - Na wet nie wiesz, jak ci jestem wdzięczna. Przyjmij, proszę, w podzięcie ten pierścień. - Wręczyła opierającej się nie co kobiecie srebrny pierścionek z rubinowym oczkiem.

-Jesteś, pani, zbyt hojna... - sumitowała się wieś-
niaczka.

- Nie, Joanno. Za to, co zrobiłaś, nie ma zbyt hojnej zapłaty. A powiedz jeszcze, skąd ta skrytka w podłodze?

- Eee... - Kobieta niechętnie machnęła ręką, zamykając spiżarnię, z której wyszły.

- Jakaś wstydliva historia? - drażyła Maria z wrodzoną dociekliwością.

- Mój mąż kłusował - wyjawiała swą tajemnicę Joanna. - Gdyby nie to, dawno już byśmy z głodu pomarli.

- Zatem nie ma się czego wstydzić.

- Skoro jaśnie pani tak mówi. . ale miejscowi krzywo na to patrzali, zazdrośnicy. Sami się bali, ale w zimie nie raz przychodzili, a to po karczku kawałek, a to pęto ki-szek. ..

- Ale teraz już nie będą przychodzić.

- Ano właśnie... - westchnęła Joanna - nie będą. Nic tu już po nas. Zostałam sama z dzieckiem, ale do ożenku wcale mi nie spieszo, nie tu w każdym razie, gdzie na mnie wilkiem patrzą. A jak kobieta sama w chacie siedzi, to niedobrze. Przyjdą ze wsi, zrobią mi kocią muzykę, a jak nie daj Bóg bardziej jurna kompania się zbierze...

aż strach pomyśleć. - Gospodyni zerknęła na kołyskę. -

Tak. Bez chłopca trudno koniec z końcem związać. Zresztą wojna w okolicy i tak sobie pomyślałam, że czas się stąd ruszyć, bo widzi pani, to nie moje rodzinne strony, jeno mężowe.

- Dokąd zatem się udasz? W czas wojny niebezpieczniej podróżować.

-Eee, jasnie panno... a kiedy to ostatnio było bezpiecznie? Bo to nas hrabiowie bronią, jak co do czego przychodzi? A rodzinę mam w Domremy w Szampanii.

Tam się z Joasią moją udamy i tam ją wychowam.

- No cóż. . życzę wam szczęścia, a sama ruszam. Mam nadzieję, że nie znaleźli mojego konia. Wszystkiego dobre go, Joanno, i opiekuj się córeczką. To niezwykle dziecko.

Maria, polechtawszy matczyną dumę Joanny, włożyła kaptur z długim ogonem i wybiegła z chaty w zimną deszczową noc. Przed nią był mroczny las i szalas, w którym ukryła konia, za plecami zaś zostawiała skromną drewnianą chatę i kobietę z dziewczynką, która miała zachwiać angielską potęgą. A także srebrny pierścionek z rubinowym oczkiem, dzięki któremu mogły przez jakiś czas utrzymać się przy życiu.

Karczma La gouede gambadante miała okazałe rozmiary i sporą renomę. Położona niedaleko Noyon w rozwidle-niu dwóch ruchliwych szlaków wodnych stanowiła wy-

śmienite miejsce postoju dla zmierzających do tego miasta kupców spławiających towary ze stolicy na północ.

Miała własną niewielką przystań, stajnię, chlewik, kur-ni-

nik, zagródkę dla owiec, oborę i kilkanaście uli. Zbudowana na modłę normandzką z posadowionych na kamieniu długich grubych belek ozdobnie zaokrąglonych na końcach przypominała trochę dawne czasy. Czasy zamorskich osadników i długich łodzi, na których tu przyплыnęli. La gouede miała w sobie coś z takiej właśnie łodzi, czekającej na brzegu na wezwanie dawnych bogów, by popłynęła na łupieżczą wyprawę.

Ale bogowie już od dawna nie nawoływali, toteż oko-liczna ludność zajęła się działalnością mniej bohaterską, na dłuższą metę jednak bardziej dochodową. Tak więc można było w La gouede zakosztować dobrych trunków i zaspokoić głód ciepłą strawą. Można było odpocząć, by nazajutrz popłynąć z towarem do miasta. Można było zasięgnąć języka na temat cen i usłyszeć plotki. Od czasu do czasu można też było dostać po głowie, choć zazwyczaj było tu bezpiecznie, jako że właściciel karczmy Jakub Martyre, zamożny kupiec z Noyon, był wpływowy i pobożny, a do tego dbał o porządek. Miejscy strażnicy zawsze byli gotowi służyć mu pomocą, a on, rozumiejąc ich ciężką dolę, odpłacał im za gotowość srebrem.

Pan Martyre umiał rozmawiać z ludźmi. Ponadto wiedział, komu czego trzeba. Komu wina, komu pieczystego, komu łapówkę, a komu obić kijem żebra. Był człowiekiem interesu, który zdobył majątek własnymi rękoma i nie zamierzał go z nich wypuścić. Miał też bystre oko.

Gdy tylko zobaczył gładką, niewinną twarz młodego burgundzkiego rycerza i facjaty jego kompanów, od razu wiedział, że kroi mu się spory zarobek i - prędzej czy później - kłopoty. O zarobku powiedziała mu nabita 112

kabza klienta i jego wielkopańska poza. O kłopotach -

blizny jego towarzyszy oraz ich broń.

- Wyśmienicie, że macie wolną izbę, bo zatrzymamy się tu na dłużej. - Rouecourt mówił ciepłym głosem, ale twarz miał znudzoną, a palcami nerwowo bębnił po blacie solidnego dębowego szynku.

- Zaiste, dobrze się składa - przyznał Martyre. - Życzycie sobie, panie, jakowegoś trunku lub czegoś na ząb? - Gospodarz jak zwykle był życzliwy, ale czujnie obserwował przybyłych.

- Taak. Chętnie przepłuczemy gardła i napelnimy zo-

ładki.

- Służebne zaraz przyniosą wina, a do tego kiełbasy i pieczoną giez...

- Bardzo dobrze - stwierdził Rouecourt. - A powiedzcie jeszcze, dobry człowieku, co to za kamienie trzymacie pod oborą przykryte płótnem?

-A, to na szopę, panie... bo już mi się sprzęty nie mieszczą. Piękne kamyczki, aż z Tournai mi dowieźli, przez tamtejszych mistrzów obrobione. . Dlaczegoż to pytacie, panie? - Martyre łypnął podejrzliwie na rozmówcę.

- Cóż, bo pomyślałem, że to dziwne w zimie budować, ale skoro z Tournai aż tu jechały, to rozumiem, że długo czekaliście.

- Oj, dobrze rozumiecie, panie. Wy zaś skąd do nas zjechaliście, z Burgundii może, na wojnę się wybieracie? - przypochlebnym tonem zapytał karczmarz.

Młodzian przez dłuższą chwilę spokojnie taksował go wzrokiem, uśmiechając się leciutko, choć mógł to być też jakiś inny grymas.

113

- Dobrze wam się tę karczmę prowadzi? - zapytał

w końcu. - Nieźle interes idzie?

Karczmarz z trudem zachował pogodne oblicze.

- A, nie narzekam - odrzekł ostrożnie.

- To nie zadawajcie zbyt wielu pytań, dobry człowieku, i nie interesujcie się nami zbyttnio. Zgoda?

Rouecourt wysupłał z sakiewki pięć liwrów, które dźwięcznie upadły na blat. Karczmarz oblizał lekko war-gi i wprawnym ruchem zsunął monety na fartuch.

- Zatem, panowie, rozsiądźcie się wygodnie, a zaraz podamy co trzeba - powiedział, po czym skłonił się lek ko i ruszył do kuchni.

Jeden z nie ogolonych drabów towarzyszących Roue-courtowi spojrział zdziwiony na chlebobawcę.

- Eee, widzi mi się, panie, że ten gagatek gotów na nas donieść - bąknął.

Poszramione oblicze w połączeniu z miętym w rękach kapeluszem wyrażało szczerą troskę. Rouecourt spojrział

ciepło na kompana i łagodnie odrzekł:

- Nie przypominam sobie, żeby ci płacił za myśle nie, Pery. Ale skoro nie możesz się od tego powstrzymać, to przynajmniej nie dziel się ze mną swoimi spostrzeże niami. Ten jeden raz zaspokoję jednak twoją ciekawość.

Otóż dając do myślenia temu człowiekowi, sprawilem, że każdy w okolicy - także osoba, której szukamy - będzie wkrótce wiedział, że pod La gouede siedzą jacyś podej rzani podróżni z Burgundii. A teraz odpuść już temu nieszczęsnemu kapeluszowi i usiądź przy stole.

Pery schował za pas nakrycie głowy i drapiąc się po nie ogolonej gębie, zrobił pokornie, co mu kazano.

114

Wyjechali z obozu jeszcze przed świtem, nim odegrano pobudkę. Zmówili krótką modlitwę, zjedli trochę i ruszyli prosto na południe, odbijając nieco od płynącej z połu-dniowego wschodu Sommy. Nastroje mieli typowe dla wojowników ruszających w nieznane, czyli zróżnicowane.

Kolumnę otwierali ponurzy panowie Ralf i Gotfryd.

Tuż za nimi jechali ich giermkowie. Guillaume zasypiał

w siodle, a jego twarz wyglądała jak wymięty płócien-ny worek z dwoma ziejącymi czernią otworami na oczy.

Następni strzemię w strzemię ciągnęli baron Pitchfork, sir Robert i doktor Joachim z Oxfordu. Humory dopisywały im na tyle, że prowadzili rozmowę. Zaraz za nimi jechało kilku rycerzy barona i giermkowie, w tym młody Grzegorz Fellaw, który co chwila stawał w strzemionach, jakby wypatrywał kryjącej się za zakrętem przygody. Po-chód zamykało czterdziestu konnych łuczników,

wśród których wyróżniała się hałaśliwa kompania Willa Balia.

Łucznicy i giermkowie prowadzili kilka jucznych koni i rycerskich rumaków bojowych. Nie wzięto żadnych wo-zów ani zbędnych sprzętów. Nie śpiewano pieśni, a rozmowy prowadzono półgłosem. Nawet niestrudzony właściciel flażoletu powstrzymał się od muzykowania. Postawiono na szybkość, a nie na siłę. Na naradzie przed wyjazdem uzgodniono, że nie ma sensu nastawiać się na konfrontację z Francuzami, bo pierwszy lepszy ich podjazd byłby zapewne dużo liczniejszy niż siły barona Pitchfork. Sam baron, rzecz jasna, miał odmienne zdanie, ale w końcu został przekonany przez wuja i pana Erpinghama.

- Szykuje się ciekawy dzień i może nawet nie będzie padać - zagaił sir Artur.

115

- Wszystko w rękach Wszchemogącego - rzekł sen-tencjonalnie doktor.

- Nie zastanawiała was nigdy Boża wszechmoc, panie Joachimie? - odezwał się pogodnie Robert, choć od kilku dni na skutek intensywnych lekcji fechtunku rwały go wszystkie mięśnie.

- Wielokrotnie zdarzało mi się o niej medytować... -

rzekł nieco obruszony doktor.

- A nie czujecie w tym posmaku *contradictio*? - indagował go dalej młody rycerz.

- W medytacji? - Joachim uśmiechnął się złośliwie. -

Nie. Ale zaiste, roztrzásając niektóre problemy wiary, stajemy przed rzeczami, które noszą znamiona sprzeczności.

- Zaraz, czy dobrze rozumiem? - odezwał się Artur. -

Panowie sugerujecie, że w Bożej wszechmocy tkwi sprzeczność? - Baron był nad wyraz zakłopotany.

- Właśnie tak, drogi kuzynie - rzekł Robert. - Bo sam rozważ to, co już od dawna trapi umysły ludzi nauki: czy Bóg mógłby stworzyć kamień, którego nie zdołałby podnieść?

-No, oczywista, że mógłby! Choć zaraz... nie, nie mógłby... moment... - Wypowiedź barona wyraźnie straciła impet.

- Proszę sobie tym zbytnio nie zaprzątać głowy, czci godny panie Arturze - pospieszył mu z ratunkiem uczo ny mąż. - Nie są to myśli ani przydatne, ani co ważniejsze zbożne. Chodzi o to, aby wierzyć nawet przez absurd...

credo quia absurdum, jak uczył święty Augustyn. Ważne, by oddać Bogu co Boskie, jak choćby Jego wszechwie-116

dzę. Być może umysł nieskończenie większy od naszego mógłby pojąć...

- Sprzeczność? - wszedł mu w słowo sir Robert. -

Doskonałość Boskiej natury...

- Doskonałość?

- Doprawdy nie wiem, panie Robercie, czy macie problemy ze słuchem, czy z pojmowaniem moich słów - odrzekł zirytowany Joachim.

- Myślę, że mam tak poważne problemy z pojmowaniem waszych słów, że zaczynam wątpić w sprawność swoich uszu.

- Ale których słów dokładnie? - zapytał doktor Joachim. - Nie rozumiecie, dlaczego Bóg jest doskonały?

A może negujecie Jego doskonałość?

- Chodzi mi tylko o to, doktorze, że nie wiem, co przez ową doskonałość rozumiecie - wyjaśnił Robert. -

Gdybyście zechcieli ją zdefiniować, jak pouczał Filozof, podając *genus proximus* i *differentia specificam*, to byłoby co rozważać...

- Pojmuję doskonałość jak ów geniusz Anzelm z Canterbury. Innymi słowy, tak jak to jest potrzebne, by wywieść Boskie istnienie na drodze *deductio*...

- Panowie, nie bardzo pojmuję, o co wam się rozchodzi - przerwał im sir Artur - ale zdaje mi się, że wasza dysputa niezbyt się podoba Panu naszemu. Bo czy tkwi sprzeczność w Jego wszechmocy czy nie, to zesłał na nas niemiłosiernie lodową mżawkę - rzekł i pierwsze krople deszczu wraz z jego dezaprobatą położyły kres rozmowie.

Po godzinie zrobili krótki popas, na którym uzgodnili, że przed pocztem barona w słusznej odległości winien 117

jechać zwiad, by w razie natrafienia na wroga pozostali mieli czas stanąć w szyku lub zrejterować. Sir Artur zaprotestował, ale krótko i raczej dla zasady, po czym wyznaczono forpocztę. Przodem ruszył Bali ze swoimi łucznikami pod dowództwem sir Roberta i samego barona, który w tej kwestii nie uległ namowom panów Gotfryda i Ralfa. Wyznaczeni popasali krócej i ruszyli w drogę.

Uniesiona dłoń w łuczniczej rękawicy wstrzymała jeźdź-

ców. Bali zatrzymał konia i rozejrzał się dokoła. Drogę, z którą krzyżowała się ich marszruta, zryły raz przy razie końskie kopyta. Najstarszy z łuczników, Mateusz z Moorow, podrapał się po siwo zarośniętej szczęce i pokręcił

głową. Wychyliwszy się lekko w siodle, porządnie smarknął na ziemię, pomagając sobie lewą ręką, i skonstatował:

- No, to tędy jak nic nie przejdziem.

- Co tam się dzieje, Bali?! - zakrzyknął zniecierpliwiony baron.

- Wygląda na to, jasnie panie, że armia jakaś tędy niedawno przeciągnęła! - padła odpowiedź.

Sir Artur i Robert podjechali do grupki łuczników i przyjrzeni się gościńcowi, który rozciągał się za drzewami tuż przed nimi.

- Niedobrze. Potraficie ocenić, kiedy przeszła? - Pan Pitchfork był lekko rozdrażniony, nikt jednak nie śmiał

spytać, czy to z powodu niebezpieczeństwa, czy przeciw nie - rozminięcia się z Francuzami.

- Tomasz... - rzucił Bali, wskazując na drogę.

Tłusty łucznik zsunął się z konia, posapując, i nieufnie

nie rozejrzał się po zaroślach dzielących ich od gościńca.

Nachylił się kilka razy, przyglądając się czemuś, podrapał

w okrytą kapeluszem głowę i wrócił.

- Mów - rozkazał sir Artur.

- No więc tego, jasnie panie... - bąknął grubas - nie dalej jak cztery dni temu. Musi być, że armia.

- A czy może być, że przeszli całkiem niedawno? -

włączył się do rozmowy sir Robert. - Innymi słowy, czy możliwe, że to ślady awangardy lub sił głównych i że w każdej chwili może tu się zaroić od krzyży świętego Michała?

- No więc tego, może być i tak - rzekł Tomasz - bo jechaliśmy lasem, to i trudno powiedzieć, jak mocno pada-

ło. Jeśli tak jak teraz, to ślady by się tak szybko nie rozmy-

ły, ale jeśli mocniej, to kto wie, czy nie są dużo świeższe.

Robert spojrział na Artura. Kuzyn odwzajemnił spojrzenie.

- Wrócimy do pana Gotfryda i Ralfa i z nimi uradzi-my, jak jechać - orzekł.

- Nie zamierzam kwestionować twojej woli, kuzynie, ale czy nie lepiej byłoby ruszyć lasem wzdłuż

gościńca kawałek na zachód, obserwując go z bezpiecznej odległości?

- A czemu miałyby to służyć, drogi Robercie? - zdziwił się Artur. - Panowie Gotfryd i Ralf nie powiadomieni mogą wpaść na wroga, a do tego nie będą wiedzieli, gdzie jesteśmy.

- Wyślijmy zatem do nich jednego z naszych łuczników, żeby im powiedział, co zdecydowaliśmy - podsunął mu rozwiązanie Robert. - Nie zmitrzymy czasu na 119

narady i dowiemy się, czy nie grozi nam już spotkanie z tylną strażą Francuzów.

Artur zmarszczył czoło, wysilając umysł. Robert zaczął

się już obawiać, że ów szlachetny namysł potrwa równie długo jak przy ich partii szachów, jednak czy to na skutek zniecierpliwienia czy olśnienia baron dość szybko podjął

decyzję.

- Zgoda, kuzynie - powiedział. - Jedźmy wzdłuż go ścińca. Niech Mały Tomasz powiadomi o tym pana Moorow.

- Słyszałeś jaśnie pana, Tomcio. Ruszaj - rozkazał Bali.

Młody łucznik uderzył konia w boki i pojechał lasem na północ.

Ruszyli zgodnie z planem, mając trakt w polu widzenia, ale zachowując dystans. Deszcz kropił nieustannie, ale to nie był problem - w przeciwieństwie do podjęcia decyzji, czy można już bez obaw przekroczyć gościniec. Jechali w milczeniu, trawiąc ów dylemat, aż w końcu z zadumy wyrwały ich dwa dźwięki dochodzące z kierunku, w któ-

rym zmierzali. Pierwszy, szum wody, nie wywarł na jeźdźcach specjalnego wrażenia.

- O! Przed nami rzeka Bresle - lakonicznie skomentował stary Mateusz.

Drugi dźwięk wywołał jednak znacznie żywszą reakcję, był to bowiem kobiecy krzyk. Konie zastrzygły uszami, a sir Artur odruchowo stanął w strzemionach, by lepiej widzieć. Przez zasłonę wysokich sosen nic jednak nie dostrzegł. Krzyk się powtórzył.

120

- Stamtąd - odezwał się nasłuchujący Bali i wskazał

bliżej nie określony punkt na lewo od kierunku jazdy.

Większość mężczyzn popatrzyła po sobie pytająco.

Pan Pitchfork jednak nie miał zamiaru dywagować nad czymś, co było dla niego oczywiste. Po prostu popędził

konia w kierunku, który wskazał dowódca łuczników.

Robert zamrugał oczyma, patrząc na oddalającego się szybko kuzyna.

Pojechał w stronę gościńca. . z pewnością go przekroczy, pomyślał. Jeżeli tam są Francuzi, jesteśmy zgubieni.

Jeżeli tam są Francuzi...

Ostatniej myśli sir Robert nie dokończył. Zamiast tego wrzasnął ile sił w płucach:

- Za mną!

Nie do końca zdając sobie sprawę, że właśnie zmusza konia do karkołomnego galopu przez las, i nie bardzo wiedząc, dlaczego to robi, Robert pognał za baronem.

Łucznicy również dołączyli do swoich panów, modląc się w duchu.

Sir Artur przemknął bez zastanowienia przez gościniec i wpadł w las po drugiej stronie. Zaraz potem skoń-

czyły się drzewa i znalazł się nad rzeką. Na przeciwległym brzegu ujrzał cwałującego karego rumaka, a na jego grzbiecie odzianą po męsku damę z rozwianymi na wietrze długimi jasnymi włosami. W innych okolicznościach młody baron oddałby się zapewne fantazjowaniu, jednak kolejny wrzask, który wydała kobieta, nie pozwolił mu zapomnieć o rycerskich powinnościach. Za niewiastą cwałowało czterech jeźdźców, w kolczugach i częściowo okrytych blachami. Nie wyglądali bynajmniej na czułych 121

adoratorów, których dama zaprosiła do dworskiej zabawy. Przypominali raczej rozbójników bądź maruderów.

Sir Artur, człowiek czynu, a nie chłodnych rachub, wy-ciągnął zatem miecz i z dzikim okrzykiem ruszył przez rzekę, nie czekając na swoich ludzi.

- Nadszedł czas! - ryczał, gdy jego wierzchowiec rozbryzgiwał kopytami spienioną wodę.

Gdy tylko zawołanie rodowe pana Pitchfork doszło do uszu sir Roberta, młody rycerz zrozumiał, że to już koniec. Przecinając gościniec, zastanawiał się tylko nad tym, jak przyjdzie mu zginąć, a wjeżdżając w przybrzeż-

ne zarośla, poprosił Boga o lekką śmierć. Gdy w końcu jego oczom ukazała się rzeka, zmarł. Przed nim sir Artur szarżował na trzech zbirów jadących mu naprzeciw.

Nagle na prawo od miejsca nieuchronnego starcia znów rozległ się niewieści krzyk. Robert spojrzał tam w samą porę, by zobaczyć, jak z ogromnego karego wierzchowca spada do wody drobna kobieca postać i jak podjeżdża do niej opancerzony mężczyzna. Młody rycerz popędził konia w tę stronę, dobywając miecza i niczym krzyżowiec mamrocząc *Pater noster*.

Mężczyzna ów wychylił się głęboko w siodle, żeby pochwycić kobietę. Nie zdążył jednak, a nurt porwał nieprzytomną. Nagle zorientował się, że jego wierzchowiec stoi na skraju brodu. Chciał cofnąć zaniepokojone zwierzę i dopiero wtedy zauważył rozpędzonego sir Roberta.

Młody rycerz uderzył zamasyście, acz niezbyt celnie, bo rozciął jedynie pikowany kaftan na ramieniu osłupiałego jeźdźca. Zaraz potem wpadł na niego z impetem i nagle obaj znaleźli się w głębokiej wodzie.

122

Sir Robert, straciwszy zainteresowanie dla niedawne-go przeciwnika, rzucił się w pław za niesioną nurtem rzeki damą. Rannemu lodowata woda również odebrała wszelką chęć do walki i zaczął rozpaczliwie młócić wodę rękoma. Robert, nie oglądając się za siebie, płynął najszybciej jak potrafił - a była to jedna z niewielu umiejętności cielesnych, które dobrze opanował. Był tym tak pochłonięty, że nawet nie zauważył, jak na brzegu pojawiła się grupa pieszych zbrojnych. Nie widział też, jak z drugiej strony zeskakują z koni łucznicy Balia i pospiesznie nakładają na łączyska wyciągnięte spod kape-luszy i kapturów cięciwy.

Jeden ze zbrojnych jadących na barona wzniosł miecz do zamaszystego cięcia. Zbyttno się jednak przy tym od-słonił. Baron krótko uderzył z prawej i samym sztychem rozciął mu oko i skroń. Miecz wypadł z martwej, odchylonej w nieporadnym zamachu ręki. Tymczasem konny, który dopadł sir Artura od drugiej strony, ciął na odlew, mierząc w odsłoniętą głowę. Rycerz zdołałby sparować ten cios, ale nie zdążyłby się obronić przed atakiem ostatniego jeźdźca. Zaryzykował więc unik. Klinga przeszła mu tuż nad głową. Baron, zasłoniwszy się przed ciosem na prawą nogę, wykorzystał rozpęd, by z mocą odtrącić rękę przeciwnika. Osadził konia i krótkim powrotnym ruchem zdzielił napastnika w skroń okutymi wodzami i stalową rękawicą. Ze zmiażdżonego ucha buchnęła krew.

Artur napał koniem na słaniającego się w siodle rannego i głowicą miecza uderzył go w czoło, a gdy mężczyzna spadał z wierzchowca - w potylicę.

Widząc to, ostatni z trzech konnych, lekko opancerzony, 123

zdecydował się skorzystać z tej przewagi i popędził konia ku brzegowi. Sir Artur ruszył za nim i właśnie wtedy z lasu naprzeciwko wysypało się kilkunastu pieszych zbrojnych.

Zobaczywszy ich, uciekający jeździec zmienił zdanie i za-wrócił wierzchowca. Nie spodziewał się jednak, że rycerz jest tuż za nim i ów brak spostrzegawczości przypłacił głową, która wpadła do rzeki z głośnym pluskiem.

Powietrze przeszły strzały i trzech nadbiegających zbrojnych padło w rzekę. Bali wprawnym ruchem sięgnął

do lnianego, włożonego za pas kołczanu i wyciągnął kolejną strzałę. Błyskawicznie nałożył ją na siodełko, napiął

długi łuk, dociągając cięciwę tylko do brody i ust. Mierzył

przez mgnienie oka i puścił. Cięciwa zsunęła się płynnie po okrytych skórą palcach. Rozległ się świst. Jeden z nadbiegających runął na twarz, gdy strzała przebiła go na wylot.

Z pleców mężczyzny wyszedł na piędź cienki i długi grot -

kolczuga na dystansie pięćdziesięciu kroków nie stanowiła praktycznie żadnej ochrony przed długim angielskim łukiem. Gdy zadźwięczały cięciwy Dużego Willa, Tomasza Smitha i starego Mateusza, Bali już nakładał kolejną strza-

łę. Widząc padające w wodę ciała kompanów, nadbiegający zgodnie wzięli nogi za pas. Właśnie wtedy wjechał pomię-

dzy nich sir Artur i długim mieczem począł zamazyście rąbać na boki, posyłając ich na kamieniste dno.

Sir Robert, zdecydowanie mniej przejęty przebiegiem walki niż losem porwanej przez rzekę kobiety, płynął co sił. W końcu pochwycił miękka łydkę topielicy i przycią-

gnąwszy ją do siebie, rozpoczął mozolną walkę z prądem.

Usiłując wrócić do brodu, minął niesione w przeciwnym kierunku nieruchome ciało człowieka, z którym wpadł

124

do wody. W myślach pogratulował sobie, że tego dnia nie włożył zbroi. Do cna wyczerpany wreszcie zgruntował

i stanął z niewiastą w ramionach.

Walka była właściwie skończona. Bali i jego łucznicy dosiedli na powrót koni i puścili się w pogoń za uciekają-

cymi - nie potrzebowali świadków swej wyprawy, nawet nic nie znaczących pikardyjskich grasantów.

Nagle sir Robert zdał sobie sprawę, że woda jest bardzo zimna. Przycisnął do siebie bezwładne kobiece ciało.

Przemoknięte ubranie oblepiało przyjemnie miękkie krą-

głości. Robert poczuł, jak rozchodzi się w nim fala ciepła i dociera aż do podbrzusza. Spojrzał w twarz uratowanej i zobaczył to, co do tej pory było dlań tylko snem: bladą, delikatną cerę, zamknięte oczy ozdobione długimi rzęsa-mi i lekko rozchylone, doskonale ukształtowane usta. Tak go ten widok zachwycił, że omal nie stracił równowagi.

- Moja hrabina... moja wyśniona... moja Pani z Rzeki - zaczął szeptać gorączkowo.

Długie włosy kobiety opadały na wodę, gdzie nurt ba-wił się nimi, na przemian rozpraszając je i łącząc. Robert wpatrywał się w delikatną uśpioną twarz jak w re-likwię. Nie słyszał rżenia koni ani szumu wody. Zapomniał nawet, że przed chwilą było mu dojmująco zimno.

Czuł tylko bliskość swojej „hrabiny” i lekką obawę, że to znów sen.

Ale to nie był sen, o czym przekonał się - i to dobitnie - gdy tylko topielica otworzyła duże błękitne oczy, spojrzała na niego i... krzyknęła rozgłośnie, co zupełnie wytrąciło go z równowagi. Wyśniona dama, korzystając z tego, że rycerz chwieje się na nogach, zdzieliła go pięścią 125

w twarz. Roberta zamroczyło, a „Pani z Rzeki” szarpnęła mocno całym ciałem. Chciał ją utrzymać, ale zahaczył

stopą o kamień i runął w wodę.

Dama natomiast zwinnie spadła na nogi i ruszyła zwa-wo w stronę brzegu. Tu jednak zagroził jej drogę stoją-

cy po pęciny w wodzie rumak. Nie namyślając się wiele, jasnowłosa piękność odbiła w bok i pobiegła w dół

rzeki. Sir Artur podniósł brew i spojrzał na nią z lekkim niedowierzaniem. Słyszał co prawda o niezwykłym tem-peramencie pikardyjskich i normandzkich kobiet, ale to, co widział na własne oczy, przerosło jego oczekiwania.

Ścisnął konia łydkami i ściągnął wodze, zmuszając go do kłusu z prądem rzeki. Po chwili zrównał się z przemokniętą i zmęczoną uciekinierką. Przywołaławszy na usta uśmiech, który zjednał mu niejedną niewiastę i niejed-nego nieprzychylnego męża, zwrócił się do niej:

- Droga pani, po cóż się trudzić tym bezowocnym bie giem? Czy nie lepiej, byśmy spożyli razem posiłek, grze jąc się przy ogniu?

Dama zatrzymała się, ciężko dysząc. Choć dygotała z zimna, wyprostowała się i dumnie spojrzawszy na jeźdź-

ca, odezwała się doń łamaną angielszczyzną:

- Jesteście szlachetnym przyrodzeniem, panie, znacie zatem mówienie francuskie. - I wzniósłszy oczy ku za chmurzonemu niebu, dodała we własnej mowie: - Tyle pięknych języków na tym świecie, począwszy od zacnej łaciny. Panie, spraw, by ten rycerz znał jakąś ludzką mowę, żebym nie musiała łamać sobie języka tym barba rzyńskim bełkotem.

Już sam akcent, z którym zwróciła się do sir Artura, 126

rozbawił go ponad obyczajną miarę, a wzmianka o szlachetnym przyrodzeniu wycisnęła zeń łzy niepohamowa-nego śmiechu.

Dama spojrzała na niego i zrezygnowana pokręciła głową.

- Kolejny osioł na koniu.. - westchnęła. - Za co mnie nimi karzesz, Boże?

W tym momencie do drżącej z zimna damy i rechoczącego basowo Artura dołączył przemoczony Robert.

Zerknąwszy z niesmakiem na kuzyna, przeniósł wzrok na kobietę i uklonił jej się dwornie, układając w myślach kunsztowne francuskie zdanie.

- Piękna pani, zechciej nam wybaczyć grubiaństwo -

zaczął - i to, żeśmy wystraszyli twą szlachetną osobę, sy tuacja jednak była wielce ekstraordynaryjna i musieliśmy myśleć nie tylko o twojej wygodzie i niezaprzeczalnie na leżnej ci czci, lecz także, a raczej nade wszystko, o twoim bezpieczeństwie.

Robert wyprostował się i spojrzał w zdziwione oczy kobiety swoich snów. Minęła chwila napięcia, podczas której gorączkowo zastanawiał się, czy nie popełnił jakiegoś fatalnego błędu gramatycznego i co to właściwie znaczy „ekstraordynaryjny”.

- O proszę, proszę, niektórzy Anglicy potrafią nawet mówić! - odezwała się „Pani z Rzeki”. - Tylko po co ta pretensjonalna „ekstraordynaryjność”? - Usta młodej damy zacisnęły się odruchowo, gdy badawczo taksowała wzrokiem sir Roberta, który pod jej spojrzeniem po czuł, że miękną mu nogi. - Zechcę wybaczyć, wszelako pod jednym warunkiem - dodała. - Jak się domyśliliście, 127

panie, jestem szlachetnie urodzona, a co za tym idzie, nie mogę tolerować takiego despektu. - Zerknęła z ukosa na sir Artura, który doszedł już jako tako do siebie i robił przepraszającą minę. Najwyraźniej zadziałała tu intuicja, jako że Artur niewiele rozumiał z prowadzonej po francusku rozmowy, zresztą zrozumienie nawet angielskiego zdania tej długości, jakie wygłosił jego kuzyn, byłoby dla pana Pitchfork sporym wyzwaniem. - Oczekuję wobec tego przeprosin - ciągnęła dama - poza tym uważam za niedopuszczalne, że jeszcze mi się panowie nie przedstawiliście.

- Naturalnie... Jestem sir Robert Neville z Pitchfork.

Szanowny kuzynie, ta piękna dama czuje się obrażona twoim rubasznym rozbawieniem i domaga się przeprosin. Chce też poznać twoje imię.

Zmieszany sir Artur zsiadł z konia i skłoniwszy się damie, rozpaczliwie spróbował przypomnieć sobie, czego się nauczył na lekcjach francuskiego, których wielkim nakładem nerwów udzielała mu matka.

- Witaj, pani! - rzekł w końcu. - Przepraszam za obrażę, którą czynię! Jam jest sir Artur Neville, baron Pitchfork, herbu w polu dzielonym w słup czerwonym, krzyż ukośny srebrny, w polu niebieskim widły gnojne czwórzębne złote!

Na twarzy damy pojawił się drwiący uśmiezek satysfakcji.

Kiedy szlachetnie urodzeni trawili czas na tałplaniu się w zimnych wodach rzeki Bresle i dwujęzycznych kon-wersacjach, łucznicy pochwycili uciekające wierzchowce i właśnie sprowadzili je nad rzekę.

- Jaśnie panie! - zawołał jadący na czele Bali. - Mamy konie Francuzów!

128

Sir Artur zwrócił się ku łucznikom.

- Dobrze, Bali, bardzo dobrze - powiedział - jak zwykle dowiodłeś, że można na ciebie liczyć. Czy widzieliście pana Moorow? Powinien już do nas dotrzeć.

- Nie widziałem, jaśnie panie, aż do teraz - odrzekł

zapytany i dodał z nutą niestosownego rozbawienia: -

Wy też niechybnie go zaraz ujrzycie, jako że stoi za wami na brzegu...

Rycerz odwrócił się i rzeczywiście ujrział sir Ralfa na czele konnych, a z nim sir Gotfryda.

- Witaj, bratanku, witaj i ty, synku! - okrzyknął ich pan Moorow. - Zostawić was samopas, a od razu ścią gacie na siebie kłopoty. W lesie zauważyłem jakiegoś usieczzonego nieszczęśnika, który sądząc po głębokości rany, padł z twojej, Arturze, ręki. Ale cóż to ja widzę?

Czyżbyście uratowali z opresji nimfę rzeczną? Kimże jest ta piękna dama?

-Pozwól, ojcze, że ci przedstawię panią... - Robert urwał, uświadomiwszy sobie, że nie zna imienia szcążka-jącej zębami urodziwej Francuzki.

- Ech, synku, synku... - sir Ralf pokręcił głową - że z panią mamy do czynienia, trudno nie dostrzec, sko ro zaś omieszkałeś o imię zapytać, dajmy temu na razie pokój, by nie dokonywać prezentacji, stojąc po kolana w wodzie i trzęsąc się z zimna. Kazałem już Guillaume'owi rozpalić ogień i szykować nocleg niedaleko stąd w dole rzeki, ruszajmy tam więc.

Jeszcze przed zmrokiem dotarli do miejsca postoju, gdzie czekały na nich ciepła strawa, ogień i ciche dźwięki flażoletu.

129

VI

Pan Clermont siedział w dużej drewnianej balii, prostując obolałe członki. W sąsiedniej balii pan Montmerty z zapalem obmacywał rumianą ladacnicę.

Z drugiej strony jedna z dziewczek służebnych dolewała do kąpieli gorącą wodę z cebrzyka. Clermont zerkał raz po raz na chichoczących sąsiadów, uilając tym sobie przedłużające się oczekiwanie na swoją towarzyszkę kąpieli.

W końcu rozsierdzony zwłoką przemówił:

- Doprawdy, panie Montmerty, czy aby nie posuwacie się za daleko? Wszak dwa kroki od nas jest izba z miękkim łóżem, w której możecie zaspokoić chuć. Uwolnili-byście moje oczy od widoku waszego nagiego zadka i dalibyście spokój mej duszy, a przy tym odjęlibyście trudu mojemu spowiednikowi.

- Oczywiście, panie Clermont, skoro taka wasza wola -

ochoczo przystał na tę sugestię Montmerty. - Chodźmy, duszko... - rzekł, ujmując rozchichotana kobietę za rękę i goły jak go Bóg stworzył skierował się do odosobnionego pomieszczenia.

Pan Clermont, zadowolony, że zapewnił spokój swojej duszy, uśmiechnął się, odprowadzając spojrzeniem jędr-131

ne pośladki ladacznicy, póki nie zniknęły za bogato zdobionymi drzwiami. Przez chwilę kontemplował same drzwi z wyrytą biblijną sceną, w której naga Ewa podawała Adamowi jabłko, głaszcząc go po udzie. Praojciec ludzi jeszcze nie skosztował owocu, jednak przyglądał mu się zaciekawiony. Z gałęzi drzewa zwisał potężny wąż o zaskakująco rozumnym spojrzeniu. Wyglądał, jakby spró-

bował jabłka, bo oplatał zalotnie nogę kobiety.

Dziewka służebna wyszła. Drzwi od izby z baliami trzasnęły. Clermont spojrzał gniewnie w tę stronę.

- Doprawdy... hmm... panie Clermont, nie spodziewałem się tego po was! - rzekł przybysz, który uczynił

ten hałas.

- Witam, panie Dawidzie... - bąknął skarcony i podniósł się szybko, osłaniając lędźwie leżącym nieopodal płótnem. - Zapewniam pana, że przyszedłem tu jedynie z zamiarem obmycia grzesznego ciała i...

Mistrz kuszników machnął z rozdrażnieniem ręką, podchodząc do zakłopotanego rycerza.

- Panie Clermont... - powiedział - takie rzeczy mo żecie opowiadać swemu spowiednikowi albo...
hmm, tym, no... dziewczkom, których cnotę poddajecie próbie.

Mnie jednak, mężowi w sile wieku... hmm... nie godzi się słuchać takich niedorzeczności.

Rambures podszedł do sąsiedniej balii i zaczął odpinać złote kołeczki swojej niezbyt modnej szaty.
Gdy dotarł

do pasa, zwrócił się ku stojącemu w wodzie mężczyźnie.

- No... hmm... - mruknął - nie stójcie jak psia kuśka na wiosnę. Jeszcze się przeziębicie.

Clermont poczerwieniał lekko, na poły ze wstydu, na 132

poły ze złości, lecz tylko odrzucił ściskane w garści płótno i zanurzył się. Mistrz kuszników
niespiesznie ściągnął ubranie i starannie zawiesił je na kołku wbitym w ścianę. Pod nim postawił
parę pamiętających lepsze czasy trzewików, po czym sapiąc i wzdychając, wgramolił się do balii.
Kiedy już leżał zanurzony po szyję, rzekł do młodego towarzysza:

- Ech. . co ja z wami mam, panie Clermont. Jesteście mi bliscy jak rodzony syn. Ale cóż... hmm...
znajduję was tutaj w łaźni, która od lat uchodzi głównie za zamtuz.

I cóż... z jednej strony serce mi się raduje, że dotarliście aż do Senerpont... a z drugiej... hmm... a z
drugiej nie cieszy mnie, że zatrzymaliście się w tej... hmm... łaźni.

- Ależ szanowny panie! - udał dotkniętego Clermont -

zaszedłem tu tylko się obmyć i dać odpocząć członkom. -

Rozejrzał się nerwowo, licząc na to, że umówiona dziewczka jednak się nie zjawi.

- Oj, panie Clermont - westchnął Rambures, uśmiechając się półgębkiem. - Nie rozglądajcie się tak
gorączkowo... ona nie przyjdzie... odwołałem. A z tym odpo-czynkiem członków to już, hmm, setnie
mnie bawisz.

Skończmy wreszcie tę dziecinadę i porozmawiajmy po-ważnie. Jak rozumiem, nie odnalazłeś Marii...

Przejście na poufałą nutę upewniło wreszcie młodego rycerza, że nie pograżył się w oczach mistrza
kuszników i jest li tylko obiektem zabawy. Z jednej strony dodało mu to otuchy, z drugiej zaś
zirytowało.

- Nie, nie odnalazłem - przyznał. - Objechaliśmy oko liczne wsie, po obu brzegach Bresle od
Audicourt i Mille-mont aż po Hoden i Paigneufe. Konie w opłakanym sta nie, a ludzie pytają mnie,
czy nie powinniśmy dołączyć 133

do konetabla w Abbeville lub zaczekać na główne siły, bo lada dzień ruszą z Rouen, jeśli już tego nie
zrobiły.

-Wiem, wiem... hmm... nie martw się, drogi Bertrandzie... Spotkałem się z panem d'Albretem i powiedziałem mu, hmm... że mam problem, z którym się muszę uporać, nim dołączę do armii. Niech więc cię to już nie martwi. Jak ci przekazałem: na wojnę zdążymy.

Zresztą... hmm... konetabl powiedział mi, że sam ma siły co najmniej równe angielskim. A przecież jest jeszcze, prawda, Boucicaut i armia delfina. Nie trap się więc losami wygranej wojny.

- Konetabl rzekł jeszcze coś ciekawego? - Clermont podrapał się po elegancko przystrzyżonej bródce.

-Tak... hmm... podobno posłał pana Montcoquier do Arras. Hmm... żeby namówił hrabiego Charolais do udziału w wojnie... - Rambures ziewnął i pokręcił głową. - Coś mi się nie widzi, żeby syn naszego... hmm...

miłościwego księcia Jana dostał pozwolenie na wojaczkę.

- A wy dostaliście, panie Rambures, jako wierny wasal?

Mistrz kuszników skrzywił się i lekko zagryzł wargę.

Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Sądzicie, panie, że nawet nie dojdzie do bitwy - zagadnął Clermont - że Anglicy poddadzą się i ukorzą przed nami?

- A czemuż by nie? Co oni mogą wystawić przeciwko nam? Garstkę rycerzy i bandę łuczników, którzy napaskudzą pod siebie, jak tylko rozpędzimy nasze destriery.

Clermont pokręcił głową, nie przestając czochrać bródki.

-No, nie wiem... - powiedział - pod Poitiers jakoś 134

nie napaskudzili pod siebie, w przeciwieństwie do naszych chorągwi nadjeżdżających z Orleanu.

Poirytowany Rambures machnął ręką.

- Napaskudzą czy nie - rzekł - zanim się z nimi ze trzemy, musimy odnaleźć moją niepokorną córkę.

Siedzieli przy jednym z pięciu niewielkich ognisk. Maria dostała na zmianę houppelande barona Pitchfork, w któ-

rej miał prowadzić negocjacje z Burgundczykami. Zaraz potem nastąpiło oficjalne przedstawienie. Dziewczyna przez chwilę biła się z myślami, czy nie ukryć, kim jest, bojąc się, że Anglicy, zażądawszy okupu, oddadzą ją ojcu.

Z drugiej strony chciała, by potraktowali ją stosownie do jej stanu, lecz zmarznięta i głodna nie miała sił wymyślać żadnych łgarstw, by zabezpieczyć się przed szybkim powrotem do domu. Po raz

pierwszy od opuszczenia zamku ojca pomyślała, że to nieuniknione. Postanowiła więc zaryzykować i wyjawić prawdę...

- Jestem Maria Rambures, najstarsza córka pana Da wida Rambures, wielkiego mistrza kuszników i pana na zamku Rambures...

Wokół rozszedł się szmer zdziwienia.

- Jakże mamy sobie tłumaczyć, jaśnie panno, waszą obecność w czas wojny w tej leśnej głuszy? - wyraził po-wszechne zaciekawienie najstarszy z obecnych sir Gotfryd.

- Okazałam nieposłuszeństwo ojcu i opuściłam progi jego domu w poszukiwaniu lepszego losu - odpowiedziała Maria.

135

Tym razem na twarzach nielicznych zebranych, którzy rozumieli francuską mowę, pojawiły się drwiące uśmiechy. Z pomocą przyszedł Marii sir Ralf:

- Cóż. . z tego, co mi wiadomo, pan Rambures nie jest przyjacielem żadnego z zebranych przy tym ogniu...

Zawtórował mu pomruk wesołości.

- Co jednak nie znaczy, że zachowamy się niegodnie wobec szlachetnej białogłowy - ciągnął pan Moorow. -

W moim rozumieniu zwalnia nas to jednak z obowiązku odnalezienia mistrza kuszników i odeskortowania jego uroczej córki na zamek. Co o tym sądzisz, przyjacielu? -

zwrócił się do sir Gotfryda.

Zagadnięty podkręcił siwiejące wąsy.

- Całkowicie się z tobą zgadzam - powiedział. - Zwłaszcza że natura naszej misji nie pozwala nam zostawiać ja-kiegokolwiek świadka, póki jej nie dopełnimy.

- Zatem panna Rambures umili nam podróż swą piękną osobą - stwierdził sir Artur, zerkając z uśmiechem na dziewczynę.

Maria zmierzyła go chłodnym wzrokiem i rozejrzała się za miejscem, w którym mogłaby usiąść. Sir Robert bez wahania rzucił jej do stóp swój gruby wełniany płaszcz.

Panna Rambures spojrzała uprzejmie na młodzieńca i usiadła. Robert zastygł i ponownie poczuł, że mięknię mu nogi. Mimo to złowił kątem oka spojrzenie ojca, któ-

ry z uwagą przyglądał się temu zdarzeniu, i jego uśmiech satyra. Młody rycerz poczuł, że płoną mu

policzki. To zakłopotało go jeszcze bardziej.

- Będziecie nade mną czuwać całą noc, panie Neville?

Robert odwrócił się w stronę głosu, który brzmiał dla 136

niego jak anielskie chóry, a w każdym razie tak, jak sobie ich pienia wyobrażał.

- Jeśli taka twa wola, pani.. - bąknął. - Prawdę jednak rzekłszy, zamierzałem właśnie prosić, byś pozwoliła mi zasiąść, pani, przy swoim boku.

- Cóż, płaszcz należy do pana - odrzekła swobodnie dziewczyna. - Musiałby pan popaść u mnie w wielką nie-

łaskę, abym zważywszy na to, nie zezwoliła wam usiąść.

- Siadam zatem, bo nawet gdybym był u pani w wielkiej niełasce i nie zezwoliłaby mi pani na to, jakżeż mógł-

bym zakładać taką bezwzględność u damy o tak gładkich rysach... - odrzekł dwornie i uczenie.

Maria lekko zmrużyła ogromne oczy.

- A jakiż to związek widzicie, panie Neville, między gładkością rysów a bezwzględnością charakteru? - za gadnęła go.

Robert spojrział na nią badawczo.

- Właściwie to nie widzę żadnego - powiedział. - Ale zdaje mi się, że jest jakiś związek między gładkimi rysami a rozumnością.

- Jaki? - zapytała Maria.

- Niektóre niewiasty o gładkich rysach są rozumne.

- Muszę stwierdzić, że to bardzo wątki związek, panie Neville.

- To prawda, pani - przyznał Robert - ale spieszę go wzmocnić. Wszystkie kobiety siedzące przy tym ognisku są rozumne.

- A gdzież się podziały gładkie rysy? - nieco pobłażliwie zwróciła mu uwagę Francuzka.

- Racja. O mało nie zapomniałem. Wszystkie te ko-137

biety mają gładkie rysy i... dodam coś jeszcze za waszą, pani, zgodą...

- Zgoda.

- . . i wszystkie one są bardziej łase na komplementy, niżby się wydawało.

Maria lekko wydeła usta, nie przygotowana na imper-tynencję w takim momencie. Szybko się jednak opanowała, a nawet uśmiechnęła rozbawiona.

- Cóż... - odezwała się - alboście bardzo nieporadni w sztuce dworskiej rozmowy, albo nader nietuzinkowi, panie Neville.

- Nie ukrywam, że nie dbam specjalnie o mody i poezję.

- A to wielki błąd, drogi kuzynie - wtrącił po angielsku sir Artur. - Wszak w naszych czasach kwitnie cu-downa poezja miłosna, której wiele strof napisano wła-

śnie w ziemi francuskiej. Przecież nie kto inny jak Jan Le Meingre zwany Boucicaudem napisał *Le livre des cent ballades*. Czyż sam Karol książę Orleanu nie jest wybornym poetą?

- Być może. Czyżbyście, panie, byli zainteresowani poezją? - odezwała się Maria. - Potrafilibyście przytoczyć jakieś słowa, powiedzmy. . Tybauda z Szampanii? Z pewnością też nie jest wam obcy ów zacny poeta, z którego rodu wywodzą się hrabiowie Artois, panowie ziem, na których się znajdujemy. Mam oczywiście na myśli Konona z Bethune. Cóż to, panie? Jesteście jakby bledsi. . czyżby-

ście nie cenili dawnych artystów? Zatem może zabawicie mnie jakąś pieśnią bardziej współczesną? Co powiecie na Alana Chartiera lub tak bliskiego waszemu sercu księcia 138

Karola? Przytoczycie, proszę, jakieś ich słowa. - Oczy Marii były lekko zmrużone, gdy patrzyła na sir Artura.

- Cóż... - Baron zrobił dość niewyraźną minę.

Z boku jednak odezwał się zamyślony sir Ralf: *Iayfait lobseque de ma dame*

Dedens le moustier amoureux, Et le service pour son ame A chanti

Penser doloureux.

Rozmowy prowadzone przy ognisku zamarły i wszyscy spojrzeli na zapatrzzonego w ogień deklamującego rycerza. Nawet ci, którzy nie znali francuskiego, słuchali w skupieniu.

Mains sierges de soupirs piteux Ont esté en son luminaire; Aussifayfait la tombefaire De regrez, tous de lermespains, Et tout entour moult richement Est escript: Cygist

*wayement Le tresor de tous biens mondains.**

* *Kazałem pogrzeb moje) pani Sprawić w świątyni miłowania; Żalobną mszę śpiewała dla niej Żalosa myśl, a ze szlochania Były gromnice; z narzekania Kazałem grób jej wybudować I*

okazale pomalować Łzami z lamentów pogrzebowych; Ozdobny napis tam

(Karol Orleański, *Ronda i ballady*, przeł. Jacek Kowalski, Volumen, Warszawa 2000)

139

Maria zerknęła ukradkiem na sir Roberta i dostrzegła smutne, błyszczące w ogniu oczy. Minęło trochę czasu, nim ciszę przerwał nieco zachrypnięty sir Gotfryd:

- Tak, przyjacielu... tak właśnie było, ale już wylaliśmy za tym łzy.

- Prawda. - Sir Ralf pokiwał głową i rozejrzał się jak człowiek dopiero co przebudzony.

Zebrani pomału wracali do rozmów. Sir Artur, wciąż nieco zmieszany, zwrócił się do siedzącego obok sir Wilfryda, a sądząc z gestykulacji, zaczął mu opowiadać o potyczce nad rzeką.

- Widzę, że baron Pitchfork dzieli swoją pasję do poezji dworskiej z umiłowaniem *chansons de geste* - stwierdziła Maria, przyglądając się rozmawiającym rycerzom.

Robert mimowolnie się uśmiechnął. Miał jednak odpowiedzieć, sięgnął do leżącej przed nim płóciennej torby, którą przyniósł Grzegorz. Były w niej naczynia i glinia-na butelka wina zaprawionego korzeniami.

Maria spojrzała na niego.

- A wy, panie? - zapytała. - Dlaczego nie bawi was poezja?

- Trudno powiedzieć, pani. Ot, po prostu w czym innym znajduję przyjemność, co innego zaprzęta mój umysł.

- A cóż, jeśli można wiedzieć?

Robert niezbyt wytwornie pochylił głowę, udając, że szuka czegoś w torbie. Nie był pewien, czy na czas ukrył

zakłopotanie i nie przystojący mężczyźnie rumieniec.

Wyciągnął z torby cynowy kubek i butelkę, a następnie hardo spojrzał w oczy, które widział tyle razy w snach.

Mocno postanowił powiedzieć to, co sprawiało, że krew płynęła w nim szybciej. W ostatniej chwili rzekł jednak: 140

- Koncepcja supozycji Piotra Hiszpana i sylogistyka Arystotelesa.

- Doprawdy? To bardzo interesujące! - niespodziewanie ucieszyła się dama.

Robert w pierwszej chwili pomyślał, że sobie z niego zakpiła. Przyjrzał się jej uważniej, szybko jednak spuścił

wzrok i zaczął nalewać wina.

- Naprawdę... - zaczął - znajdujecie to, pani, cieka-wym? Dziw, że w ogóle cokolwiek wiecie w tej materii i że moje słowa nie zabrzmiały dla was obco.

- Cóż... ojciec ma pokaźną bibliotekę, a matka podziela pogląd Krystyny de Pisań, że umysł kobiecy jest równie sposobny do nauki jak męski.

- Nie musicie się, pani, tłumaczyć ze swego wykształ-

cenia. To nie wstyd. Czyż nie mówi francuskie przysłowie „Sprawiedliwie zasługuje na haniebną śmierć ten, kto nie lubi książki”?

- Ależ ja nie tłumaczę się z tego, że mam wykształcenie, tylko dlaczego je mam. Ponadto, panie Neville, ludzie niezbyt przychylnie patrzą na wykształcone kobiety.

Zresztą sama pani de Pisań, skoro już o niej wspomnia-

łam, powiedziała: „Dola większości niewiast jest cięższa niż niewolnika u Saracenów”.

Robert pokiwał głową.

-Cóż... Napijcie się, pani, wina? - zapytał. - Wybaczcie, że podaję je w tym nędznym naczyniu podróz-

nym.

- Chętnie, panie Neville. Nie sądźcie jednak, że zawar tość tego pucharka sprawi, iż zapomnę o temacie naszej rozmowy...

141

W uszach młodego rycerza nawet napomnienie wypo-wiedziane przez Marię brzmiało jak najczulsza obietnica.

Trudno więc się dziwić, że dalsza rozmowa przebiega-

ła bardzo żywo, a Robert i Maria do zajmujących oboje tematów, od których zaczynali konwersację, dołączyli wkrótce kolejne. Rozmowa przeciągnęła się do późnej nocy. Wielu już posnęło, ale jeszcze jakiś czas przy są-

siednim ognisku śpiewano z pijackim zapalem mało dworną pieśń. Ponad inne głosy wybijał się

ochrypiły te-nor Guillaume'a.

Ale make many a man to stombel at a stone; Ale make many a man to go dronken home, And ale make many a man to breke his tonę.

Sir Robert zaniepokoił się, że jego piękna towarzyszka może zrozumieć słowa pijackiej pieśni, po chwili stwierdził jednak, że sam ledwo by je rozumiał, gdyby nie słyszał ich wcześniej.

*Ale make many a man to draw his knife; Ale make many a man to make grete strife; And ale make many a man to betę his wije. **

Wino przyjemnie krążyło w głowach. W końcu nawet niestrudzony giermek pana Moorow dał za wygraną *Przez piwo wielu potyka się o kamień, Przez piwo wielu urżniętych do domu wraca, I przez piwo wielu bełkotać zaczyna.*

Przez piwo wielu noża dobywa, Przez piwo wielu utarczkę wszczyną, I przez piwo wielu żonę bija.

142

i przestał śpiewać. Ucichł flażolet. Maria położyła się na płaszczu.

- Będziemy tak spali niczym nie okryci, panie Robercie? - zapytała.

- Och, nie pomyślałem o tym, a mój giermek już śpi.

Zaraz przyniosę koce.

- Wracajcie żwawo, panie, bo noc szykuje się chłodna, a w okolicy mogą być jeszcze zbóje, którzy mnie napadli.

- Nie bójcie się, pani, nie spuszczę was z oka - zapewnił Robert dziewczynę.

- Mam nadzieję, że nie tylko teraz.. - odpowiedziała zalotnie.

Sir Robert poczuł falę ciepła rozchodzącą się po ciele i z uśmiechem wstał. Wino uderzyło mu do głowy i pierwsze dwa kroki postawił niezbyt pewnie. Wziął głębszy wdech i ruszył w las ku spętany koniom. Gdy oddalił się na kilkanaście kroków od ognia, ogarnęła go ciemność.

Chciał już wrócić po pochodnię, ale niedaleko usłyszał

rzenie. Poszedł w kierunku, z którego dochodziło, wycią-

gając ramiona, by nie rozbić głowy o drzewo. Nagle kątem oka dostrzegł światło. Obrócił się szybko w tę stronę.

- Stać! Kto idzie?! - dobiegł go znajomy głos, którego jednak nie potrafił przypisać do osoby.

- Robert Neville! - odpowiedział, osłaniając oczy przed światłem pochodni.

- A, to wy, panie! Wybaczcie, ale musimy zachować czujność.

Właścicielem owego głosu okazał się Duży Will. Obok rosnącego mężczyzny stali Bali, Tomasz Smith, a za nimi, ku zaskoczeniu rycerza, doktor Joachim z Oxfordu.

143

- Trzymacie wartę? - zapytał zdziwiony Robert. -

Czyżbyście nie mieli jej zeszłej nocy? I wy też wartujecie, panie Joachimie?

- Nie, nie wartuję - odrzekł uczony mąż. - Udałem się tu za potrzebą ciała, że uprzedzę waszą nieposkromioną ciekawość, panie Robertcie - wyjaśnił *poirytowany*, wci-skajac koszulę w rozwiązane nogawice, co utrudniała mu opadająca do ziemi robę.

- My... no... - wydukał Duży Will, oglądając się na towarzyszy.

- Owszem, jaśnie panie, mamy wartę - odezwał się Bali. - Pełniliśmy ją również wczoraj, jak słusznie, panie, zauważyliście. Wyznaję zasadę, że jeśli coś ma być zro-bione dobrze, należy to zrobić samemu - gładko dokoń-

czył to, co topornie zaczął Duży Will.

- Rozumiem. Dobrze się dzisiaj sprawiliście nad rzeką. Dajecie dobry przykład pozostałym - rzekł Robert, czując, że wino przejęło władzę nad jego językiem i że mówi rzeczy, których na dobrą sprawę nikt z obecnych nie oczekuje.

- Dziękuję, jaśnie panie! Jak zawsze jesteśmy do usług domu Neville. - Bali skłonił *się* dwornie i uśmiechnął

krzywo, a pozostali łucznicy poszli niezgrabnie za jego przykładem.

Robert poczuł się jakoś dziwnie. Znów miał nieprzyjemne wrażenie, że ukłon Balia był nieco za głęboki i że cała jego postawa wyraża drwinę, a łucznicy są podenerwowani. Przyszło mu do głowy, że to wrażenie może mieć związek z korzennym winem, które wypił przy ognisku, 144

nie zdążył jednak z tego wyciągnąć wniosku, bo przerwał

mu tętent kopyt galopującego konia.

Łucznicy spojrzeli po sobie. Doktor Joachim zerknął

ukradkiem na Roberta, a następnie na Balia.

- Łuki! - syknął ów i wprawnie ugiąwszy łączysko, założył cięciwę.

Po chwili trzech mężczyźni mieli w rękach łuki z nasadzonymi strzałami. Doktor Joachim gorączkowo wpatrywał się w noc, w kierunku, z którego dochodził na-rastający tętent. Robert momentalnie wytrzeźwiał. Odruchowo sięgnął po miecz, jednak uświadomił sobie, że niebaczenie zostawił go przy ognisku. W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że w całej tej sytuacji jest coś podejrzanego, że zamiast chwytać za łuki, mężczyźni powinni raczej obudzić uśpiony obóz. Tętent narastał, ale można było stwierdzić, że nadjeżdża samotny jeździec.

Dlaczego nie krzyczą, dlaczego nie budzą pozosta-
łych? - przelatywały mu przez głowę gorączkowe myśli.

- Kto jedzie?! - krzyknął Bali, stając w pozycji strzeleckiej z lewą nogą wysuniętą do przodu.

Dlaczego nie krzyczą? - wciąż dziwił się Robert. Sam wszcząłby alarm, ale obawiał się, że narazi się na drwiny, jeśli przyczyna okaże się błaha.

- Swój! - odpowiedział po angielsku głos z ciemności, a tętent przycichł i zwolnił.

- Kto? - Bali nawet nie drgnął, utrzymując pozycję, z której w mgnieniu oka mógł oddać strzał.

- Huxley, Jan Huxley.

Bali spojrzał po kolei na stojących obok niego męż-

145

czyn. Duży Will pokręcił głową, tak samo Tomasz Smith.

Gdy wzrok łuczника padł na sir Roberta, młody rycerz oprzytomniał.

- Tak, znam tego człowieka - powiedział. - To fech...

kowal. Kowal i płatnerz, swój.

- Podjedź bliżej! - zakomenderował Bali i po chwili w krąg światła wjechał, jak można było oczekiwać, Jan Huxley. Dosiadał pięknego siwka, odziany był zupełnie nie jak kowal czy płatnerz. Wysokie jeździeckie buty zachodziły na eleganckie nogawice w odmiennych barwach.

Dłoń trzymającą wodze okrywała długa czarna rękawica z szerokim mankietem. Miał na sobie ciemnoniebieski przeszywany z góry na dół pikowany kaftan z wysokim kołnierzem zawiązanym pod brodą, a na głowie założoną szpicem do tyłu trójkątną czapkę, spod której wystawał

lniany czepiec. Z pochwy u grubego szerokiego pasa wy-

laniała się długa rękojeść miecza. Po drugiej stronie wisiał puginał tarczowy. Krótka mówiąc, zapewne żaden rycerz poniżej hrabiego nie wstydziłby się w takim stroju ruszyć na polowanie, a każdy knecht bardzo by chciał pokazać się w nim w kościele. Jedno natomiast nie ulegało

wątpliwości. Kowal, a nawet płatnerz, nie wzięłyby takich szat na wyprawę wojenną. A już zupełnie niewyobrażalne było, żeby jechał na tak zacnym siwku. Sir Robert przez chwilę zastanawiał się, jak często Huxley udziela lekcji fechtunku, że go na to wszystko stać, zaraz jednak skarcił

się w duchu za te żałośnie śmieszne dociekania.

- Witajcie, panie. Wyglądacie, jakbyście ujrzeli ducha - zwrócił się do niego przybysz i spojrzął na pozostałych.

146

- No cóż, nie spodziewałem się, że cię tu spotkam -

odrzekł Robert. - Co tu właściwie robisz?

- Jestem posłańcem królewskim. - Huxley gładko zeskoczył z konia i sięgnął do pękatej sakwy przytroczonej do pasa.

- Posłańcem królewskim? - zdziwił się Robert. - Naszym dowódcą jest baron Artur Neville z Pitchfork.

Chodźmy więc do niego z wiadomością...

- Ależ nie.. - Kowal uśmiechnął się sztucznie. - Wiadomość ta nie jest przeznaczona dla żadnego z panów Neville ani dla nikogo, kto się tu znajduje - rzekł i wy-jawszy z sakwy zwinięty pergamin, podał go Robertowi.

Rycerz, nieco skonsternowany, spojrzął na krążek la-ku. Pieczęć królewską widział parę razy w życiu. Wysilił

pamięć, by jak najdokładniej odtworzyć jej obraz i po-równać z tym, co miał przed oczami.

-Pozwólcie, panie... - odezwał się doktor Joachim, wyciągając rękę po dokument.

Słowa te dotarły do młodzieńca, akurat kiedy wydało mu się, że z pieczęcią jest coś nie w porządku. Stwierdziw-szy jednak, że nie jest wystarczająco kompetentny, by to ocenić, bez ociągania oddał zwój Joachimowi. Doktor skwapliwie pochylił się nad pieczęcią, co miało ten skutek, że na oczy opadł mu ogon chaperonu. Westchnąwszy, uczone odrzucił go na plecy i podjął badanie.

- Williamie, podejdź tu z tą pochodnią - rzekł, nie odrywając oczu od pieczęci, a Duży Will usłużnie wykonał

polecenie. Joachim wodził przez chwilę palcem po kra wędzi laku, mamrocząc coś pod nosem, aż w końcu się wyprostował.

147

- Jest to w istocie pieczęć naszego pana króla Henryka - orzekł.

- Pewniście tego? - odezwał się nieśmiało sir Robert.

Po prawdzie miał nadzieję to usłyszeć, obawiając się konsekwencji innej oceny, nie dawało mu jednak spokoju przelotne wrażenie, które odniósł wcześniej.

- Owszem, panie Robercie, równie pewny jak tego, że Jezus umarł na krzyżu za nasze grzechy.

Joachima z Oxfordu wyraźnie rozzłościło pytanie, a hamował się jedynie ze względu na urodzenie rozmówcy.

Sir Robert zrozumiał, że była to wypowiedź kończąca dyskusję, co tym bardziej go zaniepokoiło.

- Dobrze więc - powiedział. - Skoro potwierdziliśmy autentyczność pieczęci, jesteś wolny, Huxley, możesz jechać dalej.

- Tyle tylko, panie Robercie, że ja właśnie zamierza-

łem do was dołączyć - odezwał się posłaniec. - Nasze drogi będą się przez pewien czas pokrywały, a okolica nie jest bezpieczna.

- Nie rozumiem. - Robert znów nabrał podejrzeń. -

Skąd wiesz, że jest nam po drodze?

- Pan Erpingham, który poruczył mi ów list królewski, rzekł, dokąd zmierzacie, i poradził, bym się do was przyłączył.

Jeżeli Huxley kłamał, to robił to niezwykle przekonująco. Przez cały czas patrzył sir Robertowi prosto w oczy.

- Panie Robercie, czy jest jakiś powód, by nie ufać temu człowiekowi? - zapytał Joachim, który zdążył już nieco ochłonać.

Rycerza zaskoczyła trafność tego pytania, lecz po krót-

kim namyśle doszedł do wniosku, że choć sytuacja jest nieco osobliwa, nie ma rozsądnych podstaw, by wątpić w uczciwość posłańca.

- Nie - stwierdził. - Ogrzej się przy żarze, Huxley, i daj wypocząć wierzchowcowi. Do świtu zdążysz nawet trochę pospać.

- Dziękuję, panie... - Huxley skłonił się lekko.

Gdy Robert wrócił z kocem, Maria już spała zwinięta w kłębek. Młodzian zaklął w myślach i okrył ją. Położył

się obok na plecach, rozmyślając o niedawnym zajściu i starając się przypomnieć sobie jak najwięcej szczegó-

łów. Po chwili dziewczyna drgnęła i na wpół przytomna odwróciła się do niego. Spojrzał na nią. Bez słowa przytuliła się do jego boku, a zaraz potem zaczęła oddychać miarowo i lekko. Rycerz przestał myśleć o czymkolwiek poza przyjemną bliskością kobiety, na którą czekał całe życie, a zbliżał się do niej dotąd jedynie w snach.

Ranek piętnastego października powitał ich, jak poprzednie, lekką mżawką zwiastującą obfite opady w ciągu dnia. Atmosfera była nerwowa, panowie Ralf i Gotfryd doszli bowiem do wniosku, że tempo podróży pocztu jest zdecydowanie zbyt wolne. W konsekwencji na giermków i żołnierzy spadły wrzaski i upomnienia. Śniadanie było skąpe, a modlitwa krótka. Szybko zwinęli obóz, co nie nastroczało zbytnich trudności, gdyż z braku namiotów wszyscy spali w ubraniach podróżnych.

Trochę czasu za-149

jęło przywdzianie zbroj, ale w godzinę wszyscy byli już gotowi do wymarszu.

Poranek obszedł się mało łaskawie z sir Robertem, który obudzony krzykiem ojca zerwał się na równe nogi, co wywołało u niego zawroty głowy. Co gorsza, panna Rambures obudziła się również gwałtownie i w zdecydowanie złym nastroju.

- Synu, w drogę! - wołał sir Ralf. - Tuszę, żeś po nocy pełen sił, gdyż musimy dziś przejechać znacznie więcej niż wczoraj. - Pan Moorow, dostrzegłszy wyłaniającą się spod koca burzę jasnych zmierzwionych włosów, do dał: - Witam, panno Rambures, mam nadzieję, że mój syn dołożył wszelkich starań, by noc minęła wam przyjemnie. .. - i uśmiechnął się szeroko, patrząc na syna.

Robert poczuł się, jakby miał na powrót czternaście lat. Ojciec znów był wesołym satyrem szukającym we wszystkim alkwianych aluzji.

- Oczywiście, ojcze, ale czy mogę cię prosić na stronę? - zapytał, by odciągnąć tak usposobionego rodzica od nie do końca przebudzonej Marii, która zdziwiona patrzyła na otaczające ją zewsząd włosy.

- Oczywiście, synu, oczywiście, ale tylko na chwilę.

Nie możemy sobie pozwolić na zwłokę.

Sir Ralf skłonił lekko głowę przed nie zwracającą na niego uwagi Marią, a następnie położył Robertowi rękę na plecach i ruszył przed siebie. Przeszli w milczeniu kilka kroków, aż w końcu młody rycerz wywinął się niezbyt elegancko spod ojcowskiego uścisku i spojrzał na pana Moorow. Spróbował przybrać minę człowieka, który ma do oznajmienia coś niezwykle ważnego i byłby wdzięcz-150

ny za przyjęcie jego słów z należytą powagą. Nim jednak się odezwał, sir Ralf powiedział:

- Rozumiem synu, to naturalne. Rozumiem, że tra-pisz się tym, iż ona jest wielką panią, córką dostojnika, a ty zwykłym rycerzem, choć sroce spod ogona również nie wypadłeś. Ale pomnij dwie

rzeczy. *Primo*: jesteś rycerzem angielskim, *secundo*: powierzono nam poważne zadanie, którego sukces przysporzy nam uznania w oczach naszego miłościwego króla. Staraj się zatem. Spraw się dobrze, a nagroda będzie twoja. *Fortes fortuna adiuvat*, synku, zapamiętaj mądre słowa starożytnych.

- Co też ojciec znowu wymyślił? Ja w ogóle nie o tym chciałem.. - Robert słuchał rodzica z otwartymi ustami i niedowierzaniem w oczach, teraz jednak zaczął mówić pewnie i głośno, może nawet zbyt głośno: - Tata to zawsze coś wymyśli - jak strzałą w płot. Mam do powiedzenia coś ważnego, a tata mi tu jakieś sentencje przyta-cza nie wiadomo z jakiej okazji.

Teraz sir Ralf był nieco zbity z tropu. Robert przerwał swoją gorącą przemowę, widząc stojącego nieopodal Guillaume'a. Giermek chciał podejść do rozmawiających, ale czy to na skutek zachwyty nad koronami otaczających ich sosen, czy okrzyków sir Roberta przystanął

o parę kroków od ojca i syna, zadzierając głowę.

- Co znowu? - Sir Robert spojrział z wyrzutem na ojcowego giermka.

Guillaume opuścił głowę, podszedł parę kroków, odchrząknął i przemówił:

- Otóż w nocy pojawił się w obozie pewien człowiek. .

- Tak, wiem - rzucił ostro Robert. - Właśnie chciałem

to szanownemu ojcu zakomunikować, kiedy mi przerwałeś.

Guillaume zrobił na poły przepraszającą, na poły ura-

żoną minę. Należał do stanu rycerskiego i takie obcesowe strofowanie wydało mu się rażąco niesprawiedliwe.

- Wybaczcie, panie Robercie, ale sądziłem z waszych słów, że rozprawialiście panowie zgoła o czym innym.

Skoro jednak wiecie, co zaszło tej nocy, to wracam jak najpokorniej do swoich obowiązków.

To powiedziawszy, Guillaume skłonił się bardzo nieznacznie i odszedł, mamrocząc coś niezrozumiale po francusku. Sir Ralf popatrzył skonfundowany na syna.

- Obszedłeś się z nim trochę ostro, nie sądzisz, synu?

- Tak, wiem. . nie powinienem był - przyznał Robert. -

Dlaczego jednak tata nie pozwoli mi nic powiedzieć, tylko zaczyna snuć jakieś domysły?

- Dobrze, już dobrze, synku, wybac mi i powiedz, co to za historia z tym nocnym przybyszem...

Sir Robert pokrótce zrelacjonował ojcu, co się wydarzyło. Starał się być rzetelny, zatem wspomniał zarówno o swoich złych przeczuciach, jak i o tym, że był nieco pijany. Pan Moorow słuchał uważnie, a jego twarz z każ-

dym słowem Roberta traciła poranny radosny wygląd.

Gdy młody rycerz skończył mówić, sir Ralf był ponury jak sama śmierć.

- No nic - westchnął. - Dobrześ zrobił, że mi o tym powiedziałeś. Teraz trzeba to będzie powtórzyć twojemu w gorącej wodzie kąpanemu kuzynowi i panu Gotfrydowi.

- Mógł to ojciec od razu powiedzieć i oszczędzić mi jednej przemowy.

152

- Nie chciałem ci przeszkadzać, mój drogi, a poza tym opowiadanie cię trochę uspokoiło. . - rzekł sir Ralf z nie winną miną, za którą czaił się pobłażliwy uśmieszek.

Oddział jechał wolno lewym brzegiem Bresle. Stu jeźdź-

ców smętnie kołysało się w siodłach, usiłując wciągnąć głowę między barki, by osłonić szyję przed zimnem i padającym za kołnierze deszczem. Chrzęściły zbroje, od czasu do czasu ktoś zaklął, innym razem bez przekonania zanucił jakąś pieśń, ale większość w milczeniu obserwowała koła rysujące się na wodzie.

Pan Rambures był jednym z nich. Jego futrzany płaszcz wyglądał jak skóra zdjęta z utopionego niedźwiedzia.

Błada twarz pana Rambures i jego zacięte spojrzenie nie zdradzały żadnych myśli, bo trudno zdradzić coś, czego nie ma. Obok mistrza kuszników jechał pan Clermont, którego oblicze wyrażało dla kontrastu wiele - od zwykłego zmęczenia po irytację.

- O, ptaki... - skomentował oschle jadący obok pan Vindroit, ręką w stalowej rękawicy osuszając długie czar ne wąsy.

Jadący z przodu niechętnie rozejrzeli się po niebie.

- Krążą - dodał pan Gascarde i zaklął, gdy zasłona rdzewiejącego hełmu, wisząca na wyrobionych zawiasach, opadła mu na twarz.

- Gascarde. . mówiłem ci, żebyś sobie sprawił nowego giermka. A tak, hmm... będziesz musiał sobie sprawić nowy hełm.

- To tylko zawiasy... mój panie... psia jucha... - wy-153

mamrotał Gascarde, mocując się z zasłoną, która tym razem nie chciała się podnieść.

- Krążą, pewnikiem jakaś padlina leży tam w dole -

wrócił do tematu pan Montmerty.

- Pewnie tak. Warto byłoby sprawdzić, co to takiego, nie sądzicie? - Clermont spojrział złośliwie na swojego wasalę.

Skarcony zagryzł wargę, ale po chwili odpowiedział

uprzejmie:

- Oczywiście, panie Clermont. Zaraz kogoś pošlę.

- Jakże to, panie Montmerty? Sami sprawy nie dopa-trzycie?

- Skoro taka wasza wola...

Montmerty nie zdążył dokończyć, bo z krzaków przed nimi wyskoczył z krzykiem jakiś mężczyzna.

- Panowie, poratujcie! - darł się niemęsko.

Rycerze zatrzymali konie. Rambures zmarszczył brwi i spojrział z wysokości siodła na odzianego po chłopsku człowieka.

- Mów, co się stało! - nakazał.

- W dole rzeki, jaśnie panie... my poszli łowić ryby jak co rano i tam, panie, my znaleźli trupy!

Clermont spojrział na chłopę, krzywiąc się.

- I co? Jakiej potrzebujecie pomocy? - spytał. - Nie ma we wsi cieśli, żeby trumnę zbił, a może księdza braknie?

- Eee... nie, jaśnie panie, nie braknie.

- To w czym ci mamy pomóc, głupi kmieciu?! - Pana Clermonta najwyraźniej oburzył brak zrozumienia dla figury stylistycznej, którą jest pytanie retoryczne, a poza tym i tak był wściekły.

154

- Mnie się, jaśnie panie, rozchodzi o to, że tam jacyś zbrojni po te ciała przyszli, a jednego z naszych, który akurat przy ciałach stał, od razu usiekli.

- Prowadź! - rzucił Rambures.

Chłop pognął w kierunku, z którego przybył, a za nim ruszyła setka francuskich rycerzy, giermków i serjeantów, z których każdy był w bardzo marnym nastroju.

- Hej, Jakub! -

Co?

- Popatrz, jak te śledzie Piotra pochlastały.

- No... - przyznał jeden ze stojących po kolana w wodzie zbrojnych. Pozostałych siedmiu też podeszło i jak się okazało, rzeczywiście było na co popatrzeć. Mężczyzna leżący w przybrzeżnych szuwarach miał głowę lekko ukośnie przeciętą na pół. W czaszce za sprawą ptactwa, ryb i wody nie zostało już zbyt wiele.

- Trzeba przyznać - odezwał się któryś z mężczyzn -

że miał krzepę ten zasraniec, co im na karki wskoczył.

- Ano trzeba - zgodził się drugi - i dobrze, żeśmy się z innymi nie rzucili przez bród, bo też by nas wystrzelali albo wycięli...

- Farta mamy, chłopcy, tyle wam powiem. Jak nic trza będzie dać na mszę.

- Ano trza.

Jeśli nie liczyć dzikich wrzasków, były to ostatnie dźwię-

ki, które wyszły z gardeł brodzących mężczyzn. Pośród szumu rzeki i skrzeku ptaków, pochłonięci rozmową i wpatrzeni w nieboszczyka nie zdążyli w porę zauważyć 155

wpadającej na nich gromady rycerzy. O walce nie było nawet mowy, a najzwawszy z uciekających przebiegł nie więcej niż dwadzieścia kroków, nim klinga długiego miecza rozplatała mu plecy.

- Cóż za zawód, nieprawdaż, Bertrandzie? - rzekł po smutniały pan Rambures. - Nawet nie rozruszałem ra mienia.

Młody rycerz rozejrzał się po okolicy z nadzieją, że może to jeszcze nie koniec. Widział jednak tylko kręcą-

cych się wokół towarzyszy.

- Zaiste, ledwie zdążyłem konia rozpędzić i już po wszystkim - westchnął - aż szkoda chrześcijańską krew przelewać w tak marnej potyczce...

Nagle do Clermonta podjechał pan Gascarde i nieznacznie trącił go naramiennikiem.

- Czego chcecie? - obruszył się zdziwiony rycerz.

- Mam dla was wiadomość, panie Bertrandzie. - Gascarde rozejrzał się podejrzliwie, jakby się upewniał, że wokół panuje wystarczający zamęt, po czym szybko wcisnął w rękawicę Clermonta

zwój pergaminu.

- Od kogo to? Co to ma... - Młody rycerz urwał, widząc, że kompan energicznie kręci głową.

- Nie mówcie o tym i przeczytajcie w samotności - szepnął Gascarde i zjechał na bok, obserwując okoliczne zarośla.

Pan Clermont zerknął podejrzliwie na pergamin, po czym schował go do torby przy siodle.

- Panie! Ten tu jeszcze żyw! - zawołał Vindroit. - Moż na by wypytać, kto ich usiekł.. - Zatrzymał wierzchow ca obok czołgającego się przy brzegu rannego mężczyzny i spojrzał pytająco na Clermonta.

156

- Dobrze, Vindroit, dawajcie go tutaj. A wy, panowie, rozglądajcie się uważnie! Przeszukajcie brzegi! - na-woływał Rambures, obracając się na drobiącym nogami koniu.

Przetrząsanie nadbrzeżnych lasów zajęło sporo czasu, ale zostało przeprowadzone dokładnie. Mimo to nie znaleziono więcej grasantów, jak również panny Rambures. Nie znaleziono licznych poukrywanych w zaroślach zwierzątek i kilku chowających się tamże rybaków. Mistrz kuszników nie znalazł spokoju, a pan Clermont - dawno już utraconego poczucia, że ten pościg nie ma sensu.

Trudno jednak było nie znaleźć śladów wielu koni w okolicy brodu i jeszcze ciepłych popiołów pięciu du-

zych ognisk palonych noc wcześniej na pobliskiej polanie. Odpowiednio wypytany ranny przedstawił także wyjaśnienie dla dryfujących trupów kompanów i śladów obozowiska. I nie omieszczał wspomnieć o samotnej pannie na dużym karym koniu.

VII

Po wysłuchaniu relacji sir Roberta zdania były po-dzielone. Baron Pitchfork z miejsca chciał nakazać, by związano Huxleya i doktora Joachima, jednego oskar-

żając o fałszowanie dokumentów, a drugiego - że jest z nim w zмовie. Robert powtórzył, że miał pewne wątpliwości co do pieczęci, ale był bardzo daleki od pewności.

Sir Gotfryd zauważył, że Joachim z Oxfordu jest powa-

żanym uczonym i królewskim kronikarzem, więc bez-podstawne wzięcie go w pęta byłoby cokolwiek pochopne. Za równie pochopne uznał przetrzymywanie kró-

lewskiego posłańca wiozącego list z pieczęcią monarchy, której autentyczność potwierdził wspomniany uczony autorytet. Linia argumentacji sir Artura opierała się na założeniu, że jego kuzyn jest bardzo mądrym człowiekiem i ma świetną intuicję. Kuzyn jednak zwracał uwagę na to, że jakkolwiek rola intuicji jest bardzo ważna, to w żadnym razie nie zastąpi dowodu. Dyskusję, która

nie-bezpiecznie osuwała się w debatę filozoficzną o możliwo-

ściach poznania, przerwał sir Ralf:

- Panowie, dajmy temu pokój. Ja sam również chętnie bym się uwolnił od kompanii doktora, bo żółć mi się od 159

niej psuje, ale to teraz nieważne. Tak czy owak, doktor jest z nami za przyzwoleniem pana Erpinghama, co wię-

cej, bez niego nasza misja bierze w łeb, bo nie rozpoznamy pieczęci Burgundczyka. Jeśli zaś chodzi o tego osobliwego kowala, to jak słusznie zauważyłeś, Gotfrydzie, jest dla nas posłańcem królewskim okazującym się od-powiednim glejtem. Z drugiej strony nie zwykłem lekceważyć spostrzeżeń syna. Obserwujmy więc uważnie, co się będzie działo, bo nie pozostaje nam nic innego.

Ostatecznie wszyscy czterej zgodzili się z opinią pana Moorow i można było wyruszyć w dalszą podróż.

Droga wiodła przez bród, nad którym poprzedniego dnia odbyła się potyczka, a następnie na południowy zachód. Tym razem jako zwiadowcy pojechali panowie Wilfryd i Gotfryd, a do pomocy wzięli swoich giermków i sześciu łuczników. Sir Robert, który w porannym zamieszaniu stracił z oczu pannę Marię, usiłował ją teraz odnaleźć. W końcu zobaczył ją na wielkim karym koniu jadącą u boku sir Ralfa. Oboje zdawali się prowadzić wesołą konwersację, co nieco rozdrażniło Roberta, który przeczuwał satyrowy nastrój ojca.

- Witaj, pani! - zawołał.

- Witam, panie Robercie.

Odpowiedź, którą usłyszał, była niewiele cieplejsza od nieprzyjemnej mżawki, która im towarzyszyła od rana.

- Mniemam, że nie było ci, pani, chłodno w nocy... -

ciągnął nie zrażony.

- A, to zależy w jakim sensie - odrzekła tym samym tonem.

Robert spochmurniał.

160

- Ot, młodzi - włączył się do rozmowy sir Ralf. - Nie wiedzą jeszcze, że czas, który mamy na tym świecie, jest policzony i nie należy go trwonić. A czy wyobrażacie so bie, panno Rambures, że wczoraj mógł kto mojego uczo nego synalka mieczem poszczerbić? Czy bierzecie pod uwagę, że wy sami mogliście utonąć w nurtach Bresle?

Pamiętajcie o tym... *memento moñ*, moi drodzy.

Sir Ralf zawrócił konia i ruszył do trzymających się nieco z tyłu giermków.

Teraz młodzi jechali strzemię w strzemię, sami, nie licząc ciągnącego za ich plecami oddziału. Maria spojrzała na Roberta nieco łagodniej.

- Chciałeś coś powiedzieć, panie? - zapytała.

- Cóż... jeśli chodzi o ów koc i moją opieszałość, to tłumaczy mnie ważki powód, o którym jednak nie wolno mi mówić.

- Tajemnica? - Ton głosu dziewczyny był zdecydowanie figlarny.

- O tak, wielka tajemnica, której należy strzec pilniej niż kamienia filozoficznego. W przeciwnym razie pewna dama mogłaby ją uznać za błażostkę nie tłumaczącą zwłoki w przyniesieniu koca.

- Cóż... w takim razie rozumiem, panie rycerzu, że musicie jej dochować. Nie możecie przecież pozwolić na dąsy pewnej damy.

- Zaiste, pani, nie mogę.

Uśmiechnęli się do siebie i tak już zostało przez resztę rozmowy. Uśmiechał się też obserwujący ich z tyłu sir Ralf.

Starali się jechać pod osłoną lasów, z dala od głównych traktów. Byli przekonani, że udało im się ominąć armię 161

Boucicauta, ale wciąż się obawiali, że mogą trafić na główne siły francuskie, o których położeniu nie wiedzieli nic ponad to, że opuściły Rouen i zapewne kierują się w stronę armii króla Henryka. Sir Ralf, sir Gotfryd i Guillaume mieli najlepsze rozeznanie w okolicy ze względu na *chevauchee*, na które się tu niegdyś wyprawiali. Z początku doktor Joachim też zgłaszał pewne uwagi w tej materii, utrzymując, że jeszcze na uniwersytecie studiował odpowiednie mapy. Gdy jednak, kierując się wskazówkami uczonego, o mało nie wyjechali prosto na zamek Rambures, postanowili zdać się na doświadczenie żołnierskie, miast na studia kartograficzne.

Mijali liczne pola, na których niestety nic o tej porze roku nie rosło. Na szczęście łucznicy zawsze znajdowali trochę czasu, żeby ustrzelić bażanta lub przepiórkę. Trafiały im się też zające i sarny, a raz nawet zabłąkana w lesie krowa. Każde udane łowy witane były z wielkim zadowoleniem, ponieważ solone ryby, smalec i cebula, które wieźli jeszcze z Harfleur, dawno już wszystkim się przejadły.

Pierwszy postój zrobili późno, dopiero po południu, gdy znaleźli się już w połowie drogi między Sommą a Bresle, na wysokości źródeł tej drugiej. Popasali niedaleko traktu prowadzącego na północny wschód do Amiens.

Okryci blachami sir Ralf z sir Gotfrydem siedzieli na dużym zwałonym pniu i jedli, żując powoli,

śledzie z cebulą. Na zarzucone kaptury płaszczy kapąły krople deszczu, który nie był co prawda zbyt silny, ale nie ustawał.

Obaj mieli skwaszone miny.

- Czasami myślę, że to moja ostatnia wyprawa. . - powiedział sir Gotfryd, uporawszy się ze śledziem.

162

- Ja też, co więcej, to nie pierwsza wyprawa, na której tak myślę.

Westchnęli zgodnie.

- A młodzi mają się ku sobie jak nic - zaczął znów sir Gotfryd, patrząc na siedzących nieopodal sir Roberta i pannę Rambures, którzy wpatrywali się w siebie maśla-nymi oczyma.

- Jak nic. Daj Bóg, żeby się ta wyprawa powiodła. - Sir Ralf już miał ugryźć cebulę, ale w ostatniej chwili spostrzegł, że jest nadgniła. Skrzywił się ze wstrętem i cisnął

warzywo w krzaki. - Gdzie ten nicpoń trzyma naszą żywność? - burknął.

Ktoś chrząknął zza pleców rycerzy. Obrócili się i ujrzeli jak zwykle nieco zakłopotanego Guillaumea. Giermek również miał na sobie pancerz i broń u pasa.

- Proszę wybaczyć, że pozwalam sobie przerwać rozmowę - odezwał się - ale jest pewna kwestia, o której, jak sądzę, powinni panowie wiedzieć.

- Chcesz się przyznać, gdzie trzymasz cebulę? - spytał

pan Moorow, zerkając porozumiewawczo na starego kompana. Sir Gotfryd uśmiechnął się pod wąsem, a Guillaume zrobił lekko urażoną, pytającą minę. Sir Ralf machnął ręką. - Lepiej mów, o co chodzi - ponaglił go.

- Otóż niejaki Huxley właśnie siodła konia... - odparł

smętnie Guillaume.

Jan Huxley uporał się już ze wspomnianym zajęciem, gdy do niego podeszli. Na czele stał sir Artur, a zaraz za nim panowie Gotfryd i Ralf. Guillaume złapał osiodłanego siwka za haftowane złotą nicią wodze wycinane w kwadraty.

163

- Wybierasz się na przejażdżkę, Huxley? - zagaił zimno baron, świdrując nieruchome zielone oczy kowala.

- Taki miałem zamiar, jasnie panie - odrzekł ów. -

Aby wykonać powierzone mi zadanie.

- Nigdzie nie pojedziesz. Nie teraz. - Wydatne mię-

śnie na szczękach sir Artura poruszyły się wyraźnie.

-Skoro naciskacie, panie... to oczywiście zostanę.

Wiecie wszelako, że...

- Wszelako wiemy... - przerwał mu sir Ralf - wiemy, że masz glejt, wszystko bierzemy na siebie. W okolicy może być armia delfina. Nie możemy ryzykować, ty też nie powinienes. - Pan Moorow mówił spokojniej niż Ar tur, ale nie mniej dobitnie.

Huxley odstąpił od wierzchowca i ściągnął wytworne rękawice.

- W takim razie zostanę przy was, panowie, tak długo, jak sobie zażyczycie - powiedział, schował rękawice za elegancki pas i lekko skłonił głowę.

Rycerze odeszli, spoglądając nań ponuro.

Sir Robert stał nieruchomo, gdy Grzegorz Fellaw zakła-dał mu nagolenniki.

- Grzesiu, bądź tak dobry i dociągnij sprzączkę, żeby nie pobrzękiwał jak rondle w kuchni.

- Dobrze, panie.

- A cóż tam się dzieje? - zdziwił się Robert. - Ojciec idzie dokądś z kuzynem Arturem, Guillaume'em i panem Gotfrydem, a miny mają posępne.

164

Grzegorz odwrócił głowę i zerknął na tę procesję, przy czym upuścił nagolennik.

- Przepraszam. . chciałem tylko zerknąć - powiedział.

- Nic się nie stało - westchnął rycerz, uśmiechając się do patrzącej na niego z pewnej odległości Marii. Dla jej uśmiechu odpuściłby giernkowi znacznie większe prze-winienia.

- To chyba coś z tym panem Huxleyem. Może chciał

odjechać - domyślił się Grzegorz, zapinając wspomniany element pancerza.

- Z tego, co wiem, to żaden z niego pan - sprostował

Robert.

- Tak tylko mi się powiedziało, bo ma takiego wspaniałego konia - tłumaczył się giermek.

- Ale zgodzisz się, że to za mało, by nazwać go panem.

- Zgodzę.

- A co by wystarczyło, by kogoś tak nazwać?

- Czy ja wiem? - zastanowił się Grzegorz. - Pierścień, znaczy się sygnet rodowy, i herb.

- To prawda. Zauważ jednak, że nie o to pytałem.

-Aha... coś mi się zdaje, panie, że będziemy teraz ćwiczyli tę dialektykę, co to ją tak lubicie.

Giermek zabrał się do drugiej nogi rycerza.

- Czyżbyś nie lubił tych naszych rozmów, Grzegorzu? - zapytał Robert.

- Bo ja wiem, panie. . ? Potem się człowiek na niczym skupić nie może i robota mu z rąk leci, bo myśli o tych sprawach.

- Rozumiem... Lubisz zatem czy nie?

165

- Nawet lubię - przyznał Grzegorz.

- To dlaczego rzekłem, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie?

Grzegorz uniósł głowę i zerknął bystro.

- Nie to powiedzieliście, panie - sprostował. - Powie dzieliście tylko: „Zauważ jednak, że nie o to pytałem”.

Sir Robert spojrział nań i uśmiechnął się.

- Dobrze. Widzę, że zaczęłeś uważnie słuchać tego, co mówię - pochwalił giermka. - Ale teraz rozważ to: ja zadałem pytanie, a ty odpowiedziałeś. A skoro było-by prawdą, że nie pytałem cię o to, co tyś odpowiedział, wyszłoby na to, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie przynajmniej w tej odpowiedzi. Ostatecznie więc, zwa-

żywszy na okoliczności, można by wyciągnąć z „nie o to pytałem” wniosek w postaci „nie odpowiedziałeś na moje pytanie”. Zauważ teraz, że inaczej by się przedstawiała cała sprawa, gdybym zamiast powiedzieć „rzekłem, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie”, powiedział „rzekłem: «nie odpowiedziałeś na moje pytanie»”. Miałeś więc słuszość, twierdząc, że powiedziałem co innego, ale ostatecznie wychodzi na to, że nie odpowiedziałeś na moje pytanie, a taka była moja intencja, której widocznie nie dostrzegłeś.

- Teraz, panie, zupełnie się już pogubiłem - poskarżył

się potraktowany dialektyką nieszczęśnik.

- Cóż, wrócimy jeszcze kiedyś do tej rozmowy. Powiem ci wtedy co nieco o supozycjach, to powinno sprawę nieco rozjaśnić. No i rozstrzygniemy, co wystarcza, by uznać kogoś za pana. A na razie zostawiam cię myślom, gdyż mam zobowiązania.

166

Sir Robert poruszył na próbę nogami. Zbroja dobrze przylegała do kończyn. Rozpromienił się i podszedł do czekającej na niego panny Marii.

Postój szybko dobiegł końca i ruszyli dalej. Tym razem przodem pojechał Guillaume z kilkoma łucznikami. Kierowali się bardziej na zachód niż północ. Podróżowali wolno i ostrożnie, przepatrując okolicę w obawie przed oddziałami Francuzów, i omijając z dala zamki, zameczki, miasteczka i wsie. Po południu przestało w końcu padać, co zachęciło niektórych do wyzwolenia głów spod kapturów, hełmów i czapek.

Wieczór zastał ich na wąskiej drodze wśród szumiących pożółkłymi liśćmi drzew. Z odejściem przesładującej ich od kilku dni mżawki poprawiły się nieco nastroje, nie na tyle jednak, by zachęcić kogokolwiek poza sir Robertem i panną Rambures do dłuż-

szych rozmów. Na czele orszaku jechali panowie Ralf i Gotfryd. W awangardzie byli już teraz sami łucznicy pod komendą Balia, jako że nikt stanu rycerskiego nie miał ochoty szukać wątpliwej przygody, poza być może Grzegorzem, którego zapal jednak bezwzględnie zdusili starsi.

Dzień chylił się ku końcowi i nikt ze świty pana Pitchfork nie liczył na jakieś niezwykle wydarzenia. Dlatego też wszystkich zaskoczył widok starca w łachmanach, który z zapalem wrywał jakieś przydrożne chwasty zaledwie parę kroków od drożki. Mężczyzna był tak pochłonięty tym zajęciem, że nawet nie zwrócił uwagi na licz-167

nych zbrojnych przejeżdżających za jego plecami. Takie zachowanie w czas wojny można było uznać jedynie za głupotę, szaleństwo lub znamię czegoś nadprzyrodzonego. Zaintrygowany sir Artur uniósł prawicę, nakazując tym samym postój.

- Hej tam! - zawołał dostojnym basem po francusku. -

Kim być starzec, co za nic mając niebezpieczeństwo, pa noszy siebie po głuszy?

Oddział stanął i zdziwieni ludzie spojrzeli na barona.

Panna Rambures załamała ręce i zatrzepotawszy długimi rękami, podniosła oczy do nieba, nie mogąc znieść tej zbrodni na ojczystej mowie. Pan Pitchfork nie zwracał

na to uwagi i siedział jak zastygły w siodle. Starzec natomiast wyprostował się i obrócił, jakby

zdziwiony, że ma towarzystwo. Przez chwilę patrzył, nie rozumiejąc, na zwracającego się doń rycerza, a potem na pozosta-

łych, po czym złapał się za długą siwą brodę i przemówił.

Jednak to, co wyszło z jego ust, wydało się słuchaczom podobne do mowy doświadczonych przez Boga budow-nicznych wieży Babel. Panowie Gotfryd i Ralf, a z nimi wielu rycerzy i łuczników, uczynili z obawą znak krzyża, słysząc ów dziwaczny bełkot. Sir Robert zorientował się, że starzec mówi mieszaniną łaciny oraz francuskiego, i to z osobliwym akcentem:

- Nadejdzie dzień sądu i gniewu Bożego i dosięgnie nas wszystkich! Ale nie trwóście się nadto, bo każdy może dostąpić zbawienia. Ba, rzeknę więcej: każdy zosta nie zbawiony. Każdy, pytacie? Odpowiadam: tak. Nawet Lucyfer, nawet upadły niosący światło zostanie zbawio ny, tak wielka jest dobroć Pana.

168

- Wybaczcie, że przerywam, nie godzi się jednak, żeby baron tak długo czekał na odpowiedź - nienaganną ła ciną powiedział sir Robert. - Zwłaszcza aż do dnia Sądu Ostatecznego. Jeśli więc nie postradałeś, starcze, wszel kich zmysłów, odpowiedz na proste pytanie.

Mężczyzna spojrział na rycerza nieobecny m wzrokiem, ale po chwili jakby oprzytomniał.

- Me imię Baltazar - powiedział. - Mieszkam w tym lesie od lat i oddaję się medytacji, modlitwom i umar-twianiu grzesznego ciała. - Starzec przestał szarpać brodę i spojrział zdziwiony na swoją rękę. Następnie podjął

wysięk ułożenia zmierzwi onego zarostu.

- Na Boga, Robercie, cóż mówi ten osobliwy mąż? -

zapytał sir Artur, nie odrywając oczu od próbującego dojść do ładu z brodą Baltazara.

- To jakiś eremita. Twierdzi, że mieszka w tym lesie.

Ale to, co mówił wcześniej, brzmiało jak herezja - wyja-

śnił lekko zaniepokojony sir Robert.

Do rozmowy włączył się uczony Joachim:

- Ja również pojmuję mowę tego człeka, lecz wcale mi się nie wydaje, żeby był heretykiem. Przeciwnie, wedle mojej opinii może on być świętym mężem, co jak sądzę, przeczuwa jaśnie pan Pitchfork.

- Doprawdy tak sądzicie, panie Joachimie? - Sir Artur z zaciekawieniem spojrział na doktora.

- Z pewnością nie można tego wykluczyć, panie - odrzekł uczoney z godną mędrca rezerwą, zaczepnie popatrując na Roberta.

Młodzieniec wzruszył obciążonymi żelazem ramionami i lekko pokręcił głową.

169

- Dobrze - rzekł Artur. - Zaciekawiał mnie ten starzec.

Robercie, bądź tak dobry i przetłumacz mu, co powiem. -

Tu zwrócił się do pustelnika. - Poprowadź nas do swego ustronia, starcze, i udziel nam jakiejś nauki. - Ba ron wydawał się zadowolony zarówno ze spotkania, jak i z uczonego poparcia dla jego przeczuć.

Robert w pierwszej chwili sądził, że się przesłyszał. Dopiero trącony lekko w ramię przez Marię pojął, że słuch jednak mu dopisuje, i odezwał się do sir Artura:

- Ależ kuzynie. . - Urwał, widząc, że baron nie da się od tego odwieść, i zrezygnowany przełożył jego słowa na łacinę.

Starzec, namyśliwszy się, pokiwał głową i poprowadził

ich w głąb kniei. Był to dziwny widok. Za wychudłym pustelnikiem w łachmanach podążało około tuzina szlachetnie urodzonych, chrześzcząc zbrojami i rozglądając się wokół podejrzliwie. Zaraz za nimi ciągnęło blisko pół

setki nie mniej zaniepokojonych łuczników. Niedługo po tym, jak zjechali z traktu, posiadali z koni, które zapadały się w rozmiękłą od deszczu ziemię i listowie. Do chrzęstu zbrój dołączyły niebawem postękiwania i niezbyt piękne słowa cedzone przez zaciśnięte zęby. Sir Artur jednak nie narzekał, nie tylko dlatego, że miał wytrzymałość pociągowego konia, ale i na skutek jakiejś euforii, która go ogarnęła.

Panna Rambures ścisnęła okrytą stalą dłoń sir Roberta i zbliżyła się do niego.

- Zdaje mi się dziwny ten starzec - powiedziała - a ta knieja wielce niegościnna. Czuję tu w powietrzu jakieś. .

czarostwo.

170

- Czarostwo? - zdziwił się Robert. - Panno Rambures, miałem was za osobę nie dającą wiary zabobonom, ale nie bój się, pani, jestem przy tobie.

Maria wydeła usta i spojrzała nań z wyrzutem, ale szybko przestała się dąsać, widząc że słowa jej towarzysza nie idą w parze z miną - sir Robert miał szeroko otwarte oczy, marszczył czoło, a

prawicę odruchowo oparł na rękojeści miecza.

Słońce zaczęło już zachodzić, kiedy w końcu dotarli do niewielkiej polanki, na której stał domek eremity, a właściwie oparta o pień sporego dębu koślawa chatka nieporadnie wzniesiona z gałęzi, nadpalonych kamieni i gliny. Prowadzący grupę mężczyzna podszedł do niej i zatrzymał się przed wejściem. Na znak barona rycerze zebrali się przed starcem, a łucznicy stanęli nieco z tyłu.

Baltazar spojrział na nich i zaczął bełkotać.

- Tłumacz, drogi kuzynie - poprosił łagodnie Artur, wpatrzony w starca jak w obrazek.

Sir Robert zaczekał, aż Baltazar skończy zdanie, i krzywiąc się, zaczął przekładać mowę eremity:

- Zatem chcecie usłyszeć moją naukę? Chcecie poznać naukę Baltazara? Nie jestem godny jej udzielać!

Skoro jednak mimo to chcecie ją usłyszeć, to niech bę-

dzie, choć poniosę za to straszliwą karę. Wiem, że będę musiał umęczać swe członki w pokucie za pychę, która mną zawładnie, gdy tylko przemówię do was jak do uczniów, sam będąc najnikczemniejszym głupcem. Niech zgniję w tej pustelni za zuchwalstwo, którego się zaraz dopuszczę. Niech me szczątki zostaną zhańbione, tak jak na to zasługują, albowiem są jedynie prochem marnym.

171

Niech oczy moje staną się pokarmem dla ptactwa, a ro-bactwo niech toczy moje wnętrzności... Robert odchrząknął i zwrócił się do Artura:

- Na pewno chcesz, miły kuzynie, usłyszeć, jak obrzuca błotem swe członki ten biedny szal... starzec?

- Ależ tak! Robercie, tłumacz wszystko, jego słowa zdają mi się natchnione i przeczuwam, że zostanie mi wkrótce ujawniona jakaś niezwykła tajemnica.

Robertowi, gdy zobaczył szklące się od wzruszenia oczy kuzyna, ciarki przebiegły po plecach. Czując powagę sytuacji, podjął translację słów, których wolałby nigdy nie usłyszeć:

- Niech więc już pochłoną mnie czeluści piekielne, a wy słuchajcie nauki pustelnika Baltazara. Nauki o liczbach, nauki zbożnej, lecz trudnej, jak trudna jest droga pielgrzyma, jak trudna była droga, którą Pan nasz niósł

swój Krzyż. Nauki trudnej przez wielość. Bo jakże trudno jest zliczyć źdźbła otaczającej nas trawy i ziarenka piasku tworzące błoto pod naszymi stopami. A jednak mamy dwie stopy. Każda z nich ma po pięć palców. A z tego łatwy wniosek, że dwunastka jest podporą naszego czoła wieczności. Zważcie jeszcze na to, że tak jak mamy dwanaście miesięcy w roku i cztery jego pory, tak prze cież jest dwunastu apostołów i dokładnie czterech ewan gelistów. A z tego już pokazuje się zupełnie jasno, że rok cały to nie co innego jak cztery pory, a każda po trzy mie siące. Wszystko to składa się na jedność

i tą jednością jest właśnie Pan nasz, Jezus. A imię Jego święte. I pamiętajcie, że dni w tygodniu jest siedem, a czyż nie jest to zarazem liczba grzechów głównych?

172

To jednak nie wszystko - ciągnął eremita. - Oto weź-

cie poniedziałek, dzień po niedzieli, dzień lenistwa i za-przaństwa, dzień, w którym kościół pustoszeje, skoro w niedzielę tłuszcza odkupiła swe grzechy na Mszy świę-

tej. Rozważcie to i jasno wam się pokaże, jaki grzech związany jest z poniedziałkiem. I tak, idąc dalej wzdłuż tej myśli, pojmiecie moją naukę i ustrzeżecie się od grzechu, który sam do was lgnie w kolejne dni. A teraz spójrzcie jeszcze na człowiecze ciało. Czyż nie ma człowiek dwudziestu palców, dwóch nóg, dwóch rąk i jednej głowy? A wszak wzięte razem dadzą te członki liczbę dwadzieścia pięć. A dwadzieścia pięć to dwa, a potem pięć, czyli razem wzięte - siedem. Siedem zaś to liczba magiczna, co zostało wcześniej wykazane. A może nie wierzycie, może w swej ślepotcie nie wiecie, skąd magia?

Otóż bierze się ona stąd, że siedem to nie tylko dwa dodane do pięciu, lecz także trzy dodane do czterech. Poj-mujecie... trzy do czterech, czyli liczba Boska, będąca znakiem Świętej Trójcy, i liczba ewangelistów, co się już wcześniej rzekło...

Robert urwał i zwrócił się do Artura:

- Doprawdy, drogi kuzynie, mamże dalej tłumaczyć słowa tego nieszczęśnika? Przecież to najciemniejsze wymysły, jakie chorzejący na umyśle może z siebie wypluć.

- Tłumacz, kuzynie, tłumacz, bo ten mąż pokazuje mi się nie tylko człkiem jasnego umysłu, lecz nadto przez swój nadludzki zapal i umartwienie bliskim świętości.

To powiedziawszy, sir Artur upadł na kolana i złożył

repe jak do modlitwy. Pozostali zaczęli się rozglądać, nie do końca wiedząc, co czynić. Niektórzy skwapliwie uklę-

173

kii za przykładem swojego pana. Inni ugięli kolana pod wpływem szczerzego przeżycia. Jeszcze inni byli zdezo-rientowani. Sir Robert nie należał do żadnych z wyżej wymienionych. Nie tylko nie klęknął, ale i z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Tak tak... idźmy za przykładem szlachetnego pana barona. To czystość jego serca pozwoliła mu pierwszemu rozpoznać świętość tego męża - odezwał się donośnym głosem uczoney Joachim z Oxfordu.

Robert rozejrzał się wokół zbity z tropu. Ocucił go dopiero słodki głos stojącej obok Marii:

- Uklęknijmy i my. Nie ubędzie nam od tego rozumu, a nie wypada stać, gdy baron klęczy.

Sir Robert usłuchał argumentu, który wydał mu się wysepką rozsądku w morzu niedorzeczności.

Zaraz potem, upomniany przez barona, podjął tłumaczenie:

- A to jeszcze wam powiem, skoroście po naukę przy szli, że śmierć spotka nas wszystkich. Powiecie zapewne, że to wiecie. Ale nie wiecie, że po niektórych z was przyjdzie ona już jutro.

Po tych słowach Baltazar złapał się za brodę, szarpnął

ją parę razy i wskoczył do swojej chatynki.

Zapadła cisza. Sir Robert upewnił się w myślach, że dobrze przełożył ostatnie słowa pustelnika. Pierwszy z osłupienia wyrwał się sir Artur, który powstał i podbiegł do wejścia domu Baltazara.

- Święty mąż powiedziec więcej! - zawołał po francusku jak rozkapryszone dziecko, któremu zabrano drewnianego konika. Na jego umięśnioną szyję wystąpiły żyły, 174

gdy wrzeszczał, stojąc przed progiem chatki: - Święty mąż wracać!

- Panie, opanujcie się - spróbował perswazji doktor Joachim. - Wszak eremita już powiedział, co miał nam do powiedzenia.

Na próżno - pan Pitchfork zaczął krążyć przed ciemnym otworem wejściowym domostwa, jakby nie wiedząc, co ze sobą począć.

- Bratanku, opanuj się, na litość boską! - zawołał sir Ralf.

- Panie Pitchfork! Dajmy pokój temu starcowi! - wtó-

rował mu sir Gotfryd.

Sir Wilfryd wystąpił naprzód z wyciągniętą dłonią, chcąc pochwycić kręcącego się jak wściekły bąk przyjaciela. Baron spojrział na prawicę towarzysza, a następnie na jego oblicze. Sir Wilfryd cofnął się, widząc jego dziki wzrok. Nagle sir Artur stanął i jak tknięty nagłą myślą wbiegł do dziwnego domiszcza. Zanim ktokolwiek zdecydował się ruszyć za nim, pan Pitchfork wyszedł z powrotem na polanę. Było już prawie całkiem ciemno, ale stojący najbliżej zauważyli niezwykłą zmianę w rycerzu.

Nie był już wcale wzburzony. Miał smutne oblicze, ale emanował spokojem. Wypytywano go, co zaszło, lecz nie odpowiadał, aż w końcu po dłuższej chwili rzekł bardzo wolno i cicho:

- Niech nikt tam nie wchodzi.

Zmierzchało, gdy zjechali do wsi Beaulieu, gdzie zatrzymali się na noc. Zaczęła się zmudna krzątanina, w której rzecz jasna nie uczestniczyli wyżej urodzeni. Pan Cler-175

mont zdjął zbroję i usiadł w rogu izby zamożnego chłopa, w której miał z panem Rambures i kilkoma rycerzami spędzić noc. Siedział na niewielkim, krzywo skleconym zydlu zgięty nad wydobytym z juków listem. Niewielka świeczka, skarb owego chłopskiego domostwa, oświetla-

ła pięknie skreślone litery. Pan Clermont, nim zaczął czytać, upewnił się, że jest w izbie sam, nadto siedział tyłem do drzwi wejściowych, zasłaniając pergamin szerokimi plecami. Momentalnie rozpoznał pismo, którym skreślono ów czuły list.

Najdroższy Panie Bertrandzie!

Piszę te słowa w wielkiej tajemnicy i trwodze, jako że pani matka jest w komnacie tuż obok, a gdyby ona bądź kto inny dowiedział się o tym liście, nie pozosta-

łoby mi nic innego, jak zaszyć się w klasztorze. Wciąż nie mogę wyrzucić z pamięci Waszej ostatniej wizyty w Rambures. Pamiętam zapach różanego ogrodu, po którym spacerowaliśmy, i nasze czułe wyznania. Gdy to piszę, wspomnienia są jeszcze żywsze i niemalże czuję na ustach ciepło Waszego pocałunku. Och, Panie Bertrandzie, jakże smutne są dni bez Waszej obecności.

Jakże wszystko zdaje mi się bez Was puste. Nie cieszą mnie dworskie przyjęcia i zabawy, a nawet Msza świę-

ta, o zgrozo, zdaje mi się mniej ciekawa. Wybaczcie te ostatnie słowa, jeśli wydadzą się Wam zbyt śmiałe, ale cóż, tak czuję, nie myślcie tylko, proszę, że jestem bez-bożną niewiastą. Moja droga siostra zeszłej nocy uciekła w świat szukać szczęścia. W jej postępowaniu, choć oczywiście przeciwnym dobremu obyczajowi i niepo-

kornym, zdaje mi się jednak być coś pięknego. Mam nadzieję, że odnajdzie szczęście, którego pragnie. Mój czcigodny ojciec rusza jej szukać, spróbuję więc wysłać ten list do Was, panie, przy tej okazji, jako że rodzic mój zapewne zwróci się do Was o pomoc. Zresztą sama już nie wiem, po co to napisałam, bo przecież skoro czytacie ten list, to wiecie, kto wam go przekazał. Ale nieważne, najdroższy Panie Bertrandzie, czy mnie uznacie za niemą-

drą, bylebyście mnie kochali tak mocno, jak mówiliście wtedy w różanym ogrodzie. Myśląca o Was z czułością i drżeniem serca Wasza przyjaciółka...

Rycerz podniósł wzrok i uśmiechnął się niczym myśli-wy, który ubił piękną zwierzynę, lub żak, który otrzymał

dobrą notę. I choć było w tym uśmiechu coś ze szczerzej radości, to przeważała próżność. Skrzypnęły drzwi i do chaty wszedł, mocno stąpając, pan Rambures. Jako jeden z niewielu zbrojnych mimo późnej pory był w zbroi, gdyż do niedawna chodził między ludźmi i wydawał dyspozycje.

Clermont omal nie podskoczył na zydlu, który zatrzeszczał niepokojąco pod jego ciężarem. W porę jednak złapał

równowagę i wepchnął pergamin za rozwartą gambeson.

Zaraz potem zwrócił się twarzą do mistrza kuszników.

- Cóż tak pilnie studiujesz przy świecy, hmm... Bertrandzie? - zapytał pan Rambures, choć nie wyglądał na zaintrygowanego. Nawet nie patrzył na Clermonta, zajęty zdejmowaniem stalowych rękawic.

- Nic takiego, doprawdy, ot list podczaszego dotyczący moich winnic...

177

Starszy rycerz zrzucił futrzany płaszcz na stół i spojrzał na rozmówcę z większą uwagą.

- Doprawdy? Dziw, że tak go ze sobą nosicie, za pazu chą, na sercu niemalże... hmm... przywiązani jesteście do tych winnic.

Clermont uśmiechnął się nieco krzywo i niezgrabnie machnął ręką. Rambures przyjrzał mu się i podniósł brew.

- A cóż to, panie Bertrandzie - zapytał - spiliście się winem pod moją nieobecność... hmm? Gdyby nie to, że w pobliżu same kozy, gotów byłbym pomyśleć, żeście się zakochali. Cóż to za spojrzenie, hmm? Doprawdy, Bertrandzie, cóż z tobą?!

Ostatnie słowa mistrza kuszników zabrzmiały na tyle głośno, że wyrwały młodego rycerza z rozmarzenia.

- Ależ co wy, panie Dawidzie, mówicie... - zaprotestował słabo.

- Mniejsza o to - rzekł Rambures. - Nie o amorach chciałem z wami rozmawiać, jeno o mojej córce.

- O pannie Julii? - zdziwił się Clermont.

- Na Boga, co z tobą?! Nie, nie o Julii, lecz o. . hmm. .

Marii. Wszak to jej szukamy. Odpocznij dziś dobrze i przy-szykuj się na bój. Jutro z rana wjedziemy w las Beaulieu.

Kazałem poczynić przygotowania... Hmm... czeka nas krwawa rozprawa z tymi Anglikami, których śladem zdążamy...

Noc spędzili na polanie, gdzie pan Pitchfork kazał rozbić obóz. Zapalono ognie, ale tym razem nie było śpiewów i picia. Być może dlatego, że główny zwolennik tych 178

uciech - Guillaume - szukał na gościńcu grupki Balia, która jadąc w awangardzie, nie wiedziała o nagłej zmia-nie kierunku marszu. Możliwe też, że ludzie stracili ochotę do zabawy po prorocत्वach Baltazara. Niezależnie od powodu nikt nie był w nastroju na swawole.

Sir Robert rozłożył płaszcz w znacznej odległości od ognisk i położył się na nim obok panny Rambures. Tym razem przezornie wziął też koce. Obawiał się, że oddalenie ich miejsca spoczynku od innych może obrazić Ma-rię, ona jednak nic nie mówiła, jedynie tajemniczo się uśmiechała. Właściwie oboje nic nie mówili. W drodze powiedzieli już sobie wystarczająco dużo, by czuć, że gdyby coś jeszcze dodali, byłoby to jak rzucenie patyka w pożar.

Położył dłoń na *jej* policzku, patrząc w ogromne oczy, za którymi tęsknił od lat, nic o tym nie wiedząc. Dopiero teraz poczuł, czego mu brakowało, gdy godzinami ślę-

czał nad księgami, czy też w zimnie, strachu i o pustym żołądku stał pod murami Harfleur. A nawet gdy leżał

w objęciach ladacznic... Kiedy pocałował usta Marii, wszystko wokół wydało mu się celowe. A zaraz potem, zaskoczony powabną grzesznością tej myśli, pomyślał, że Bóg jest dobry. Całował ją zachłannie, mimo że chciał jej okazać cześć. Chciał, żeby była niedostępną damą jego serca, a zarazem lubieżnicą, która zaspokoi jego żądzę.

Ona chciała, żeby był jej wiernym, oddanym sługą, a zarazem bezwzględny zdobywcą...

Dublet Roberta poleciał w trawę. Na płaszczu rozsy-pał się wachlarz długich włosów, uwolniony spod lnianej chusty. Tu jednak nieco zwolnili tempo rozbierania -

179

ostatecznie był środek października. Przyłgnęli do siebie, obsypując się ognistymi pocałunkami, a gdy to nie wystarczyło, by ich ogrzać, przykryli się kocem i śmieiej oddali miłosnym igraszkom. Sir Robert mile zaskoczony odkrył, że dama jest gotowa pójść dalej w owych figlach, niż się spodziewał. Poczł wprawdzie nad sobą widmo grzechu defloracji, ale zaraz potem zrozumiał, że niesto-sownie byłoby nie zgrzeszyć. Zresztą Maria tak ochoczo i z taką gracją oddawała mu swe wdzięki, że na dobrą sprawę nie miał wyboru...

Jechali stępa. Maria od heninu, przez suknię, aż po trzewiki ubrana była całkiem na czarno. Otaczała

ich mgła.

Zewsząd dochodziły niepokojące odgłosy, jakby ktoś krążył wokół nich. Nagle z mgły bardzo wolno wychyłała nieduża postać. Trzymała coś oburącz i dopiero po chwili Robert spostrzegł, co to takiego. Ujrzał wbite w brzuch ułamane drzewce kopii. Na zakrwawionym drewnie zaciśnięte były niewielkie dłonie. Młody rycerz podniósł wzrok i zadrżał. Twarz Grzegorza była blada, a właściwie zupełnie biała. Jego czarne oczy patrzyły gdzieś w bok. Robert spróbował krzyknąć, lecz nie mógł wydobyć głosu. Giermek po chwili odjął jedną dłoń od drewna i wskazał na pannę Rambures. Chciał coś powiedzieć, ale z otwartych ust rzuciła się ciemna krew.

Robert obrócił się ze zgrozą w stronę swojej towa-rzyszki, lecz tam, gdzie spodziewał się zobaczyć Marię, był już kto inny, a raczej co innego. Spojrzał w ziejące pustką oczodoły kostuchy i zamarł. Mgła podniosła się, 180

a szkielet w sukni panny Rambures zeskoczył z wierzchowca i z makabrycznym uśmiechem zaczął pła-sać po-

śród trupów, które - jak dopiero teraz zauważył Robert -

zalegały trakt. Nagle jeden z nich poderwał się i zaczął

skakać rytmicznie wraz z kostuchą. Ze zmiażdżonej gło-wy na bladą twarz spływał mózg, lecz Robert i tak poznał, że to pan Gotfryd. Po chwili dołączyli do nich inni.

Był tam pan Wilfryd i Guillaume, i pozostali rycerze.

Korowód zamykał baron Pitchfork z własną głową pod pachą i sir Ralf ze strzałą w oku. Wszyscy z właściwą zmarłym sztywnością, pobudzani jednak w jakiś nadna-turalny sposób tańczyli ze Śmiercią, pląsając po okręgu.

I nagle sir Robert sam poczuł w swym ciele melodię.

Melodię prostą a rytmiczną, której wtórowały miliony głosów. Próbował zatkać uszy - na próżno. Melodia wi-browała w jego ciele i z coraz większym trudem opierał

się pokusie dołączenia do korowodu towarzyszy. Było mu bardzo zimno... coraz zimniej. Melodia rozbrmie-wała coraz głośniej. Poczuł ból w uszach.

Obudził się zlany potem mimo porannego chłodu.

Majaki senne odeszły. Poczuł ciepło kobiecego ciała.

Ciała, obok którego chciał się już zawsze budzić, a przy-namniej tak pomyślał tego chłodnego i wilgotnego dnia.

Sir Artur był już na nogach, a ściślej na kolanach, gdyż jeszcze przed świtem zaczął odmawiać

modlitwę.

Sir Robert wstał i dołączył do kuzyna, który przypominał figurę nagrobną - okryty wyśmienitą mediolańską zbroją, z pochyloną głową, o surowym, bladym obliczu.

Gdy skończyli się modlić, podnieśli się z kolan i rozejrzeli wokół. Większość ludzi już wstała. Ci, którzy powitali 181

dzień, zbierali i otrzepywali płaszcze i koce, osuszali po-kryte rosą zbroje i oręż. Sir Artur spojrzał poważnie na kuzyna.

- Dręczyły mnie w nocy ponure sny - powiedział. -

Mam złe przeczucia.

- Ja też, kuzynie... ja też.

- Włóż dziś pełną zbroję, Robercie, nie zapomnij o heł-

mie i niech twój giermek zrobi to samo.

VIII

d rana nic się nie układało. Grzegorzowi blachy leciały z rąk, gdy zakładał sir Robertowi zbroję.

O Panna Rambures była niewyspana i małomówna, zresztą nie było czasu na rozmowy, bo baron nalegał na szybki wyjazd. Sir Ralf wyrzekał na Guillaumea za zgniłą cebulę. Sir Gotfryd robił panu Moorow uwagi, żeby nie obchodził się tak okrutnie z gierkiem. Sam giermek przeklinał pod nosem po francusku. Doktor Joachim wymamrotał z rana jakąś cierpką uwagę o upadku obyczajów, ale pod lodowatym spojrzeniem barona zamilkł. Pan Wilfryd narzekał na obcierający go naramiennik, czego Huxley słuchał z najwyższą niechęcią.

Bali ze swoimi łucznikami ruszył przodem. Długo krą-

zyli po lesie, nie mogąc odnaleźć traktu. Ich wcześniejsze ślady jakby zapadały się pod ziemię. W końcu, zmęczeni, poirytowani i niespokojni, wyjechali na prowadzącą przez las drogę. Nie minęły dwa pacierze, gdy nagle z okolicznych zarośli poderwały się z krzykiem chmury ptaków. Panowie Ralf i Gotfryd zastygli w siodłach, słysząc tętent nadjeżdżających koni. Baron Pitchfork spojrzał na wuja i nie musiał o nic pytać.

- Do broni! - ryknął ile tchu w płucach.

183

Podniosła się ogromna wrzawa. Łucznicy w pośpiechu zeskoczyli z koni i nakładali cięciwy. Rycerze opuścili zasłony hełmów, zacisnęli dłonie na kopiach lub dobyli mieczy. Robert spojrzał na pannę Rambures. Twarz mia-

ła białą i ściągniętą z przerażenia.

- Nie odstępuj mnie na krok, pani! - krzyknął przez ściśnięte gardło. Prawą ręką wyciągnął z pochwy miecz, a lewą położył na zasłonie psiego pyska, by zamknąć hełm. I nagle poczuł, że Maria jest bardzo blisko niego, że kładzie dłoń na jego policzku. Odjął rękę od hełmu i spojrzał w jej wielkie przerażone oczy.

- Nie daj nam tu zginąć, błagam! - Dziewczyna oburącz chwyciła jego głowę i pocałowała go w usta. Robert puścił wodze i objął ją wpół, odwzajemniając pocałunek.

Zatracił się w miękkości jej warg i nieustępliwości, z którą do niego przylgnęła.

Nie! To nie może być koniec. Dobry Bóg nie pozwoli, by to się tak skończyło. Nie teraz. Nie tak, pomyślał i stanowczo odsunął Marię.

- Jeszcze mamy czas, kochana! Mnóstwo czasu przed nami.

Zamknął hełm, akurat gdy na drodze za nimi pojawili się pierwsi ciężkozbrojni na wielkich rumakach. Jechała ku nim masa rycerzy. Posypały się nieliczne angielskie strzały. Zakotłowało się kilka zranionych koni. Paru jeźdźców runęło pod kopyta wchodzących w powolny galop wierzchowców towarzyszy. Starcie było nieuniknione. Pojedyncze strzały nie mogły powstrzymać impetu zwartego ataku. Co gorsza, łucznicy zdali sobie z tego sprawę i wskoczyli na konie, by ratować się ucieczką.

184

- Na nich, panowie, w imię świętego Jerzego! - krzyknął sir Ralf, popędzając rumaka. Tuż za nim zerwał się do szarży baron Pitchfork, wykrzykując zawołanie rodowe. Za nimi ruszyli panowie Gotfryd i Wilfryd. Niewiele w tyle pozostali Guillaume i młody Grzegorz Fellaw z garstką innych. Jedyna nadzieja była w tym, że łucznicy jednak się opamiętają i podejmą walkę.

- Na nich!!! - ryczał pan Rambures, pochylając kopię.

- Dalej, panowie! Bez litości! - wtórował mu z boku Clermont, również składając się do uderzenia.

Jeśli nie liczyć uciekających łuczników, przewaga Francuzów była prawie dziesięciokrotna. Anglicy dosiadali podjezdaków i tylko kilku miało kopie. Wynik tego starcia mógł być tylko jeden. Francuzi i Anglicy wpadli na siebie z wielkim hukiem. Clermont już w pierwszym zwarciu wysadził z siodła sir Wilfryda, gruchocząc kopią płytowy naramiennik. Równocześnie pan Rambures starł się z sir Ralfem, który ledwie zbił tarczą wymierzoną w pierś kopię i z najwyższym trudem utrzymał się w siodle. Na następny na drodze Clermonta znalazł się sir Artur. Baron nie zamierzał jednak tanio sprzedać skóry. Wykorzystując to, że Clermont, strąciwszy z siodła pana Wilfryda, nie zdążył złożyć się ponownie, podjechał doń i chwycił zaskoczonego wpół, a następnie wysadził potężnym szarpnięciem z siodła. Kosztowna zbroja chrupnęła, gdy pan Bertrand runął z impetem na ziemię, tracąc oddech.

Sir Artur jednak nie miał czasu z nim skończyć, bo wpadł na niego pan Gascarde, wprawnie, acz ryzykow-nie mierząc kopią w głowę. Na nieszczęście Francuza z baronem nie można było sobie pozwolić na ryzykow-185

ne posunięcie więcej niż raz. Artur, nie zwalniając, jechał wprost na nastawioną kopię Gascarde'a i w ostatniej chwili schylił się, biorąc potężny zamach. Broń Francuza przebiła powietrze, a miecz Anglika prawie odciął przednią prawą pęcinę nadjeżdżającego rumaka. Gascarde ru-nął przez łeb padającego wierzchowca, a w locie został

trafiony kopytem konia Grzegorza Fellawa.

Pan Wilfryd podniósł się z ziemi, brocząc krwią ze zmiażdżonego i wywichniętego barku. Nie ustał jednak zbyt długo, gdyż przejeżdżający obok Vindroit zdzielił

go potężnie w głowę buzdyganem. Anglik padł jak długi, niemal zupełnie ogłuszony. Pan Gotfryd tuż przed starciem z Francuzami odjechał nieco w prawo i wpadł na giermków mistrza kuszników. Minął dwóch kopijników, zmuszając ich do obrotu, i uderzył na konnego uzbrojonego w długi miecz i tarczę. Nastąpiła szybka wymiana ciosów, która nie przyniosła rozstrzygnięcia...

Robert został sam pośrodku drogi z panną Rambures za plecami. Nie ruszył za resztą, by jej nie opuszczać, honor zaś nie pozwalał mu z nią uciekać. Zaczął więc nawoły-wać łuczników, naśladując ojca:

- Wasze żony zapamiętajają, że tego dnia zostały wdowa-mi! Wracać! Wracać, chamy! Ucieknijcie teraz, a spadnie na was ciężka ręka pańska! Zawieście za to jak mi Bóg miły! Będę skórę darł pasami! Stać! Wracać!

Pomału tracił głos, ale ku jego zdumieniu niektórzy z łuczników zatrzymali się i zaczęli strzelać. Niewielka grupka angielskich rycerzy zdołała bowiem dokonać nie-186

możliwego - związała walką masę francuskiego rycerstwa pędzącą wąską drogą.

Sir Ralf złapał równowagę i natarł na mistrza kuszników. Ten zdążył na czas odrzucić kopię i wyrwał topór z tulei przy siodle. Obaj byli w szale walki, nie znaczy to jednak, że zachowywali się lekkomyślnie. Przeciwnie, zwarcie było krótkie i żaden nie dał się ponieść nerwom.

Parę ciosów postrzępiło obite skórą krawędzie tarcz. Poleciały wióry. Pan Ralf raz dosięgnął piersi mistrza kuszników, ale nie przebił pancerza i odstepili od siebie.

Na pana Moorow rzucił się nagle jeden z giermków Ramburesa. W przeciwieństwie do swego pana nie zachował on zimnej krwi i nie miał tak dobrej zbroi. Sir Ralf bez trudu wyłapał na tarczę parę energicznych ra-zów buzdygana i wykorzystując chwilę zmęczenia przeciwnika, stanął w strzemionach, wychylił się mocno i ciął

z boku, mijając zasłonę przeciwnika. Giermek, utrudzo-ny zawziętym atakiem, nie zdołał na czas podnieść tarczy. Ogniwa kaptura kolczego rozprysnęły się pod ciosem długiego miecza, odsłaniając

tryskającą krwią tętnicę. Sir Ralf miał czas ponowić atak, ale nie było takiej potrzeby, bo Francuz padł na szyję swojego rumaka jak płachta mokrego płótna.

Sir Artur usiłował przebić się do pana Rambures. Jego koń szalał ze strachu i gniewu. Baron zbijał już tylko te ciosy, które uważał za najbardziej niebezpieczne, nie mogąc w tej ciżbie odciąć się swobodnie przeciwnikom.

W końcu czyjś kiścień gruchnął o czaszkę gniecionej ze wszystkich stron rumaka. Czując, że zaraz spadnie, pan Pitchfork stanął w strzemionach i pochwycił czyjąś 187

opancerzoną rękę. Szarpnął ku sobie słabszego przeciwnika i pociągnął go w dół pod młóćące ze wszystkich stron kopyta. Łupnęły zbroje. Otaczający ich rycerze cofnęli przyzwyczajone do tratowania konie, by oszczędzić towarzysza. Ów podniósł się najszybciej jak mógł, ale baron okazał się szybszy i Francuz upadł pod jego ciężarem.

Sir Artur zerwał chroniącą jego twarz zasłonę. Błysnęła obnażona mizerykordia. Francuz rozpaczliwie zatrzepotał rękoma, a z przebitego oka trysnął strumień krwi.

Baron instynktownie poderwał leżący obok miecz, który wypuścił, spadając, i przygotował się na śmierć.

Wykonał obrót, widząc, że otaczający go rycerze odstą-

pili nieco. Między ich końmi przecisnął się wrzeszczący coś po francusku rycerz w podartym tabardzie. Sir Artur rozpoznał w nim pierwszego, którego wysadził z siodła.

Po chwili wywnioskował z jego okrzyków, że zwie się on Bertold z Clamerot i że wyzywa go do walki jeden na jednego. W długiej przemowie było jeszcze coś o Bogu, honorze i umiłowaniu Pikardii, jak również o pamięci przodków i słodkiej śmierci w boju. Niestety słaba znajomość francuszczyzny nie pozwoliła Arturowi docenić subtelności wyzwania. Mimo to był wdzięczny za chwilę oddechu.

- Tak mi dopomóż Bóg! - zakończył przemowę Clermont i ruszył na barona z trzymanym wysoko półtoraręcznym mieczem sztychem skierowanym w dół. Szedł

nisko na nogach, by osłonić je długą klingą. Sir Artur wziął spokojnie wdech i również przyjął niską postawę.

Dzierżył swój długi miecz oburącz na wysokości pasa, lekko po skosie zwrócony w górę...

188

Łucznicy zaczęli strzelać w kotłujących się na drodze rycerzy. Niektórzy Francuzi ominęli walczących, nie mogąc przecisnąć się przez tłum. Widząc, że coraz więcej łuczników gotuje się do strzału, ruszyli na nich niechętnie. Woleliby zetrzeć się ze szlachetnie urodzonymi, ale rozsądek bezwzględnie nakazywał rozpędzić tych gołców podłego stanu. Syknęły lotki strzał. Zakwiczało kilka ko-ni. Parę strzał ześlizgnęło się po napierśnikach lub wbiło się w tarcze. Niektóre poprzebijały

kolezugi i dosięgły ciał. Sir Robert zobaczył jadącego ku niemu rycerza trzymającego w ręce kiścień. Dał koniowi ostrogę i ruszył przed siebie. Nie miał tarczy i dosiadał słabszego wierzchowca, co nie wróżyło dobrze. Francuz, widząc nie opancerzone zwierzę, uderzył w chrapy. Sir Robert również chciał ranić konia przeciwnika, ale stracił równowagę. Jego rumak stanął dęba, a on grzmotnął plecami o ziemię. Choć w oczach miał ciemne plamy, spróbował

się podnieść, ale zakręciło mu się w głowie i zdołał jedynie przyklęknąć na kolano. Nie mogąc złapać oddechu, podniósł zasłonę psiego pyska i spojrzał w górę. Krew szumiała mu w uszach. Spostrzegł nawracającego Francuza i wysoko uniesioną prawicę ściskającą kiścień. Jeź-

dziec ruszył ku niemu.

Czyli to jednak koniec... - pomyślał z goryczą.

I wtedy pojawił się Huxley. Zajechał Francuza z boku i ciął w galopie z precyzją cyrulika puszczonego krew.

Rycerz wypuścił broń ze skaleczonej prawicy i spojrzał

na rozcięty zakrwawiony naręczak. Gdyby nie zasłona twarzy, można by dostrzec jego bezbrzeżne zdziwienie.

Dziwił się jednak krótko, ponieważ kowal zawrócił i po-189

słał go nieprzytomnego na ziemię, ogłuszywszy potęż-

nym ciosem głowicą w dzwon hełmu. Huxley chwycił

wodze pozbawionego jeźdźca konia i podjechał z nim do Roberta, który zdążył w tym czasie powstać.

- Wskakujcie, panie.

Mimo że wokół wrzała bitwa, głos Huxleya był spokojny.

Artur ciął pierwszy - z góry po skosie. Clermont skrzył

rękojeść w dłoniach i przyjął uderzenie na jelce. Baron poprawił z drugiej strony, również z góry, lecz Francuz bez trudu sparował cios. Dopiero teraz pan Pitchfork wykonał prawdziwy atak, mierząc w dłoń. Clermont nie dał

się jednak omamić pierwszymi ciosami i uderzenie znów spadło na jelce. Inicjatywa była teraz po stronie Francuza. Postąpił do przodu, odpychając miecz sir Artura, i ciął z krótkiego zamachu w lewy bok. Anglik postąpił

w tył i zastawił się tuż przy ciele. Przekrzył broń i odpowiedział silnym cięciem nad klingą, celując w przedramiona. Francuz znów zareagował na czas i w porę wycofał miecz, przechodząc w zasłonę.

Walczący wokół nich opuścili broń i zaczęli obserwować walkę.

W tym czasie pozostali Francuzi rozpędzili próbujących się zebrać łuczników.

Pięciu zbrojnych otoczyło pannę Rambures. Dziesię-

ciu okrążyło sir Roberta i Huxleya, którzy nie zdążyli umknąć.

190

Sir Ralf wyrwał się na moment ze ścisku i dołączył do sir Gotfryda, na którego napierano ze wszystkich stron.

Stary rycerz wyraźnie słabł, a jego zbroja nosiła ślady licznych trafień. Pan Moorow wpadł w otaczającą towarzysza grupę, roztrzaskując miecze i tnąc na boki.

- Uciekajmy! - zakrzyknął sir Gotfryd. - Ktoś musi powiadomić króla!

Propozycja ta nie przypadła panu Ralfowi do gustu, ale prawda była taka, że potyczka została z kretesem prze-grana i trzeba było dokonać wyboru między śmiercią lub niewolą a ucieczką. Sir Ralf pomyślał szybko o synu i doszedł do wniosku, że żadna z tych możliwości nie ma wpływu na los Roberta. Podjął więc tę decyzję, która mogła przynieść największy pożytek królowi:

- Uciekajmy!

Przyjaciele napaarli na otaczających ich Francuzów, pró-

bując się przebić. Tarcza sir Ralfa została przy tym niemal całkiem strzaskana, a lewy naramiennik w wielu miejscach wgięty. Dwa troki napierśnika zostały odcięte, ale szczęśliwie dla pana Moorow dwa pozostałe utrzyma-

ły płyty zbroi razem. Mocno poobijany rycerz przedarł

się przez tłum i ruszył w las.

Sir Gotfryd miał mniej szczęścia. Najpierw został ogłuszony potężnym ciosem buzdygana, a zaraz potem ktoś pchnął go pod pachę. Wykrwawił się niedługo po tym, jak półprzytomny padł na ziemię strącony z siodła ude-rzeniem maczugi. Równie smutny los spotkał młodego Grzegorza Fellawa, który padł pod ciosami ciężkiego topora, zabierając ze sobą jednego Francuza.

Guillaume leżał nieprzytomny, przygnieciony ciałami 191

dwóch giermków mistrza kuszników. Miał złamane trzy żebra, a jego napierśnik został powyginany w fantastyczne kształty. Pan Wilfryd zginął zaraz po tym, jak drugi raz spróbował się podnieść. Pan Rambures rozrząbał mu hełm i głowę toporem.

Walka dobiegała końca. Ciężkozbrojni gonili uciekają-

cych łuczników drogą i lasem, ścinając bez litości każde-go, kogo zdołali doścignąć. Sir Ralf jechał galopem przez zarośla, usiłując odsadzić się od ścigających go pięciu rycerzy. Sir Robert i Huxley podali miecze otaczającym ich zbrojnym, podnosząc prawice w geście poddania. Inni konni poprowadzili bladą pannę Rambures przed oblicze ojca, który przecisnął się przez krąg otaczający pojedyń-kujących się i dołączył do widzów.

Zgrzytnęła stal. Raz, drugi, trzeci miecze skrzyżowa-

ły się i zakręciły. Walka nie straciła na tempie, mimo że trwała już dobry pacierz. Clermont ciał szeroko w bok, mierząc w odsłonięte kolano. Sir Artur cofnął jednak wystawioną na przynętę nogę i uderzył z góry. Głośno szczęknął metal i oderwana zasłona hełmu Francuza wbiła się w ziemię. Pan Bertrand postąpił w tył, odruchowo osłaniając głowę i próbując złapać równowagę. Baron przyskoczył do niego i uderzył w odsłoniętą pachę. Miecz przełamał chroniącą tętnicę stalową tarczkę i nadciął pikowany kaftan, ale nie sięgnął ciała. Clermont rąbnął

z góry w bark. Tego uderzenia nie sposób było sparować uwieczonym w pancerzu mieczem. Sir Artur skrócił więc dystans, blokując lewą ręką ramiona Francuza. Stalowe 192

naręczaki ześliznęły się po wyciągniętym przedramieniu Anglika, miecz dotknął ziemi, baron zaś uderzył nałokietnikiem w nie osłoniętą twarz przeciwnika. Clermont wrzasnął i cofnął się chwiejnie. Wypuścił miecz z lewej dłoni i ciągnąc go prawą sztychem po ziemi, trzymał się za krwawiący nos i usta. Walka była właściwie zakończona, ale żeby nie pozostawić żadnych wątpliwości, sir Artur przyskoczył do ryczącego z bólu Francuza i uderzył niedbale oburącz z góry. Dławiący się krwią Clermont nawet nie próbował odbić cięcia, ale wciąż trzymał

oręż bardzo silnie, skutkiem czego cios pana Pitchfork z przejmującym metalicznym trzaskiem złamał klingę Francuza.

Sir Artur rozejrzał się po zebranych wokół rycerzach, nie zwracając już uwagi na okaleczonego, pozbawionego broni przeciwnika. Podniósł zasłonę hełmu. Oddychał

szybko, ale głęboko i miarowo, a w oczach wciąż miał

wyzywający błysk.

- Co panowie powiedziec na układ? - odezwał się. -

Moja wolność za życie tego tu pana Bertolda z Clamerot.

Czar niezwykłego przykładow rycerskiego rzemiosła prysł, gdy stojący dokoła Francuzi usłyszeli, jak baron Pitchfork kaleczy ich mowę.

- Więc jak jest? Kto dowódca? - Sir Artur rozglądał

się badawczo po zebranych. Znał barwy pana Rambures, ale nie miał on na sobie tabardu i był z dala

się badawczo po zebranych. Znał barwy pana Rambures, ale nie miał on na sobie tabardu i był z dala

od sztanda-ru. Mistrz kuszników, siedzący nieruchomo w wysokim siodle, w końcu przemówił:

- Człowiek, którego pokonaliście, jest mi, hmm.. bliski... hmm... niczym syn.

193

Niektórzy pobłażliwie uśmiechnęli się półgębkiem.

Wychodziło na to, że można być świetnym wojownikiem oraz wielkim panem, lecz nie umieć gładko przemawiać.

- Skoro on wasz syn, to chyba moja propozycje wydadzą się wam dobrze - rzekł Artur.

- Hmm... tak... to jest nie... To nie jest mój syn, ale propozycję przyjmuję.

- Jakże to? Wasz syn, a nie przyjmuje? - zdziwił się Artur.

- Przyjmuję! - huknął zirytowany mistrz kuszników, wiercąc się w siodle.

- Kuzynie! Nie zapominajcie o nas! - krzyknął zza francuskich pleców sir Robert.

Niektórzy z konnych rozstąpili się nieco, żeby baron mógł spojrzeć na krewniaka.

- No tak - przyznał. - Ma siebie rozumieć, że wolność też będzie mój kuzyn.

- I obecny przy moim boku pan Huxley... jak również panna Rambures... - dodał niespodziewanie Robert.

Twarz mistrza kuszników w jednej chwili przybrała barwę królewskiej purpury.

-Co...? - wydyszał z trudem. Po krótkim namyśle złapał za topór i jednym ruchem uniósł go nad głowę.

- Ojczy, zaklinam cię, nie rób tego! - zawołała Maria. -

Jeśli chcesz, żebym była ci posłuszna, nie czyn krzywdy temu rycerzowi - dodała drżącymi pobladłymi ustami.

Rambures zastygł na moment z toporem wysoko nad głową i grymasem wściekłości na twarzy. Po chwili jednak wolno opuścił broń i spojrzął na córkę. Konni Francuzi zaszemrali.

194

-A dlaczegóż to miałbym, hmm... oszczędzić tego gołowąsa? - zapytał.

- Ponieważ jestem gotowa cię o to błagać na kolanach -

odrzekła Maria.

- Nie o to pytam...

- Za pozwoleniem, panie - odezwał się hardo sir Robert. - Może ja mógłbym służyć wyjaśnieniem...

- Ty, chłystku - warknął Rambures - mógłbyś służyć mi co najwyżej plecami, gdy wsiadam na konia.

- Jednakowoż zabicie bezbronnego rycerza nie uchodzi wielkiemu panu - odezwał się pan Vindroit, nerwowo gładząc wąsy.

- Nie uchodzi?! - zagrzemiał mistrz kuszników. - Nie uchodzi?!

- Panie Rambures...! - zakrzyknął, splunawszy krwią, Clermont. - Puśćmy tych rycerzy wolno! Wszak odży-skaliśmy pannę Marię całą i zdrową. Dajmy im odejść swoją drogą.

Mistrz kuszników, choć nie wypuścił z garści topora, zdążył już nieco ochłonąć i na jego twarzy widać było namysł.

- Niech i tak będzie - zgodził się. - Trzej panowie mogą odejść, ale... hmm... nie obiecuję, że za wami nie pojedziemy. Jest... hmm... wojna. Obiecuję jedynie, że... hmm... nie ruszymy za wami dziś.

Maria zaszlochała, a sir Robert pobladł, ale nic już nie powiedział. Nie byli w położeniu umożliwiającym negocjacje. Sir Artur przedstawił się na życzenie Clermonta, a potem dosiadł jednego z bezańskich po bitwie wierzchowców. Zabrali też jucznego konika, który nie uciekł

195

przestraszony z pola walki, gdyż był głuchy jak pień.

Obejrzel pobojuwisko. Mieli tylko jednego rannego -

Guillaumea. Giermek pana Moorow wymagał opieki, której uciekając, nie mogliby mu zapewnić, toteż Rambures zdecydował, że zatrzyma go przy sobie. Nigdzie jednak nie znaleźli doktora Joachima. W końcu ruszyli dalej drogą, na której zostawili wielu poległych przyjaciół. Roniąc łzy i wzdychając, Robert i Artur mówili za nich w siodle cichą modlitwę.

Nie ujechali daleko, gdy z przydrożnych zarośli wychy-nęło siedmiu jeźdźców. Byli to Bali i jego kompanii oraz dwaj inni łucznicy. Spojrzenia mieli smętne i z lekka zawstydzone. Ich pikowane kaftany przecinały czarne linie cięciw, bo zarzucili na plecy napięte łuki.

- Tylko panowie? - cicho spytał Bali.

Sir Artur odpowiedział mu posępnym skinieniem głowy. Zaczęło padać.

Jechali w deszczu milczący i pogrążeni w żałobie, niepewni, gdzie prowadzi droga. Tych, którzy to wiedzieli, nie było już z nimi. Krążyli więc niczym duchy po nagich polach i lasach, często wracając na przebyty już szlak.

Sir Robert zamknął się w sobie. Z łucznikami rozmawiał

głównie Huxley i wyraźnie starał się coś ustalić, ale ani baron, ani jego kuzyn nie byli tym specjalnie zainteresowani. Po prostu dali się prowadzić, wyczerpani i smutni.

Karczma, do której zmierzali, musiała być niedaleko, ale to jeszcze bardziej ich irytowało.

Sporo jeszcze brakowało do zmierzchu, gdy zdecydowano-196

wali się zatrzymać na noc. Posiadali z wierzchowców przy niewielkim stawie otoczonym niezbyt gęstym lasem, wokół którego rozciągały się pola uprawne. Rycerze zdjęli hełmy, a baron wydał serię poleceń łucznikom.

Kiedy skończył, większość ludzi zabrała się do roboty, ale Duży Will ku zaskoczeniu Artura nie ruszył po wodę.

Stał wyprostowany i spojrzał wyzywająco na swojego pana. Baron był w pierwszej chwili tak zdumiony, że odebrało mu mowę. Łucznik natomiast wolno rzekł: *When Adam dehed, and Eve span*

*Who was then a gentleman?**

Bali odstąpił od konia, któremu miał zdjąć siodło. Sę-

dziwy Mateusz, Tomcio i Tomasz Smith również zarzucili swe zajęcia i położyli ręce na kordach.

- Co to ma być, do licha? - zapytał w końcu szczerze zdziwiony sir Artur.

- No cóż, komu w drogę, temu czas. Zostawiam was sobie - niespodziewanie odezwał się Huxley, wkładając nogę w strzemień.

Sir Robert poczuł ciarki na plecach. Zdziwienie na twarzy sir Artura nagle zastąpiła wściekłość.

- Nigdzie nie pojedziesz, Huxley! - wycedził przez za ciśnięte zęby.

Wszyscy zamarli. Robert rozejrzał się dokoła. Łucznicy stali nieruchomo, spoglądając to na barona Pitchfork, to znów na Huxleya.

* *Gdy Ewa przędła, Adam rył,*

Kto wtedy jaśnie panem był?

(za: B. Zientara, *Historia powszechna średniowiecza*) 197

- Rozumiem twoje wzburzenie, mój panie - rzekł kowal - ale mam polecenie od samego króla, o czym jak sądzę, doskonale...

- Nigdzie nie pojedziesz - sucho powtórzył sir Artur, świdrując go wzrokiem. - Nie obchodzi mnie,

jak sfał-

szowałeś pieczęć. Nie oddalisz się ode mnie na odległość splunięcia, póki nie staniemy przed obliczem panującego nam miłościwie...

- Nie mam czasu na bzdury - warknął zniecierpliwiony Huxley, kładąc dłoń na głowicy miecza.

- Zaklinam was, nie róbcie tego! - zawołał drżącym głosem Robert. - Arturze, to może być zwykłe nieporozu-mienie... - dodał, niespokojnie przenosząc wzrok z kuzyna na kowala.

- Odsuń się, Robercie - powiedział stanowczo Artur.

Łucznicy zaczęli nerwowo spoglądać po sobie. Nie spuszczaali rąk z broni.

- Mam tu królewskie poręczenie! - wrzasnął Huxley, lewą ręką wyszarpując z sakwy przy pasie wymięty zwój. -

Jeśli któryś z was mnie tknie, wieść o tym dotrze do kró-

lewskich uszu!

- A jakże, sam pierwszy powiadomię naszego pana, że podniosłeś rękę na szlachetnie urodzonego, psi synu!

Wielu nawet nie dostrzegło, jak sir Artur wyrwał

miecz z pochwy, bo zaraz potem błyskawicznie zaatakował Huxleya. Kowal jednak do nich nie należał. W porę uskoczył do tyłu, równie szybko jak baron dobywając oręża. Artur ciął z wysoka, prosto na głowę. Szczęknię-

ły klingi. Huxley przyjął cios pewnie, na moc miecza -

nisko przy jelicach - i energicznie obrócił się w prawo, 198

schodząc z drogi rozpędzonemu przeciwnikowi. Sir Artur dopiero wówczas zrozumiał, że popełnił fatalny błąd.

Ugiął nogi, by wyhamować, przerzucił rękę z bronią nad głową, by zasłonić wystawione na cios plecy. Za późno.

Kowal ciął bardzo lekko i szybko w łydkę Artura tuż nad nagolennikiem, omijając zasłonę. Raniony rycerz potknął się, przerzucił ciężar ciała na drugą nogę i wykonał

wokół niej zamaszysty obrót, tnąc szeroko z prawej. Jednak Huxley był już poza jego zasięgiem i czekał w perfek-cyjnej pozycji na mocno ugiętych nogach. Miecz Artura ze świstem przeciął powietrze na dobry łokieć przed twarzą Huxleya.

Odezwał się kłujący ból w lewej łydce. Mimo to Artur wrócił do postawy fechtunkowej, przeklinając w myślach swoją porywczosć.

Jasnozielone oczy wpatrywały się w niego nieruchome, wyczekujące.

- Chciałeś wiedzieć, jak się fechtuje, chłopcze? - rzucił Huxley za siebie, nie spuszczać oczu z Artura. - To patrz.

Kowal nie czekał, aż Robert odpowie. Zrobił pół kroku w przód, lekko trącając miecz Artura. Baron odpowiedział szybkim cięciem z łokcia. Huxley sparował bez trudu i odpowiedział z przeciwnej strony, napierając na przeciwnika. Artur pewnie przyjął cios i zrobił krok w tył, aby zachować menzurę. Stał jednak niepewnie, kulejąc.

Przeciwnik zasypał go serią szybkich arytmicznych cięć.

Podchodził coraz bliżej z miękką elegancją w ruchach.

Rycerz z trudem utrzymywał dystans, odcinając się kowalowi. Zaczął go ogarniać strach. Te kilka złożeń dało 199

mu do zrozumienia, że Huxley całkowicie kontroluje walkę. Sir Artur chciał obejść go z prawej, lecz kowal nie pozwolił mu na to, tnąc mocno wewnętrzną stroną miecza od lewej. Rycerz wykonał zasłonę i tym razem spróbo-wał obejścia z drugiej strony, Huxley jednak ciął nisko, mierząc w ranną nogę Artura. Baron, zamasyście pod-biwszy jego broń, zdecydował postawić wszystko na jedną kartę. Gdy tylko broń kowala odskoczyła, Artur, nie zatrzymując miecza, ciął wewnętrzną stroną głowni na skroń, przeginając się w krótkim wypadzie. Niejeden autor traktatu szermierczego pochwaliby go za to, niejeden rycerz skłoniłby głowę, doceniając precyzję wykonania.

O ile jednak baron ciął bardzo finezyjnie, o tyle odpowiedź Huxleya okazała się niewiarygodnie skuteczna.

Kowal przysiadł jeszcze niżej na nogach i gwałtownie przechylił głowę w bok, pozwalając broni Artura przejść ledwie pół pędu nad swoim czołem. Równocześnie zaatakował z dołu w wysuniętą prawą nogę rycerza - od wewnętrznej strony uda. Trafił w stalowy nabiodrek, nadcinając blachę na brzegu, jednak część klingi otworzyła na grubość kciuka udo Artura. Baron stęknął i ru-nął jak ścięte drzewo. Zanim jednak jego plecy dotknęły ziemi, Huxley przyskoczył doń i dźgnął puginałem w twarz. Nikt z widzów nie potrafiłby powiedzieć, kiedy puginał znalazł się w ręce fechtmistrza. Wszyscy z nie-mym zachwytem przyglądali się, jak nieprzytomny rycerz z chrzęstem zbroi pada na murawę, a jego twarz zalewa się krwią. Wszyscy prócz Huxleya, który rzuciwszy szybkie spojrzenie wokół siebie, wskoczył na najbliższego konia i wpadł w las.

200

- Łapcie go! - wrzasnął w końcu sir Robert, który pierwszy otrząsnął się z osłupienia.

Dwaj łucznicy, którzy nie należeli do kompanii Balia, rzucili się do koni. Robert spojrział za nimi, ale natychmiast odwrócił wzrok, kątem oka złowił bowiem skinię-

cie Williama Balia. Na ten znak Tomasz Smith i Duży Will wyciągnęli tasaki, a Mateusz i Tomcio nałożyli strza-

ły na cięciwy.

Krew uderzyła Robertowi do skroni i odtąd wszystko działo się bardzo szybko. Młody rycerz błyskawicznie zrozumiał, co się dzieje, i rzucił się do leżącego tuż obok Artura. Wyciągnął miecz i ująwszy rękojeść oburącz, stanął w pozycji fechtunkowej. Świsnęły dwie strzały i dwaj posłuszni łucznicy, którzy ruszyli za Huxleyem, spadli z koni. Tymczasem Tomasz Smith przyskoczył do stojącego nad nieprzytomnym kuzynem Roberta i ciął niedbale tasakiem. Popełnił jednak wielki błąd, nonszalanc-ko traktując młodego rycerza. Robert spokojnie przyjął

cios mocą miecza i zdzielił lewą ręką pewnego siebie łuczника. Stalowa rękawica niemal wgniotła twarz Smitha. Mężczyzna puścił tasak i poderwał do niej rękę, ale nie zdołał ująć jej w dłonie, bo sir Robert rozplątał mu czaszkę szybkim cięciem z łokcia.

Pozostali łucznicy już otoczyli rycerza i ruszyli na niego hurmem. Mimo że w większości byli weteranami, wcale nie szło im łatwo. Sir Robert ostatecznie od małego był

ćwiczony w rycerskim rzemiośle, a desperacja, wściekłość i - co równie ważne - zbroja zrobiły swoje. Łucznicy ob-skakiwali go, wyprowadzając ciosy z różnych kierunków.

Parował tylko te, które uznał za niebezpieczne. Kilkakrot-201

nie tasak osunął się po płytach pancerza. Kilka kordowych sztychów zarysowało stal napierśnika. Sir Robert dwoił się i troił, ale pod gradem uderzeń nie miał czasu skutecznie zaatakować. W końcu Bali zablokował opancerzoną rękę z mieczem, a Duży Will przyskoczył od pleców i grzmotnął rycerza głowicą tasaka w tył głowy.

Gdy w końcu odzyskał przytomność, poczuł rozsadzają-

cy czaszkę ból. Koń, na którym jechał, szedł stępą w miękkiej od pożółkłych liści ściółce. Roberta przerzucono w po-przek końskiego grzbietu i związano ręce i nogi przecią-

gniętym pod brzuchem zwierzęcia konopnym sznurem.

Bolało go straszliwie. Przede wszystkim głowa, ale skrę-

powane członki również dawały o sobie znać. Nie miał

siły spojrzeć na okolicę. Pozostało mu jedynie tępo patrzeć w dół i rozmyślać.

A potem zapłakał. Przypomniawszy sobie starcie Artura i Huxleya oraz napaść łuczników. Przypomniawszy sobie, że wielu jego dobrych kompanów zostało martwych na trakcie, w tym młodzieńcy Grzegorz. Pomyślał, że ojciec zapewne również nie żyje, tak jak posiekany przez kowala kuzyn. Na koniec

uświadomił sobie, że odebrano mu ukochaną. Poczul rozdzierającą wewnętrzną rozpacz i rozryczał się jak dziecko. Pomyślał, że powinien natychmiast zapanować nad sobą, że wokół są jego oprawcy, przed którymi nie wolno mu okazywać słabości. Pomy-

ślał, że jest angielskim rycerzem, lecz nie wstrzymało to kolejnych fal łez i histerycznego, łapczywego oddechu.

Łkał, zasmarkując i zalewając łzami twarz.

202

Ktoś zatrzymał konia, na którym jechał. Zaraz potem czyjaś ręka pochwyciła go za włosy, poderwała głowę i wykręciła obolały kark. Spojrzał w nie ogolone, odpychające oblicze Williama Balia. Ujrzał pełen nienawiści grymas i momentalnie przestał płakać.

- Cóż to, jaśnie panie? - zagadnął go łucznik. - Pła-czesz jak małe dziecko, ale nie martw się. Nie zrobię z tobą tego, na co mam ochotę, ani z twoim ledwie dychającym kuzynem. Jesteście moją przyszłością, dlatego wspaniałomyślnie powstrzymam się od zadania wam mąk, a nawet was nie pozabijam.

- Dlaczego? Dlaczego to robisz? - wyszeptał Robert, mrużąc oczy z bólu.

Łucznik spojrział na młodego rycerza, a w jego oczach pokazało się coś, co sprawiło, że sir Robert miał ochotę znowu stracić przytomność.

- Oj, nie znasz, młody paniczyku, historii i swoich poddanych, skoro zadajesz mi to pytanie - rzekł Bali. - Żaden z was zresztą nie zna. Bo i po co? Uważacie się za wielkich panów i obrońców ludu, a jesteście zwykłymi morderca-mi. I chciwcami, którzy wszystko, co mają, zawdzięczają takim jak ja i mój ojciec. Wiesz, kim był mój ojciec?

- Nie... - wyszeptał Robert.

- Zwał się Jan. Jan Bali. Niczego ci to nie przywodzi na myśl? Nie? Cóż, w końcu za młodyś, żeby mieć jego krew na rękach. Nawet twój ojciec był jeszcze smarka-czem, gdy mój rodzic zginął w potwornych męczarniach.

Człowiek, który nie bał się na was podnieść ręki za wasze nieprawości. Za waszą chciwość i wyzysk. Ja też się nie zawaham. Ale nie bój się, rycerzyku. Już niedługo posie-203

dzisz sobie wygodnie w jakimś loszku, póki ktoś cię nie wykupi. Chcesz coś powiedzieć?

- Oddasz nas Francuzom, ty nędzny psie?! - zebrał-szy siły, zawołał Robert. - Już wiem, kim był twój ojciec.

Był zwykłym zbirzem, bez szacunku dla Kościoła i Bożego porządku. Za to zginął w mękach i klnę się, że i ty po-dzielisz kiedyś jego los, za tę zdradę, którą się hańbisz!

Zapamiętaj te słowa, chamie bez czci i wiary!

Bali spokojnie wysłuchał do końca obelg rycerza, a następnie uderzył go w głowę rękojęścią puginału.

Ból wciąż rozsadał mu czaszkę. Początkowo myślał, że stracił wzrok, po chwili jednak zrozumiał, że leży w jakimś mrocznym, zatęchłym pomieszczeniu. Zaczął sobie przypominać ostatnie wydarzenia i znów gardło ścisnęła mu rozpacz, ale tym razem nie zapłakał. Był zbyt zmę-

czony i brakowało mu już łez. Po prostu przywoływał

z pamięci obraz za obrazem, usiłując zrozumieć, co wła-

ściwie się stało i dlaczego.

Po jakimś czasie usłyszał dochodzące z bliska jęki. Za-drżał, próbując przebić wzrokiem ciemności - na próżno.

Ktoś znów zajęczał przeciągle i z wielkim wysiłkiem. Nagle rozwarły się drzwi i pomieszczenie wypełniło światło pochodni. Do kamiennej piwniczki wszedł Mateusz.

Stary łucznik spojrział najpierw na skrupowanego Roberta, a potem na leżącego obok mężczyznę. Młody rycerz również tam zerknął i zobaczył barona Pitchfork.

Artur leżał na plecach z zamkniętymi oczyma. Na po-krytej krótkim zarostem twarzy dominowała bladość.

204

Wokół głowy zawiązano mu kawał płótna, by opatrzyć ranę na policzku. Opatrunek przesiąkł nieco krwią, mi-mo że wyglądał na starannie założony. Po raz pierwszy od czasu, gdy opuścili Harfleur, sir Robert zobaczył kuzyna bez zbroi. Pikowany kaftan okrywający potężne ciało barona nosił ślady odcisniętych płyt pancerza. Na prawym udzie i lewej nodze pod kolanem miał jeszcze dwa opatrunki.

Mateusz smarknął głośno i splunął. Po tym wstępie przemówił:

- Nie martwcie się, panie Robercie.. Baron jest silny jak tur, wylize się.

Młody rycerz spojrział na łuczniaka nieco zdziwiony uprzejmym tonem.

- Dziękuję za dobre słowo - powiedział - ale może byś mnie tak lepiej rozwiązał, Mateuszu?

Starszy mężczyzna pokręcił poważnie głową, a następnie osadził pochodnię w żelaznym uchwycie na ścianie i podszedł do sir Artura. Nachylił się i podrapał po nie golonym od kilku dni podbródku, uważnie przyglądając się ranom barona.

- Na mój nos będzie żyw... - ocenił - nie czuć trupie-go smrodu z ran, a krew zakrzepła.

- Wiesz, że za to, co robicie, nie będziecie mieli lekkiej śmierci? - wrócił do tematu sir Robert.

- Ech, panie Robercie, co wam mogę odpowiedzieć. . -

westchnął Mateusz. - Za to, co żeśmy już w kraju robili, i tak by się z nami kat zabawiał...

Sir Robert spojrział na niego uważniej. Zastanowiło go, ile też może mieć lat ten człowiek.

205

- Mówisz o powstaniu chłopskim? - zapytał. - Ty mo głęś w nim brać udział, ale mówiłeś o wszystkich. . prze cież taki Bali nie miał wtedy więcej niż pięć lat. Chyba aż taki bojowy nie był, żeby ledwie wyszedłszy z kołyski, chwycić za kosę i ruszyć na zamek?

Stary Mateusz zarechotał, ukazując resztki zębów.

- Wy to jednak macie łeb na karku, panie Robercie -

odrzekł - nic nie uchodzi waszej uwagi. Ale słusznie myślicie. Z naszej bandy tylko ja pamiętam Wata Tylera i Jana Balia jako towarzyszy broni. Reszta zaczęła zbójo wać później. Na każdego z nas czeka w domu wyrok. -

Łucznik zamyślił się i zapatrzył w ścianę. - Taa... mamy krew na rękach, ale co robić, nikt z własnej woli nie odda gardła pod nóż, a z czegoś żyć trzeba.

Robert przyjrzał mu się badawczo.

- Wiesz, Mateuszu, to nie musi się tak skończyć - powiedział.

- Nie pomogę wam, panie... oni by mnie ubili, a jak nie oni, to ten cały Huxley.

- Huxley jest z wami w znowie?

Stary łucznik skrzywił się nieprzyjemnie.

- Mam za długi jęzor.. - powiedział, wstając. Wyjął

poходnię z uchwytu i wyszedł. Wróciła ciemność.

IX

Rouecourt spojrział łakomie na niewielkiego kurczaka z rożna leżącego przed nim w drewnianej misce. Pociągnął jeszcze łyk zaprawionego korzeniami wina i z lubością wgryzł się w mięso, gdy zaskrzypiały drzwi karczmy.

W progu stanął zmoknięty mężczyzna okryty płaszczem z kapturem. Młody rycerz zerknął na przybysza, delektując się pieczystym. Zobaczył wysokie buty do jazdy konnej, wystającą spod płaszcza rękojeść miecza i opartą na niej rękę w eleganckiej rękawicy z szerokim mankietem. Gość wszedł do sali i zrzucił kaptur.

Rouecourt omal nie wypluł przeżuwanego kęsa. Męż-

czyzna miał siwe włosy związane na karku, z gęstej brody skapywały krople wody. Jasne zielone oczy ogarnęły wnę-

trze karczmy. Huxley podszedł powoli do szynku, obserwując Rouecourta, który odpowiedział spojrzeniem nie wróżącym początku wspaniałej przyjaźni. Karczmarz obró-

cił się ku nowemu gościowi.

- Czym mogę służyć? - zagaił nieco zdenerwowany wymianą spojrzeń, która nie uszła jego uwagi.

- Chciałbym się dziś u was zatrzymać, dobry człowieku - usłyszał w odpowiedzi.

207

- Tak, oczywiście. . chcecie nocować we wspólnej iz bie czy może cenicie sobie spokój i odosobnienie?

Huxley przeciągle popatrzył na karczmarza, a Jakub Martyre momentalnie domyślił się, jak bardzo nowy gość ceni sobie spokój.

- Zaraz pošlę kogoś, by przygotował posłanie - rzekł

spiesznie - a tymczasem może usiądziecie sobie, panie, przy stole i poczęstujecie się jakimś naszym specjałem.

Dziś mam choćby pieczoną gąskę. Świeżutką i chru..

- Niech będzie, a do tego kubek mleka.

- Mleka?- spytał niezbyt mądrze Martyre.

- Czy to jakiś kłopot? - Zielone oczy wbiły się w karczmarza jak nożyki golibrody.

- Eee... nie, skądże. - Gospodarz spróbował nadrobić uśmiechem.

- A te kamienie przed oberżą? - zapytał przybysz. -

Na co wam one?

- Na składzik, bo mi się nie mieszczą sprzęty, panie. .

To pytanie przepęliło czarę wytrzymałości Jakuba Martyre'a. Nie miał pojęcia, dlaczego jedyni goście, którzy ostatnio chcieli u niego zamieszkać, pytają go o przywiezione z Tournai bloki. Nie wiedział, dlaczego tak dziwnie na siebie patrzą. Wiedział jednak, że obaj są uzbrojeni i podejrzani. Ta mieszanka wiedzy i jej braku sprawiła, że właściciel La gouede zdecydował się jak najszybciej sprowadzić zaprzyjaźnionych strażników z Noyon.

Huxley odczekał chwilę, jakby się spodziewał, że karczmarz zapyta, dlaczego ciekawia go kamienie. Ale na-uczony wcześniejszą rozmową Martyre bez słowa, choć z przyjaznym uśmiechem, ruszył na zaplecze.

208

Kował wzruszył ramionami i podszedł niespiesznie do stołu Rouecourta. Do tego czasu młody rycerz zdążył

już ukryć pod miską ostrze długiego puginału. Niedbale położył na stole prawe ramię, zasłaniając rękojeść. Twarz miał spokojną i uśmiechał się łagodnie. Czekał. Huxley podszedł do stołu i zdjął płaszcz, po czym z sakiewki przy pasie wyciągnął srebrną broszę i rzucił ją na blat.

Rouecourt zerknął na wyryty w srebrze znak. Był to hebel otoczony liśćmi dębu.

- Z przyjemnością zapraszam do stołu przyjaciół

monseigneuru Jehana - powiedział.

- Wiem, że jestem spóźniony...

- Ależ to drobiazg - odrzekł ciepło Rouecourt, niedbale machając lewą ręką.

Huxley usiadł, nie spuszczać oczu z młodego człowieka.

- Cieszę się, że was w końcu widzę - powiedział. -

Udało wam się nakłonić Anglików do rozmów?

- Niestety nie. - Rouecourt zrobił smutną minę.

- Oj... to niedobrze... niedobrze...

Do sali weszli ludzie Rouecourta. Byli w gambesonach i ciężkich płaszczach. Wyglądali na gotowych do wyjścia. Jeden z nich trzymał spore zawiniątko. Podeszli niespiesznie do stołu i przysiedli się. Huxley zerkał to na nich, to na uspokajająco popatrującego nań Rouecourta. Drab z zawiniątkiem usiadł obok młodego rycerza, kładąc bagaż na kolanach. Dwaj pozostali przysiedli się do kowala i nagle dwa zręcznie dobyte puginały z dwóch stron wsparły się na pikowanym kaftanie Huxleya.

Kowal spojrzął na nich. Uśmiechnęli się życzliwie, acz niezbyt pięknie.

209

- Spóźniłem się ledwie kilka dni... - zaczął spokojnie Huxley, wpatrując się w młodego człowieka.

- Wiem, rozumiem... - Rouecourt pokiwał głową. Oczy miał dojmująco smutne. - Tylko widzisz, Jasiu. . mogę tak do ciebie mówić? Tylko widzisz, monseigneur Jehan już ci niestety nie ufa, jak dawniej. Wiesz. . te twoje podróże do Anglii... Na wyspie jest inny klimat, że tak powiem.

Inne powietrze, inni ludzie, inne problemy. Rozumiem, że w takich warunkach łatwo zapomnieć o miejscowych sprawach albo co gorsza spojrzeć na nie z innej perspektywy.

- Co to ma znaczyć? - spytał twardo Huxley.

- To ma znaczyć, że wiemy, iżes się pokumał z Armaniakami. To ma znaczyć, Jasiu, że wiemy, że jesz z ręki temu bękartowi Karolowi Orleańskiemu i jego teściowi.

To znaczy, mój drogi, że nadszedł twój czas i że jeszcze przed północkiem będziesz śpiewał z aniołami albo robił

coś innego z kim innym.

Rouecourt flegmatycznie skinął dłonią. Mężczyźni siedzący po bokach Huxleya podnieśli go, trzymając pod pachami. Trzeci drab również wstał i wszyscy ruszyli ku drzwiom.

Odeszli nie więcej niż dwieście kroków od zajazdu i stanęli bez słowa. Wokół szalał deszcz. Dwóch drabów dalej trzymało Huxleya mocno pod pachami, przyciskając mu puginały do boków. Trzeci wyjął z zawiniątko kuszę. Pochylił się, włożył stopę w strzemień i sięgnął po cięciwę.

Pery spojrzął na zgiętego kompana.

210

- Po co tyle trudu? - spytał. - Nie prościej go zakłuć jak...

Nie dokończył. Huxley wyrwał mu się mocnym szarpnięciem. Drab obejrzał się zdziwiony. Jego kompan trzymający drugą rękę kowala usiłował wstać, a Huxley wła-

śnie wyciągał miecz. Pery zrozumiał, że to ostatnia chwila, by zaatakować, i przyskoczył zwinnie,

celując pugiuałem w gardło. Mylił się, ostatnia chwila już minęła. Huxley odskoczył i wykonał półobrót, z rozmachem wydobywając miecz. Broń Peryego przecięła powietrze, a głowica Huxleyowego miecza uderzyła go od dołu w zuchwę. Drab odskoczył jak oparzony. Machnął przy tym niezdarnie ręką, jakby chciał się nią zasłonić lub złapać powybijane zęby.

Huxley płynnym ruchem ciął z góry i ramię bezwładnie padło w błoto.

Tymczasem drugi z opryszków pozbierał się i zaatakował z boku, najwyraźniej licząc na to, że kowal o nim zapomni. Po chwili złapał się oburącz za głowę, nie tyle porażony nietrafnością swojego przypuszczenia, ile pró-

bując złączyć rozciętą czaszkę. Kowal nie ułatwił mu zadania i pchnął mocno w brzuch, przebijając dwadzieścia warstw lnu gambesonu i żołądek. Mlasnęło, zbulgota-

ło, na liście popłynęła nadtrawiona wieczerza. Zanim drab osunął się na ziemię, Huxley zdążył dźgnąć Peryego w pachwinę. Mężczyzna zawył i upadł na ziemię, przyciskając ręce do rany.

Kowal obrócił się teraz do kusznika, który na jego nieszczęście mimo zdenerwowania zdążył nałożyć bełt na cięciwę. Huxley zmrużył oczy, ugiął nogi i skoczył w długim szermierczym wypadzie. Między nim a ostatnim z lu-211

dzi Rouecourta były ponad trzy kroki. Nawet człowiek ruszający się z prędkością Huxleya nie mógł przebyć tej odległości szybciej, niż trwa ściąganie spustu.

Brzęknęło głucho. Orzech obrócił się i bełt z ogromną prędkością poleciał w kierunku fechtmistrza...

Sir Ralf porzucił hełm i potrzaskaną tarczę, by odciążyć konia. Stał w strzemionach i wszedł w galop. Bukowy las nie był zbyt gęsty, ale jazda z dużą prędkością po ściółce zasłanej śliskimi liśćmi groziła upadkiem. Po jakimś czasie ucichły nawoływania ścigających go zbrojnych. Zwolnił więc trochę i obejrzał się. Pozbawione listowia gałęzie nie zasłaniały widoku. Nikogo nie dostrzegł, co zbytnio go nie zdziwiło. Wiedział, czego chcieli ludzie, któ-

rzy zaatakowali ich na drodze. Przed starciem dostrzegł

proporzec ze znakami pana Rambures. Konni, którzy go gonili, mogli być rycerzami w pełnych zbrojach, co czyniłoby pościg bezcelowym. Mogli też być zwykłymi serjeantami, którzy woleli dać za wygraną, niż ryzykować utratę zdrowia lub życia, swojego lub wierzchowców, w karkołomnym galopie. Sir Ralf nie był więc zdziwiony.

Spojrzał przed siebie. Zmierzał na północ i przypuszczał, że tam właśnie jest armia Henryka. Zawrócił konia i zatrzymał go. Przemyślał jeszcze raz krok po kroku swoją decyzję, by umknąć i powiadomić króla. Z bólem pomyślał o swoim jedynym spadkobiercy pozostawionym na pastwę losu, a następnie odpiął i odrzucił powyginany lewy naramiennik wraz z naręczakiem, obrócił

konia z powrotem ku północy i ruszył.

Wkrótce opuścił bukowy bór i wyjechał na równinę pociętą polami pszenicy i urzetu. Przemierzał niechętnie otwartą przestrzeń, rozglądając się wokół. W oddali dostrzegł zabudowania i dymy z palenisk. Bliżej, po prawej, jakiś chłop szedł przez pole i siał. Przed nim na horyzoncie zbierały się ciemne chmury. Ot, pusty i smutny jesienny krajobraz, przypominający o zmarłych. Powiał

silniejszy wiatr i rycerz poczuł na twarzy pierwsze krople deszczu. Odruchowo chciał się okryć płaszczem, na próżno jednak - zerwano mu go w walce.

Po godzinie wolnej jazdy dotarł wreszcie do pierwszych zabudowań niewielkiej osady. Zatrzymał konia na rozstaju dróg, z których jedna prowadziła do wsi, a druga biegła niemal prosto na północ. Pomyślał, że warto było-by zasięgnąć języka, jako że nie w smak mu było wyjechać na główny trakt, prowadzący, jak sądził, do sporego miasta Ham. Z drugiej strony obawiał się wjechać mię-

dzy wiejskie zabudowania. Miejscowi, jeśli rozpoznaliby w nim Anglika, stanowiliby zagrożenie. Ponadto słyszał, że mieszkańcy Pikardii mówią dziwną francuszczyzną i ciężko ich zrozumieć nawet rodakom z innych regionów. Wahał się, ale w końcu ruszył do wsi.

Niskie drewniane chaty o kamiennej podmurówce i krzywo sklecone płoty nie wyglądały imponująco. Na niewielkim podwórzu pierwszego gospodarstwa pięcioro dzieci z entuzjazmem obrzucało się błotem. Jakaś kobieta, zapewne ich matka, ubrana w prostą suknię i brudny fartuch, pozwalała na to zajęta karmieniem kłębiących się w zagrodzie świń. Po chwili sir Ralfa przywitało ujadanie psów. Słyszając to, wieśniaczka rzuciła ostatnią garść buczy-213

ny i zwróciła głowę w stronę drogi. Wycierając ręce w gruby lniany fartuch, wpatrywała się podejrzliwie w obcego.

Sir Ralf podjechał niespiesznie do płotu. Dzieci spojrzały zaciekawione na przybysza. Stały obok siebie umorusane, w jednakich długich koszulinach i z ubłoconymi stopami. Nie sposób było poznać ich płci ani wieku, róż-

niły się jedynie wzrostem. Kobieta krzyknęła coś niezrozumiale i dzieciarnia pobiegła do chaty. Sir Ralf skrzywił

się, przeczuwając, że konwersacja nie będzie przebiegać równie płynnie jak z rumianymi dziewczkami służebnymi w Harfleur.

- Witaj, dobra niewiasto - odezwał się.

Kobieta popatrzyła na niego krzywo spod czepca, lecz skłoniła się lekko.

- Tak... hmm... Czy wiesz, którądy dojadę do Ham? -

spytał rycerz.

- *Waite vo la bas la voiage?* - usłyszał.

Intonacja podpowiedziała sir Ralfowi, że właśnie zadano mu pytanie. Intuicja poszeptywała zaś, że

czas jak najprędzej odjechać i zostawić samej sobie tę wieśniaczkę o splątanej mowie.

- *Waite, waite.* - Kobieta, nieco poirytowana niepojętnością rozmówcy, wskazała na drogę prowadzącą na północ.

Sir Ralf spojrział w tę stronę i już był gotów odjechać, gdy nagle jego uwagę przykuł pewien szczegół. Obok zagrody dla świń, przy oborze, stał koń z rzędem. Rycerz przyjrzał mu się i pomyślał, że już gdzieś go widział.

Kobieta znów coś zakrzyknęła, po czym zrezygnowana machnęła ręką i odeszła.

214

Sir Ralf zawrócił konia i przejechał kawałek drogi do rozstajów, gdy w końcu przyszło olśnienie. Spiesznie podjechał do płotu, przy którym wciąż niespokojnie podskakiwały ujadające psy. Zeskoczył z siodła i zawiązał wodze wokół belki ogrodzenia. Wszedł na majdan przez krzywo skleconą furtkę i tupnął na ujadające zwierzęta, które odbiegły momentalnie, zrozumiałwszy, że intruz się ich nie boi. Podszedł do przywiązanego obok obory wierzchowca i przyjrzał mu się uważniej. Przy siodle dostrzegł

znajomą tubę na pergaminy, a obok sakwę ze świecami.

Żadnego sprzętu obozowego i trzy księgi związane grubym rzemieniem.

Sir Ralf uśmiechnął się złowroźnie, poprawił pas i ruszył ku chacie, w której zniknęły wcześniej dzieci i kobieta.

Rouecourt oblizał palce, uporawszy się z kurczakiem.

Wstał i poklepał się lekko po brzuchu wystającym spod rozpiętego dubletu. Poprawiwszy koszulę, zlustrował siedzących w karczmie gości. Było ich tylko dwóch, obaj pijani w sztok.

No i dobrze, nie ma świadków, nie ma problemów, pomyślał. Chłopcy już pewnie skończyli, tylko ich patrzeć.

Rzucił na stół garść denarów i cicho pogwizdując, wyszedł przed La gouede. Było już zupełnie ciemno i nieprzyjemnie zaciął deszcz. Zapiął dublet po szyję i ruszył

w stronę drewnianego wychodka. Oprzytomniawszy na zimnym powietrzu, uzmysłowił sobie, że nie wziął pasa z mieczem i pugiuałem. Miał jedynie niewielki nóż scho-215

wany za cholewą. Zawahał się, czy nie wrócić, ale przeszedł już połowę drogi, zresztą co mogłoby mu się przytrafić? Huxley nie żył, a nikt inny w okolicy nie ośmieliłby się podnieść na niego ręki.

Dlatego tym większe było jego zdziwienie, gdy w progu drewnianego przybytku ktoś mocno go pchnął w plecy. Wciąż był zdziwiony, kiedy z hukiem wyrznął głowę w drewnianą ścianę, choć wystawił ręce, by osłabić uderzenie. Na tym jednak zdziwienie się skończyło i zadziałał instynkt

mordercy. Rouecourt zwinął się jak kot, podniósł ręce do gardy i błyskawicznie się obrócił. Po-tężny kopniak w lewe udo odebrał mu jednak władzę w kończynie i wytrącił z równowagi. Burgundczyk znał

się na swoim rzemiośle, ale człowiek, który wskoczył za nim do wychodka i okładał teraz młodego zabójcę krótkimi, piekielnie szybkimi ciosami pięści, też wiedział, co robi, nadto zastał Rouecourta niemal ze spuszczoneymi spodniami.

Walka była zacięta, ale krótka. Po chwili Rouecourt siedział zakrwawiony na desce z okrągłym otworem i ledwie przytomny patrzył na majaczącą w ciemnościach postać. Dopiero teraz zauważył, że napastnik ma w ręku kastet.

- Jakim cudem? - wyszeptał słabym głosem.

- Widocznie kusznikowi trzęsły się ręce, bo chybił -

odparł kowal.

Młodzian skrzywił się w grymasie niezrozumienia.

- To nieistotne - skomentował krótko Huxley i zaraz dodał: - Teraz porozmawiamy sobie po mojemu, Roue court. Gdzie są książęce listy?

216

Gbs kowala zwiastował najgorsze, mimo to Burgundczyk postanowił grać ostro.

- Jakie listy? - zapytał.

Huxley chwycił Rouecourta za przegub, przycisnął jego dłoń do ścianki wychodka i grzmotnął kastetem w kłyk-cie. Odczekał, aż rozmówca dojdzie nieco do siebie, i ponowi! pytanie...

Wiatr miotał czubkami drzew, tłukąc gałęziami o spadzi-sty dach La gouede. Woda strugami płynęła przez po-dwórze, podmywając fundamenty tawerny i zabudowań gospodarczych. Nie domknięte drzwi od obory skrzypia-

ły i stukały miarowo o drewniane ściany. Po co drugim stuknięciu porykiwały zaniepokojone zwierzęta.

Jakub Martyre stanął po kostki w błocie i rozejrzał się niepewnie. Nie wiedział dokładnie, ile czasu minęło, od-kaąd wymknął się tylnymi drzwiami ze swojej karczmy, ale czuł, że nie było go tu zbyt długo. Wiedziony złym przeczuciem miał zamiar dojść mimo burzy do bram Noyon i poprosić strażników o pomoc. Jednak ciemny niespokojny las i świadomość, że pozostawił dobytek w rękach trzech parobków, dwóch dziewczek służebnych i leżącej w alkwie ciężarnej żony, powstrzymały jego zapał. Poza tym, mimo że miał układ ze strażnikami miejskimi, nie wiedział, co właściwie im powiedzieć. Że ma podejrzanych gości, którzy płacą za anonimowość? Nie, nawet silny strach i złe przeczucia nie przekonały trzeźwo na co dzień myślącego Jakuba Martyra do nocnej eskapady.

I tak oto stał teraz na swoim podwórzu, zastanawiając 217

się, jak to możliwe, że wiatr zerwał dobrze umocowaną płachtę, którą przykryte były zwiezione aż z Tournai kamienne bloki. Podszedł bliżej. Materiał, przyciśnięty z jednej strony kłódami drewna, walał się w błocie. Kłody z drugiej strony były odrzucone. Martyre spojrzał na kamienie.

- Psie syny... zostawić jednego z drugim na pół pacierza, a od razu rozkradną... - zamamrotał wzburzony, widząc sporą lukę w pierwotnie sześciennej konstrukcji.

Zakasał rękawy wełnianej bluzy, podniósł ubłoconą płachtę, narzucił z powrotem na kamienie i przygniótł

leżącymi nieopodal balami. Otarłszy czoło mokre od deszczu i potu, ruszył ku niewielkim drzewczkom prowadzącym do kuchni La gouede.

Skrzypnęły drzwi, ogień zatańczył gwałtowniej w kominku i na knotach kilku łożowych świec płonących w głównej izbie La gouede. Do karczmy wszedł Huxley. Jakub Martyre ledwie zdążył stanąć za szynkiem i nawet nie zdjął przemoczonego płaszcza. Spojrzał z niepokojem na gościa, który kroczył wolno, ciężko stawiając nogi. Był

cały mokry i słał się ze zmęczenia. Jego gambeson wyglądał jak z trudem wydarty wygłodniałym psom. Z wy-miętego, rozszarpanego na lewym barku materiału spły-wała z wolna brunatna krew. Rozpuszczone mokre włosy i broda skrywały twarz, ukazując niewiele poza oczami.

Martyre chciał już coś powiedzieć, złagodzić napięcie jakimś błahym pytaniem, ale gdy zobaczył to oblicze, sło-wa uwięzły mu w gardle i tylko spuścił wzrok, udając, że 218

czegoś szuka. Huxley podszedł do szynku i oparł się na nim ciężko.

- Pan Rouecourt z kompanią wyjechał.. - zaczął powoli, patrząc beznamiętnie na dębową beczułkę piwa.

- Wyjechał? - spytał Martyre, zdejmując przemoczony płaszc.

Huxley wbił w niego lodowate spojrzenie.

- Nie wróci prędko.. - dodał. - Jeśli jest wam coś winien, to ja zapłacę, gdy będziemy się rozliczać. Wyjeź-

dzam o świcie.

- Winien? - powtórzył Martyre. - Nie, pan Rouecourt wszystko opłacił z góry. A co do was, to będzie jedno *sous*, panie. - Karczmarz mówił wolno i z namysłem, ale widać było, że jest przerażony.

Gość rzucił na stół dwanaście miedziaków, a następnie odgarnął włosy z twarzy i wycisnął z nich wodę.

- To dobrze, że nic wam nie jest winien. . - powiedział.

W zgliszczach chaty płonęło ognisko. Wokół niego czterech łuczników usiłowało osuszyć płaszcze, kaftany i nogawice. Stojący na polanach kociołek bulgotał, aż w brzuchu burczało. Palce zaciskały się z niecierpliwością na nierówno wyciętych drewnianych miskach i łyżkach. W pozostałości gontu regularnie bębnił deszcz. Uwiązane do resztek płotu konie od czasu do czasu rżały czymś zaniepokojone.

Wieś, w której schroniła się na noc kompania Balia, była jedną z wielu w okolicy dotkniętych niedawną wojną domową. Jedną z mniej fortunnych, gdyż z większości 219

chałup pozostały jedynie sterczące złowrogo podmurów-ki i zwęglone resztki belek. Chata, którą wybrali łucznicy, należała zapewne do kogoś w miarę zamożnego, miała bowiem piwnicę, a wokół niej, w obrębie zwalonego pło-tu, widniały ślady dawnych zabudowań gospodarczych.

Nie to jednak zajmowało nowych gospodarzy. William Bali wyjął z płóciennej torby jakiś pergamin i wyciągnął

go przed siebie. Był to najwyraźniej dokument, jako że opatrzono go pieczęcią. Brzeg pergaminu był wycięty w trójkątne zęby.

- To nasza umowa z panem Moorow - powiedział

z powagą wódz łuczników. - Oto, co nas łączy z naszym panem. Są tu imiona każdego z nas. Za chwilę spalę ten dokument i odtąd będziemy wolnymi ludźmi.

Mający zaraz zostać wolnymi nie okazywali zbytniego entuzjazmu. Wiedzieli, że Bali pominął kilka drobnych szczegółów prawnych, które były konsekwencją zniszczenia dokumentu. Każdy zdawał sobie sprawę, że nie będą mogli wrócić do domu i że ich los już nigdy nie będzie związany z Anglią, chyba że zostaną pochwyteni przez rodaków i zabici.

-Wstrzymaj się jeszcze, Will... - niespodziewanie odezwał się stary Mateusz, odrywając wzrok od bulgocą-

cej zupy. - Jesteś pewny tego całego Huxleya? Może warto jeszcze umowę zatrzymać, może jakby co, to jeszcze by panowie wybaczyli, gdyby poszło nie tak, jako żeśmy zamyślili...

Bali spojrzał na kompana i zmarszczył brwi.

- Co to? Nagle cię strach obleciał? - zapytał. - Nie, Mateuszu, Pan mi świadkiem, że szanuję twoją siwiznę, 220

ale głupio gadasz, jeśli myślisz, że panowie by przebaczy-li. Nie, chłopcy, panowie już nie przebaczą, teraz cała nasza nadzieja w Huxleyu.

Duży Will skończył wiązać wysuszoną onucę i pokrę-

cił głową.

- Ja tam nie wiem, co o tym zamyślać - powiedział. -

Kiej jeszcze był z nami doktor, to co inszego. On to umiał

zagadać z tym Huxleyem i jakoś łącno poznać szło, że se wszystko tego pomyślał, a bez niego to nie bardzo wiadomo, co począć. Z kim gadać i o co prosić...

- Co z wami, jak Matkę Przenajświętszą kocham?! -

zawołał rozeźlony Bali. - Myślicie, że tylko na uniwersy-tetach uczą myśleć? Ja sam się nauczyłem i nie potrzebuję żadnego chędożonego lollarda, żeby w mojej sprawie z kimś pertraktował. Ufacie mi czy nie?

Bali chodził, perorując, i coraz mocniej ścisnął w gar-

ści pergamin. Łucznicy po kolei kiwali głowami na znak zgody. Ostatni zrobił to stary Mateusz pod naciskiem zło-wrogich spojrzeń. Gdy tylko się zgodził, Bali cisnął pergamin w ogień, po czym stalowym hakiem wyjął kocio-

łek z żaru. Łucznicy rzucili się łapczywie na zupę z resztek i po chwili zaprzętało ich już głównie to, jak zjeść szybko, nie parząc podniebienia.

Sir Robert leżał w ciemności i myślał intensywnie o nie-dawnych wydarzeniach. Rozpacz minęła i odzyskał jasność umysłu. Od czasu do czasu popadał w krótki niespokojny sen i zupełnie stracił rachubę czasu. Któregoś razu wyrwały go z drzemki szeptane obok słowa. Bas 221

pana Pitchfork znacznie stracił na sile, ale baron już nie bełkotał jak w malignie.

- Jest tu... kto? - zapytał.

- Jestem tuż obok, kuzynie...

- Tyś to, Robercie? Jakaż to radość dla moich uszu...

- I ja się cieszę, że cię słyszę, kuzynie.

- Gdzie jesteśmy? Co się stało? - pytał sir Artur. - Pa-miętam jedynie, że Huxley mnie powalił, a potem nagle straciłem wszystkie siły, jakby dusza ze mnie uszła.

- Możliwe, że zbytńio się nie mylisz, kuzynie - odrzekł

Robert. - Jesteśmy w piwnicy jakiegoś opuszczonego domu. Więzi nas tu nasz dawny towarzysz broni William Bali ze swoją szajką.

- Nie rozumiem, jak to może być... - zdumiał się baron.

- Już trochę o tym myślałem, gdy leżałeś bez ducha.

Otóż Bali i jego ludzie to zdrajcy, którzy chcą nas oddać Francuzom, licząc na to, że w nagrodę zostaną poddany-mi Karola VI...

Zapadła cisza. Po chwili sir Artur zapytał słabym głosem:

- Ale jakże to? Czemuż zdradzili i gdzież jest ten drań Huxley?

- Jeśli idzie o pierwsze, to wydaje się, że nasi poddani, na których łasce jesteśmy, jeszcze w Anglii byli zwykły-mi banitami i zbójami. Wnoszę, że dopuścili się ciężkich zbrodni, bo pośledniejsze występki mogliby mieć od-puszczone w nagrodę za udział w królewskiej wyprawie.

Co do tego, gdzie jest Huxley, to doprawdy nie wiem. Pa-dłem w walce niedługo po tym, jak ty zostałeś pokonany.

222

Nie wiem, jakie są zamysły Huxleya, ale to pewne, że i on dopuścił się zdrady.

- Oczywiście! Podniósł na mnie rękę! - Głos sir Artura na chwilę odzyskał dawną moc.

- Trudno zaprzeczyć - przyznał Robert - ale nie jest to powód, by uznać go za zdrajcę. W końcu okazał nam pieczęć królewską, a to ty, drogi kuzynie, pierwszy doby-

łeś miecza. - Sir Robert nie widział w ciemności twarzy krewniaka, ale przeczuwał, że ostatnie słowa mogły go zabołec, więc je nieco złagodził: - Choć ledwie to dostrzegłem, jako że zrobiłeś to piekielnie szybko.

- Ma się rozumieć - mruknął baron, gładko połknąwszy pochlebstwo.

- A wracając do zdrady Huxleya... - ciągnął sir Robert - otóż dopuścił się jej, gdy nie pomógł mi w walce z bandą Balia. Niezależnie od tego, czy jest, jak powiada, wysłannikiem królewskim czy nie, był zobligowany stanąć wtedy po mojej stronie. Jest zatem winien zdrady i zmowy z buntownikami, którzy nas więżą, ale dlaczego, nie udało mi się jeszcze wykoncypować. Zastanawia mnie też, co się stało z moim ojcem i doktorem Joachimem.. . nie było ich wśród zabitych na trakcie...

Drzwi skrzypnęły przeciągle, gdy rozwarł je na oścież. Stanął w zadymionym, bardzo ubogim wnętrzu. Przy kiep-sko skleconym bukowym stole siedziała kobieta i grzebała kijem w palenisku, nad którym wisiał kociołek z polewką. Obok niej siedziały jedno przy drugim dzieci, któ-

re z wielkim zaciekawieniem wpatrywały się w sir Ralfa.

223

Oblepione błotem i milczące złowrogo, wydały się rycerzowi mało podobne do ludzkiego potomstwa. Rycerz szybko oderwał od nich wzrok i przeniósł go na drugi koniec stołu.

Na ławie siedział tam doktor Joachim z Oxfordu. Otwarte ze zdumienia usta nie dodawały mu uczoności, tak jak za trzymana w połowie drogi do nich drewniana łyżka.

- Jak dobrze was widzieć, panie Joachimie - zjadliwie rzucił od progu sir Ralf.

- Ja również niezmiernie się cieszę z tego jakże nie spodziewanego spotkania. - Doktor uśmiechnął się sztucznie i wskazał łyżką miejsce naprzeciwko.

Kobieta i

dzieci

w milczeniu obserwowali

rozmówców. Rycerz spojrział na niespokojną o swą polewkę gospodynię i pomachał odmownie ręką.

- Nie mógłbym nic przełknąć, wiedząc, że niedaleko stąd leżą w błocie trupy moich przyjaciół, a może i syna.

Twarz Joachima stężała i spęził z niej wymuszony przyjacielski uśmiech.

- Ale wam, jak widzę, apetyt dopisuje – podjął rycerz. - Nie chciałbym wam go popsuć, drogi doktorze więc poczekam przed chatą. Dołączycie do mnie, jak już sobie podjecie.

Sir Ralf opuścił chatę, zgrzytając zębami.

Uczony wyszedł niepewnym krokiem na podwórze i spojrział na pana Moorow, który dla zabicia czasu długim pugiuałem czyścił paznokcie. Doktor miał nadzieję że tylko w tym celu rycerz wydobyl tę broń. Blysnęło na horyzoncie.

224

- Będzie padać - zauważył Joachim, a jego słowa podkreślił potężny grzmot.

- Mam zatem nadzieję, że się porządnie ogrzaliście -

powiedział sir Ralf - bo czeka nas jazda w chłodzie' i deszczu.

- A którądy wypadnie nam droga, skoro nie wykona-liśmy zadania? - Uczony rozglądał się jak człowiek szukający możliwości ucieczki.

- Jakże to, nie wiecie? - zapytał sir Ralf. - Musimy stanąć przed naszym miłościwym królem i zdać mu sprawę z tego, co zaszło. Udamy się więc na północ, ku Sommie, i odnajdziemy królewską armię.

Sir Ralf, nie spuszczać oka z uczonego, uderzał głow-nią pugiuału w lewą dłoń, jak nauczyciel sprawdzający giętkość różgi. Joachim szedł jak po rozżarzonych wę-

głach, zmierzając po łuku w stronę obory.

- No tak, oczywiście - przyznał. - Zawsze miałem dla was dużą estymę, bo choć nie jesteście człowiekiem nauki, to przecież swą roztropnością dowodzicie, że istnieje naturalne światło rozumu, nawet u tych, którzy nie od-byli zacnych studiów... - mówił, zerkając co chwila na oborę, jakby szacował dzielący go od niej dystans.

- Cóż, połechtaliście moją *vanitas*, panie Joachimie -

rzekł sir Ralf. - Czuję się teraz zobligowany wesprzeć waszą teorię. Otóż wpadłem na ciekawy koncept. Kiedy już, jeśli Bóg pozwoli, staniemy przed naszym ukochanym monarchą, zapytamy go o tego całego Jana Huxleya.

Uczony drgnął i przystanął.

- A po cóż mielibyśmy o niego pytać, panie Ralfie? -

odezwał się zaskoczony.

225

- Oj, coś mi się zdaje, że się ze mną droczycie, dokto rze, albo udajecie, że nie rozumiecie, abym mógł się wy kazać owym naturalnym światłem rozumu. Otóż wy stawcie sobie, że zadałbym panu Erpinghamowi pytanie, czy wysłał niejakiego Jana Huxleya z listem od króla i kazał mu do nas dołączyć. Jak sądzicie, co by mi pan Erpingham na to odpowiedział? A jak myślicie - wszak jesteście biegli w prawie - co będzie, jeśli się okaże, że poświadczylście autentyczność fałszywej pieczęci?

Doktor wprawnie podrzucił poły swej sukni i ściskając je w garści, puścił się biegiem ku oborze. Sir Ralf, uśmiechnąwszy się zjadliwie, spokojnie przeszedł za chatę, gdzie uwiązał oba konie, gdy uczony jadł zupę. Niepiesznie dosiadł swojego wierzchowca, czując ból w kościach.

- Miał łądak rację. Będzie padać - westchnął. Po czym chwycił za wodze Joachimowego wierzchowca i ruszył

w pościg.

Gdy uczony doktor nie znalazł swego konia przy oborze, tak się zdumiał i przeraził, że zupełnie zapomniał

o naturalnym świetle rozumu i pognał bezmyślnie przed siebie, byle szybciej, byle z dala od tego straszego człowieka. Biegł ile sił w nogach, wyrzucając spod ciężem pacyny mokrej ziemi. Długa aksamitna suknia wkrótce była uwalana błotem aż do pasa.

Rycerz, nie poganiając konia, dopadł doktora tuż przed rozstajami. Przed nimi aż po horyzont ciągnęły się rów-niny. Sir Ralf spokojnym kłusem jechał za brnącym przez świeżo zaorane pole uczonym. Joachim potykał się 226

i coraz głośniej sapał, mimo to bezsensownie parł przed siebie.

- Może wolelibyście dosiąść konia, doktorze? - zagadnął go sir Ralf. - Popatrzcie, przyprowadziłem waszego wierzchowca. Oszczędźcie sobie wysiłku i wstydu, a nam obu czasu...

Joachim przebiegł jeszcze kilka kroków, po czym stanął i rozejrzał się wokół. Dopiero teraz zrozumiał, że nie ma szans na ucieczkę. Podniósł wzrok na sir Ralfa, dy-sząc ciężko, i złapał podane mu wodze. Wgramoliwszy się na koński grzbiet, popatrzył pytająco na rycerza.

- Pojedziemy razem na północ, omijając większe osady - poinformował go sir Ralf. - Nie zwiążę was, ale jeśli jeszcze raz spróbujecie ucieczki, to przysięgam na grób mojej świętej pamięci małżonki, że utłukę jak psa - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Powiało silniej i ponownie zagrzmiało. Ruszyli stępą w kierunku nadciągającej burzy.

Giermkowie i serjeanci zawzięcie robili łopatami. Leżą-

ce na miękkiej ściółce trupy czekały na pochówek. Pan Rambures nakazał pochować wszystkich ośmiu zabitych Francuzów, jak również sześciu szlachetnie urodzonych Anglików. Zwłoki łuczników złożono na kupę, ale nie było czasu, by je pogrzebać. Dla szlachetnie urodzonych zbito krzyże i zabrano im sygnety.

Dalej w lesie rozpalono ognie i ułożono posłania. Panna Rambures leżała zwinięta w kłębek na wiezionej dla niej niedźwiedziej skórze, przykryta dwoma wełnianymi płaszczami-227

czarni. Miała na sobie suknię, którą zastąpiła elegancką houppelande sir Artura. Suknię wybrał ojciec, więc była bardzo praktyczna, z grubej, ciepłej wełny, a rękawy mia-

ła zapinane na guziki. Była też wyjątkowo mało modna i staroświecka.

Panna Rambures wypłakała już wszystkie łzy. Oddychała bardzo powoli, a zaczerwienione oczy utkwiała w ognisku. Od rozstania z ukochanym nie wypowiedziała ani słowa. Oprócz świdrującej jej ciało rozpaczyczuła winę za śmierć tych wszystkich ludzi, którzy zginęli tego dnia.

Nieopodal przywiązany do drzewa siedział Guillaume. Pojękiwał żałośnie, gdy choćby lekko skrzył tułów lub poruszył trzymaną na temblaku ręką. Mimo to prze-sunął się nieco, by móc pocieszyć dziewczynę.

- Panno Rambures, nie smućcie się - odezwał się ła godnie. - Nie wypłakujcie oczu na darmo. On jeszcze żyw, a skoro tak, to jest nadzieja. Nie poddawajcie się rozpaczycy.

Dziewczyna ani drgnęła.

- Chyba nie uważacie, pani, żeście winna tego, co za szło? - ciągnął cierpliwie. - Jeśli tak, to niepotrzebnie.

Wiedzieliśmy przecież, że ojciec będzie was szukał. Zna liśmy ryzyko, lecz woleliśmy nie puszczać

was samej. To był nasz wybór. Opłakujcie zabitych, ale nie myślcie, pro szę, że to wy jesteście sprawczynią ich śmierci.

Maria zwróciła się ku Guillaumebwi i usiadła na futrze.

- Skrępowali was? - zapytała zdumiona i oburzona. -

Mój Boże, przecież jesteście tęgo poturbowani, panie Guillaume. Dziękuję za dobre słowo, ale jak mam się nie ob winiać w obliczu takiego nieszczęścia? Zaraz dopilnuję, by pana rozwiązano.

228

Pan Clermont stał na skraju drogi, patrząc na świeże mo-giły. Jego piękna zbroja była nieco poszczerbiona, a opuchnięta twarz dopełniała obrazu. Pan Vindroit podszedł

doń cicho i stanął obok. Na twarzach obu rycerzy malował się smutek. Vindroit szeptem zmówił modlitwę i położył dłoń na misternie nabijanym złotem naramien-niku Clermonta.

-Niech im ziemia lekką będzie... - powiedział. -

Chodźmy do ognia, panie Clermont, nie możemy już nic więcej dla nich uczynić.

- Wiecie, co pomyślałem, jak ten Anglik brał ostatni zamach? - odezwał się młodszy rycerz i zamilkł na chwilę. - Pomyślałem, że mój żywot właśnie dobiegł końca.

Wiele razy stawałem do walki, panie Vindroit. Bywało nie-bezpiecznie. Przelałem dużo krwi, na własną rękę i wraz z panem Rambures. Ale do dziś śmierć nie zajrzała mi tak głęboko w oczy.

- Wybaczcie lekkość tonu, panie Clermont, ale jeste-

ście jeszcze młodzi. Lepiej zacznijcie się przyzwyczajać.

Wasze ramię będzie tracić krzepę, ciało gibkość, a ruchy staną się wolniejsze i będziecie coraz częściej czuli kostuchę nad sobą. Tak to już jest...

- Nie tego się lękam, panie Vindroit - odparł Clermont. - Czy macie żonę?

- Mam - odrzekł po chwili zaskoczony Vindroit. -

A dlaczegóż to pytacie, jeśli łaska?

- Eee, nic takiego... tak sobie tylko coś pomyślałem.

Pan Clermont obrócił się i poszedł skrajem traktu ku obozowisku.

229

Ognie trzaskały, a po lesie niosły się smutne pieśni. Niedaleko od obozu szalała burza. Szła jednak z

północnego zachodu i jedynie parę kropli musnęło rycerzy z pocztu mistrza kuszników. Kiedy Maria zaczęła się w końcu odzywać, robiła to rezolutnie i z pasją. Gdy zmieszani pacholki nie chcieli na jej polecenie rozwiązać Guillaume'a, tłumacząc, że pan Rambures im tego zabronił, dziewczyna wpadła w gniew. Podeszła szybkim krokiem do ogniska, przy którym wypoczywał ojciec, i zaczęła bezceremonialnie robić mu wyrzuty.

Pan Rambures zgodnie ze swoim zwyczajem najpierw wpadł we wściekłość. Poczzerwieniał, cisnął trzymanym w dłoni kufel do ogniska, zrzucił z barków futrzany płaszcz i rozpedził siedzących przy ogniu rycerzy, a następnie w nieprzystojnych słowach wypowiedział się o współczesnej młodzieży. W końcu zmęczony i bezradny wobec ukochanej córki, usiadł ciężko przy ogniu. Patrzył

smętnie przed siebie znieruchomiały jak wielki kamienny gargulec. Maria usiadła obok i ujęła jego dużą dłoń.

- Ojczy.. przecież wiesz, że nie robię ci na złość - powiedziała. - Nie chcę ci czynić despektu przy poddanych i towarzyszach, ale rozważ wszystko spokojnie, proszę.

Nie godzi się brać w pęta szlachetnie urodzonego, który został ranny. Nie lepiej, by dał parol, że nie ucieknie, i miał trochę swobody w tej niedoli?

- Młoda jesteś, córeczko... świata nie znasz... hmm...

i ludzi. Myślisz, że jak się ktoś w stal oblecze, to od razu mu od tego, hmm... honoru przybędzie? - Mistrz kuszników popatrzył smutno na córkę, a jego twarz złagodnia-

ła. - No, niech będzie - westchnął. - Każę go rozwiązać.

230

- Dziękuję, ojczy, choć robisz to również dla swego zbawienia. Dobrze jest bliźnim okazać łaskawość, mimo wojennego czasu.

Rambures pokiwał głową, po chwili jednak znów zmarszczył brwi.

- Ale nie myśl sobie, moja panno - rzucił ostro - że odpuszczę tym rycerzom, com ich dzisiaj puścił. Jutro o świtaniu ruszymy za nimi i z pomocą świętego Dioni zego pochwyćmy.

Maria pobladła.

- Ależ ojczy... - chciała zaprotestować.

- Ani słowa - uciszył ją pan Rambures. - Taka jest moja wola i tym razem ją uszanujesz.

Maria wiedziała, kiedy może coś wskórać u ojca. Pu-

ściła jego prawicę, zebrała fałdy sukni i wróciła na swoją niedźwiedzią skórę. Skulona zaczęła przemyśliwać, co takiego może zrobić.

echali w milczeniu, bez zbędnych ruchów, żeby Jn ie oblepiały ich przemoczone ubrania. Strugi deszczu biły w nich bezlitośnie, lecz nigdzie nie widzieli żadnego schronienia. Ulewa jednak odstraszała innych podróżnych, co chroniło ich przed niepożądanymi spotkaniami na drodze. Gdy zobaczyli przed sobą miejskie zabudowania, zjechali z traktu. Podążali teraz na północny wschód, wypatrując miejsca na nocleg.

Po kilku pacierzach dotarli do niewielkiej rzeki. Wbrew oczekiwaniom sir Ralfa nie była to Somma, ruszyli jednak brzegiem zgodnie z nurtem, na północ. Rycerz liczył

na to, że zaprowadzi ich ona do Sommy, wzdłuż której ciągnęła armia Henryka. Nie wiedział jednak, czy wojsko królewskie przeszło już dalej na wschód, zmierzając do źródeł, czy też jest jeszcze na zachodzie i dopiero cią-

gnie ku ziemiom, przez które jechali z Joachimem. Na dobrą sprawę nie wiedział nawet, czy armia królewska jeszcze istnieje - na wojnie w kilka dni może się przecież wiele wydarzyć. Im dłużej nad tym rozmyślał, tym czar-niejsze możliwości przychodziły mu do głowy. Kiedy już wyobraził sobie tonących w Sommie rycerzy, którym nie 233

udało się sforsować brodu, powziął postanowienie, że nie będzie się martwił czymś, na co nie ma wpływu.

Znów wjechali w gęsty mieszany las. Bezlistne buki i dęby nie osłoniłyby ich przed deszczem, ale nie szukali też schronienia wśród sosen. Już nie odczuwali potrzeby, by skryć się przed nawałnicą - i tak byli cali mokrzy.

Woda przeciekła przez szczeliny w zbroi sir Ralfa, wsią-

kając w lniany gambeson. Zmęczenie, wilgoć i dojmujące zimno, które wzmagał silny wiatr, miały tylko jedną za-letę - pozwalały na chwilę zapomnieć o wielce prawdopodobnej utracie syna czy zupełnie pewnej utracie pozycji społecznej i wolności. Jednak ani sir Ralf, ani doktor Joachim nie dostrzegali tej dobrej strony jazdy w parszywą pogodę - było na to za zimno.

Dotarli wreszcie do miejsca, w którym prowadząca ich rzeka wpadała do większej. Po krótkim namyśle sir Ralf doszedł do wniosku, że to jednak nie Somma. Po prostu natrafili na jej większą odnogę. Stali na klinie ziemi porośniętym lasem, patrząc na otaczającą ich wodę. Sir Ralf chciał już przepłynąć na drugi brzeg, gdy między so-snami dostrzegli jakąś drewnianą konstrukcję. Zaintrygowany podjechał bliżej. Pośród wysokich rozłożystych drzew stała otulona bluszczem chatka. Nie wyglądała na dotkniętą przez wojnę. Nie było na niej widać śladu ognia, a choć wyraźnie od dawna opuszczona, sprawiała wrażenie solidnej.

Zsiedli z koni i weszli na zasłany liśćmi i gałązkami ganek. Do wnętrza prowadziły niskie odrzwia. Ich po-234

szarpane belki i leżące za progiem drzwi z wyrwanymi zawiasami świadczyły, że jednak stoczono tu jakąś walkę.

W środku było całkiem ciemno, ale po omacku natrafili na meble i sprzęty domowe, w większości uszkodzone.

Pod butami chrzęściły drzazgi i - ku ich zdumieniu - szkło.

- Chyba nie zamierzacie tutaj popasać, panie Ralfie? -

odezwał się z jakiegoś powodu zaniepokojony Joachim.

- Nie, nie zamierzam tu popasać... - zaczął sir Ralf i odczekawszy, aż doktor odetchnie z ulgą, dokończył: -

Zamierzam tu przenocować.

Uczony rozejrzał się nerwowo.

- To jakieś dziwne miejsce - stwierdził. - Na podłodze pełno szkła niczym w jakowejś pracowni alchemicznej.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby właściciela tego domostwa przepędzono stąd za paranie się czarną magią lub gwał-

cenie dziewic, jednak szczerze mówiąc, nie dbam o to.

Lepiej pójdźcie po jakąś świecę.

- Ale nie mam nawet krzesiwa... - W głosie uczonego pobrzmiwało znacznie większe przygnębienie, niż mogłaby wywołać taka niedogodność.

- Ja za to mam - rzekł sir Ralf. - Wiem, jesteście pod wrażeniem mojej zaradności, ale teraz już idźcie.

Gdy zapalili świecę, ujrzeli zdemolowane wnętrze tu i ówdzie zarośnięte chwastami. Pośród pociętych i połamanych sprzętów walały się gliniane skorupy i porozbijane szklane naczynia trudnego do odgadnięcia przeznaczenia. W rogu stało, o dziwo, nienaruszone łóżko. Uczony-235

ny zdjął przemoczoną suknię, a sir Ralf rozdział się ze zbroi, ale pozostał w nasiąkniętym wodą gambesonie, który ściągnął ciężkim rycerskim pasem z mieczem. Zjedli w milczeniu resztki prowiantu. Nie było tego wiele: dwie cebule, jeden śledź i trochę rozwodnionego wina, wszystko pamiętające ich wyjazd z Harfleur. Potem każ-

dy znalazł pasujący mu kąć i usiedli.

- Teraz możecie mi opowiedzieć coś więcej o tym Huxleyu. Co to za jeden i dlaczego jesteście z nim w zмовie? - zaczął bez ogródek sir Ralf.

- Nie wiem, kto on zaczął, i w żadnej zмовie nie jestem -

odparł uczony, który leżąc na nadwerężonej skrzyni, piędź

po piędzi wyżywał poły swojej przemoczonej szaty.

Sir Ralf spojrział na niego w milczeniu, a w jego oczach można było dostrzec nadciągającą burzę. Joachim, zajęty swoją suknią, nie widział tego jednak.

- Skoro zatem macie czyste sumienie, jako powiada cie - rzekł rycerz - czemuście uciekali przede mną, gdy was zagadnąłem o fałszowanie pieczęci?

W słowach rycerza było napięcie, którego doktor nie dosłyszał albo je zlekceważył. Odpowiedział bowiem zu-pełnie beztrasko:

- Bo wiedziałem, żeście od dawna na mnie cięci i mo ich *in bonafide* udzielanych rad nie słuchacie. Bałem się więc, że skoro zostaliśmy sami, to jako żeście porywoczy, swoją zawziętość na mnie wyładujecie...

Sir Ralf przyskoczył do niego jednym susem i lewą ręką chwycił za gardło, prawą dobywając puginału.

- Coś miał za konszachty z tym Huxleyem? - warknął. -

Gadaj natychmiast albo zaraz duszę diabłu oddasz!

236

Twarz rycerza wykrzywił wściekły grymas, a uczony pobladał, jakby go kto mlekiem oblał, i począł mówić szybko i beładnie:

- On mnie... przymusił... musiałem, bo katu gardło bym dał. Ja. . on szpieguje dla jakiegoś francuskiego pa na, znacznego, i chciał mieć pieczęć królewską, żeby do pocztu barona dołączyć. Puśćcie, panie, bo zadusicie... -

wychrypiał.

Rycerz zwolnił nieco uścisk i spojrział na niego spokojniej, ale z ogromną pogardą, i wycedził:

- A coś ty miał, Judaszu, za to dostać?

- Posadę w książęcej kancelarii... - wyznał doktor Joachim.

- U jakiego księcia?

- Nie wiem.

Sir Ralf ścisnął mocniej. Uczony zacharczał.

- Przysięgam, nie wiem... - wychrypiał po chwili.

Rycerz rzucił przyduszonego na podłogę i splunął obok.

- A dlaczego? - zapytał. - Tak ci źle było u króla, nędz niku?

Joachim, nie podnosząc się, spojrzął na rycerza. Twarz miał ziemistą i wymiętą, pełną rezygnacji. Jak u kogoś, kto w końcu wyrzuca z siebie długo chowany haniebnny sekret.

- Byłem lollardem - powiedział. - Jako urzędnik królewski żyłem w ciągłym strachu, że moje przeszłe czyny zostaną mi wypomniane. Czyny, które uważałem i uważam za słuszne, choć grozi mi za nie niesława i prześladowania. Wciąż noszę w sercu naukę doktora Wiklefa i jestem gotów pójść w niej dalej niż on, jak przystało 237

wiernemu uczniowi. To mnie pchnęło do niegodziwości, ale też niegodziwością tego świata wywołanych. Jednak już o to nie dbam, o nic nie dbam. Jedyne Bóg może mnie osądzić. *Vanitas vanitatum et omnia vanitas.*

Sir Ralf wrócił do łóżka i usiadł na nim ciężko.

- Nie, doktorze z Oxfordu - powiedział. - Mylicie się.

Kara czeka was nie tylko na tamtym, ale jeszcze na tym świecie. A co do jego niegodziwości, to skoroście byli tacy oddani swym przekonaniom, trzeba było za nie umrzeć, kiedy był czas. Teraz jesteście zwykłym ścierwem, które powinienem za koniem włóczyć, nim oddam was w ręce kata.

Sir Ralf podniósł się i poszedł do juków. Gdy wrócił

z długim konopnym powrozem, doktor leżał w tej samej pozycji, w jakiej go zostawił. Nawet nie drgnął, kiedy rycerz związał mu za plecami ręce i nogi, obcierając nadgarstki i kostki. Skończywszy, sir Ralf położył się z powrotem na łóżku. Wsadził jeszcze kilka świeczek i krzesiwo do sakiewki u pasa, na wypadek gdyby przyszło mu czegoś szukać w nocy, po czym przysnął.

Błede światło wschodzącego słońca wydobyło z ciemności okolice Noyon. Wezbrana po nocnej burzy Oise płynęła wartko na północny wschód, niosąc jesienne liście i ułamane gałęzie. Pomost niewielkiej przystani należącej do La gouede był opustoszały, jeśli nie liczyć jednej łódeczki, którą parobkowie od czasu do czasu przepływali na drugi brzeg. Wiatr przestał targać otaczającymi karcznię drzewami, a drzwi od obory przestały wreszcie łomotać.

238

Ziemia wokół zabudowań przypominała bagno. Huxley przeszedł przez podwórze, lawirując między kałużami, i wszedł do stajni. Podszedł do siwka, poklepał go uspokajająco po szyi i zarzucił mu na

grzbiet siodła.

Wiedział, że nie musi się spieszyć, że ma mnóstwo czasu.

Któż mógłby mu przeszkodzić? W okolicy jedynie Rouecourt stanowił zagrożenie, ale Rouecourta już przecież nie było. Kowal poruszał się wolno i spokojnie, jak człowiek, który wyszedł cało z niedawnej opresji. Zapiął po-pręg i zaczął gwizdać pogodną melodię. Ziemia zadrżała i nim pojął, co się dzieje, podwórze wypełniło się jeźdź-

cami. Usłyszał nawoływania po francusku. Ktoś wzywał

go po imieniu, żeby wyszedł ze stajni...

Pośród konnych stłoczonych między zabudowaniami La gouede gambadante siedział na roslym koniu pan Rambures. Towarzyszący mu pan Vindroit i młody pan Clermont rozglądali się czujnie.

- Gdzie pozostali? - zapytał znużonym tonem Clermont, mrużąc oczy, bo na twarz padało mu słońce.

- Obawiam się, że będę musiał panom sporo wytłumaczyć... - zaczął spokojnie Huxley, powoli odpinając pas z mieczem.

Vindroit podkręcił wąsa, kiwając głową, a Clermont parsknął.

-Zaiste... będziecie... - przyznał rozbawiony pan Bertrand.

- Przetrzęsnać wszystko! - rzucił Rambures. - Szukaj cie listów... hmm... a z tym ptaszkiem rozmówimy się po posiłku...

Ludzie mistrza kuszników zabrali się do poszukiwań 239

ochoczo, licząc na to, że przy tej robocie mogą im wpaść w ręce różne cenne drobiazgi. Największą sumiennością odznaczała się w tym przedsięwzięciu grupa pana Clermonta nadzorowana przez pana Montmertyego. Znaczniejsi panowie, nie chcąc przykładać ręki do tych niezbyt chwalebnych, acz niezbędnych czynności, udali się do głównej izby na poczęstunek. Za nimi zaś dwaj zbrojni poprowadzili związanego Huxleya.

La gouede tętniła życiem, mimo to Jakub Martyre nie był

do końca zadowolony. Obiecano mu co prawda zapłatę, ale niepokoiło go, że blisko setka zbrojnych przetrząsa jego gospodę w poszukiwaniu listów. Zapewne dręczyła go obawa o los cennych drobiazgów. Nie miał jednak wyboru, nie mógł odmówić gościny mistrzowi kuszników. Biegał więc z niewyraźną miną między stołami, podając wino i pieczyście. Pomagali mu wszyscy parobkowie i dziewczki służebne.

Pan Rambures siedział na miejscu, które zeszłego wie-czoru zajmował Rouecourt, i tak jak Burgundczyk zaja-dał kurczaka. Po jego prawicy spoczął, głaszcząc się niecierpliwie po bródce, Clermont, a tuż obok czujnie obserwujący Huxleya Vindroit. Kowala posadzono na ławie

naprzeciwko z rękoma związanymi na plecach. Nadto, na wszelki wypadek, stało nad nim dwóch zbrojnych, trzymając ręce na jego ramionach.

Rambures oblizwał palce. Spojrzał w końcu na siedzącego przed nim kowala i przemówił:

- Cóż takiego zatem macie mi, hmm. . do powiedzenia, panie...?

240

- Huxley, Jan Huxley na potrzeby tej konwersacji...

- Jak to „na potrzeby tej konwersacji”? Gadaj, jak się nazywasz! - wrzasnął mistrz kuszników i łupnął trzymanym w prawicy kubkiem w stół, aż wino chlusnęło na boki.

Kowal ani drgnął.

- Cóż... wykonuję pewne zadanie bardzo delikatnej natury - powiedział. - Na potrzeby tego zadania nazywam się Jan Huxley. . - Zielone oczy kowala spoglądały kolejno na siedzących przed nim rycerzy, spokojnie i uważnie.

- Dobrze mówicie po francusku jak na Anglika - zauważył Vindroit. - A nawet jak na Francuza, z czego wnoszę, żeście nie tylko Francuz, ale i szlachetnie urodzony - dodał po chwili.

Huxley spojrział na pana Vindroit.

- Dobrze się, panie, domyślacie... - rzekł.

- Oczywiście możecie być nadto szpiegiem, skoroście przestawali z Anglikami, jak widzieliśmy na trakcie - za-kończył chłodno doradca mistrza kuszników.

Kowal pokiwał głową, po czym uśmiechnął się lekko i nieprzyjemnie.

- No cóż... - odezwał się. - Pozostaje mi tylko przed stawić dowód, że jestem po właściwej stronie. Otóż w moim dobytku w izbie, w której śpię, jest list z pieczęcią mojego pana, księcia Burgundii.

Rycerze popatrzyli po sobie pytająco.

- Dlaczegoście tego nie rzekli na trakcie, jak was pochwyciliśmy? - odezwał się w końcu Vindroit, w zamy-

śleniu podkręcając wąsa.

- Ponieważ częścią powierzonego mi zadania było 241

ochoczo, licząc na to, że przy tej robocie mogą im wpaść w ręce różne cenne drobiazgi. Największą sumiennością odznaczała się w tym przedsięwzięciu grupa pana Clermonta nadzorowana przez pana Montmertyego. Znaczniejsi panowie, nie chcąc przykładać ręki do tych niezbyt chwalebnych, acz

niezbędnych czynności, udali się do głównej izby na poczęstunek. Za nimi zaś dwaj zbrojni poprowadzili związanego Huxleya.

La gouede tętniła życiem, mimo to Jakub Martyre nie był

do końca zadowolony. Obiecano mu co prawda zapłatę, ale niepokoiło go, że blisko setka zbrojnych przetrząsa jego gospodę w poszukiwaniu listów. Zapewne dręczyła go obawa o los cennych drobiazgów. Nie miał jednak wyboru, nie mógł odmówić gościny mistrzowi kuszników. Biegał więc z niewyraźną miną między stołami, podając wino i pieczywo. Pomagali mu wszyscy parobkowie i dziewczki służebne.

Pan Rambures siedział na miejscu, które zeszłego wieczoru zajmował Rouecourt, i tak jak Burgundczyk zaja-dał kurczaka. Po jego prawicy spoczął, głaszcząc się niecierpliwie po bródce, Clermont, a tuż obok czujnie obserwujący Huxleya Vindroit. Kowala posadzono na ławie naprzeciwko z rękoma związanymi na plecach. Nadto, na wszelki wypadek, stało nad nim dwóch zbrojnych, trzymając ręce na jego ramionach.

Rambures oblizał palce. Spojrzał w końcu na siedzącego przed nim kowala i przemówił:

- Cóż takiego zatem macie mi, hmm. . do powiedzenia, panie...?

240

- Huxley, Jan Huxley na potrzeby tej konwersacji...

- Jak to „na potrzeby tej konwersacji”? Gadaj, jak się nazywasz! - wrzasnął mistrz kuszników i łupnął trzymanym w prawicy kubkiem w stół, aż wino chlusnęło na boki.

Kowal ani drgnął.

- Cóż... wykonuję pewne zadanie bardzo delikatnej natury - powiedział. - Na potrzeby tego zadania nazywam się Jan Huxley. . - Zielone oczy kowala spoglądały kolejno na siedzących przed nim rycerzy, spokojnie i uważnie.

- Dobrze mówicie po francusku jak na Anglika - zauważył Vindroit. - A nawet jak na Francuza, z czego wnoszę, żeście nie tylko Francuz, ale i szlachetnie urodzony - dodał po chwili.

Huxley spojrział na pana Vindroit.

- Dobrze się, panie, domyślacie... - rzekł.

- Oczywiście możecie być nadto szpiegiem, skoroście przestawiali z Anglikami, jak widzieliśmy na trakcie - za-kończył chłodno doradca mistrza kuszników.

Kowal pokiwał głową, po czym uśmiechnął się lekko i nieprzyjemnie.

- No cóż... - odezwał się. - Pozostaje mi tylko przed stawić dowód, że jestem po właściwej stronie.

Otóż w moim dobytku w izbie, w której śpię, jest list z pieczęcią mojego pana, księcia Burgundii.

Rycerze popatrzyli po sobie pytająco.

- Dlaczegoście tego nie rzekli na trakcie, jak was pochwyciliśmy? - odezwał się w końcu Vindroit, w zamy-

śleniu podkreślając węża.

- Ponieważ częścią powierzonego mi zadania było 241

doprowadzenie tych angielskich rycerzy, których puści-liście, panowie, w pewne miejsce. Jakże więc miałem ich odstąpić? A że zadanie moje miało być sekretne, to i wo-lałem gwałtu nie okazywać, skoro nie było konieczności.

- W jakim celu i dokąd ich wiodliście? - spytał zaintrygowany Rambures.

- Cóż. . w jakim celu, tego jego książęca moc nie objaśnił, ale w moim mniemaniu chodziło o jakieś układy dyplomatyczne, a skoro o miejsce pytacie, to miałem owych rycerzy prowadzić aż do granicy Burgundii do zamku Bar-sur-Seine.

Rycerze wiercili się coraz bardziej zakłopotani, marszcząc brwi.

- Jakże to, hmm...? - wyraził ich zdumienie Rambures. - Sugerujecie, że książę chciał jakoweś potajemne pertraktacje z Anglikami prowadzić?

Huxley wzruszył ramionami.

- Nie moja to rzecz książęce zamysły - stwierdził. - Ja miałem ich tylko doprowadzić do granic Burgundii.

- A gdzie oni teraz są, panie Huxley? - odezwał się Clermont, wodząc palcami po opuchniętym nosie.

-Otóż właśnie... wśród Anglików doszło do sporu, a właściwie do zupełnego bezprawia. Przedstawcie sobie, panowie, że kilku łuczników tego poszczerbiło barona Artura Neville'a oraz jego kuzyna sir Roberta... Barona zapewne, panie, pamiętacie - dodał kowal, bezczelnie patrząc na młodego rycerza.

-A jakże... - potwierdził, krzywiąc się, pan Clermont. - Tyle że wydaje mi się mało prawdziwie podobne, by paru łuczników dało radę temu mężowi...

242

- Załóżmy jednak przez chwilę, panie Huxley, że nie łżecie jak pies - odezwał się Vindroit. - Gdzie wy by-liście, gdy ci łucznicy tak wygarbowali skóry tym rycerzom? - Mówił szybko i szarpał węża, jakby chciał je sobie wyrwać. Patrzał przy tym bystro na Huxleya.

- No cóż... - westchnął kowal - przyznaję, że nie zachowałem się nazbyt szlachetnie.. Uciekłem.

- I wstąpiliście do tej gospody, by zasmakować miejscowych przysmaków i ukoić nerwy po nieprzyjemnej przygodzie? Jakże to? Ot tak zostawiliście wysłanników królewskich na śmierć? - Vindroit wolno kręcił głową, świdrując kowala wzrokiem.

- Cóż więcej mogę wam panowie powiedzieć. .? - rzekł

Huxley. - Nie każcie mi, proszę, jeszcze raz opowiadać tej nie dodającej mi chwały historii.

Po chwili milczenia odezwał się mistrz kuszników:

- Wychodzi, hmm... na to, że trzeba nam będzie zerknąć na tę waszą pieczęć. Jako najbardziej biegli wśród nas - zwrócił się do pana Vindroit - zajmiecie się tym, jeżeli... prawda, hmm... jakoweś listy znajdziemy.

Marceli Cachesous z synem Jakubem wyruszyli jak co wieczór zarobić trochę grosza. Nadciągała wojenna za-wierucha i trzeba było jak najszybciej pozbyć się towaru i poszukać bezpiecznego schronienia. Wóz ukryli tam gdzie zwykle, w przybrzeżnych zaroślach, po czym wyciągnęli z niego małą wiosłową łódkę. Bezszelestnie i zwinnie po-

łożyli kadłub na wodzie i weszli do środka. Grube wełniane heuke, które narzucili na wierzchnie szaty, i kaptury 243

nie dawały tej nocy zbytniego schronienia przed ulewą.

Pracowali więc szybko, nie tracąc czasu na pogawędki.

Przepełnęli małą rzeczkę, parokrotnie oświetlani przez pioruny, i dobili do przeciwległego brzegu. Jakub wyskoczył na ląd i wyciągnął łódź, Marceli zaś wyjął z niej drewniane nosze. Wzięli ze sobą dwie szczelnie owinięte płótnem pochodnie i ruszyli w rozszałę na wietrze las.

Wkrótce pośród sosen wypatrzyli niewielką chatkę, do której zmierzali.

Sir Ralf nie mógł zasnąć dręczony ponurymi myślami. Nie chciał też tracić z oczu doktora, mimo że związał go bardzo starannie. O dach i ściany izby nieregularnie łomotały gałęzie sosen, monotonnie zacinał deszcz. Nagle niespokojnie zarżały konie. Sir Ralf podniósł czoło wsparte na głowicy miecza i rozejrzał się. Wierzchowce zdążyły się już oswoić z burzą, musiało więc chodzić o coś innego. Rycerz wstał i ściskając oburącz miecz, podszedł po cichu do drzwi. Wyjrzał ostrożnie na zewnątrz. Piorun rozświetlił okolicę, lecz w jego krótkim blasku sir Ralf nie dostrzegł niczego podejrzanego. Cofnął się o krok, nie spuszczając z oczu otworu wejściowego, i nastawił

uszu. Pośród hałasów szarpanej zawieruchy nocy znów rozległo się końskie rżenie. Słyszał też miarowe chrapanie doktora. Już gotów był uznać, że to jednak aura znów zaniepokoiła konie, gdy usłyszał trzaśnięcie gałązki na ganku, a piorun oświetlił skradającą się ludzką postać.

Sir Ralf uniósł miecz i ruszył do wejścia. Pod podbitą ćwiekami podeszwą chrupnęło szkło i intruz

do ucieczki. Rycerz ruszył za nim w pogoń, całkiem zapominając o ostrożności. Żak pierwszoroczny nie postą-

piłby tak lekkomyślnie. Przekraczając próg, zdążył tylko wyłowić kątem oka jakiś ruch, a zaraz potem runął przed siebie, na schodki ganku. Popełnił błąd i wiedział o tym, ale trzeba było znacznie więcej niż podstawienia nogi, by obalić tak doświadczonego rycerza jak sir Ralf.

Stojący przy ścianie Marceli CACHEDESOUS spodziewał

się, że pędzący w noc człowiek padnie na twarz i wybiję sobie zęby. Rycerz sprawił mu jednak poważny zawód.

Skrzyżowawszy ramiona, by nie poranić się własnym mieczem, płynnie przeturlał się przez bark, umiejętnie wytracił impet i jak akrobata niemal od razu stanął na nogi. Marceli spojrzał nań z niedowierzaniem, ale szybko doszedł do siebie na widok uniesionego miecza. Wy-puścił z rąk dębową pałkę i skoczył w bok, chcąc dopaść pobliskich sosen.

Sir Ralf był jednak szybszy. Rzucił się do przodu w długim wypadzie i runął na uciekającego. Marceli wyrznął

z łoskotem o ścianę, a sir Ralf przyłożył mu dwa razy kułakiem i niemal wrzucił oszołomionego do chaty. Stojąc nad rozłożonym na łopatki mężczyzną, rzucił okiem przez odrzwia, ale nikogo nie dostrzegł. Oparł więc sztych miecza na gardle jęczącego i krwawiącego z rozbi-tych ust Marcelego, i przemówił doń ostro:

- Każ temu drugiemu i każdemu innemu, jeśli tam jest kto jeszcze, natychmiast wejść na ganek...
- Jakub! - zakrzyknął rozpaczliwie CACHEDESOUS.
- Jeszcze raz, głośniej! - nakazał mu rycerz, nie odej-mując miecza.

- Jakubie, synku! Chodź tu, bo mnie ubiją!
- Co tu się dzieje, panie Ralfie?! - zawołał z głębi chaty zaniepokojony doktor.
- Milcz! - warknął w ciemność rycerz.
- Jesteście Anglikami? - spytał zdziwiony Marceli.

W tym momencie ktoś wszedł ostrożnie na ganek.

- Stań na progu, żebym cię lepiej widział! - nakazał

mu ostro sir Ralf, ignorując pytanie.

W drzwiach ukazał się syn Marcelego.

- To wszystko? Tylko wy dwaj? - zapytał go rycerz.

- Tak, panie, tylko ja i ojciec - skwapliwie potwierdził

Jakub.

- Zaraz ci rzucę świecę i krzesiwo - rzekł sir Ralf. -

Zapalisz świecę i dopiero z nią wejdiesz do izby.

- Nie lepiej, panie, zapalić pochodnię? - odezwał się chłopak. - Zabraliśmy z ojcem parę.

Sir Ralf lewą ręką wyjął z torby przy pasie świecę oraz krzesiwo i rzucił je chłopakowi.

- A gdybyście tak, chłopcze, hakownicę zabrali, to byś spytał, czy nie lepiej na proch iskierkę skrzesać, bo więcej światła by było? - zapytał kpiąco i Jakub zabrał się do roboty. Po chwili stanął oświetlony niewielkim płomyczkiem, który osłonił dłonią od wiatru.

-

Wejdz - powiedział spokojnie, lecz stanowczo rycerz.

Chłopak wkroczył do izby i spojrzał troskliwie na leżącego ojca.

- Coście za jedni? - spytał po chwili sir Ralf Marcelego, nie chowając miecza.

- My, panie, jesteśmy jeno pokornymi pielgrzymami zmierzającymi do Italii - odrzekł zagadnięty.

246

Jakub spojrzał na ojca ze zdziwieniem. Szybko się opamiętał i przymknął usta, ale nie dość szybko, by sir Ralf nie zauważył.

- No, no... - Pan Moorow gwizdnął lekko. - Ciekawe... widać dużo grzeszyliście, skoro tak wam spieszo z pielgrzymką, że po nocy wędrujecie. To już nie ma lepszych dróg we Francji, że trzeba się po kniei wałęsać?

A dokądże to dokładnie się udajecie? Może do katedry kanterberyjskiej?

- Właśnie tam, panie! Byliście tam kiedy?

- A jakże, byłem, bo to piękne miejsce i od mojego zamku niezbyt odległe. A wracając do twojego pytania, to ow-szem, jestem Anglikiem - odrzekł łagodnie sir Ralf, lecz zaraz potem rzucił ze złością:

- A teraz gadaj, coście za jedni, i bacz, by nie skłamać, bo ci ten kłamliwy ozór wyrwę!

Marceli pobladł w jednej chwili.

- Jesteśmy, panie, *fam-sauniers*... - wyznał ciężko.

- Fałszywi handlarze soli? - zdziwił się sir Ralf. - Aaa, znaczy przemytnicy?

Cachedesousowie niechętnie pokiwali głowami.

- Skąd dokąd przewozicie tę sól i co robicie tutaj, w tym borze? - ciągnął indagacje rycerz. - A w ogóle to siadaj. - Sir Ralf odsunął się o krok i wsparł na mieczu.

Marceli usiadł i otrzepując z płaszcza okruchy szkła, zaczął wyjaśniać:

- Otóż kupujemy sól w Artois, a sprzedajemy tu w oko licy. Często kupcom z Nesle, bo najbliżej, trochę też sami utargujemy, ale po wsiach, bo do miasta to jednak strach.

A tu, w tej ustroni, mamy jeno składzik, co by z towarem na wozie wszędzie się nie pokazywać...

247

- Aha. . ale zaraz.. powiedziałaś, że najbliższe miasto w okolicy to Nesle? - zdziwił się sir Ralf.

- Tak, panie, najbliżej będzie do Nesle, jakby ruszyć na południe.

- A do Ham którądy?

- Do Ham to by trza było tam pojechać, przez tę rzeczkę... - Przemysłnik wskazał za siebie. - I dalej prosto na wschód aż do Sommy, a potem z nurtem. Mijacie, panie, Chanfi, a potem Eppeville i już jesteście u bramy miejskiej. Ale to też blisko, panie, będzie nie dalej jak cztery mile.

- Macie może jakoweś wieści o tym, gdzie jest armia angielskiego króla?

- Wczoraj, nim żeśmy jeszcze z Falay wyjechali, mówił

jeden kuśnierz, że ponoć na Amiens idą Anglicy i że nasi panowie im na razie bitwy nie wydali.

Zasepiony sir Ralf pokiwał głową.

- Jeśli jest tak, jak mówisz... a przecież mogę ci wie rzyć. . ? - sir Ralf zawiesił głos, wpatrując się w Marcelę go, który niespokojnie odwrócił wzrok - ...to obawiam się, że nasze drogi nie rozejdą się nawet w połowie tak szybko, jak byście sobie życzyli. Zatrzymam tu twego syna, a ty udasz się w dół Sommy i dowiesz się dla mnie, którądy idą Anglicy - zakończył stanowczo rycerz i wbił

spojrzenie w przemysłnika.

Marceli jęknął żałośnie i uklęknął.

- Jaśnie panie! - zawołał. - Zmiłujcie się, nie czyńcie z mego syna zakładnika, to moje jedyne

dziecko! Poje dziemy we dwóch. Zostańcie tu i poczekajcie, a przywio zę wam wieści. Zostawię baryłkę towaru, który tu mamy 248

schowany. Dla mnie to fortuna, której nie porzucę, a sprzedać ją muszę rychło, bo może tędy wojsko przejść i cała praca na marne. Zlitujcie się i pozwólcie syna zabrać!

Marceli uronił parę łez i podszedł do sir Ralfa na kolanach. Rycerz spojrział na niego z góry i choć drgnęło mu serce na myśl o własnym synu, odrzekł twardo:

- Nie. Pojedziesz sam, a twój chłopak zostanie przy mnie. Nie mam zamiaru ryzykować. Noc spędzisz tutaj, a wyruszysz nad ranem. - Sir Ralf przeniósł wzrok na Ja kuba, który stał blady w kącie izby, trzymając oburącz oga-rek. - A teraz, chłopcze, idź za chatę - rzekł doń. - Znajdziesz tam dwa konie, a przy jednym z nich kawał ko nopnego powroza. Przynieś go i zwiąż ojca.

Chłopak otworzył usta, bezmyślnie wpatrując się w rycerza.

- Idź już, chciałbym się trochę zdrzemnąć, nim zaświ ta - rzucił sir Ralf, a Jakub w końcu postawił świeczkę na podłodze i poszedł. Gdy wrócił, po chwili wahania zwią zał ojca, a następnie sam został spętany. Sir Ralf upewnił

się, że chłopak porządnie skrepował Marcelego, po czym powiązał wszystkich więźniów razem i sprawdził peta.

Na koniec zgasił świecę i położył się blisko wejścia, żeby trochę wypocząć.

Sir Ralfa zbudziło krakanie gawronów wyruszających na poranne łowy. Spał źle i krótko. Podniósł się i rozpro-stował kości. Ból w kończynach ustąpił, ale przypominał

o sobie mocno zasolony śledź zjedzony na kolację. Rycerz spojrział na jeńców. Spali przytuleni do siebie jak niewin-249

ne kocięta. Uświadomiło to sir Ralfowi, że jest zimno -

wciąż wilgotny gambeson nie chronił przed chłodem.

Wyszedł przed chatę i poczuł wspaniały zapach sosen po burzy. Powietrze, w przeciwieństwie do rycerza, było czyste i rześkie. Gawrony przypomniały mu o śmierci, spochmurniał.

Obudził spętanych i po skromnym posiłku, na który zło-

żyły się niewielkie zapasy przemytników, odwiązał Marcelego. Przemytnik znów próbował go ubłagać, żeby pozwolił mu odejść z synem, ale rycerz był nieugięty. Marceli ucałował zatem jedynaka, otarł łzę i wrócił nad rzekę do wozu, a stamtąd ruszył na zachód.

Minęła godzina, nim zbrojni przetrząsnęli La gouede.

Teraz rozpaczliwe przeszukiwania zaczął Jakub Martyre, zostawiwszy obsługę karczmy służbie.

Wiedział, że ma niewiele czasu na odkrycie ewentualnych ubytków in-wentarza, nim pan Rambures ze swymi ludźmi opuści okolicę.

W izbie, którą zeszłej nocy zajmował Huxley, zbrojni znaleźli trzy listy. Pierwszy leżał w widocznym miejscu, na wieku dużej skrzyni. Odbito na nim pieczęć księcia Burgundii, a pergamin był nieco wilgotny. Drugi, znaleziony w przybocznej torbie Huxleya, opatrzone pieczę-

cią króla Anglii. Trzeci, znaleziony ostatni, był zaszyty w wełnianej kurcie, którą kowal miał na sobie, gdy wchodził rano do stajni.

To pismo zwróciło szczególną uwagę pana Rambures.

Na laku odcisnięto bowiem szykującego się do szarży 250

jezozwiera, znak Karola, księcia Orleanu. Nad podobi-zną zwierzęcia widniała dewiza „Sprawiedliwość”. Pieczęć ta przekreśliła wątplą możliwość, że pan Rambures mógłby obdarzyć Huxleya zaufaniem. Kowal zaklinał się na wszystkich świętych, że jest wiernym sługą Jana bez Trwogi, i straszył konsekwencjami, które wynikną, jeśli nie pozwolą mu wykonać powierzonego przez księcia zadania. Był gotów przysięgać na krzyż, lecz mistrz kuszników nie miał zamiaru puszczać wolno człowieka wiozącego listy trzech ludzi, od których zależały losy Francji.

Vindroit gorąco poparł swego pana i dodał, że sprawę trzeba będzie jeszcze wyjaśnić, jako że nie jest możliwe, by ktokolwiek mógł wiernie służyć zarazem księciu Burgundii, księciu Orleanu i królowi Anglii.

Trzy listy leżały zapieczętowane na stole, z którego zabrano już resztki posiłku. Pan Rambures w milczeniu spoglądał na dokumenty. Pan Clermont udawał, że jest przejęty sprawą, i macał złamany nos. Obserwujący Huxleya pan Vindroit przerwał ciszę:

- No dobrze, Huxley, powiedzcie jeszcze raz, dlaczego macie przy sobie listy od księcia Karola...

- Mam je - odezwał się niewzruszony kowal - by móc bez przeszkód poruszać się po ziemiach panów przychyl-nych stronnictwu Armaniaków, to znaczy, ma się rozumieć, byłemu stronnictwu...

- Ma się rozumieć... - Vindroit uśmiechnął się kwa-

śno. - No tak, a któż to wam je wydał, panie Huxley?

Czyżbyście mieli kumotrów w książęcej kancelarii?

- Oczywiście, że nie. Pieczęć jest fałszywa - bez wahania odpowiedział kowal, patrząc mu prosto w oczy.

251

- No proszę. Wychodzi na to, że nie lada z was fałszerz, a przynajmniej kłamca. - Vindroit przyjrzał się indago-wanemu, ale jego słowa nie zrobiły na nim najmniejsze-go wrażenia.

- Niestety, na razie nie możemy stwierdzić, czy ta pieczęć jest prawdziwa czy fałszywa. . a właściwie nie mo-

żemy tego powiedzieć o żadnej z tych pieczęci... - Vindroit nerwowo podkreślił węża. - Zostawmy to więc na razie. A jakim sposobem posiadliście list od króla Anglii? Czyż nie twierdzicie, że rycerze, z którymi jechali-

ście, mieli prowadzić jakieś pertraktacje... po cóż więc wam ten list, skoro byliście w kompanii owych posłów?

- Ta pieczęć też jest fałszywa i mam ją w podobnym celu jak tę od Karola Orleańskiego.

-Wybornie... - rzekł zrezygnowany Vindroit. - To dobrze, że ta ostatnia pieczęć jest autentyczna, bo tak się składa, że pan Rambures i wszyscy jego rycerze są wierni miłościwemu księciu Janowi. Muszę więc przyznać, że dobrzeście trafili, Huxley.

- Po cóż te podejrzenia, panowie? Zgodziłem się wszak przysiąc na co chcecie, że jestem bez winy. To rozstrzygnęłoby sprawę.

- Mam lepszy pomysł - odparł Vindroit. - Może po prostu otworzę któryś z tych listów? Choćby ten. .
- Bły-skawicznym ruchem złapał pergamin z pieczęcią księcia Orleanu i wbił wściekle spojrzenie w kowala.

- Tylko spokojnie, panie Vindroit. Zachowajmy... hmm...

spokój. Złamanie książęcej pieczęci to marny koncept...

Vindroit tak był zaskoczony upomnieniem pana Rambures, że w jednej chwili usiadł i odłożył dokument.

252

- Jak sądzicie, panie Clermont? - spytał Rambures młodego rycerza, który zupełnie zaskoczony, oderwał dłoń od obitej twarzy i zabrał głos:

- Cóż. . tak. . wedle mnie należałoby odszukać owych angielskich rycerzy. Przecież nie godzi się, by leżeli gdzieś w rowie obici przez własnych poddanych..

- A wy, panie Vindroit, hmm... co o tym sądzicie? -

Pan Rambures zwrócił się do starego doradcy.

- Zważywszy na okoliczności. . - zaczął rycerz - przy-chylam się do propozycji pana Clermonta. Oczywiście nie dlatego, żebym bolał nad dolą owych Anglików. Ci panowie, jeśli ich znajdziemy, zapewne zdołają rozjaśnić tę sprawę. Poza tym pomożemy panu Huxleyowi wypeł-

nić jego powinność wobec księcia. Czyż nie? - Vindroit zerknął nieprzyjaźnie na kowala, ten jednak

nie odpowiedział.

Niedługo potem mistrz kuszników i jego ludzie opu-

ścili La gouede. Ruszyli na północ kierowani głównie przecuciem, jako że Huxley stwierdził, że nie ma poję-

cia, gdzie znajduje się baron Pitchfork i jego kuzyn.

Na czele kołysał się w siodle cichy i ponury Rambures.

Obok niego najważniejsi rycerze ze świty i córka, której na twarzy malowało się napięcie i nadzieja. W głębi, otoczony przez zbrojnych, jechał giermek pana Moorow.

Nie był skrepowany, bo z uwagi na rany, które odniósł, nie było takiej potrzeby. Niedaleko pojękującego Guillaume'a człapał siwek Huxleya. Kował oficjalnie nie był

więźniem, ale nakazano mu jechać pośrodku zbrojnych. .

253

Uczony popadł w otępienie i wciąż mamrotał jakieś modlitwy lub cytował filozoficzne traktaty. Nie dbał przy tym wcale o publiczność, a ona nie dbała o niego. Sir Ralf nakarmił konie resztkami furazu i zmówił modlitwę, a potem oddał się ponurym rozmyślaniom. Przerwał je dopiero sporo po południu, gdy doszedł do wniosku, że nic nie może zrobić, dopóki wysłany na zwiady przemytnik nie wróci z wieściami.

Z braku lepszego zajęcia zaczął wypytywać Jakuba o fach przemytniczy. Chłopak opowiedział mu z wypiekami na twarzy i dziecięcą ufnością o najdrobniejszych szczegó-

łach procederu. Powiedział, od kogo, gdzie i za ile kupują z ojcem sól. Zdradził nawet, jakie mają zyski, a były zaiste imponujące, jako że w Pikardii królewski podatek od soli był ogromny, a jej zakup obowiązkowy, granicznego Artois natomiast w ogóle nie obciążono takim podatkiem i sól była tam kilkanaście razy tańsza. Opowiedział

też z entuzjazmem o karach, które czekają na przemytników. Utrzymywał, że wiele zależy od tego, czy złapany na przestępstwie ma przy sobie broń. Jeśli miał, czekała go śmierć, jeśli zaś nie - kończyło się na galerach. Dlatego też, podkreślał ochoczo chłopak, on i ojciec nie nosili nigdy broni, tylko dębowe pałki, które łatwo w razie kłopotów cisnąć w las. Rycerz słuchał tych opowieści jednym uchem, zastanawiając się, jaki los spotkał jego syna i drogiego bratanka, nad którym długie lata sprawował opiekę i którego kochał jak rodzone dziecko.

Pod wieczór znów zaczęło padać. Najpierw nieznacznie, potem rzeświście. Sir Ralf powoli zaczynał tracić wiarę, że przemytnik wróci. Nagle, gdy zmęczony oczekiwa-

niem i przygnębiony opuścił na chwilę głowę i omal nie zasnął, usłyszał nawoływanie po angielsku.

- Ralf Neville, pan Moorow?! - zakrzyknął od progu chaty tęgi rycerz o pokaźnym, nieco już siwiejącym wąsie.

Sir Ralf podniósł głowę. Nie znał człowieka, który go zawołał. Na dodatek przybysz nie nosił tabardu, a na białą zbroję narzucił gruby wełniany płaszcz, na którym widniał jedynie czerwony krzyż świętego Jerzego.

- Tak, to ja - odrzekł sir Ralf. - A kimże wy jesteście, panie? - Dźwignął się z łóżka i spojrzał na rycerza. Wy-dało mu się, że zna tę twarz, przynajmniej z widzenia.

- Jestem Tomasz Chaucer, pan Wallingford, a herb mój to w polu dzielonym w słup srebrnym i czerwonym pas ukośny o barwach przemiennych - przedstawił się przybysz.

- Cieszę się, że was widzę, sir Tomaszu. Obawiam się, że mam smutne wieści dla naszego pana.

Chaucer zerknął na więźniów sir Ralfa.

- Ten młody to zapewne syn handlarza, którego spotkaliśmy po drodze - rzekł. - On nas tutaj przywiódł...

A ten drugi... zaraz, czy to nie kronikarz królewski? -

zdumiał się i wszedł głębiej, próbując dostrzec skuloną w mroku postać.

- O tak, panie, we własnej osobie! - zakrzyknął doktor Joachim, zrywając się z podłogi. - Jestem tu wbrew mej woli więziony!

Sir Ralf spojrzał nań wściekle.

- Ten człowiek jest zdrajcą i nie inaczej go poprowadzę przed oblicze króla jak związanego! - oznajmił.

Pan Chaucer spojrzał poważnie na zaciętą twarz sir Ralfa i odrzekł:

255

- Skoro taka wasza wola, niech i tak będzie. To wy się będziecie z tego tłumaczyli, ja mam was jedynie do obozu odeskortować.

Rozmowę przerwali zbrojni, których przywiódł sir Tomasz. Było ich dziewięciu. Gdy Chaucer i pan Moorow wyszli przed chatę, zobaczyli kilkunastu konnych łuczników. Między nimi stał Marcell Cachedesous, którego sir Ralf zdecydował puścić wolno wraz z synem, nie ujawniając jego profesji i nie donosząc o baryłce soli, którą mieli ukrytą w chatce. Trochę bił się z myślami, jako że tyle soli stanowiłoby niemałe wsparcie dla armii królewskiej, ale nie chciał już gnębić ojca i syna, zwłaszcza że samą solą nikt jeszcze pustego żołądka nie napelnił. Co innego, gdyby szmuglowali solone śledzie - wtedy mu-sieliby się z nimi pożegnać.

Wkrótce pan Moorow był gotowy do drogi. Opiekę nad protestującym Joachimem powierzył ludziom Chaucera, a sam z rycerzem ruszył przodem. Łucznicy, pomni na ostrzeżenie swojego pana, nie ściągnęli więzów krzyczącemu o nieprawościach uczonemu. Gdy jednak zaczął

się on wydzierać wniebogłosy, jeden z nich powiedział

mu na ucho coś, po czym Joachim zamilkł na dobre.

Jechali lasem, niezbyt szybko, panowie Chaucer i Moorow mogli więc porozmawiać.

- Czyżbyście byli, panie, spokrewnieni z tym słynnym poetą? - zagadnął sir Ralf.

- Tak, to mój ojciec - odrzekł sir Tomasz, obserwując uważnie drogę.

- A jak toczą się losy wojny? Francuzom wciąż nie-spieszno do bitwy?

256

- Zgadza się - potwierdził sir Tomasz. - Siedzą przy-czajeni i pilnują prawego brzegu Sommy. Popalili mosty, nie ma jak przejść. A u nas w obozie mizernie z żywno-

ścią. Król zagroził wczoraj załodze zamkowej pod Boves, gdzie nocowaliśmy, że jeśli nie odda zapasów chleba, to spali miasteczko i winnice.

- I dali? - zapytał sir Ralf.

- Dali, osiem wielkich koszy. Po chlebie śladu już nie ma. Ludzie są głodni, zmęczeni i schorowani, zresztą sami zaraz zobaczycie. Ciemno już, a okolica jeszcze dobrze nie zbadana. Pewnie jutro tędy cała nasza armia przejdzie, ale lepiej przyspieszmy, bo pan Erpingham jest zdaje się wielce ciekaw wieści od was.

Tak też zrobili i rzeczywiście, po niedługiej jeździe ukazały się przed nimi namioty angielskiego obozu.

XI

Poranne przejaśnienie nie ustępowało i zmęczeni ciągłymi ulewami podróżni mogli nacieszyć oczy widokiem czystego nieba. Po deszczach powietrze było chłodne, ale rześkie i przyjemnie pachniało. Na opadłych liściach błyszczały krople wody. Kilka wiewiórek, korzystając z roz pogodzenia, zaczęło desperacko poszukiwać orzechów i żołądździ.

Łucznicy w milczeniu popatrywali na okolicę. Poza grubymi lnianymi kaftanami zdążyli wysuszyć całą odzież.

Mieli co jeść i ogrzewało ich ognisko, do którego dorzucali całą noc. W chacie zrobiło się całkiem przytulnie, a zmęczeni żołnierze, by nacieszyć się słońcem, przecią-

gnęli postania w miejsce, nad którym nie było dachu.

Mimo to żaden z ludzi Balia nie był specjalnie szczęśliwy.

Rozumieli, że ich jedyną nadzieją jest Jan Huxley, z któ-

rym mieli układ, i że bez niego są wrogami dla każdego, na kogo się natkną. Dla Francuzów byli Anglikami, dla Anglików - zdrajcami i banitami. Zdjęli już co prawda i spalili krzyże świętego Jerzego, ale ich rysz tunek nie pozostawiał wątpliwości - wyglądali na łuczników Hen-259

ryka V. Ponadto żaden z wylegających się w zgliszczach mężczyzn nie znał francuskiego.

Na kępie pożółklej trawy dwie wiewiórki walczyły o po-każny orzech. Z daleka wyglądały jak dwóch rozbitków na wyspie pośród morza błota. W końcu jedno zwierząt-ko wyszarpnęło drugiemu upragnioną zdobycz. Zwycięzca nastroszył ogon, obrócił się do rywala i parsknął

triumfalnie. Już chciał odbiec w swoją stronę, gdy coś go zaniepokoiło. Stanął słupka, tuląc orzech jak matka niemowlę, zastrzygł pędzelkowatymi uszami i nagle rzucił

się do szaleńczego biegu. Druga wiewiórka poszła w jego ślady.

Obserwujący to Mateusz też uniósł głowę i zaczął na-słuchiwać. Po chwili dotarł doń przytłumiony regularny dźwięk. Skoczył na nogi jak młodzik, chwycił za łuk, przygiął łączysko udem i w pośpiechu zaczął nakładać cięciwę. Towarzysze popatrzyli na niego przerażeni.

- Konni! Siła konnych! - wrzasnął stary łucznik, zaha czając pętlę cięciwy o gryf z krowiego rogu.

Pozostali zerwali się i za przykładem doświadczonego kompana napięli łuki.

- Tęsknisz za nią, Robercie? - zapytał sir Artur, gdy Robert właśnie zapadał w sen. Myśli wymieszane z nadchodzącymi marzeniami sennymi pierzchły. Rycerz podniósł głowę i rozejrzał się odruchowo, ale nie dostrzegł

niczego prócz ciemności.

- Bardzo... - odpowiedział po chwili, kiedy dotarło do niego pytanie.

260

-To dobrze, kuzynie... to dobrze - rzekł Artur. -

Czas, żebyś się ożenił...

- Ożenił?! - parsknął Robert. - Jakoś nie widzę na to szans. Nawet jeśli cudem wyjdziemy cało z tej piwnicy, to moja ukochana jest już zapewne w domu, w zamku Rambures lub jakiejś innej twierdzy.

- Trzeba zachować wiarę, kuzynie, to jedyne, co nam pozostaje, choć to niemało.

Bas sir Artura brzmiał dużo mocniej, niż kiedy pan Pitchfork oprzytomniał.

- No cóż.. Arturze, dla Marii jestem gotów na wiele, ale obawiam się, że sytuacja jest zbyt skomplikowana i że jej nie sprostim. Pogubiłem się i nie znajduję wyjścia z tej matni.

Baron odezwał się po dłuższej chwili, ale zdecydowanie:

- Udam, że tego nie słyszałem, bo to niegodne Neville'a. Dla mnie cała rzecz przedstawia się nader jasno.

Dzieliłeś łożę... płaszcz... z tą damą, więc teraz zgodnie z prawem ją poślubisz lub okryjesz was oboje hańbą i na domiar złego zgrzeszysz. A ponieważ na to nie pozwolę, doprowadzę was przed ołtarz, tak mi dopomóż Bóg. Czy dotarło to do twojego bakałarskiego umysłu?

- Chyba tak...

- Chyba?! - z nutką groźby zapytał Artur.

- Tak - przyznał w końcu skruszony Robert.

Nagle z góry dobiegły ich odgłosy pośpiesznych kroków. Sir Robert poczuł, że serce bije mu szybciej. Pomy-

ślał, że być może Francuzi przyjechali dobić targu.

261

Po chwili tętent stał się wyraźny, a zaraz potem głośny.

Z lasu wypadli zbrojni na koniach. Kopyta rozbryzgiwały błoto i tratowały nieliczne kępki trawy. Ludzie Balia po-chowali się za dziurawymi ścianami. Tomcio pośpiesznie rozrzucił nogą ognisko, ale było już za późno. Jeźdźcy dostrzegli gęsty dym idący z mokrego drewna, zanim jeszcze wjechali

do zniszczonej wsi.

Zbrojni zwolnili i zaczęli pomału objeżdżać zgliszcza domostw. Grupka konnych pod dowództwem pana Montmertyego została na skraju zabudowań, pilnując ledwie trzymającego się w siodle Guillaume'a i rozbrojonego Huxleya. Jeden z koni łuczników przywiązanych do nad-palonego płotu zarżał zaniepokojony. Zbrojni natychmiast skierowali się w tę stronę, dobywając broni. Błysnęły klingi mieczy i żełżca toporów, zabręczały łańcuchy kiścieni.

William Bali wyszedł z ukrycia i stanął bokiem ku nadjeżdżającym, w pozycji łuczniczej. Francuzi spojrzeli na niego bez słowa, nie zatrzymując wolno stąpających wierzchowców. Łucznik wziął głębszy wdech i zakrzyknął po angielsku:

- Stać! - po czym lekko pochylił głowę, dając znak Tomciowi, który bez słowa ruszył pod osłoną ściany ku uwiązanym na tyłach koniom.

Zbliżający się Francuzi popatrzyli na pana Rambures.

Mistrz kuszników oparł lewą rękę na wysokim łęku siodła i obrócił się do stojącego daleko w tyle Huxleya. Prawą rękę położył na toporze zatkniętym przy siodle.

- To oni?! - zawołał.

- Pozwólcie podjechać, panie, bo nie widzę! - odkrzyknął kowal.

262

Rambures skinął nań przyzwalająco. Zbrojni otaczający Huxleya odstąpili. Tknięty ostrogą siwek ruszył gwałtownie i po chwili był tuż przy rumaku mistrza kuszników.

- Stać! - powtórzył Bali, unosząc łuk.

Huxley przyjrzał mu się i przeniósłszy wzrok na pana Rambures, skinął głową.

- Wyrznać wszystkich! Żadnych jeńców! - wrzasnął

mistrz kuszników, wyciągając topór, i popędził konia.

Dystans między chatą, w której chowali się łucznicy, a pierwszymi konnymi wynosił zaledwie pięćdziesiąt kroków. Odległość, z której wprawny łucznik bez trudu trafia w ludzką głowę, którą jednak szybki wierzchowiec pokonuje w mgnieniu oka...

Świsnęły pojedyncze strzały. Dwa konie runęły okaleczone w błoto, wyrzucając jeźdźców z siodeł. Pozostali dojechali. Pan Clermont zajechał chatę od tyłu i wpadł

prosto na odwiązującego konie Tomcia. Chłopak odwró-

cił się i odruchowo zasłonił głowę przedramieniem. Długi miecz przeciął rękę i zatrzymał się

dopiero na czaszce.

Tomcio padł na kolana, puste oczy zalała mu krew. Lewą ręką spróbował namacać rękojeść kordą, ale nie zdążył

go wyciągnąć. Clermont podjechał do klęczącego łuczника, przechylił się w siodle i chlasnął niedbale w potylicę. Tomcio padł na twarz w błotnistą ziemię, nie zdążył

nawet jęknąć.

Znajdujący się w chacie łucznicy chwycili za tasaki i miecze, gdy pierwsi Francuzi dopadli schodków prowadzących do izby. Nie było drzwi, które spowolniłyby 263

atakujących. Nie było też możliwości ucieczki. Pierwszy padł stary Mateusz, rzucony na ścianę i przeszyty dwoma sztychami. Jeden ze zbrojnych zgruchotał buzdyganem kolano Dużego Willa, który zdążył jedynie krótko wrzasnąć, nim topór kolejnego Francuza rozplątał mu twarz. Bali upadł zdzielony głowicą miecza w pierś i skulony czekał na śmierć. Nie przyszła zbyt szybko. Jeden z rycerzy stanął w lekkim rozkroku nad łapiącym oddech łucznikiem i ujawszy mocno kiścień, zaczął miarowo i wprawnie młócić. Bali krzyczał, a pokryta guzami kula opadała beznamiętnie, rytmicznie i niespiesznie. Trzaskały żebra i ręce, którymi Anglik próbował się zasłonić.

Wrzaski Balia przeszły w charkot. Czerwona kałuża roz-lewająca się wokół łucznika dotykała już butów Francuza, gdy skończył.

Potem przeszukano chatkę i ekwipunek łuczników.

W rzeczach Balia odkryto list opatrzony królewską pieczęcią. W końcu znaleziono też drewnianą klapę kryjącą zejście do piwnicy i wyprowadzono zmizerniałych Anglików na światło dzienne. Zasłaniali oczy rękoma, gdyż nawet blade jesienne słońce było dla nich oślepiające.

Robert stał o własnych siłach, był jedynie poobijany, jednak Artura trzeba było podtrzymywać.

Maria, korzystając z zamieszania, podjechała do chaty. Zajrzała do zrujnowanej izby, w której stali pośrodku obaj rycerze otoczeni przez ludzi mistrza kuszników.

Serce zabiło jej szybciej, po chwili już bardziej z radości niż z obawy, gdyż jej ukochany wyglądał na zdrowego.

Stojący naprzeciw Anglików pan Rambures dał im dojść do siebie i rzekł do nich jak zwykle elokwentnie: 264

-Cóż... hmm... jesteście panowie moimi jeńcami.

Ale... hmm... być może tylko do czasu, kiedy nie dołą-

czymy do armii. A teraz powiedzcie, co właściwie robicie z dala od swoich?

Robert zerknął na bladego Artura, który leciał z rąk trzymającym go zbrojnym, i wziął na siebie trud konwersacji:

- Jesteśmy posłami miłościwie nam panującego króla Henryka.

Vindroit przyjrzał się pieczęci widniejącej na pergaminie, który podał mu przed chwilą jeden z przeszukujących

cych chatę.

- A dla kogo jest ta wiadomość? - spytał, wskazując na dokument.

- Dla... - Robert dostrzegł wpatrzoną w niego Marię. Momentalnie zapomniał, co miał powiedzieć i czego dotyczy rozmowa. Serce podskoczyło mu do gardła, a w żołądku uczuł nieznośne mrowienie. Stałby pewnie tak jeszcze długo zapatrzony, gdyby nie interwencja mistrza kuszników.

- Co z wami?! - huknął Rambures, który na szczęście nie dostrzegł przyczyny zamknięcia Anglika, lecz tylko zniecierpliwilo go czekanie na odpowiedź. - Nie pamię-

tacie, komu mieliście list oddać?!

Sir Robert uprzytomnił sobie w końcu, jakie zadano mu pytanie, i przywołał odpowiedź, która uleciała mu z głowy.

- Nie, panie, to świeże powietrze uderzyło mi do głowy. Otóż ów list mieliśmy przedstawić posłom księcia Burgundii.

265

- Tak jak mówiłem - niespodziewanie wtrącił pilno wany przez dwóch zbrojnych Huxley, zwracając na siebie powszechną uwagę.

Sir Robert spojrzął na kowala i zaczął zachodzić w głowę, kim właściwie jest ten człowiek.

- Nikt was o zdanie w tej materii nie pytał, bądźcie więc cicho - skarcił go spokojnie, lecz stanowczo Vindroit i ponownie zwrócił się do sir Roberta. - A kimże jest dla was ten oto człowiek? - Wskazał na kowala.

- Cóż, miał jakieś własne sprawy, a jechał z nami, bo mu akurat było po drodze.

- No proszę. A zgoła co innego nam rzekliście, mo-

ści Huxley, jakieśmy w La gouede rozmawiali. - Vindroit triumfalnie pogładził węża i wbił wzrok w kowala.

- Nie wiem, co się roi temu młodemu rycerzowi, któ-

ry wszak jest ledwie pocztowym tego tu barona - odparł

Huxley. - Jest tak, jako już rzekłem. Miałem odprowadzić poselstwo do Burgundii. Nie dziwi mnie, że nie we wszystko was wtajemniczono, panie Robercie, ale wymy-

ślać coś, o czym się nie ma pojęcia, to niegodne waszego stanu.

Huxley mówił, jak zazwyczaj, spokojnie i cierpliwie niczym niania układająca dziecko do snu. Robert zaś poczuł, jak wzbiera w nim wściekłość.

- Proszę nie wierzyć temu człękowi, panowie - rzekł. -

Jestem doradcą barona, natomiast tożsamość tego osobnika jest nader podejrzana, tak jak jego pochodzenie, wobec czego nie rozumiem, dlaczego w ogóle zwracacie się doń jak do szlachetnie urodzonego.

Francuzi popatrzyli po sobie skonfundowani. W koń-

266

cu Vindroit poprosił mistrza kuszników i Clermonta na stronę i zaczął im cicho klarować:

- Ktoś tu łże, to nie ulega wątpliwości. Mógłbym przysiąc, że kłamie ów Huxley, ale pewności nie mamy i nie będziemy mieli, póki go nie postawimy przed księciem.

Trzeba by ich zawieźć do Burgundii, żeby sprawę nale-

życie wyjaśnić. Być może wielce przysłużylibyśmy się księciu Janowi, gdyby się okazało, że ci Anglicy rzeczywiście są posłami.

- Wybaczcie, panie Vindroit, ale tak nie może być! -

zaprotestował Clermont. - Wszak wypada nam ruszać na wojnę. Król Henryk idzie przez nasze ziemie. Nie godzi się jechać do Burgundii, gdy nasze armie zbierają się tu, na północy.

Mistrz kuszników milczał zasępiony.

- To ważne racje, panie Clermont - rzekł pojednawczo Vindroit - ale myślę, że jeśli pojedziemy na północ złączyć się z naszymi i wreszcie ruszymy na wojnę, to uda nam się też rozwiązać nasz dylemat. Bo prawda to, że nie ma tam księcia Jana, ale przecież siła będzie innych moż-

nych panów, wielu z księciem bardzo związanych, jak też wielu jego wiernych poddanych. Wedle wszelkich znaków ściągną tam też bracia księcia i niektórzy szambelanowie. Będzie komu pokazać angielskich rycerzy i owego podejrzanego Huxleya. Zjawią się też uczeni mężowie zdolni potwierdzić autentyczność pieczęci.

- Zatem, hmm... ruszamy na wojnę, moi drodzy panowie - zdecydował Rambures.

W ciągu kilku dni nieobecności sir Ralfa nastroje w armii się pogorszyły. Wjeżdżających do obozu przywitały spod kapturów ponure spojrzenia i zapadłe policzki.

Między namiotami i chatami dwóch wsi, gdzie rozbito obóz, snuł się gęsty dym z rozpalonych na mokrych drwach ognisk. Mimo to widać było, że dowódcy starają się zapanować nad sennym wojskiem. Panowie w peł-

nych zbrojach doglądali prac obozowych i strażników.

Kolejne grupy zbrojnych wyjeżdżały na zwiad. Sir Ralf pomyślał z początku, że chodzi w tym jedynie o znalezienie żołnierzom zajęcia, żeby nie gnuśnieli i nie dezerterowali. Potem jednak doszedł do wniosku, że musi się za tym kryć coś więcej - być może król mimo wszystko szykował przeprawę przez Somnę.

Sir Tomasz powiedział panu Moorow, żeby udał się niezwłocznie do pana Erpinghama, który stanął na kwa-terze w jednej z wiejskich chat. Dodał też, że służy namiotem i sługą do pomocy, gdyby sir Ralf nie miał gdzie się podziać. Rycerz przyjął z wdzięcznością gościnę, gdyż cały dobytek, jaki wyniósł z tej dyplomatycznej wyprawy, wiózł obecnie na grzbiecie swego jedyne- go wierzchowca.

Pożegnawszy się z Chaucerem, ciągnąc na powrozie przerażonego doktora Joachima, pojechał w stronę wska-zanego domostwa. Przed wejściem rzucił koniec sznura jednemu ze sług, którzy kręcili się przed chatą, i nakazał

mu, żeby pilnował więźnia i nie zwracał uwagi na to, co on powie.

Sir Erpingham przyjął go w niewielkiej izbie, w któ-

rej widocznie miał nocować, jako że w rogu naszykowa- no materac i koce. Doradca królewski siedział na starej 268

drewnianej skrzyni, należącej, sądząc po lichym wyko- naniu, do właściciela chaty, a sir Ralfowi wskazał własne składane krzesło podróżne. Erpingham wyglądał, jakby od ostatniego spotkania jeszcze się postarzał, był zmę-

czony i senny.

- Jakie przywozicie wieści, panie Ralfie? - zapytał. -

Sądząc po tym, że jesteście sami, złe.

- Rozbił nas oddział pana Rambures.

Sir Erpingham nieznacznie pokręcił głową.

- Tylko wy ocaleliście? - spytał przygaszonym głosem.

- Nawet nie wiem. Nie czekałem końca, bo i nie było sensu. Jeśli kto przeżył, to z pewnością został wzięty w niewolę. Sir Gotfryd padł, tego jestem pewien. Poza tym widziałem, jak zginął sir Wilfryd. Modłę się, by przeżył

mój syn i bratanek, ale doprawdy nie wiem... - Rycerz spojrział smętnie w bok.

- Dobrze, że wy się uratowaliście - rzekł królewski doradca - przynajmniej wiemy, że nie ma co czekać na wsparcie z Burgundii.

- Nie jestem pewien, czy dobrze zrobiłem - westchnął

przybity sir Ralf.

- Nie mnie to oceniać - rzekł Erpingham - sami musicie uczynić rachunek sumienia. Macie gdzie spać tej no-cy? Zdaje się, że na wozach zostały wasze namioty i trochę obozowego ekwipunku.

- A prawda, zostały - przyznał sir Ralf, który dopiero teraz przypomniał sobie o pozostawionym sprzęcie. Uświadomił też sobie, że ma do załatwienia jeszcze jedną sprawę.

- Przywiodłem ze sobą jednego ocalałego - powiedział - który notabene czmychnął, zanim zaczęła się

walka, a spotkałem go później w drodze. Mówię o doktorze Joachimie z Oxfordu, specjalście od pieczęci, który przyznał się przede mną do fałszerstwa. Erpingham ożywił się.

- Co też mówicie, panie Ralfie?! - zawołał zdumiony. - Jakże to, kronikarz królewski zdrajcą?!

Pan Moorow skinął głową i dodał:

- Podrobił pieczęć królewską, z którą na pierwszym noc legu dołączył do nas niejaki Huxley... może coś o nim słyszeliście?

Sir Erpingham szerzej otworzył oczy.

- Nie znam żadnego Huxleya - powiedział. - Ale mów ci więcej o doktorze Joachimie! Nie chce mi się wierzyć, by zdradził. Macie ten list z podrobioną pieczęcią?

Sir Ralf westchnął. Od potyczki na drodze kierowało nim zmęczenie i smutek. Był tak zadowolony, że wydobył

z uczonego przyznanie się do winy, iż dopiero teraz zdał

sobie sprawę, że nie ma żadnego dowodu jego zdrady.

- Nie mam owego listu - przyznał. - Nie mam dowodu. Mogę jedynie dać parol, że człowiek ten wyznał mi winę. Proszę was, panie Erpingham, nie każcie mi żało wać, że nie utłukłem tego zdrajcy od razu na gościńcu...

W oczach sir Ralfa płonąła wściekłość, a zarazem proś-

ba. Erpingham popatrzył żywo na rycerza. Było w tym spojrzeniu zrozumienie, ale i niepokój.

- Trzeba było o tym pomyśleć wcześniej, panie Ralfie -

stwierdził. - Może rzeczywiście macie czego żałować, bo już widzę, że aby uczynić zadość sprawiedliwości, trzeba będzie puścić wolno doktora Joachima, a być może nie obędzie się też bez waszych przeprosin.

270

- Tyle więc warte jest rycerskie słowo? - zapytał sir Ralf, czując, że zaraz wybuchnie.

- Przeciwno królewskiemu kanceliście? Właśnie tyle.

Pan Moorow wyszedł z dusznej izby. Naprzeciw wej-

ścia stał sługa Erpinghama, posłusznie trzymając na powrozie doktora Joachima. Sir Ralf sięgnął do sakiewki i nie znalazłszy drobnych, wysupłał ułamanego półgroa-ta. Rzucił go słudze i przejął odeń postronek.

Straszny kłopot z taką grubą monetą. . pomyślał kwaś-

no. Cisnął powróż na ziemię i spojrzał doktorowi w oczy.

- To się tak nie skończy, uczony panie Joachimie -

rzekł zimno, choć aż się w nim gotowało.

Doktor uśmiechnął się zjadliwie.

- *Ignorantia iuris nocet*, panie Ralfie - pouczył ryce rza. - Cieszę się jednak, że ktoś was oświecił. Gdybyście mnie szukali, jestem w królewskiej kancelarii...

Przemierzali kraj równinny, dość ludny, z rzadka poprze-cinany lasami. Minęli poszczerbione przez wojnę mury Ham, które przed paru laty odmówiło wstępu wojskom Armaniaków. Anglicy jechali w jednej grupie razem z Huxleyem. Nie byli związani, lecz pan Rambures z jakiegoś powodu nie zażądał parolu ani od rannego sir Artura, ani - co dziwne - od sir Roberta. Młody rycerz z tej przyczyny wciąż rozglądał się dokoła, rozmyśla-jąc o ucieczce. Jednak choć bardzo się starał, nie dostrzegł żadnej możliwości, zwłaszcza że zamierzał zabrać ze sobą ukochaną, którą widział jadącą z przodu u boku ojca.

271

Maria zacisnęła usta i zrezygnowana spuściła głowę.

Odrzuciła właśnie kolejny pomysł, jak wybawić ukochanego z opresji. Mimo to po chwili znów zaprzęła swój lotny umysł do pracy.

- Nad czym tak myślicie, panno Mario? - zagaił Clermont, zrównując swojego wierzchowca z jej koniem.

- Nad następującym sylogizmem: Jeżeli każdy, kto nie-proszony szuka towarzystwa damy, jest natrętem, a pan Clermont właśnie tego szuka, mimo że go o to nie prosiłam... właśnie, może pomożecie mi, panie, wyciągnąć poprawny wniosek? - Maria wbiła w Clermonta wyzywające spojrzenie.

Rycerz skrzywił pokiereszowaną twarz, ale zaraz odzyskał spokój.

- Cóż, pani, może nie zasłużyłem w waszych oczach na szacunek, ale okazywanie mi nieuszanowania to jed nak dla mnie *novum*. Szkoda, bo być może wkrótce bę dzie nas łączyć więcej niż tylko osoba waszego ojca -

rzucił do zawstydzonej Marii i odjechał, najwyraźniej wyciągnąwszy poprawny wniosek z zadanego sylogizmu.

Z tyłu kolumny jechali pod czujnym okiem serjeantów sir Robert i Huxley, a za nimi bladzi i cierpiący baron Pitchfork oraz Guillaume. Sir Artur zerknął na pojęku-jącego kompana.

- Tęgo cię poszczerbili, Guillaume - rzekł współczu jąco. - Jak widzę, ręka na temblaku, a i żebra pewnie popękały... - ocenił po tym, jak towarzysz wiercił się w siodle.

Giermek pana Moorow zwrócił ku niemu wykrzywioną bólem twarz.

272

- Prawda to - westchnął. - Ten rycerz, którego zwą Vindroit, złożył mi rękę i opatrzył. Widać, że doświadczony wojownik i tęga głowa. Wywiedziałem się, że tam, na gościńcu, zostawił dobrego kompana, niejakiego Gascarde'a. Ale któż was tak pociął, panie? Musiała to być siła ludzi...

- Ten tam w pojedynkę tak mnie potraktował - baron niechętnie wskazał jadącego przed nimi Huxleya - ale po prawdzie sam sobie jestem winien.

- Nie wierzę, jaśnie panie! Jakże, on jeden? - zdumiał

się Guillaume. - Jakim sposobem?

- No cóż... dałem się ponieść nerwom, a potem to już gładko poszło...

Tu pan Pitchfork zaczął opowiadać o walce z najdrob-niejszymi szczegółami. Mówił z takim zapalem i rado-

ścią, że można by pomyśleć, iż nie opowiada o przegra-nym pojedynku, lecz o weselu.

Nieco z przodu przed rannymi również doszło do rozmowy. Do pogrążonego w myślach Roberta podjechał

Huxley.

- Cóż to, panie Robercie, chyba nie myślicie o ucieczce? - zapytał, świdrując wzrokiem młodego rycerza.

Zdziwiony sir Robert spojrzął na kowala.

- Nie chciałbym być niegrzeczny, Huxley - odrzekł zimno - ale nie mam ochoty na rozmowę ze zdrajcą.

Huxley uśmiechnął się spokojnie.

- Chodzi wam o to, panie, że zostawiłem was wtedy na drodze - spytał - czy że poszczerbiłem waszego kuzyna?

- O to pierwsze przede wszystkim, choć drugie również nie dodaje ci honoru.

273

- Cóż, a gdybym stwierdził, że miałem do wykonania bardzo ważną misję, której nie chciałem narażać na szwank jedynie dlatego, że kilku łuczników okazało się buntownikami?

Sir Robert spojrzął na rozmówcę z pogardą.

- Wówczas może dałbym wiarę twoim wyjaśnieniom -

powiedział - gdyby nie to, że jak mniemam, rozmawiasz ze mną tylko dlatego, że wietrzysz w tym jakiś interes.

Może więc oszczędź mi wyjaśnień i przejdź do *meritum*.

Huxley znów się uśmiechnął, podobnie jak wówczas, gdy młody rycerz upuścił przy nim pugnał.

- Dobrze więc - rzekł. - Otóż byłoby dobrze dla waszej misji, gdybyście nie rozmawiali o niej z prowadzący mi nas rycerzami. To nie są wierni ludzie Jana bez Trwogi i wiozą was tylko po to, żeby zdyskredytować księcia w oczach jego wrogów. Jestem po waszej stronie i chcę wam pomóc. Gdy już będziemy w obozie francuskim, spróbuję nas z tego wyciągnąć. Mam tylko nadzieję, że zrobię to, zanim Rambures skompromituje księcia, ujawniając wasz list stronnikom Armaniaków.

Sir Robert popatrzył uważnie na kowala.

- To szlachetne z twojej strony, Huxley - powiedział -

szkoda jednak, że nie pomyślałeś o tym, gdy mój kuzyn się wykrwawiał, a kompania Balia okładała mnie tasakami. Gdybyś nam wtedy pomógł, byłbym bardziej skłonny uwierzyć w twoje dobre intencje.

- Przemyślcie to na chłodno, panie Robercie. Może jednak jestem po waszej stronie i ofiarowuję wam pomoc? No, ale skoro uważacie, że sami się wypłacacie z tarapatów i do tego odzyskacie ukochaną, to nie będę się narzucał.

274

W oczach sir Roberta zaiskrzyło.

- Zejdź mi z oczu, Huxley - wycedził, a jego twarz wykrzywiła się złowrogo.

Kowal odruchowo ściągnął wodze, nieco zaskoczony tą reakcją, ale zaraz odzyskał rezon i zrównał się z Robertem.

- Ho, ho... widzę, że moje lekcje fechtunku dodały wam pewności siebie - powiedział. - Lepiej jednak spójrzcie na waszego kuzyna, nim podniesiecie na mnie rękę.

Tego było za wiele dla rozeźlonego Roberta. Lewą ręką ucapił Huxleya za kołnierz, a prawą zdzielił go w twarz.

Kowal dał się zaskoczyć, ale nie pozwolił się uderzyć po raz drugi. Złapał rycerza za przegub lewej ręki i pocią-

gnął ku sobie. Robert przekrzywił się w siodle, a jego spłoszony wierzchowiec przyspieszył. Huxley przygniótł

głowę młodego rycerza do końskiego zadu i wymierzył

mu dwa precyzyjne ciosy tuż nad prawym okiem. Robert jęknął i poczuł na twarzy ciepłą krew. Walka była tak krótka, że zbrojni z eskorty nie zdążyli zareagować, nim się skończyła. W końcu skrępowali zarówno Hiudeya, jak i Roberta.

Gniewne okrzyki strażników dotarły aż na czoło kolumny. Pan Rambures zarządził postój i udał się z najbliższą świtą na tyły, by ustalić, co to za zamieszanie. Sir Robert zdążył zejść z konia i właśnie ocierał skrępowany-mi rękoma krew z czoła, gdy zobaczyła go Maria, która ruszyła za ojcem. Nie wytrzymała i wbrew rozsądkowi zsunęła się z siodła i podbiegłszy do ukochanego, przyło-

żyła do rany ściągniętą z głowy chustę.

Gdy sir Robert poczuł ją przy sobie i ujrzał jej wielkie, 275

przejęte oczy, zawirowało mu w głowie. Wzruszony jej troską chciał ją objąć i całować, co byłby zapewne zrobił, gdyby na ramieniu nie zacisnęła mu się dłoń w pancерnej rękawicy. Obejrzał się i zobaczył pana Clermonta. Rycerz stanął tak, że osłonił kochanków przed wzrokiem swych

towarzyszy, w szczególności zaś wypytyującego Huxleya pana Rambures, który dzięki temu nie dostrzegł wybuchu czułości między córką i Anglikiem.

Sir Robert patrzył zdziwiony na nie znanego mu rycerza. Clermont obrócił wzrok na pannę Marię, która zda-

żyła nieco powściągnąć uczucia i odstąpiła od Roberta, wcisnąwszy mu w dłonie zakrwawioną chustkę.

Il faut que les jeunes gens,

*sous l'influence d'un temps doux et beau, soient disposés à être gais et amoureux**

powiedział łagodnie Clermont, po czym poklepał sir Roberta po ramieniu i odszedł.

Maria stała przez chwilę zmieszana, w końcu spojrza-

ła na ukochanego. Oceniała, że mają trochę czasu, zanim pan Vindroit i jej ojciec przyjdą wypytać rycerza o niedawne zajście.

- Bardzo boli, najdroższy? - zapytała.

- Nie tak bardzo jak brak twojego towarzystwa, pani -

powiedział bez namysłu, co dotąd niemal mu się nie zdarzało.

** Niechajże młodzi, Ciepłą i piękne pogodą skuszeni, Weselą się i*

sposobią do miłości (przeł. Jerzy Moderski)

276

Dziewczyna spojrzała na niego wzruszona.

- Ja też bardzo tęsknię - zapewniła.

Popatrzyli na siebie.

- Myślę.. - powiedzieli równocześnie i mimowolnie skwitowali tę zgodność uśmiechem.

- Mów, pani! - zachęcił Marię Robert.

- Chętnie z tobą ucieknę, jeśli tylko będziesz ze mną i obiecasz dbać o mnie i bawić jak dotąd mądrym słowem.

Rycerz rozpromienił się i starł sączącą się do oka krew.

- Spróbujmy więc, najdroższa. Jestem gotów uciec z tobą na kraj świata - powiedział żarliwie, a po

chwili na myślu dodał z uśmiechem: - Choć w stanie, w jaki mnie wprawiasz, pani, może mi być trudno o mądre słowa...

Sir Robert w kilku słowach zrelacjonował panu Rambures przebieg bójki i wyjaśnił, że poszło o sprawę osobistą, honorową. Reszta popasu przebiegła spokojnie, mimo że młody rycerz i Maria zerkali na siebie łakomym wzrokiem, bo ich głodu nie można było zaspokoić solonym mięsem i chlebem.

Postój dobiegał końca, gdy strażnicy obwieścili, że zbliżają się jacyś konni. Okazało się, że są to zwiadowcy armii konetabla. Młody rycerz dowodzący podjazdem, Robert de Bar hrabia Marle, okazał się znajomym pana Rambures. Powitanie dwóch możliwych zdraźców jednak obopólną niechęć. Nie było w tym nic dziwnego. Młody hrabia jeszcze przed paru laty był na służbie u Jana bez Trwogi, lecz przebieg wojny domowej skłonił go do zmiany stronnictwa.

277

Po chłodnym powitaniu de Bar zagadnął mistrza kuszników, dlaczego tak późno dołączył do armii. Pan Vindroit wyręczył swego seniora i opowiedział młodemu rycerzowi o zaginięciu córki pana Rambures oraz jej długich poszukiwaniach, nie wspomniał jednak ani słowem o angielskich jeńcach.

Młody hrabia, wysłuchawszy opowieści ze spokojem godnym człowieka leciwego, podzielił się swoimi wie-

ściami dotyczącymi wojny. Okazało się, że opracowany przez marszałka i konetabla plan zatrzymania Anglików na rzece działa. Główne siły francuskie dotarły w okolice Amiens, co znaczyło, że trzy armie wkrótce się połączą, tworząc siłę wielokrotnie liczniejszą od angielskiej. Z drugiej strony król Henryk był już daleko w górze rzeki, z czego wynikało, że główna armia nie zdołała mu zastąpić drogi. De Bar zauważył też, że pan Rambures i jego ludzie mieli sporo szczęścia, gdyż most, którym się przeprawili, miał zostać wkrótce spalony, by nie skorzystali z niego Anglicy. Zerknął przy tym parokrotnie na jeńców, ale o nic nie spytał. Nim odjechał, doradził jeszcze, by pan Rambures udał się ze swoim poczem do Bapaume, dokąd ścia-

gnęła już masa rycerstwa i gdzie spodziewano się połączyć wszystkie armie. Tak też uczyniono.

Kolejny ranek swoim parszywym zwyczajem przypomniał

sir Ralfowi o jego wieku łupaniem w kościach i bulgotaniem w żołądku. Pan Moorow spędził wieczór w towarzystwie sir Tomasza, z którym świetnie się rozumieli. Zrozumienie to pogłębili kilkoma flaszkami wina z pewnej

winnicy spod Boves, którymi zapobiegliwie zaopiekował

się Chaucer. Rozmowa zaczęła się od luźnych uwag o bie-

żącej wojnie, po czym nabrała charakteru wspominkowego, na koniec zaś osunęła się w melancholijne gaworzenie przetykane poezją, jako że obaj panowie mieli w tym kierunku zacięcie.

Sir Ralf czuł, że wczorajsze wino przyjęte na skromny podkład, głównie chleb, wkrótce wywoła rewoltę w jego kiszkach, i wyszedł z przestronnego namiotu za potrzebą. Wszędzie wokół szykowano się do wymarszu. Wśród rozlicznych pakunków sir Ralf dostrzegł długie niemal na półtora chłopą grube tyki. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że wieczorem sir Tomasz wspominał coś o królewskim ordonansie wydanym łucznikom. Każdy z nich miał przygotować właśnie taki pał.

- No, no... może jednak będzie bitwa - pomyślał pan Moorow, czując dreszczyk podniecenia.

XII

rakt wiodący z Peronne do południowej bramy Ba-T paume zablokowały masy ludzi zmierzające do miasta.

Najwięcej było zbrojnych. Niektórzy przyjechali aż z południa Francji, by pod świętym Oriflamme'em przeciwstawić się najeźdźcy, inni chcieli się tylko wzbogacić, najczęściej jednak dzieliło oba te pragnienia. W tłumie znajdowali się również ludzie innych profesji, poczynając od prostych chłopów, przez rzemieślników z okolicznych wsi i miasteczek szukających schronienia za murami miejskimi, aż po wszelkiej maści rzezimieszków, kuglarzy, żebraków, muzykantów, handlarzy amuletów i różnych podejrzanych specyfików, którzy ścigali wszę-

dzie, gdzie kroił się zarobek.

Niezbyt wielkie Bapaume śmierdziało obecnie na milę, nie tylko nawozem z okolicznych pól, jak zazwyczaj, ale i szemranymi interesami owych przybyszów. Była wojna, rósł więc popyt na magię, pobożność i czczą rozrywkę pomagającą się oderwać od ponurej codzienności.

Pan Rambures zatrzymał wierzchowca za pomalowanym pstro wozem szczelnie okrytym grubym płótnem.

Wokół pojazdu zaprzęzonego w dwie mizerne kobyły 281

krzątała się garstka krzykliwie odzianych ludzi. Jeden z nich chodził na rękach, dwaj z ręcznie przerzucali się skózanymi piłeczkami, kilku innych pobierało pienią-

dze od zgromadzonej na poboczu gawiedzi.

Clermont spojrział zdziwiony na rozbawioną i w większości pijaną ciżbę, a następnie zwrócił spojrzenie na pa-na Rambures.

- Można by pomyśleć, że to już karnawał się zaczął -

zauważył. - Doprawdy dziwna to wojna.

Rambures niemrawo pokiwał głową.

- Tak jak mówiłem, panie Clermont, hmm... - rzekł -

nikt się nie troszczy o losy wojny, bo też zdaje się, że są one zdecydowane.

Vindroit skrzywił się na te słowa lub po prostu na widok, który mieli przed oczami. Gładząc wąsa, stwierdził:

- Taka w tym tłumie pstrokaczna, że ledwie żołnierza od kuglarza odróżnisz, a nawet od możnego pana, bo też ludzie ostatnio ubierają się, nie zważając na stan. Spójrzcie chociażby na tego: nogawice pięciobarwne, w uchu kolczyk, brakuje jeszcze, żeby się elegancko podgolił, a nie poznałbyś, że kmieć. Dopiero po rynsztunku widać, kto zaczął: o tam, spójrzcie na tę brygantynę rdzą przeżartą, a tamten kapalin chyba za nocnik służył, nim trafił na głowę. Tak, teraz, gdy armia rusza, to w dwóch trzecich tłuszcza jakaś bezładna, ciury obozowe i markety, a z tego jeden na dziesięciu jaki pożytek daje.

Clermont spojrzawszy rozbawiony na pana Vindroit, któ-

ry z niesmakiem kręcił głową.

- Mnie się wydaje, że to nie czasy stają się gorsze -

rzekł młody rycerz - tylko wasze oko bardziej wybredne, 282

panie Vindroit. Wątpię, by drzewiej było lepiej. Zresztą nie ma co się tak zżymać, lepiej cieszyć się tym, co jest.

Ot, spójrzcie na tego kuglarza, jaki zręczny.

Rambures i Vindroit łypnęli podejrzliwie na pogodnego rycerza.

- A wam, hmm, co tak wesoło na duszy, panie Clermont? - zapytał pierwszy. - Słowo daję, można by pomyśleć, że nie październik, jeno początek maja mamy, a wy nie na wojnę, tylko.. hmm.. do oblubienicy się wybieracie.

Speszony Clermont odwrócił się, udając, że wypatruje czegoś z tyłu kolumny.

- Co też mówicie? - rzekł po chwili. - Ot, nie widzę powodu do narzekań, skoro tylko drobny zator na drodze spostrzegę.

- Drobny zator? - zachnął się Vindroit. - Ledwie zamek stąd widzę, a niedługo zmierzchnie. Może trzeba bę-

dzie namioty pod murami rozbić.

Rambures spochnął.

- Mowy nie ma! - huknął basem. - Dygnitarz królewski nie będzie spać pod murem jak jakiś biedak. Vindroit!

Sprawdźcie, hmm. . czy można przejechać polem i czy ktoś znaczny nie stoi na trakcie. Jeśli nie, to ruszymy za wami. Przedtem jednak, hmm... powiedzcie mojej córce, żeby się szykowała do drogi, bo jutro z samego rana odsyłam ją do matki. Już i tak zbyt długo narażona była, hmm... na niewygody i niebezpieczeństwa.

Nazwisko pana Rambures i jego godności otworzyły im drogę. Niedługo orszak, odprowadzony niechętnymi po-283

mrukami drepczącego w miejscu pospólstwa, podjechał

do bramy.

Mury miejskie nie były imponujące, a nade wszystko rzucało się w oczy, że są stare. Górzący nad nimi zamek również nie wyglądał na fortecę nie do zdobycia. Nadto, wbrew temu, czego można by się spodziewać, na murach nie krzatali się zbrojni, przygotowując obronę, nikt nie przypuszczał bowiem, że Anglicy mogą się pokusić o atak na miasto obsadzone przez wielką armię.

Wjechali na wąską, zatłoczoną uliczkę Du Val, która wkrótce doprowadziła ich do niewielkiego, równie zatłoczonego rynku. Gdyby nie zatrzęsienie zbrojnych, moż-

na by pomyśleć, że to dzień targowy. Dokoła rozstawiono kramy z sukrem, rybami, sprzętami domowymi, skóra-mi, ozdobami, a nawet przyprawami. Między stłoczony-mi ludźmi kłębił się inwentarz, nad którym chłopci i kupcy panowali z najwyższym trudem. Kwik świń, ujadanie psów i smutne porykiwania krów mieszały się z hałasem czynionym przez ludzi i niespokojnym prychaniem koni.

Panowie Montmerty i Vindroit zajęli się szukaniem noclegu, reszta orszaku zaś stanęła pod rzędem drewnianych domów po północnej stronie rynku. Maria siedziała na koniu z zaciśniętymi ustami i napiętą twarzą. Była wściekła. Po tym, jak Vindroit powiadomił ją, że nazajutrz ma pojechać do zamku pana Yaartbruta, gdzie obecnie go-

ściły jej matka i siostra, miała ochotę urządzić ojcu scenę, której długo by nie zapomniał. Potem jednak uznała, że będzie lepiej, jeśli go przekona, nie uciekając się do krzyków. Układała w myślach argumenty, mimo to wciąż się zastanawiała, jak by tu uciec.

284

Panująca wokół wrzawa nie ułatwiała jej zadania. Jakieś dzieci biegały między prosiętami, które z kolei usiło-wały czmychnąć pilnującemu ich świniopasowi. Zaledwie parę kroków od konia Marii jakaś gęsiarka wyklócała się z dwoma kusznikami, machając im przed nosem długim, zakrzywionym na końcu kijem do prowadzenia ptaków. Gęś, o którą najwyraźniej poszło, również wy-rażała swoją opinię, sycząc na trzymającego ją żołnierza.

Nagle w rozwrzeszczanej cizbie Maria dostrzegła znaną twarz. Twarz mężczyzny o ciemnej skórze i mimo tu-multu rozmarzonym spojrzeniu. Odziany był on w sze-

ściobarwną houppelande, która pośród krzykliwych ubio-rów i tak rzucała się w oczy. Przez plecy

przerzuconą miał lutnię, a obok niego stało dwóch muzyków, których Maria pamiętała z występów na zamku Rambures.

Przez głowę przemknął jej zawiły pomysł. Przeanalizowała go ostrożnie, ale znów doszła do poprzedniego wniosku. Szturchnęła zbrojnego ze swej eskorty i nakazała mu sprowadzić grajka. Mężczyzna zeskoczył z konia i wbił się w tłum, robiąc użytek z przewagi, którą dawała mu zbroja. Maria rozejrzała się ostrożnie, ale nikt nie zwracał na nią zbytniej uwagi - oprócz sir Roberta, który ukradkiem spoglądał w jej stronę z błogością malują-

cą się na opuchniętej twarzy. Uśmiechnęła się do niego miło, lecz zdawkowo, dając do zrozumienia, że nie czas na maślane oczy i czułe westchnienia.

Po chwili stanął przed nią sprowadzony przez zbrojnego muzyk. Maria zeskoczyła z konia i odezwała się do grajka:

- Witajcie, panie Giacomo.

285

Włoch w pierwszej chwili nieco się speszył, nie poznał

jej bowiem. Jego rozmarzone spojrzenie stało się czujniejsze.

- Nie pamiętacie mnie? - zdziwiła się Maria. - Zamek Rambures - przypomniała mu.

- Ach tak! - zawołał muzyk. - Proszę o wybaczenie!

Jak mogłem nie poznać tych oczu czystszych i głębszych niż alpejskie jeziora!

Twarz Giacomo pojaśniała i wypłynął na nią szeroki uśmiech. Maria złapała go spiesznie za nadgarstki, żeby powstrzymać potok słów, który ewidentnie zamierzał wylać, posiłkując się rękoma.

- Tak, to ja - powiedziała. - Cieszę się, że mnie pamiętacie. Wyglądacie na kogoś, komu nie jest obojętny los damy nieszczęśliwej w miłości - dodała, przechodząc do rzeczy, i dyskretnie upewniła się, że nadal nikt z orszaku nie poświęca jej zbyt wiele uwagi.

Włoch, słysząc jej słowa, początkowo uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale zaraz potem coś go zaniepokoiło.

- Tak, cóż... - bąknął. - Oczywiście ma pani co do mnie słuszość, ale jak by to rzec... O cóż chodzi?

- Chodzi o to, panie Giacomo, że jestem w opresji i potrzebuję waszej pomocy! - Maria natarczywie spojrzała w oczy Włocha.

- Jak to w opresji? Z tego, co widzę, jesteście pani pod opieką ojca.

- Prawda to, lecz przeżywam wielką miłosną przygodę, a ojciec mój, na którego proszę nie zerkajcie,

wiedzie mnie ze sobą wbrew mej woli.

Grajek spojrział na nią podejrzliwie.

286

- Ach, rozumiem! Chcecie, pani, znów uciec! - Mężczyzna rozpromienił się, zrozumiawszy, o co chodzi.

- Ciszej, panie Giacomo... - syknęła Maria. - Pociągniecie z armią? Wy i wasi towarzysze minstrele?

- Oczywiście, naszym powołaniem jest przecież opiewać rycerskie czyny, pić wino i...

- Wyśmienicie, panie Giacomo, wystarczy - ucięła Maria. - Chciałabym dołączyć do waszej trupy.

- Jak to? A jeśli ktoś was rozpozna?! Być może z racji profesji służę Miłości i pomagam zakochanym ile sił i talentu starcza, ale przecież nie postradałem do reszty zmysłów, by narażać się na gniew takiego rycerza jak pan Rambures. Poza tym cóż dobrego by z tego wynikło, że z moją trupą ruszyłabyś pani na wojnę?

- O to, co dobrego by z tego wynikło dla mnie, troszczyć się nie musicie. Pomyślcie o sobie, bo służba Miło-

ści, choć słodka, jest mało popłatna. Ja zaś dam dziesięć sous za każdy dzień bytności w waszej trupie.

Włoch popatrzył nieufnie na zbrojnych pana Rambures, a potem w wielkie oczy jego córki.

- Och - westchnął - nie mógłbym się zwać sługą Mi-

łości, gdybym wam, pani, odmówił. Zgoda więc, lecz jak pozbędziemy się towarzystwa tych wszystkich rycerzy, którzy was strzegą?

- To już moje zmartwienie, panie Giacomo. Bądźcie tylko po zmierzchu na rynku.

- Wasze życzenie, pani, jest dla mnie rozkazem...

Włoch zwinął się w eleganckim ukłonie i zdjęwszy z pleców lutnię, wrócił do towarzyszy, trącając struny w nadziei, że jego muzyka pokona dookólny zgiełk.

287

Sir Robert pilnie przyglądał się temu zajściu, ale nie usłyszał ani słowa. Nagle tuż obok niego zagrzmiał bas sir Artura:

- Ha! Doprawdy udana ta twoja wybranka, Robercie.

- Dziękuję, kuzynie, za miłe słowo - odrzekł młody rycerz. - Czyżbyś miał się już lepiej? Jesteś jakby mniej blady.

- Mam się wyśmienicie. Trzeba by pomyśleć o ucieczce, drogi kuzynie, bo nie wiem, czy zwróciłeś uwagę, ale nie zażądano od nas słowa, że tego nie zrobimy.

Robert spojrział zdziwiony na Artura. Kuzyn rzeczywiście wyglądał dużo lepiej i gdyby nie bandaż i nieco niechlujny wygląd, można by pomyśleć, że dopiero co ruszył na wyprawę wojenną i nie może się doczekać pierwszego starcia.

- O ucieczce? - rzekł Robert. - Myślałem już o tym trochę, ale nic mądrego nie przyszło mi do głowy. Jeste-

śmy za murami francuskiego miasta, ty nosisz opatrunki, na których jeszcze krew dobrze nie zaschła, a prowadzi nas możny pan, który przydał nam silną eskortę.

- To są detale - skwitował zastrzeżenia kuzyna Artur. - Po prostu trzeba poczekać na stosowny moment i przejąć inicjatywę. Tak jak w szachach - wyjaśnił nieco protekcyjnie i rozejrzał się wokół, jakby chciał się upewnić, czy aby przypadkiem obecny moment nie jest stosowny.

- To ciekawe, co mówisz - powiedział Robert. - Jednak gdyby miało to trwać tyle, ile zajmuje nam partia szachów, wojna by się skończyła, nim przejęlibyśmy inicjatywę.

288

Sądząc po zmarszczonym czole, sir Artur dopatrzył się w słowach kuzyna jakiegoś podtekstu. Robert nie dał mu jednak czasu na przemyślenie sprawy.

- Poza tym zdaje się, że pan Rambures jest związany z księciem Janem - dodał. - Być może więc, towarzysząc mu, mamy szansę na podjęcie negocjacji.

- No tak - przyznał Artur. - Zapomniałem o tym. Ale z drugiej strony nie wiem, czy możemy komukolwiek zaufać. - Barona wyraźnie zmartwiła ta wiadomość.

- Ja też nie wiem. Jeśli nadarzy się okazja do ucieczki, powinniśmy z niej skorzystać, bo tutaj sytuacja jest niepewna. Jeśli nie, dobrze przynajmniej, że jesteśmy w rękach Ramburesa, który na razie nie wydaje się nam wrogi.

- Zatem właściwie się zgadzamy - radośnie skostatował baron.

- Jakżeby inaczej? - rzekł z uśmiechem sir Robert.

Panowie Montmerty i Vindroit dokonali niemożliwego -

znaleźli kwaterę w obrębie murów Bapaume, i to niedaleko rynku u zbiegu ulic Arras i Neuve, w

domu za-możnego sukiennika. Dwupiętrowy drewniany dom nie pomieściłby wszystkich ludzi pana Rambures, większość zbrojnych została więc odesłana na podmiejskie błonia.

W domu sukiennika, oprócz więźniów, których zamknięto w piwnicy, zostali pan Rambures z córką i najbliższymi rycerzami oraz czterej zbrojni do obsługi koni i opieki nad ryszunkiem. Z najbliższej świty mistrza kuszników jedynie pan Yindroit dołączył do nocujących 289

w polu. Było tam mnóstwo rycerstwa i chciał się wywie-dzieć, czy w okolicy jest ktoś bliski księciu Burgundii, a jeśli tak - czy wie on coś o angielskich posłach.

Kolację zjedzono w przestronnej jadalni w towarzystwie gospodarza. Jeńców również potraktowano godnie, nie odmawiając im miejsca przy stole. Przed posiłkiem odzyskującemu siły sir Arturowi zdjęto na jego życzenie opatrunek z twarzy, odsłaniając długą zablizniającą się ranę na policzku, zszytą grubą nicią przez starego Mateusza. Ogolony i odświeżony baron zdawał się nie zwracać na nią najmniejszej uwagi, tak jak i na inne rany, któ-

re wciąż mu doskwierały. Posiliwszy się i łyknąwszy kilka pucharków wina, rozprawiał teraz ochoczo o wojnie i turniejach.

Pan Rambures patrzył na młodego Anglika z właściwą sobie powagą, ale i z szacunkiem. Odpowiadał rzeczowo i od czasu do czasu wypytywał młodego rycerza o szczegóły jego przygód. Wspierał go w konwersacji Clermont, któremu opuchnięty złamany nos i siny policzek przypominały, z kim ma do czynienia. Młodszy Francuz myśla-mi był jednak daleko w czasie i przestrzeni - w ogrodzie różanym u boku damy, za którą, ku swemu zdziwieniu, ów zdobywca serc coraz bardziej tęsknił. Siedzący po je-go prawicy pan Montmerty dzielił błogostan seniora, któ-

ry chwilowo nie zarzucał go wydawanymi często z nudy i złośliwości poleceniami.

Korzystając z tego, że sir Artur stał się ośrodkiem zainteresowania, sir Robert i panna Rambures mogli wresz-290

cie popatrzeć na siebie czulej, a ich nogi splotły się pod stołem jak bluszcz. Na poważniejszą rozmowę nie mogli sobie pozwolić, udało im się jednak wymienić kilka zdań, nie zwracając na siebie uwagi.

Guillaume siedział w milczeniu, unikając gwałtowniej-szych ruchów, przy których boleśnie przypominały o sobie złamane żebra. Huxley wodził wzrokiem po jadalni i czujnie przysłuchiwał się rozmowom, sam jednak milczał i nie ściągał na siebie uwagi.

Minęło sporo czasu, nim udano się na spoczynek.

O ile podczas wieczerzy można było pomyśleć, że wszyscy siedzący przy stole są dobrymi znajomymi, o tyle teraz skończyła się kurtuazja wobec jeńców i zamknięto ich na noc w piwnicy pod strażą dwóch zbrojnych.

Pan Rambures stanął nad łóżkiem, które dla niego po-słano, i przeciągnął się, ziewając. Nagle usłyszał za sobą lekkie chrząknięcie. Zdziwiony i lekko speszony spojrział

na stojącą w progu córkę.

- Cóż to, Mario? - zapytał. - Czyżby, hmm.. posłanie ci nie odpowiadało?

- Nie, ojcze. Chodzi o to, że zamierzasz odesłać mnie jutro do matki.

Maria spuściła oczy, bawiąc się pozłacanym okuciem paska. Był to prawie niezawodny trik, o czym przekonała się już w wieku sześciu lat. Tym razem nie chodziło jednak o wstążki ani lalki. Sprawa była poważniejsza.

Pan Rambures zmarszczył brwi.

- O, nie! - zawołał. - Nie ma mowy! Nie zniosę kolejnego nieposłuszeństwa!

- Ależ tato... - łagodnie powiedziała Maria. - Pomyśl 291

sam. Wolisz mnie odesłać z niewielką eskortą przez kraj trawiony wojną, niż zatrzymać przy sobie?

Pan Rambures już chciał odpowiedzieć, ale nagle coś go tknęło. Zapadła cisza, w której Maria mogła usłyszeć bicie swego serca. Już wiedziała, co zastanowiło ojca, i zdążyła nawet pożałować, że zaczęła tę rozmowę.

- Dlaczego tak bardzo chcesz zostać, hmm...? - zapytał pan Rambures, wbijając twarde spojrzenie w córkę.

Maria odwróciła się na pięcie i pośpiesznie ruszyła do drzwi.

- Stój! - nakazał stanowczo Rambures, a jego twarz stężała ze złości.

Maria przyspieszyła kroku, modląc się, by znużony ojciec postanowił dokończyć rozmowę rano.

- Dobrze więc - rzucił za nią. - Skoro taka twoja wola, to idź! Pomówimy o tym rano, nie myśl, że cię to ominie.

Maria westchnęła cicho, wchodząc do swojej izby.

Na szczęście rano już mnie tu nie będzie, pomyślała z ulgą i zaczęła przetrząsać pomieszczenie w poszukiwaniu przydatnych sprzętów.

W piwnicznej izbie domu sukiennika rozmowa również nie przebiegała zbyt gładko. Pośród półek, na których trzymano żywność i bele sukna, siedziało w ciemności czterech mężczyzn. Obolały i zmęczony podróżą Guillaume zasnął natychmiast i kołysał pozostałych do snu regularnym chrapaniem. Natomiast Huxley, Robert i Artur nie spali i usiłowali przebić wzrokiem ciemność, by wypatrzeć siebie nawzajem.

- Spicie, panowie? - szepnął kowal.

- Jak dla ciebie, to tak - rzucił w ciemność sir Robert.

- Dobrze, że nie rozmawialiście z Francuzami o waszej misji - rzekł nie zrażony Huxley.

- Nie tobie nas osądzać, a nam z tobą rozmawiać, zdrajco! - zadudnił basem sir Artur.

- A jednak rozmawiacie - zauważył nie bez racji kowal.

- Wiedziałem, żeś spostrzegawczy, Huxley, ale kolejne tego dowody nie przestają mnie zadziwiać - syknął

z boku sir Robert.

- Cóż, przepraszam jaśnie panów, że się narzucam, ale właśnie chciałem coś zaproponować - rzekł Huxley.

- Niech zgadnę: ucieczkę? - spytał znudzonym głosem sir Robert.

- Zgadliście.

- Nie - odrzekł krótko młody rycerz.

- Jak to nie? - zdziwił się kowal. - Dacie się poprowadzić Ramburesowi jak owce na rzeź?

Sir Robert uśmiechnął się zadowolony, że udało mu się zirytować beznamiętnego kowala.

- Wolę być jeńcem pana Rambures, niż dzielić z tobą wolność - zahuczał Artur.

- Trafnieś rzekł, kuzynie - powiedział Robert. - Do-branoc.

Huxley zamilkł i młody rycerz wrócił do swoich my-

śli. Spróbował jeszcze raz wszystko przemyśleć. Starał się dociec, co kieruje Huxleyem i czy może być jednak po ich stronie. Po raz kolejny doszedł do wniosku, że nie, lecz mącił mu myśli obraz Marii, czule ścierającej krew 293

z jego twarzy. Wyciągnął z rękawa dubletu jej chustę i pod-

łożył ją pod głowę. Krew nie zabiła zapachu, który już zdążył zapamiętać. Zasypiał pogodny, a ponure myśli opuszczały go z każdym kolejnym oddechem...

Wyludniony rynek pogrążony był w mroku, jeśli nie liczyć kilku ruchliwych plam światła rzuconych przez pochodnie strażników. Giacomo, trzymając zgrabiałe dłonie w rękawach houppelande, przyłgął mocniej do ściany, by nie dostrzegł go przechodzący obok zbrojny. Stojący w pobliżu towarzysze krzywili się i spoglądali nań z wyrzutem.

- Giacomo! Opamiętaj się - wyszeptał stojący najbliżej mężczyzna, stukając nerwowo opuszkami palców w zatknięty za pas flet.

- Pozwól, że zadam ci niedyskretne pytanie, Federico -

rzekł Giacomo. - Ile dziś zarobiliśmy?

- Jeszcze nie przeliczyłem - odezwał się stojący za Federikiem niski mężczyzna. - Ale będzie ze trzydzieści denarów.

- Ano właśnie. A ile zapłaci nam panna Rambures?

- Mówiłeś, że dziesięć sous za dzień - rozmarzył się niski.

- Ona nie przyjdzie! - syknął znów Federico.

Nagle prowadzoną po włosku rozmowę przerwał dobiegający z bliska kobiecy głos:

-

Cieszę się, że was.. słyszę, panie Giacomo.

Muzycy odwrócili się jak na komendę i zobaczyli majaczącą w ciemności postać.

294

- Panna Maria - odezwał się Giacomo. - Jakże się cieszę, że jednak do nas dołączyliście. Chodźmy tędy, poprowadzę was do naszej kwatery i przedstawię kompanii.

Śpiewny akcent Genuńczyka i szczerą radość dźwię-

cząca w jego słowach uspokoiły Marię - w przeciwień-

stwie do Federica, który ze złością mamrotał coś pod nosem.

Maria i muzycy ruszyli ciemnymi ulicami ku wschodniej bramie.

Trupa Giacoma mieszkała stłoczona w jednej izbie niewielkiego domu sąsiadującego z bramą miejską. Weszli po cichu przez nie zaryglowane drzwi i znaleźli się w niewielkim warsztacie stolarskim. Stąpali ostrożnie wśród porzrzuconych narzędzi, macając pozostawione w nie-

ładzie skrzynie, stoły, taborety i inne sprzęty, często nie dokończone. Izbę wypełniał zapach świeżo obrabianego drewna i żywicy, pod butami trzeszczały wióry.

Mimo hałasu, którego narobili, gospodarz się nie zbudził i po chwili stanęli w niewielkiej izbie. Muzycy zamknęli drzwi i zapalili świecę. W niewielkim pokoju były aż trzy duże skrzynie, na których rozłożono posłania.

Ustawiono je w podkowę wokół stołu, na którym teraz płonąła świeca. Poczesne miejsce zajmował na nim kubek z grubej skóry, a obok niego leżały rozrzucone ko-

ści. Obrazu dopełniały cynowe kielichy i zgromadzone w rogu izby gliniane butelki. W powietrzu unosiła się woń przebywających długo we własnym towarzystwie, nie stroniących od alkoholu mężczyzn.

295

- Tak... eee... oto jest nasza skromna... nader skromna izba. Tu jemy, śpimy, tworzymy muzykę... - zaczął

Giacomo, ale panna Rambures, rozglądając się podejrzliwie, weszła mu w słowo:

- Nie jestem pewna, czy chcę wiedzieć o wszystkim, co tu robicie. - Dostrzegła skrawek niegdyś białego płót-na wystający spomiędzy jednej ze skrzyń i ściany. Po chwili zorientowała się, że to gacie. - Po namyśle powiem więcej - dodała. - Jestem pewna, że nie chcę tego wiedzieć.

- Cóż, proszę wybaczyć, ale nie mieliśmy czasu po-sprzątać... - tłumaczył się Giacomo - od jakiegoś czasu.

Pozwólcie, pani, że przedstawię wam swoich towarzyszy.

Ten dryblas o obrażonej minie to mój flecista, Federico Felici. A ten korpulentny wesolek z tamburynem zwie się Giovanni Fresco.

Pucułowaty Giovanni uklonił się dwornie. Po chwili poszedł w jego ślady drugi mężczyzna, choć kwaśna mina nie zniknęła z jego ogorzałej twarzy.

Trzej Genuńczycy ubrani byli w podobne sześciobarwne houppelandey, lata świetności mające już zdecydowanie za sobą. Ponadto nosili ciężmy z długimi, zadarty-mi czubami przywiązanymi do kostek. Ich głowy zdobiły chaperony.

- Tak, nie mamy wam, pani, wiele do zaoferowania -

ciągnął Giacomo. - W szczególności żadnego innego ło-

ża ponad jedną z tych skrzyń nakrytych lichymi kocami.

- Panie Giacomo, gdyby zależało mi na miękkim ło-

żu, gościłabym teraz w zamku pana Yaartbruta. Wolę 296

jednak nocować tutaj. Lecz widzę, że są tylko trzy skrzynie...

- Ależ to nie problem... - rzekł Giacomo, uśmiechając się tajemniczo.

Marii nagle serce podeszło do gardła. Czyżbym tak bardzo omyliła się co do tych ludzi? - pomyślała.

- Zagramy w kości o to, kto będzie spał na podłodze -

łagodnie dokończył Genuńczyk.

Zaraz potem włożył kości do kubka i rzucił. Następnie rzucili Giovanni i Federico. Zanim poszli spać, postanowili skoro świt opuścić miasto i czekać na rozwój wydarzeń za murami Bapaume. Wiedzieli, że pan Rambures łatwo nie zrezygnuje z poszukiwań córki. Po niezbyt długiej, lecz owocnej w *fantastyczne pomysły* dyskusji wy-myślili też, jakie przebranie sprawić panie Rambures na drogę...

Strażnicy przy wschodniej bramie mieli najwyraźniej poczucie, że skoro wszędzie jest mnóstwo wojska, mogą lżej traktować swoje obowiązki. Podniesienie brony zaję-

ło im dwakroć więcej czasu niż zazwyczaj. Zrezygnowali też z wypytywania podróżnych, dokąd jada, co wiozą i co z nich za jedni. Strażnik, któremu nie chciało się nawet otworzyć ust, machnął na muzyków ręką i potężnie ziewnął. Giacomo strzelił batem i dwie chabety, w które zaprzężony był ich wóz, ruszyły. Gdy tylko minęli bramę, zaczęły się wesołe rozmowy.

- No i proszę, już po strachu, panno Ram... chciałem 297

powiedzieć Moresko - rzekł Giacomo, uśmiechając się do Marii.

Dziewczyna nie podzielała wesołości Genuńczyka. Siedziała nachmurzona w długiej czarnej sukni z czarnym czepcem i tegoż koloru woalem skrywającym twarz. Pomysł z egzotyczną mużulmańską tancerką wydał jej się od początku głupi. Gdy jednak okazało się, że strażnicy nie raczyli na nich nawet spojrzeć, nie mogła uwierzyć, że się zgodziła na tę żalną maskaradę.

Osiemnastego października w spokojnym na co dzień do-mu sukiennika u zbiegu ulic Arras i Neuve panowało niespotykane tu dotąd poruszenie. Pan Rambures, rycząc wściekle, biegał po izbach i demolował sprzęty. Jego wy-krzywiona twarz bardziej przypominała oblicze mitycznego potwora niż ludzkie. Za zaryglowanymi drzwiami swojej sypialni sukiennik drżącymi rękoma tulił do piersi łkającą żonę. Bytność w jego domu mistrza kuszników, którą miał dotąd za honor, zdała mu się teraz przekleń-

stwem. Pan Rambures czynił taki raban, że słyszeli go nawet jeńcy zamknięci w piwnicy. Dopiero pan Clermont, człowiek nieprzeciętnej odwagi, przebudziwszy się, stawiał

czoło mistrzowi kuszników.

- Co tu się dzieje?! - zawołał. - Panie Rambures, opamiętajcie się, na miłość boską, i mówcie, co się stało! -

Głos Clermonta brzmiał stanowczo, jednak rycerz, znając różnicę między odwagą a głupią brawurą, nie oddalił

się zbytnio od drzwi swej sypialni.

298

Rambures, słysząc jego napomnienia, przestał na chwilę ciskać wściekłymi spojrzeniami i dobytkiem sukiennika. Dyszał ciężko, a jego twarz znów przypominała ludzką.

- Maria... hmm... uciekła... - wydyszał wreszcie.

Tego dnia armia króla Henryka maszerowała krótko i rozbiła obóz w okolicy Nesle, zaledwie kilka mil od poprzedniego. Zbrojni ożywili się, gdyż zaczęto szeptać, że król zamierza się nazajutrz przeprowadzić przez Somnę. W koń-

cu między namioty ruszyli rycerze ze świty królewskiej, obwieszczając, że następnego ranka o brzasku wszyscy mają być gotowi do przeprowy.

Sir Ralf wciąż korzystał z gościny pana Chaucera, bo choć na wozach znalazł swój namiot i wiele cięższych sprzętów obozowych, nie miał żadnego sługi, który by mu pomógł wykorzystać te znaleziska. Zresztą sir Tomasz sam chętnie zapraszał, twierdząc, że zawsze to lepiej spędzić ostatnie być może godziny życia w dobrym towarzystwie.

Rankiem awangarda pod dowództwem panów Um-fravillea i Cornwalla pojechała zabezpieczyć przeprowę.

Wokół wsi Voyennes, na wysokości której chciano przekroczyć Somnę, rozciągały się podmokłe łąki i poletka.

Gdy panowie Ralf i Tomasz dotarli do rzeki po uciążliwym marszu przez zapadające się kępy traw, część przedniej straży była już na drugim brzegu, o jakieś strzelenie z łuku przed nimi. Spojrzeli na nurt. Miejscami widać było lekkie falowanie zdradzające płycizny. Zresztą to nie sięgająca w najgłębszych miejscach do pasa spokoj-299

na woda stanowiła największe zagrożenie. Obawiano się przede wszystkim reakcji Francuzów. Sir Ralf dostrzegł

niedaleko dwie wąskie groble, obie pośrodku zniszczone, niechybnie przez francuski podjazd.

Nagle z drugiego brzegu doszły ich odgłosy walki. Sir Ralf zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć. Dostrzegł tam ruch i postacie walczących. Odmówił w myślach modlitwę. Tuż obok usłyszał wydawane rozkazy, a zaraz potem obok niego stała linia ludzi Chaucera, którzy napinali łuki. Widział to już wiele razy, mimo to był pod wrażeniem sprawności łuczników.

Pierwsze strzały zaświszczały nad rzeką. Do ludzi sir Tomasza dołączali kolejni. Sir Ralf rozejrzał się. Jedynie część łuczników wspomagała walkę awangardy na drugim brzegu. Wielu wraz z czeladzią znosiło faszynę oraz deski z okolicznych chat i zostawiało je pod groblami.

Tam już czekała kolejna grupa, dowodzona przez króla, która poszerzała i naprawiała przejścia.

Rycerz szybko zrozumiał, że na drugim brzegu awangarda walczy z jakimś nielicznym podjazdem, że na razie nie ma większego zagrożenia.

Mimo obawy, że mogą zaraz nadciągnąć francuskie po-siłki, rozpoczęto przeprawę. Przemarsz na jednej z gro-bli nadzorował sam król. Jego obecność powstrzymywa-

ła panikę, która łatwo mogła wybuchnąć wśród stłoczonych i zdenerwowanych żołnierzy.

Niedługo przed zmierzchem przeprawa została ukoń-

czona, obyło się bez kolejnych interwencji wroga. Król Henryk nie pozwolił jednak od razu rozbić obozu, by nie opierać tyłów armii o rzekę. Choć ludzie byli bardzo zmę-

300

czeni i zapadał zmrok, nakazał dalszy marsz. Dopiero gdy dotarli do zabudowań wsi Athies i z mroku wyłoniła się biała wieża miejscowego kościoła, wreszcie nakazano postój. Zmordowani ludzie nie posiadali się z radości.

Francuskie plany zostały pokrzyżowane, a armia królewska zaoszczędziła wiele mil zmudnej wędrówki do źródeł

Sommy, które leżały aż za Saint Quentin.

Rozpalono ogniska i pokrzepiono się nieco, co prawda bardziej pieśnią i pogodą ducha niż strawą, której było niewiele. Panowie Ralf i Tomasz otworzyli ostatnie butle wina i porozmawiali o mało ważnych sprawach, by zapomnieć choć trochę o trudach wyprawy. Dookoła ich namiotu noc rozjaśniały ogniska, nad którymi niosły się słowa ballady, mało bojowej, ale nie pozbawionej czarnej-go humoru i całkiem stosownej, zważywszy na niedawną przeprawę...

False Sir John a wooing came To a Maid of beauty fair, May Cohen

was this Ladys name, Her

Fathers only Heir.

Loup offthe Steed says false Sir John, Your bridal bedyou see; For I have drowned Seven Young Ladies, The Eight oneyou shall be.

O turnyou about, O false Sir John, And look to the leafofthe Tree;

For it never became a Gentle Man, a naked Woman to see.

301

*He turned himself straight round about, To look to the leafofthe Tree; So swift as May Cohen was, To throwhim in theSea**

** Falszywy sir John w zaloty przyszedł*

*Do panny wielce ślicznej; May Cohen imię tej damy, Jedynej ojca
dziedziczki.*

*Zejdź z konia, fałszywiec ów rzekł, To twoje jest ślubne łoże, Jam tu utopił
młódek siedem, A ósmą będziesz ty, niebożę.*

Falszywy sir Johnie, odwróć się, Patrz na ten liść tam wysoko,

Gdyż nie przystoi, bygalant Na

nagiej damie kładł oko.

*Obrócił się więc fałszywy sir John, By zrobić, jak panna mówiła, I w tejże chwili May Cohen Do
morza go*

wrzuciła.

XIII

brojnym mistrza kuszników dzień upłynął na Z poszukiwaniach. Rozpytywali wszędzie: przy bramach, w kościołach, na targu, po domach mieszczan i na zamku. Nikt jednak nie wiedział nic o pannie Rambures. Strażnicy przy wschodniej bramie stwierdzili po stosownym namyśle, że nikogo podobnego w życiu nie widzieli.

Około południa, gdy pan Vindroit wrócił z niepo-myślnymi wieściami, do trosk pana Rambures doszła jeszcze jedna, okazało się bowiem, że główne siły wciąż są daleko, dopiero opuszczają Amiens. Zgromadzone wokół Bapaume wojska były jedynie załogami okolicznych zamków i miast, które czekały na główną armię.

Nie było zatem dziwne, że pan Vindroit nie spotkał nikogo bliskiego księciu, kto mógłby być wtajemniczony w poczynania dyplomatyczne Anglików. Można więc było jedynie czekać i szukać panny Rambures.

Jeńców wyprowadzano z piwnicy na posiłki, ale atmosfera przy stole nie była tak serdeczna jak podczas pierwszej wieczerzy. Pan Rambures siedział zamknięty w sobie i łypał wokół ponurym wzrokiem. Sir Artur nie 303

rozprawiał o swoich licznych przewagach. Guillaume ję-
czał wprawdzie coraz mniej, lecz minę wciąż miał smętną.

Sir Robert nie wiedział, co ze sobą począć. Jadł mało i niechętnie. Paliła go tęsknota. Domyślał się, że jego ukochana uciekła, gdyż groziło jej odprawienie do domu.

Początkowo przypuszczał, że Maria spróbuje później do niego dołączyć, by pomóc w ucieczce, ale potem zaczął

i w to wątpić. Jakże miałyby cię uwolnić, nieszczęsny głupcze, myślał. Będzie już dość, jeśli choć dla niej dobrze się to wszystko skończy, jeszcze by miała o tobie my-

śleć. Trzeba samemu zatroszczyć się o własny los, a nie czekać pomocy niewieściej...

Pogrążony w tęsknych rozmyślaniach Clermont od czasu do czasu spoglądał na sir Roberta jak na bratnią duszę. Pośród ogólnego marazmu Huxley zyskiwał na ani-muszu. Jadł z apetytem i nawet wymienił parę zdań z ser-jeantem strzegącym piwnicy. Ku większemu utrapieniu Roberta w ich rozmowie pojawił się wątek flandryjskie-go rycerza Jakuba Vaartbruta, któremu, jak powiedział zbrojny, przyrzeczono pannę Rambures.

Minęły tak dwa dni podobne do siebie jak krople wody, strawione na wyczekiwaniu nie wiadomo na co.

W końcu dwudziestego buchnęła wieść, która poderwała wszystkich: Henryk przeprowił się przez

Somme.

Król dał wojsku nieco wypocząć. Kolejnego dnia, który zastał Anglików w okolicach wsi Athies, do obozu przyjechali francuscy heroldzi. Oddali Henrykowi listy na-wołujące, by stanął do bitwy, i zapytali, jakie ma zamiary.

304

Odpowiedź Henryka była lakoniczna: stwierdził, że po-maszeruje prosto na Calais i pokona każdego, kto ośmieli się stawić mu opór.

Heroldowie, opuszczając angielski obóz, wciąż byli pod wrażeniem hardych słów młodego władcy, Henryk natomiast przywdział tabard i oznajmił, że go nie zdejmie, póki nie dotrze do Calais, co było jasnym znakiem, że je-

śli wróg naprawdę będzie szukał bitwy, to ją znajdzie. Jednak ku zdziwieniu wielu mimo owych listownych wezwań do bitwy zgromadzeni w Peronne Francuzi wycofali się, pozostawiając wolną drogę Anglikom. Wielu doświadczonych rycerzy zachodziło w głowę, co ma znaczyć to dziwne zachowanie przeciwnika.

Odpowiedź nadeszła kilka dni później, gdy Anglicy na podmokłych terenach Fricourt i Mametz natrafili na śla-dy ogromnej armii. Widok ziemi zrytej kopytami tysię-

cy francuskich koni napełnił ich obawą. Wróg był nad-spodziewanie liczny, dużo liczniejszy od skromnych sił

ekspedycyjnych Henryka. Stało się jasne, że wojska, któ-

re wycofały się z Pcronne, stanowią jedynie awangardę wielkiej armii, która stacjonuje w okolicy, zapewne w Bapaume.

Sir Ralf spojrział ponuro na pola wyglądające, jakby w tym roku ktoś je zorał dwukrotnie, po czym zwrócił

się do sir Tomasza, który też miał żalobną minę.

- I cóż o tym myślicie? - spytał, choć w jego głosie nie było prawdziwej ciekawości.

- A o czym tu myśleć? Chyba tylko o Bogu i próbach, na które nas wystawia - odpowiedział sir Tomasz, a jego głos nie zdradzał prawdziwej pobożności.

305

Sir Ralf popatrzył nań nagle rozbawiony i rzekł: *Alas, why is it people so dispraise Gods providence or Fortune and her ways, That can so often give in many a guise Far better things ihan ever they devise?**

Czyi nie tak mówił wasz ojciec, panie Tomaszu? - zapytał na koniec.

Chaucer spojrzał nań z lekkim zdziwieniem, nagle jednak w jego oczach pojawiły się iskry.

- Panie Ralfie! - rzekł ostro. - Traktuję was jak druha, proszę jednak, byście mnie już nie męczyli i wybrali sobie jakąś inną skarbnicę mądrości.

Zaskoczony sir Ralf skinął głową, tracąc na krótko od-zyskaną wesołość. Pojechali dalej w smętnych nastrojach.

Maria, odkąd w towarzystwie genueńskich muzyków opu-
ściła Bapaume, koczowała z nimi w obozie pod miastem.

Mieszkali w sporym rycerskim namiocie, który tak jak szaty Włochów, najlepsze czasy miał już za sobą. Nie był

to niestety problem li tylko natury estetycznej, ponieważ regularnie padał deszcz. Włosi jednak znaleźli dla niej najsuchsze miejsce, o kolejne zaś co do suchości zagrali w kości, skutkiem czego Federico spiał teraz niepokieszony w najbardziej zatęchłym kącie.

** Czemuz, niestety, zlorzeczymy tak Na ścieżki Fortuny i Boga znak, Które mogą nam dać pod przebraniem zgoła Daleko więcej, niżli człek wymyślić zdoła?*

306

Maria również nie była zbyt radosna. Po pierwsze nie miała pojęcia, jak się skontaktować z sir Robertem, nie mówiąc już o tym, jak mu pomóc. Ponadto Włosi obstawali przy tym, by pokazywała się tylko w szczelnie zasłaniających ciało szatach muzułmańskiej księżniczki. Nie mogąc odmówić racji stojących za tak kompletnym przebraniem panna Rambures w końcu ustąpiła. Irytowało ją jednak niezdrowe podniecenie, które w tym stroju wywo-

ływała wśród Genueńczyków. Zwłaszcza bujna wyobraź-

nia Giacoma stawała się męcząca. Muzyk dorobił bowiem do przebrania całą historię księżniczki Moreski, która uciekła na włoskiej galerze do chrześcijan, nie mogąc znieść straszliwej woli ojca - kalifa. W opowieści Giacoma pojawiały się fantastyczne stworzenia, poczynsz od afrykańskich smoków, przez węże morskie, po Mantyko-rę i Gryfy. Muzyk tak się zapalał do swoich pomysłów, że któregoś razu zaproponował, by panna Rambures wystą-

piła wraz z trupą. Maria dała się przekonać tylko po to, żeby Giacomo przestał ją wreszcie zamęczać. Nie przystała jednak na tańce przed publicznością, uznawszy, że to niegodne damy. Przyjęła jednak jeden z tamburynów Giovanniego.

W obozie ze względu na słotę całymi dniami podtrzymywano ogniska. Największy ruch panował przy nich, gdy trzeba było przygotować posiłek. Zebrani w podkowę zbrojni jednym okiem spoglądali na występujących muzyków, drugim zaś na kociołki i ruszty. Z braku rozkazów i

jakiegokolwiek rozrywki nawet przygłuchych ku-siła spokojna melodia i towarzysząca jej opowieść. Ten i ów co bardziej bywały w świecie poznał nawet, że podob-307

na muzyką cieszą się Maurowie. Zbrojni słuchali w skupieniu, wpatrując się z otwartymi ustami w ukrytą pod powłóczytą szatą niewiastę, której owa historia żywo dotyczyła. Z rzadka ktoś odchodził na chwilę, by odwró-

cić przypalające się mięsiwo skwierczące na ruszcie.

Maria potrząsała tamburynem, kipiąc ze złości. Wciąż nie mogła uwierzyć, że się na to zgodziła. Gdy wyjeżdżali z miasta, mimo jej przebrania nikt nie zwrócił na nią uwagi, teraz natomiast stało się ono główną atrakcją gawiedzi, a oglądający występ zbrojni wlepiali w nią spojrzenia.

Nagle przez ciżbę przebił się, sądząc po stroju, ktoś znaczny. Maria spojrzała na niego i mimo woalu na twarzy uczuła niepokój. Starannie przystrzyżona bródka dziwnie się gryzła ze spłaszczonym od uderzenia złama-nym nosem i napuchniętym okiem. Clermonta chronił

przed deszczem prosty wełniany płaszcz, lecz jego pochodzenie zdradzała choćby złota brosza z bursztynem, którą spiął jego poły. Maria pomyślała, że rycerz od razu ją rozpozna, patrzył bowiem prosto na nią, po chwili jednak zrozumiała, że to najwyraźniej tylko zafascynowanie egzotyczną księżniczką.

Niesamowite, ale to idiotyczne przebranie się sprawdza, pomyślała dziewczyna. Tylko co tutaj robi Clermont?

Z pewnością mnie szuka. Dlaczego jednak traci czas, stercząc w jednym miejscu? Chyba że, chyba że..

Panna Rambures kolejną myślą zadziwiła sama siebie.

Zaczęła sobie przypominać dziwne zachowania Clermonta w podróży i nagle przez jej umysł przemknął koncept jasny jak błyskawica, a wokół niego powstał plan.

308

Giacomo zakończył opowieść i po raz ostatni trącił

struny lutni. Historia kończyła się smutno. Oto nieszczę-

śliwa księżniczka Moreska, nie mogąc pojednać się z ukochanym, przemierzała świat w kompanii ludzi niegodnych jej towarzystwa. Niejeden twardy żołnierz, słysząc o tym, otarł ukradkiem łzę i rzucił parę miedziaków do naszyko-wanej przez Włochów miski, większość jednak bez żalu wróciła do pieczystego i bulgoczącej zupy cebulowej.

Pan Clermont, choć zjawił się pod koniec występu, podszedł do miski. Gdy nachylił się i wrzucił do niej jednego blanca, Maria dostrzegła, że szklą mu się oczy. To ostatecznie skłoniło ją do podjęcia ryzyka.

- Czyżbyście i wy, panie, byli ofiarą nieszczęśliwego afektu? - odezwała się zmienionym głosem, łagodnie ujmując go za ramię.

Clermont podniósł na nią zdziwione oczy.

- Wyśmienicie posługuje się naszą mową, pani -

stwierdził. - Choć to też smutne, bo wszak musieliście ją poznać na swej nieszczęsnej tułaczce.

Maria zatrzepotała rzęsami.

- Gdziekolwiek bym ją poznała, nie godzi się pozostawiać pytania damy bez odpowiedzi - napomniała Clermonta.

- Nie godzi się, zaiste - przyznał rycerz i westchnął. -

Dobrze się, pani, domyśliliście. Ja również jestem ofiarą owego najzdradliwszego z uczuć.

Nagle ich rozmowę przerwał zaniepokojony Giacomo, który już parokrotnie musiał tłumaczyć pijanym widzom, że księżniczka nie jest na sprzedaż.

- Nie, nie, Giacomo, to ja zagadnęłam tego rycerza -

309

uspokoila go Maria. - Nie jest on jednym z tych, którzy chcieliby mnie kupić za pięć sztuk srebra.

- Rozumiem - rzekł Genuńczyk, patrząc na nią wymownie. - W takim razie zostawiam was, ufny w przezorność i roztropność jej wysokości.

Genuńczyk obrócił się na pięcie i zwawo ruszył nakłaniać ostatnich widzów do zasilenia brzęczącej miski.

Maria spojrzała uważnie na Clermonta i choć powiedziała sobie, że będzie przezorna, zdobyła się wreszcie na szczerłość.

Jeszcze tego dnia, w którym buchnęła wieść o przeprawie Henryka, Bapaume zaczęło pękać w szwach. Do wieczora drogi prowadzące do miasta całkowicie zablokowała nadchodząca armia. Tym razem były to główne siły. Z po-

łudnia długimi kolumnami nadciągały tysiące ludzi i koni.

Ulice zalało morze hełmów, włóczni i kopii. Na okolicznych polach ku utrapieniu chłopów wyrósł las namiotów.

Na długo przed tym, nim całe wojsko znalazło kwatery, pan Rambures został wezwany na naradę. Dowódcy armii z konetablem na czele nie chcieli zwlekać ani chwili. Początkowy plan

zatrzymania Anglików na Sommie zawiódł i teraz należało szybko zdecydować co dalej. Anglicy przystali na walną bitwę, pozostało tylko wybrać dogodne miejsce i czas. Wielu wodzów chciało jej jak najszybciej, nie mogąc znieść oczekiwania. Bardziej doświadczeni, w tym główny dowódca armii kró-

lewskiej, d'Albret, woleli jednak poczekać na resztę sił, które wciąż napływały, powiększając zastępy Francuzów.

310

Wobec częstych narad i zamętu związanego z przy-byciem tysięcy ludzi do Bapaume pan Rambures musiał

poważnie ograniczyć poszukiwania córki. Zajmowało się tym obecnie zaledwie kilku zbrojnych pod komendą pana Montmerty'ego i zakrawało na cud, by w tak zatłoczonym mieście znaleźli oni kogoś, kto nie chce zostać znaleziony. Nocą do domu sukiennika zjechało wprawdzie czterech synów pana Rambures, którzy włączyli się do poszukiwań, zastąpiwszy w komendzie pana Montmertyego, nie przyniosło to jednak rezultatów.

Niebawem zresztą dowódcy na wieść o wyruszeniu Anglików spod wsi Athies nakazali wymarsz z Bapaume.

Roberta, Artura, Guillaume'a i Huxleya wyprowadzono przed dom sukiennika dopiero około południa, chociaż pierwsi żołnierze wyszli z miasta już o świcie. Mimo że niebo nad Bapaume żegnało armię deszczem, słabe światło dzienne natychmiast oślepiło wyciągniętych z piw-nicznych ciemności jeńców.

- Ile razy czeka nas jeszcze to przykre doświadczenie? - dał upust swemu rozżaleniu sir Robert.

- Nie wiem jak was, panowie, ale mnie już z pewno-

ścią niewiele - zaskoczył ich odpowiedzią Huxley.

Zaraz potem na ulicy powstało jakieś zamieszanie. Sir Robert rozejrzał się, osłaniając oczy od słońca. Od pół-

nocnej bramy szło w stronę rynku kilkunastu mężczyzn.

Prowadzili stado świń i Robert pomyślał, że to handlarze, którzy chcą w ostatniej chwili sprzedać zwierzęta.

Czterej zbrojni pilnujący jeńców zastąpili drogę nad-311

chodzącym, którzy ze swymi świniami na pewno zatara-sowaliby wąską uliczkę Arras.

- Stać! Tędy nie przejdziecie! - ozwał się stanowczo jeden ze strażników.

Sir Robert zauważył z lekkim zdziwieniem, że handlarze mają podobne, brunatne płaszcze. Młody rycerz zapewne znalazłby sobie ciekawszy widok, gdyby nie to, że pędzący zwierzęta mężczyźni, zamiast usłuchać rozkazu, przyspieszyli. Świnie wpadły między zdezorientowanych strażników i zanim zbrojni pana Rambures pojęli, co się dzieje, było za późno na cokolwiek. Brunatne płaszcze zawirowały w pędzie między strażnikami, roztrącając ich i obalając. Po chwili zbrojnych wciśnięto w zalegające uliczkę błoto.

Ktoś przyskoczył do Huxleya i pociągnął go za sobą.

Kowal odwrócił się do sir Roberta.

- Bierzcie też pozostałych! - rzucił do ludzi w brunatnych płaszczach.

Nagle jeden z przyciskanych do ziemi strażników podniósł głowę i krzyknął donośnie:

- Pomocy! Sam tu!

Tylko tyle zdążył powiedzieć, nim silne, wprawne ramię na powrót wsadziło mu twarz w kałużę. To jednak wystarczyło. Z domu sukiennika i ze stajni wysypali się inni zbrojni pana Rambures, którzy właśnie czynili przygotowania do wymarszu. Mężczyzna w brunatnym płaszczu chwycił Roberta za rękę i szarpnął. Rycerz postąpił

krok, lecz zaraz się wyrwał. Ludzie mistrza kuszników wybiegli na uliczkę z bronią w rękach, niektórzy nawet w pancerzach. Napastnicy, którzy najwyraźniej nie mieli

zamiaru wdawać się w bijatykę z lepiej uzbrojonymi przeciwnikami, rozpierzchli się, pozostawiając na placu boju trzech zdziwionych jeńców, czterech wściekłych strażników i pięć zdezorientowanych świń. Zbrojni pana Rambures ruszyli w krótki, bezowocny pościg, strażnicy wstali z błota, klnąc na czym świat stoi, a świnie, pochrząkując zadowolone, legły w zwolnionych przez ludzi kałużach.

Wąskie, zatłoczone uliczki Bapaume dawały aż nadto swobody wprawnym w znikaniu ludziom. Kilkunastu męż-

czyn w brunatnych płaszczach bez słowa i zbędnych ha-

łasów powiodło Huxleya aż pod zachodnią bramę. Tam jeden z nich podszedł do narożnego domu i wręcz melo-dyjnie zapukał do drzwi. Niebawem stanął w nich młody człowiek w zbroi. Po krótkiej przyciszonej rozmowie Huxleya wprowadzono do przedsionka. Jego opiekunowie zrzucili w sieni brunatne płaszcze, pod którymi nosili zwykłe, zróżnicowane mieszczańskie szaty, a następnie wyszli i ruszyli każdy w swoją stronę.

Młody rycerz wyjrzał za próg, uważnie lustrując uliczkę, zamknął drzwi i założył skobel.

- Witam - rzekł wesoło Huxley, gdy zbrojny w końcu zwrócił się ku niemu.

- Witajcie, witajcie. Pan Clignet już na was czeka -

odrzekł młodzian i poprowadził Huxleya krótkim kory-tarzykiem do sali, w której przy sporym kominku grzał

ręce inny rycerz w zbroi, wyraźnie gotów do podróży.

Słyszając wchodzących, odwrócił się od ognia i spojrział na Huxleya. Kowal rozpromienił się w uśmiechu znamio-313

nującym dawną znajomość, lecz pociągła twarz Cligneta z Brabantu pozostała chłodna i niewzruszona.

- Powiedzcie mi, proszę, że było warto, panie Janie. . -

rzekł rycerz z nutą pretensji.

Kowal szybko pozbył się kordialnego uśmiechu i spojrział poważniej na rozmówcę.

- Myślę, że tak - powiedział. - Możemy tu swobodnie rozmawiać? - spytał rzeczowo, patrząc na stojącego w ro-gu młodego człowieka.

- Tak, to mój wierny giermek - odpowiedział Clignet. -

Powiedz mi zatem, jak wypadła twoja misja. Podtrzyma-

łeś zaufanie, jakim cię drzewiej darzył Burgundczyk? Mo-

że wyjawisz mi również, jak u diabła wpadłeś w ręce Da-wida Ramburesa? I kim są ci trzej rycerze, których więził

z tobą? - Rycerz zaczął chodzić po izbie. Mówił urywa-nymi zdaniami i w ogóle zdradzał podenerwowanie.

- Burgundczyk już mi nie ufa - powiedział irytująco spokojnie Huxley. - Wie, że służę księciu Karolowi. Nadwerężyłem też zaufanie Anglików, a jeśli tych trzech rycerzy umknie, to całkiem je stracą.

- Opowiedz po kolei, jak do tego doszło - po chwili namysłu nakazał mu Clignet z Brabantu.

- Wszystko zaczęło się jeszcze pod Harfleur - zaczął flegmatycznie kowal, zakładając ręce na piersi. - Kiedy byłem tam z armią Henryka, przyszedł do mnie sekretny posłaniec księcia Burgundii i przekazał zadanie do wykonania.

Miałem doprowadzić do rozmów między Anglikami a Burgundią i eskortować posłów do pewnej karczmy na wschodzie Pikardii. Czekający tam na mnie książęcy ludzie mieli mi przekazać następne polecenia. Postano-314

wilem to zupełnie zlekceważyć. Związanie się Jana bez Trwogi z Anglikami mogłoby zdecydować o

losach tej wojny, zresztą pod Harfleur wyglądało na to, że Anglicy nie są skorzy do pertraktacji i cała ta sprawa ucichnie.

Mógłbym się wówczas łatwo wytłumaczyć przed Burgundczykiem, że nie dałem rady nakłonić nikogo do negocjacji - ostatecznie byłem w armii jedynie kowalem, nie miałem wpływów.

Cała ta misja okazała się jednak pułapką - westchnął

Huxley. - Mimo że nic nie zrobiłem, Anglicy wysłali po-słów i ku mojemu zdziwieniu ruszyli do karczmy, w któ-

rej kazano mi się stawić. Pomyślałem wtedy, że księżę dogadał się z nimi niezależnie ode mnie. Mogłem wobec tego zostać z armią lub ruszyć z negocjatorami, próbując utrzymać pozory lojalności. Wybrałem to drugie, co okazało się błędem.

Pan Clignet zmierzył rozmówcę zimnym spojrzeniem, nie przerywał mu jednak, a Huxley ciągnął bez zająknienia:

- Ale zanim o tym opowiem, rzeknę słowo, jak dołą-

czyłem do angielskich posłów. Otóż jeszcze pod Harfleur wszedłem w układ z pewnym uczonym, który chciał uciec z armii Henryka, obawiając się, że wyjdą na jaw jego dawne grzechy, jak sam powiedział. Gotów był mi pomagać, jeśli zdobędę dla niego jakąś posiadłość na dworze książe-

cym. Człowiek ów okazał się bardzo pomocny. Przedtem jednak upewniłem się, coż to za grzechy miał na myśli.

Powiedział mi o tym pewien żołnierz, który sam miał

udział w owej niechlubnej przeszłości i znał owego uczonego jako lollarda. Za tę informację chciał mniej więcej tego co on: nowego życia bez szeryfa na karku.

315

Przyjąłem jego usługi i kilku innych związanych z nim zbrojnych. Uczony został wysłany z angielskimi posłami i tylko dzięki niemu dowiedziałem się na noc przed ich wyjazdem, że jednak odbędą się jakieś negocjacje. Chcia-

łem się z nimi zabrać, żeby mieć na wszystko baczenie, i tu ów uczony mąż wyświadczył mi niemałą przysługę, udatnie podrabiając królewską pieczęć. Dołączyłem do posłów następnej nocy. Tak się szczęśliwie złożyło, że łucznicy, których przyjąłem na służbę, jechali w poczcie barona, któremu powierzono tę misję.

Mimo pieczęci posłowie mi jednak nie ufali. Chcia-

łem zbiec, gdy zorientowałem się, że wojska konetabla są niedaleko nas, ale nie udało mi się i musiałem wypić nawarzone piwo. Nie próbowałem przekonać Anglików, że jestem Burgundczykiem

i że właściwie to ja powinienem prowadzić ich do owej karczmy, jako że nie miałem na to dowodu, a jak już rzekłem, zaufaniem mnie nie darzyli. Ostatecznie pomogła mi Fortuna w osobie pana Rambures, który szukając zagubionej córki, trafił na nasz poczet. Udało mi się ująć z walki razem z moimi łucznikami, baronem i jeszcze jednym angielskim rycerzem.

- Jak rozumiem, to jeden z pozostałych jeńców? -

przerwał Huxleyowi pilnie słuchający go Clignet.

- Tak, a trzeci to jakiś giermek wzięty również w tej potyczce. Stwierdziłem, że czas opuścić kompanię, któ-

rej większość stanowili teraz moi ludzie, i wybadać grunt w karczmie, nim sprowadzę do niej owych rycerzy. Niestety baron stanął mi na drodze. Wywiązała się walka.

Obaj rycerze odnieśli rany, ale przeżyli. Łucznikom kaza-

łem zaszyć się w pobliskiej wsi i czekać dalszych rozkazów, 316

a sam udałem się do karczmy sprawdzić, kogóż to ksiązę wysłał mi na spotkanie.

A wysłał zabójców. To była dla mnie pracowita noc.

Ostatecznie jednak opłaciło się, bo nie tylko wyszedłem z tego cało, ale też zdobyłem list z pieczęcią Jana bez Trwogi. Mogłem teraz zabrać Anglikom ich pisma i ruszyć do naszych, miałem dowód zdrady. Ale tu okazało się, że Fortuna kołem się toczy, bo wpadłem w ręce pana Rambures, który z jakiegoś powodu bardzo interesował się losami angielskich rycerzy. Tak też znalazłem się wśród jego jeńców, choć gdyby wiedział o moich prawdziwych zamiarach i rozkazach, zawisłbym pewnie na gałęzi. Koniec końców dobrze to wyszło, ale teraz trzeba odzyskać ów list, ten dowód zdrady, który ma Rambures.

Zakończywszy tę długą relację, Huxley wbił wyczekujący wzrok w rozmówcę.

Pan Clignet pokręcił głową.

- Z tym trzeba będzie raczej poczekać - stwierdził.

- Jak to? - zdziwił się Huxley.

- Jak by to powiedzieć.. ksiązę Karol to człek szlachetny i młody... zwłaszcza to drugie.. i nie chce słyszeć o niczym związanym z bratobójczą wojną.

- Cóż, mam w takim razie wrócić do domu i czekać na kolejne zadanie, pod koniec którego okaże się, że zupełnie niepotrzebnie ryzykowałem życie? - rzekł Huxley, tym razem nie kryjąc niezadowolenia.

- Oczywiście, że nie - energicznie zaprzeczył rycerz. -

Mam pewien pomysł, zanim jednak o nim opowiem, wy-jaśnijmy coś sobie. Nie jesteście wojownikami o sprawę i obaj dobrze to wiemy, więc oszczędźcie mi, proszę, rzew-317

nych opowieści o waszym poświęceniu. Nie za to wszak dostajecie zapłatę w królewskim złocie. Chyba że nagle zaangażowaliście się w naszą sprawę całą duszą? Huxley spojrzał zimno na rycerza.

- Po prostu lubię kończyć robotę, którą zacząłem -

rzekł - ale skoro tak stawiacie sprawę, to zgoda.

Clignet krótko skinął głową.

- A teraz do rzeczy - powiedział. - Młody książę pokłada wielkie nadzieje w nadchodzącej bitwie. Jako dobry, a nade wszystko młody, jako się rzekło, wojownik bardzo liczy na to, że obecna kampania przyniesie wielkie pojednanie wśród francuskiego rycerstwa. Niewątpliwie to piękna postawa, nie chciałbym więc tego psuć, proponując mu jakieś intrygi. Niemniej, czy nastąpi pojednanie czy nie, dobrze jest mieć w zanadrzu mocne argumenty. A teraz szykuj się do drogi, bo niebawem opuszczamy Bapaume.

- Jeszcze jedno - rzekł Huxley, widząc, że rycerz gotuje się do odejścia. - Skąd wiedzieliście, że byłem z Ram-buresem?

- Hrabia Marle rozpoznał cię na jednym ze swoich podjazdów i powiadomił o tym księcia Karola. A skoro już o tym mowa, to staraj się nie pokazywać zanadto w czasie drogi, jako że książę w ogóle nie chce o tobie słyszeć. Odbicie ciebie jest tylko moją inicjatywą i wiedz, że będziesz musiał się wysilić, by wejść w łaski jego miłości.

Co więcej, twoje wysiłki będą ci początkowo poczytywane za niezgodne z zamiarami księcia. Działaj więc cicho i skutecznie, a kontaktuj się jedynie ze mną. Uznam, że opłacało się odbić cię Ramburesowi, dopiero gdy przy-niesiesz mi te listy...

318

Pan Jossequin wszedł zwawym krokiem na zamkowy dziedziniec, gdzie zatrzymał się powóz eskortowany przez kilkunastu zbrojnych w niebiesko-zielonych barwach księ-

cia, z charakterystycznym dla Burgundczyków krzyżem świętego Andrzeja na tunikach, przesywanicach i bry-gantynach. Z pojazdu wyszli czterej chłopcy, liczący nie więcej niż dziesięć lat. Ubrani byli elegancko, lecz nie zbyt koczowniczo, w nogawice i dublety z dobrej materii i ciepłe wełniane płaszczyki spięte miedzianymi broszkami w kształcie liści. Przystrzyżone równo główki zaczęły się kręcić, gdy pacholeta znalazły się w nieznanym otoczeniu. Po chwili wyszedł ku nim pierwszy kapelan książęcy sędziwy Stefan des Mares, a za nim kilku innych księży.

Jossequin poszedł dalej, niezbyt zainteresowany tym, co Jan bez Trwogi robi dla uświetnienia nadwornej kaplicy, czego częścią było przyjęcie do chóru nowych chłop-ców i zwiększenie liczby kapelanów. Krzątania panowała zresztą w całej siedzibie książęcej, jako że była wigilia rocznicy bitwy pod Othee, a za dwa dni wypadało dziesięćnastolecie sławnej porażki pod Nikopolis, tydzień

później natomiast Wszystkich Świętych. W obie wojenne rocznice odprawiono mszę w intencji poległych i uchodziły one za nie tak ważne jak święta religijne, mimo to wyjątkowe.

Jossequin pozdrowił nadwornego jałmużnika, który na co dzień rozdawał w imieniu księcia dziesięć sous potrzebującym, a w okresie świątecznym powierzano mu na ten cel dużo znaczniejsze kwoty. Następnie przeszedł

obok korowodu chłopców na posyłki, którzy z mozołem znosili do piwnic baryłki wina ze stojącego nieopodal 319

wozu. Rozładunkiem dyrygował jeden z podczaszych, drugi stał na krużganku i rozmawiał z cześnikiem.

Munier pchnął najbliższe drzwi prowadzące do komnat mieszkalnych. Kręconymi schodami wspiał się na szczyt baszty, gdzie przed grubymi dębowymi drzwiami stał odźwierny. Mężczyzna, rozpoznawszy Jossequina, skłonił się krótko i ustąpił mu z drogi.

Munier wszedł do komnaty. Lwią część niewielkiego pomieszczenia zajmowało ogromne łoże. Otoczone zielonymi aksamitnymi kotarami i okryte szkarłatnym jedwabnym prześcieradłem, na którym wyhaftowano złotą nicią liście chmielu i heble, całkowicie przykuwało uwagę wchodzącego. Kotary zostały odsłonięte z dwóch stron, by umożliwić leżącemu na nim księciu rozmowę z dwoma szambelanami.

Filip Munier zamknął ostrożnie drzwi. Jan bez Trwogi obrócił na niego wzrok. Widząc słabnące zainteresowanie księcia tym, co mają mu do powiedzenia, szambelanowie niechętnie zrobili to samo.

Jossequin wyszczerzył się w uśmiechu i skłonił nisko.

- O! Dobrze, że już jesteś, Filipie. Podejdź - rzekł ksią-

żę i ułożył się na boku.

Zanim Munier stanął przy łożu, pan Burgundii poprawił przekrzywione rękawy swojej houppelande, a szambelanowie pojęli, że ich rozmowa została właśnie zakoń-

czona. Odeszli więc w kąt z niepokieszonymi minami, ustępując parweniuszowi, który z nieznanym im powodów cieszył się ogromnym faworem księcia.

Jan bez Trwogi wyciągnął upierścienioną rękę. Filip przyklęknął i ucałował ją z namaszczeniem.

320

- Usiądź - rzekł książę. Na jego pociągłej twarzy malował się tak ogromny spokój, że ktoś mniej znający pana Burgundii mógłby podejrzewać, że jego wysokość zaraz uśnie. Jednak Filip Munier służył na dworze wystarczająco długo, by wiedzieć, że flegmatyczna powierzchowność Jana bez Trwogi skrywa nader zwawą naturę, zarówno umysłową, jak i fizyczną. Nieostrożni zyskiwali tę

wiedzę, dopiero gdy stali się ofiarami książęcej złości. Jossequin do nich nie należał. Zanim usiadł na zydlu przy wezglowiu łoża, rzucił

szambelanom spojrzenie, które uznali za wyzywające.

- Mów - nakazał mu książę.

- Przyszedłem już dziś - zaczął Jossequin - choć służ-

bę w domu waszej książęcej mości mam pełnić od jutra, gdyż nalegaliście, wasza miłość, bym poinformował was rychło o sprawie, o której mówiliśmy na wiosnę.. - Zerknął koso na szambelanów, którzy wydęli usta, udając, że jego rozmowa z księciem w ogóle ich nie obchodzi.

- Dobrze. Cóż więc? - zapytał Jan bez Trwogi. Jedyne jego oczy zdradzały, że temat go nurtuje, głos i gesty pozostały ospałe.

- Niestety nie mam dobrych wieści, wasza miłość. Owi ludzie, o których rozmawialiśmy, przepadli jak kamień w wodę... - Munier spuścił oczy.

- Nie trap się tym zbytnio, Filipie - pocieszył go książę-

zę. - Przyczyn może być wiele, zbyt wcześnie, by wydawać w tej sprawie sąd. Tak czy inaczej Anglicy zetrą się już niedługo z armią królewską. Trzeba czekać na wynik tego starcia, by podjąć jakieś działania w interesującej nas sprawie. Coś jeszcze? - Książę mówił powoli, czyniąc znaczne pauzy na namysł.

321

- Zauważyłem, że wasza miłość ma pierścień od miasta Dijon - rzekł Munier. - Na dziedzińcu minąłem chór kapliczny, tuszę więc, że dziś msza w intencji poległych pod Othée?

- Tak, jak co roku...

- A czy chór uświetni również mszę pojutrze?

- Oczywiście, drogi Filipie. Nie wątpisz chyba, że pamiętam o tobie, wiernym słudze, z którym ruszyłem na ową krucjatę do ziemi króla Zygmunta?

- Nie, oczywiście, że nie, wasza książęca mość..

- To dobrze, bo pamięć ma jest żywa i tobie przychylna. Planuję wnet przyznać ci jakąś rentę w związku z wo-jennymi perturbacjami, przez które ucierpiałeś...

Oczy Muniera zabłyśły, ale nic nie powiedział. Książę kontynuował:

- Będzie ci przyznawana z przychodów kopalni soli w Salins...

- Dziękuję waszej miłości z całego serca. Nadto spieszę poinformować, że kupiłem ostatnio wyśmienitego ogiera, który z rana będzie już w stajni waszej książęcej mości.

- Dobrze, Filipie, porozmawiaj o tym z pierwszym sta-jennym, a teraz żegnaj. Jak rozumiem, widzimy się wieczorem na mszy...

- Oczywiście, mój panie. Żegnam i niech Bóg będzie z waszą miłością.

Po incydencie przed domem sukiennika zdecydowano przydzielić jeńcom większą eskortę i ulokowano ich na 322

jednym z dwóch wozów, które prowadzili w swym poczcie synowie pana Rambures. Choć można by to uznać za nieco degradujące, zarówno Guillaume, jak i pan Pitchfork ucieszyli się z tego. Radość była skryta, natomiast ulga, którą ta zmiana przyniosła rannym - zupełnie jawna.

Przy wyjeździe z Bapaume obyło się tym razem bez nie-spodzianek. Gdy mistrz kuszników dowiedział się o uwol-nieniu przez „świniopasów” jednego z więźniów, rzecz jasna wpadł w szal. Ponieważ jednak zdarzało mu się to ostatnio dość często, wybuch był krótki i jak na niego niezbyt gwałtowny. Zaginięcie Huxleya nie było zresztą dla pana Rambures zbyt przykre. Najbardziej rozwście-czyła go nieporadność strażników, która wcześniej kosztowała go utratę córki. Wszystkie te mniejsze i większe troski spadające nań w ostatnich dniach pobytu w Bapaume odbiły się na jego twarzy, jakby ściśniętej niewi-dzialnymi kleszczami, szarej i smętnej.

Sir Robert przyjrzał mu się z wozu, gdy wyjeżdżali północną bramą z miasta, i nie mógł się nadziwić. Dawne wrażenie siły i energii znikło. Wcześniej, patrząc na pana Rambures, miało się poczucie, że naramienniki i napierśnik zaraz rozsadzi ukryta w nich moc. Teraz mokry płaszcz z niedźwiedziej skóry kładł się na zgar-bionej w siodle postaci jak całun pośmiertny.

Sir Robertowi przyszło do głowy, że sam też zmizerniał

z tęsknoty za Marią. Przez chwilę chciał nawet spytać le-

żącego na wozie Guillaumea, czy nie zauważył w nim jakiejś zmiany. Spojrzał na ojcowego giermka i uświadomił

sobie, że on również się zmienił. Zastanowiło to Roberta, który coraz bardziej popadał w melancholię. Guillaume, 323

zwykle skory do wypitki i do śpiewu, milczał, beznamiętnie patrząc podkrążonymi oczyma na drogę. Młody rycerz uświadomił sobie nagle, że kiedyś już widział go w podobnym stanie i ku swemu zaskoczeniu przypominał sobie, że było to jeszcze przed tragicznym spotka-niem z pocztem pana Rambures.

Deszcz bił lekko o hełmy konnych z eskorty, a koła wo-zu poskrzypywały monotennie. Baron Pitchfork przysnął, okrywszy się kocem.

- Guillaume - odezwał się w końcu Robert.

- Tak, panie Robercie?

- Coś cię gnębi?

Giermek popatrzył zaskoczony na rycerza. Podrapał

dawno nie goloną twarz.

- Właściwie to tak - przyznał po dłuższej chwili.

- Cóż takiego?

- Dało mi do myślenia to, co się stało przed domem sukiennika. Ci mężczyźni w brunatnych płaszczach, któ-

rzy zabrali Huxleya, gotowi byli zabrać i nas. - Guillaume spojrział badawczo na Roberta. - Dlaczego wyrwali-

ście się temu człowiekowi?

- Z powodów, które wyłożyliśmy z baronem w piwnicy.

- Aha. - Guillaume pokiwał głową. Po chwili jednak znów zwrócił na Roberta pytające spojrzenie. - Ale gdyby to nie miało być za sprawą i w kompanii Huxleya, to byście uciekli?

- Tak - odparł cicho Robert, spoglądając na eskortę.

- Aha... to i dobrze.

Rycerz, który nie odrywał wzroku od Guillaume'a, po chwili zapytał:

324

- Ale nie to cię gryzie, nieprawdaż? A przynajmniej nie tylko to?

Guillaume umknął wzrokiem, ale po chwili zwrócił go na Roberta.

- Nie, panie, nie tylko to - powiedział.

- Cóż więc?

Giermek westchnął.

- Chodzi o to, że nie wiem, czy mam po co wracać do swoich. Gdybyście, panie, wraz z baronem uciekali, nie bierzcie mnie ze sobą. Nie warto.

- Jakże to? Dlaczego? - zdziwił się Robert.

- Bo widzicie, panie, dałem panu Rambures parol...

a po drugie... - Guillaume zawiesił głos.

- Mówże w końcu - zniecierpliwił się Robert.

- A po drugie mam długi, których nie mogę spłacić.

- Kości czy karty? - spytał rzeczowo sir Robert.

- Kości - przyznał Guillaume, wbijając wzrok w stertę pakunków, na której siedzieli.

-Ile?

- Będzie razem... pięć funtów.

- Ech. . sporo. Ale nie troszcz się zbytnio. Jak już wyjdziemy z tych terminów, w które wpadliśmy, znajdziemy te pięć funtów.

- Dziękuję, panie Robercie, bo dług dla szlachetnie urodzonego to rzecz poważna.

- Wiesz co, Guillaume? Jak dla mnie narobić pięć funtów długu, grając w kości, to raczej rzecz wielce niepo-ważna, czy to dla rycerza, kupca czy wiejskiej znachorki.

325

Na pierwszy postój zatrzymali się, przebywszy spory od-cinek drogi. Z malującego się na twarzach Francuzów skupienia oraz ich pośpiechu łatwo było wywnioskować, że zdecydowani stoczyć bitwę chcą znaleźć dogodne miejsce. Istniało ryzyko, że angielska armia wy-mknie się i zdąży dotrzeć do Calais, nim masy francuskiego rycerstwa odetną jej drogę. Popas zanosił się więc na krótki, a zbrojni i czeladź wyjęli z juków tylko tyle prowiantu, by szybko coś przegryźć. Napojono i nakar-miono konie, po czym zaczęto się szykować do dalszej drogi.

Angielscy rycerze przyglądali się tej krzątaninie, leżąc na wozie. Sir Robert pomyślał, że to nawet przyjemne patrzeć na pracujących w pocie czoła wrogów, spoczywając na miękkich pakunkach. Trochę popsuła mu tę radość myśl, że w obozie angielskim pracy jest zapewne równie dużo, a ludzie nie mają co jeść.

Z rozmyślań wyrwało go szarpnięcie za rękaw aketo-nu. Spojrzał zaskoczony. Jego ramię ścisnęła wyśmienitej roboty pancerna rękawica nabijana małymi rubinami.

Sir Robert podniósł wzrok i zobaczył znajomą pokiereszowaną twarz.

-Mam wiadomość od panny Rambures - szepnął

Clermont, rozglądając się wokół.

Sir Robert spojrział nań podejrzliwie, uznał jednak, że nie ma nic do stracenia.

- Doprawdy? - odparł niezbyt grzecznie.

- Zaufajcie mi, panie Robercie. Powiem tylko, iż panna Maria bardzo za wami tęskni i szykuje dla was ratunek. Kazała wam przekazać to. - Clermont wyciągnął

326

spod poły płaszcza białą jedwabną chustkę z inicjałami

„MR” haftowanymi złotą nicią.

Robert machinalnie zbliżył ją do nosa i powąchał. Na jego twarz wypłynął błogi wyraz. Schowawszy chustkę za pazuchę, zwrócił się do Clermonta, który obserwował go jakby wzruszony.

- Dziękuję, panie Clermont - powiedział. - Nie zapo mnę tego, co dla mnie... dla nas uczyniliście.

Rycerz wyprostował się w siodle i lekko skłoniwszy głowę, odjechał na czoło kolumny.

Spojrzenie Roberta padło na Artura. Kuzyn, już wybudzony, widział całe zajście.

- Ha! - rzekł. - Od razu, jak tylko mnie wyzwiał, wie działałem, że to porządny rycerz.

Robertowi serce biło jak oszalałe...

Po kilku dniach marszu armia Henryka dotarła do wsi Maissoncelle. Zwiadowcy przynieśli wieści, na które wszyscy od dawna czekali, choć wielu wolałoby, żeby nigdy ich nie doszły. Francuska armia obozowała naprzeciwko, zagradzając trakt do Calais. Dwudziestego czwartego października stało się nareszcie jasne, że wkrótce dojdzie do bitwy. Wokół Maissoncelle postawiono namioty. Nie-ustanne deszcze, długie marsze i brak jedzenia dały się we znaki Anglikom. Przypomniła o sobie dyzenteria, obniżając nie tylko siły witalne, ale i morale. Lekki deszcz nękał obozujących po bezlistnych sadach i ogrodach wokół wioski. Anglicy pośpiewywali trochę, by podnieść się na duchu, i czynili rachunek sumienia.

327

Sir Robert obserwował z wozu, jak Francuzi zakładają obóz.

Nim poczet pana Rambures dotarł na miejsce, wielu zbrojnych już rozsiodłało konie. Zdążono nawet rozstawić trochę namiotów, a słudzy dokładali coraz to nowe polana do ognisk. Wszyscy mieli ręce pełne roboty, nawet najwięksi panowie, którzy chodzili między ludźmi, chcąc dopatrzeć wszystkiego osobiście. Mimo zmęczenia forsownym marszem Francuzi byli w znakomitych nastrojach. Sir Robert nie myślał jednak o tym zbyt dużo. Martwiło go, że nie ma nowych wieści od Marii. Podejrzewał, że w przebraniu cią-

gnie za wojskiem, ale Clermont nic mu nie przekazał, od-kąd dał mu jej chustkę. Robertowi pozostało

więc czekać.

Tymczasem był świadkiem kilku interesujących wydarzeń. Kiedy rozbito obóz, była już noc. Ogniska, do któ-

rych nieustannie dorzucano drewno, rozświetlały całą okolicę, dzięki czemu sir Robert dostrzegł z wozu wjazd pocztu Karola Orleańskiego. Młody książę prowadził potężny podjazd, z którym wcześniej nękał Anglików. Powitano go dziką owacją, a zewsząd rozległy się krzyki „Vivat Orlean!” i „Niech żyje książę Karol!”

Ledwie przeszedł orszak książęcy, rozegrała się inna uroczysta scena. Przed dużym namiotem ozdobionym herbem z trzema złotymi liliami w niebieskim polu kłę-

czał młody rycerz. Przed nim stał, jak dowiedział się od eskorty sir Robert, sławny marszałek Boucicaut. Robert nie słyszał słów, ale same gesty wystarczyły, by pojąć, co się dzieje. Na koniec marszałek uderzył młodego, w pewnym sensie dopiero co narodzonego rycerza płazem miecza w bark, on zaś powstał dumnie wśród radosnych okrzyków towarzyszy.

328

- Któż to taki? - spytał sir Robert jednego ze strażników, nie mogąc powstrzymać ciekawości.

- Nie wiecie? - zdziwił się Francuz. - Toż to Filip hrabia Nevers. Bardzo znaczna figura, najmłodszy brat potężnego księcia Burgundii.

- Rozumiem. A czy książę nie ma dwóch braci? - po-ciągnął temat Robert, nie znajdując lepszej rozrywki.

- Ma. Drugi to Antoni książę Brabantu, wielki pan, choć bardzo zajęty sprawami zagranicznymi - ochoczo odpowiadał zbrojny, sam również nie mając nic do roboty poza wystawianiem na deszczu.

- A czy książę już przybył?

- Z tego, co wiem, to nie. Byłoby już o tym głośno.

Oj, działoby się. Z pewnością pan Rambures byłby z tego przybycia wielce rad, bo musicie wiedzieć, że książę i pan...

Sir Robert przestał słuchać opowieści strażnika, widząc, że od stojących przy namiocie hrabiego Nevers odłączyło się trzech rycerzy. Byli to panowie Rambures, Vindroit i Clermont. Pograżeni w gorącej, sądząc po gestach, rozmowie zbliżali się do wozu, na którym siedział

Robert z kuzynem Arturem i Guillaumeem. W pewnym momencie mistrz kuszników gwałtownie machnął ręką, jakby mówił „nie chcę już o tym słyszeć”, po czym zostawił towarzyszy, którzy popatrzyli po sobie i podeszli do wozu. Vindroit poszarpywał wąsy, a Clermont wyglądał

na wielce zainteresowanego tylną osią pojazdu. Sir Robert spojrzał zakłopotany na Francuzów.

- Cóż to, panowie? - zapytał. - Chcecie nam coś ob wieścić?

329

Pan Vindroit na moment zostawił wasy w spokoju i spojrzał na zbrojnego z eskorty.

- Zaprowadźcie jeńców do namiotu pana Rambures i przywiążcie ich do masztu - powiedział.

Strażnicy popatrzyli na jeńców. Wynędzniałe twarze barona i Guillaume'a mówiły same za siebie.

- Jakże to, panie? - obruszył się jeden ze zbrojnych. -

Na noc ich do masztu przywiązać? Wszak oni ranni, mogą nocy nie przetrzymać.

Vindroit popatrzył nań zimno.

- Usłyszeliście rozkaz, to wykonajcie - warknął. - Tak nakazał pan Rambures - dodał i odwróciwszy się na pięć ciele, szybkim krokiem ruszył w stronę radośnie skandującą cych rycerzy z poczty hrabiego Nevers.

Zbrojni zaczęli ściągać Anglików z wozu. Pan Clermont zerkał przepaszająco na Roberta. Gdy młodszy Neville stanął na ziemi, Clermont podszedł do niego i wziął

go pod ramię. Pozostali zbrojni podtrzymywali barona i giermka pana Moorow, wydawało się więc naturalne, że pan Clermont pomaga trzeciemu Anglikowi, choć ów tej pomocy wcale nie potrzebował. Trudno powiedzieć, dlaczego wydało się to zbrojnym naturalne, dość, że Clermont mógł się rozmówić z jeńcem.

- Widziałem się z panną Marią - powiedział cicho. -

Mimo niebezpieczeństwa zamierza wam pomóc. Bądź-

cie czujni i gotowi. Jutro, gdy zacznie się bitwa.

- Wszystko u niej dobrze? - spytał sir Robert, nie znajdując bardziej wyszukanych słów, gdyż serce podjechało mu aż do gardła.

330

- Tak - odrzekł spieszenie Clermont. - Raczej tak - do-dał po chwili.

- Jak to? - W głosie Roberta zabrzmiał niepokój.

- Nie jestem pewien, czy można ufać jej towarzyszom.

- Jakim znowu towarzyszom? Podróżuje z mężczyzna-mi, którym nie można zaufać? - zapytał sir Robert pod-niesionym głosem, a gdyby Clermont go nie popchnął, zapewne by również stanął jak

wryty.

- Uspokójcie się, na świętego Dionizego, chyba że chcecie się tłumaczyć strażnikom z powodów waszego wzburzenia.

Sir Robert nic już nie powiedział. Był zresztą zbyt zdenerwowany, aby rzec cokolwiek sensownego. W głowie miał kompletny chaos, tak że ledwie zauważył, że przywiązano go mocno do masztu namiotu wraz z kuzynem i klnącym z francuska Guillaume'em.

XIV

Pieśni Anglików niosły się po okolicy, lecz głużył

je zgiełk dobiegający spomiędzy lasów otaczających Tramecourt i Azincourt. Zgiełk czyniony przez tysiące sług obozowych i koni, pieśniarzy i raczących się winem przy kolacji francuskich księżąt, hrabiów, baronów, rycerzy, giermków i żołnierzy ściągniętych ze wsi i miast całego kraju. Mimo deszczu płonące tam ogromne ogniska strzelały iskrami w nocne niebo. Gdyby za-błąkany wędrowiec szedł tamtej nocy przez pola pod Azincourt, mógłby pomyśleć, że z jednej strony wyra-sta obok niego potężne miasto oświetlone jak w wieczór wielkiego turnieju lub królewskiego ślubu. Musiałby jednak przystanąć i długo nastawiać ucha, żeby usłyszeć dobiegające z drugiej strony głosy minstrelów i rycerzy Henryka dodających sobie otuchy przed bliskim starciem.

Być może pomyślałby, że to jacyś pielgrzymi rozbili namioty z dala od miejskiej wrzawy, szukając spokoju i zadumy. A raczej mógłby tak pomyśleć, gdyby nie rozumiał

słów, które przez ich sprośność trudno byłoby uznać za religijne.

333

Pan Tomasz opróżnił pucharek, otarł wąsy i spojrzał na towarzysza. Sir Ralf siedział zasłuchany w pienia dolatu-jące spoza namiotu. Wyglądał teraz bardzo niepozornie.

Rozwiązany w większej mierze dublet nie zdołał utrzymać sporego brzucha, którym sir Ralf mimo znojów kampanii wciąż mógł się pochwalić. Wiecznie zmierzwiona czu-pryna kontrastowała z krótką, lecz gęstą i zadbaną brodą.

Dzięki znajomości z sir Tomaszem pan Moorow mógł

się bowiem wreszcie ogolić. Była to ostatnia cywilizowana czynność, którą starannie pielęgowali, co rano stając przed sobą z brzytwą oraz nożyczkami i goląc się nawzajem. Największą zmianę w obliczu sir Ralfa przeszły oczy.

Nieobecne i zamyślane, nie pasowały już do okrągłego wi-talnego ciała.

- Tak, panie Tomaszu - mówił on właśnie. - Żałuję tylko, że nie będzie mi dane oglądać wnuków.

- Nie poznaję was, panie Ralfie - odrzekł Chaucer. -

Wszak jeszcze wczoraj nie chcieliście złorzeczyć na ludzką dolę i kaprysy Fortuny.

- Ależ tylko tego jednego żałuję, że syna przy mnie nie ma. Nawet jeśliby zginął, byłaby to rzecz rycerska, a tak pewnie leży, być może usieczon, na owym trakcie, gdzie go porzuciłem...

- Panie Ralfie, wybaczcie bezceremonialność, ale czy macie zbroję? - przerwał towarzyszowi Chaucer, stwierdzając, że koniecznie trzeba go wyrwać ze szponów melancholii.

- Nie mam, ale miło, że pytacie. - Sir Ralf nieco po-weselał.

- Otóż nie pytam jedynie po to, by w was wisielczy hu-334

mor obudzić. Zdaje mi się bowiem, żeśmy podobnej postury, przeto pomyślałem sobie, że drugi komplet blach, który trzymam w zapasie, nada się dla was. Sir Ralf osuszył pucharek i odrzekł:

- Znaczna byłaby to pożyczka, rozumiecie więc, że waham się ją przyjąć. Skoro jednak dzięki temu moje stare kości choć trochę lepiej przysłużyłyby się królowi, niech i tak będzie. Przyjmę od was pancerz na czas bitwy, a wy przyjmijcie ode mnie prośbę.

- Słucham.

- Jeśliby mnie kostucha jutro wzięła, to dopilnujcie, bym znalazł pochówek godny tego sygnetu. - Sir Ralf przekreślił srebrny pierścień herbowy, który nosił na ser-decznym palcu prawej dłoni.

Sir Tomasz spojrział na niego poważnie.

- Zgoda - powiedział. - Dla siebie proszę was o to samo, a że ludzi wam braknie, przejmiecie po mnie władzę nad moimi pachołami i giermkim, aby przy ich pomocy móc obietnicy dotrzymać.

- Zgoda.

W namiocie, do którego masztu ich przywiązano, panował mrok. Grube płótno rozjaśniała lekka luna z ognisk, ale było to zbyt skąpe oświetlenie, by dobrze się rozejrzeć. Sir Robert, któremu pęta wpijały się w nadgarstki, spodziewał się, że czeka go ciężka noc. Guillaume, nie mogąc wytrzymać niewygodnej pozycji, co jakiś czas pojękiwał. Sir Artur powstrzymywał się od tego najwyższym wysiłkiem woli.

335

- Panowie - odezwał się Robert - nie traćmy nadziei, jutro bitwa i w niej nasz ratunek.

- A skąd ów ratunek? - po dłuższej chwili zapytał basem sir Artur. - Czyżby Clermont zamierzał zdradzić pana Rambures? Jeśli tak, nie pozwolę mu na to...

- Nie - uciał Robert. - Pomoże nam moja ukochana.

- Jakże to? Ma nas uratować białogłowa? - zdziwił się i trochę oburzył baron.

- Na to wychodzi. Poza tym odnoszę wrażenie, drogi kuzynie, że przywiązujesz zbyt dużą wagę do tego, kto nas uwolni. Jesteś.. jak by to ująć... bardziej kapryśny, niż możesz sobie pozwolić. - W głosie Roberta pobrzmiwała-

ła nuta rozdrażnienia.

- Myślę, że pan Robert ma słuszość, jaśnie panie -

włączył się do rozmowy Guillaume. -Ja też bym wolał, żeby wybawił mnie z opresji sam król Henryka z poczem swych najświetniejszych rycerzy. Byłaby to godna pomoc, ale zdaje mi się, że nie możemy na nią zbyt liczyć. - Giermek stęknął znów i na chwilę zapadła cisza.

- Masz rację, Guillaume - przerwał ją sir Artur - byłby to ratunek piękny i godny, gdyby sam król nas wybawił.

Towarzysze nieszczęścia czekali na dalszy ciąg wypowiedzi barona, ale daremnie, więc po chwili Robert rozpoczął nowy wątek:

- Listy schowano w tym namiocie - powiedział.

- Gdzie dokładnie? - zaciekał się sir Artur.

- Przy wejściu, w podłużnej drewnianej szkatule. Przynieśli je jakiś czas temu Clermont i Vindroit.

Sir Robert odczekał chwilę, spodziewając się pytań.

Znów jednak się przeliczył. Mimo to podjął wypowiedź, 336

jakby sam siebie chciał upewnić co do słuszości swoich przemyśleń.

- Gdy Vindroit i Clermont przynieśli tę szkatułę, roz mawiali o listach. Vindroit stwierdził, że nie znalazł wśród sprzymierzeńców księcia Burgundii nikogo, kto by coś słyszał o naszym poselstwie. To stawia nas w kłopotliwej sytuacji. A listy, które wieźliśmy, stawiają w kłopotliwej sytuacji naszego króla, bo są dowodem, że chciał podjąć rozmowy z księciem Janem bez Trwogi. Dlatego też, kie dy będziemy jutro uciekali, weźmiemy je ze sobą.

Guillaume nie powstrzymał krótkiego wybuchu śmiechu.

- No cóż, panie Robercie - rzekł, pojękując, bo od śmiechu zakłuły go żebra - muszę przyznać, że nie braknie wam fantazji. Siedzimy tu przywiązani do słupa. Od jednego z naszych wrogów dostaliśmy gwarancję, że jutro podczas wielkiej bitwy otrzymamy pomoc od białogłowy, a wy się głowicie, jak by tu oddać przysługę królowi. Doprawdy jesteście rycerzem z krwi i kości i marnowalibyście się na uniwersytecie.

- Po prostu kalkuluję, w czym nie widzę nic rycerskiego - odrzekł Robert, bardziej zajęty własnymi

myślami niż rozmową z giermkim.

- Może macie rację. Być może wasze przymioty bardziej pasują do wielkiego wodza. Spotkałem nie tak dawno polskiego rycerza, który opowiedział mi to i owo o swoim kraju, w tym o wielkiej wojnie z zakonem Naj-

świętszej Marii Panny, która toczyła się tam zaledwie kilka lat temu. W ogóle to, podpiwszy sobie, bardzo dużo mówił - o królu Jagiellusie, bitwie pod jakowymś Grun-waldem i oblężeniu potężnej twierdzy owego zakonu.

337

Była wśród tych opowieści jedna, która mnie szczególnie zaciekawiła. Otóż niejaki Henryk von Plauen, który dowodził wówczas obroną tej twierdzy, zaczął już wtedy czynić plany kontrataku. Ludzie ginęli na flankach i pod murami, a on spokojnie „kalkulował”, jak wy teraz, panie Robercie.

- Czy twoja opowieść ma jakąś puentę? - przerwał

giermkowi zniecierpliwiony sir Robert, nie mogąc się przez jego gadanie skupić.

- Oczywiście, że ma. Bo ten Plauen zebrał rychło armię i jak tylko Polacy odstąpili od murów, ruszył na Polskę. Dobrze zatem, że tak myślicie o przyszłości, może i nam to wyjdzie na dobre.

- Oj, Guillaume - westchnął Robert - tyle gadania i taki nędzny morał. A już myślałem, że skoro nam opowiadasz o dalekim królestwie i sprawach, które nijak nas nie dotyczą, to przynajmniej będzie ciekawie.

Dwudziesty piąty października roku pańskiego 1415 nie różnił się zbytnio, jeśli chodzi o pogodę, od kilku dni poprzednich i kilku następnych, choć o szóstej nad ranem na parę godzin deszcz ustał. Jednakże z pogodą ducha sześciu tysięcy Anglików, którzy tego dnia otworzyli oczy, leżąc w namiotach lub pod gołym niebem w sadach i na niedawno obsianych polach wokół wsi Maissoncelle, sprawa miała się całkiem odmiennie. Bo doprawdy niewiele było chwil w życiu tych ludzi, które by tak bardzo odmieniły ich ducha jak ów wilgotny i chłodny jesienny poranek. Błdzi i niewyspani, głodni i z bolącymi 338

brzuchami, czekali na śmierć. Wierzyli, że nadejdzie już niedługo, toteż kapelani mieli od świtu pełne ręce i usta roboty. Od króla poprzez książąt, hrabiów, baronów, baronetów, rycerzy, giermków, aż po prostych łuczników każ-

dy chciał udać się do spowiedzi i polecieć duszę Stwórcy.

Niektórzy autorzy traktatów poświęconych *ars militaris* doradzali, by nie iść do bitwy z pełnym żołądkiem i zgodnie z owym zaleceniem Anglicy nie jedli. Nie wiadomo jednak, czy kierowali się radami owych uczonych mężów, czy też po prostu nędzne orzechy, które były ich jedyną strawą od paru dni, tak im obmierzły, że woleli stanąć przed Bogiem głodni.

Po modłach rycerze i chorążowie zaczęli ustawiać podwładnych, próbując bezładną masę

uformować stosownie do okazji. O ósmej rano armia stanęła w szyku bitewnym.

Obie flanki zajęli po równo rozdzieleni łucznicy, tworząc dwa kliny skierowane w stronę obozującego o dobre tysiąc kroków dalej wroga. Zgodnie z rozkazami króla łucznicy mieli ze sobą drewniane pale, które noc wcze-

śniej zaostrzyli na obu końcach. W środku natomiast stanęły trzy hufce piechoty i spieszzonego rycerstwa liczące łącznie niecały tysiąc ludzi.

Przed wyrychtowane szyki wyjechał na niewielkim siwku król. Mizerny rozmiar wierzchowca i brak ladrów utwierdziły Anglików w przekonaniu, że monarcha bę-

dzie walczył z nimi ramię w ramię pieszo. Konik prychnął i obrócił się w miejscu, a Henryk V Lancaster spojrzął po zebranych przed nim ludziach. Nie był to widok zbyt budujący. Zapadłe i zmęczone twarze wyzierające spod kapalinów i basinetów co do jednej zwrócone były 339

na monarchę. Niektórzy z łuczników dalej cierpieli z powodu dyzenterii, i to tak strasznie, że nie włożyli Inia-nych gaci i spuścili do łydek nogawice, by jeśli zaszłaby nagła potrzeba, móc sobie ulżyć od razu, tam gdzie stali.

Król przejechał wzdłuż linii wojsk bez słowa, patrząc w te wychudłe twarze, i ku swemu zadowoleniu odkrył w oczach swoich żołnierzy tłący się żar. Zobaczył, że ma przed sobą ludzi gotowych na śmierć, ale nie zamierzają-

cych tanio sprzedać skóry, nawet w obliczu przytłaczają-

cej przewagi nieprzyjaciela. Zawrócił i przejechał przed nimi jeszcze raz, po czym zatrzymał konia i przemówił:

- Synowie Anglii! Przywiodłem was tu, moi wierni poddani, nie dla czezej igraszki ani pustej sławy. Wiedzcie, że stoicie tu dlatego, że odmówiono mi prawa do tego, co słusznie i zgodnie z prawem jest mi należne.

Odmówiono mi tego, co przysługuje mi z woli Bożej, to jest korony francuskiej i tych ziem, na których stoimy.

A zważcie, że ziemie te nie tylko moją są własnością, ale też moich poddanych, którym ją nadaję. Wielu z was jest ludźmi wolnymi i gospodarującymi na własnej ziemi.

Każdy wolny kmieć stanąłby w obronie swej ziemi i praw, tak jak każdy rycerz i jak ja stoję, takie bowiem prawo ustanowił nam Stwórca.

Król przejechał teraz przed trzy środkowe hufce swoich sił, w których stało rycerstwo.

- Wy, panowie moi wierni i sprawdzeni kompani, wiecie, po co tu jesteście. Wiecie też, że nie zapominam o tych, którzy przelali za Anglię i Koronę swoją i wrogą krew, będą pamiętał o tych, którzy stoją teraz przede mną.

jego dzieła i jako tacy tu stoicie w obronie sprawiedliwości i porządku tego świata. Za to też otrzymacie stosowną nagrodę, gdy ciężki trud bitewny będzie już za nami i kiedy wreszcie za wstawiennictwem świętego Jerzego i Trójcy Świętej rozpędzimy naszych błędzących wrogów.

Siwek dotarł w końcu do drugiego skrzydła, na którym stała reszta łuczników, i Henryk, powtórzywszy z grubsza, co rzekł ich towarzyszom, dodał:

- A pamiętajcie też, że prócz tego, iż walczycie w imię Boga i dla jego większej chwały, walczycie też o swój powrót do domu. Drogi za nami strzegą załogi francuskich miast i zamków, przed nami zaś wielka, wypoczęta i gotowa do pościgu armia. Pomyślcie o swych żonach i dzieciach czekających waszego powrotu do domu. Kto pójdzie na sianokosy, gdy was zabraknie? Kto za was wy-karmi pacholęta? Nie zapomnijcie też, że wróg nasz jest bezwzględny dla każdego, kto opanował sztukę łucznic-twa i pochodzi z Anglii. Wiedźcie, że w razie przegranej, jeśli nawet przeżyjecie, każdemu z was zostaną odjęte trzy palce prawicy, aby nigdy nie napiął już łuku. Zatem walczycie wytrwale, bo nie ma ucieczki, ale też nie trwóź-

cie się zbytnio, bo Bóg jest z nami. A skoro on jest z nami, któż przeciwko?

Zakończywszy przemowę tym efektownym pytaniem, król Henryk wrócił na środek szyków, zsiadł z konia i stanął w pierwszym szeregu, gdzie powiewał główny sztandar. Jego ostatnie słowa wywarły zamierzony efekt. Łucznicy i rycerze zaczęli się bowiem zastanawiać, przeciw komu właściwie stają. Do tej pory zdawało im się największą oczywistością, że przeciw zwykłym ludziom.

341

Teraz jednak, skoro król zadał pytanie, niektórzy zaczęli wątpić w to, co do tej pory wierzyli. Bo skoro król py-tał, to wielu zdało się, że musi w tym być coś więcej, niż mniemali. Rozważania te pomogły im nieco zapomnieć, gdzie są i co zaraz będzie ich udziałem. Kronikarze milczą jednak o tym, czy królewskie słowa zasiały w ich umysłach ziarno filozofii.

W ogromnym namiocie konetabla zrobiło się tłoczno, gdy elita francuskiego rycerstwa przybyła radzić o bitwie. Obradom przewodniczył, przynajmniej nominalnie, gospodarz. Po jego prawicy stał dumnie wyprostowany, prze-wyższający go o głowę Boucicaut. Zadaniem marszałka i jego świty było pilnowanie porządku, zadaniem zgoła niemożliwym wobec obecności ludzi tak wysokiego urodzenia jak Karol Orleański, Jan de Nevers czy książę Alencon. Po lewej od d'Albreta stał ponury jak noc mistrz kuszników. W namiocie panował straszny hałas. Wszyscy byli w pełnych zbrojach i każdemu ruchowi towarzyszył

chrzęst stali. Nadto panowie nie zwracali uwagi na kró-

lewskich urzędników, pochłonięci rozmowami z przyjaciółmi i klientelą.

Konetabl przemówił, ale jego słowa utonęły w zgiełku.

Ponowienie prośby o ciszę nie przyniosło skutku. Dopiero gdy zirytowany marszałek postawił na

stole hełm, któ-

ry wcześniej trzymał pod pachą, i kilkakrotnie grzmotnął w niego płazem miecza, nastał jako taki spokój.

- Szlachetni panowie, zaczynamy naradę - odezwał

się nareszcie usłyszany konetabl, dziękując spojrzeniem 342

marszałkowi. - Najsampierw omówimy... - Jego słowa utonęły w gromkim szmerze i chrzęście. Ktoś krzyknął:

- Przejście dla jego miłości!

Po chwili przed królewskimi urzędnikami stanął młody książę Orleanu. Jego zbroja prezentowała się olśniewająco nawet na tle wybornych pancerzy innych możnych.

Zdobiona złotem i szlachetnymi kamieniami nie pozostawiała wątpliwości, że w żyłach jej właściciela płynie co najmniej kwarta królewskiej krwi. Książę miał zmarszczone brwi i zaciśnięte usta. Mimo tych usilnych zabiegów, na jego twarzy, zwłaszcza w jasnych, zamyślonych oczach, malowała się dziwna zaduma i jakby oddalenie.

Oblicze to bardziej niż do zbroi pasowało do owego złota i kosztownych kamieni, którymi ją wyłożono.

- Oto jestem, coś mnie ominęło? - zapytał książę.

- Nie, wasza miłość, właśnie zaczęliśmy - odparł konetabl, a w jego głosie zadźwięczała jakby lekka obawa. -

Otóż pierwsza kwestia, którą chciałbym z panami ro»

ważyć, jest następująca: czy czekamy na księcia Bretanii który jest jeszcze w Amiens?

Rozległy się głosy zbyt liczne, by można dosłyszeć, ktD

jakie ma zdanie.

- *Pax, pax...!* - krzyczał konetabl.

Po chwili zaczął mu akompaniować Boucicaut, płazując mieczem hełm, i zebrani ucichli.

- Moim zdaniem winniśmy czekać - ponownie zabrał

głos konetabl, spoglądając na księcia Orleanu.

Nagle wyrwał się do przodu książę Alencon.

- Na cóż jeszcze mamy czekać?! - Grzmotnął pancerną rękawicą o napierśnik i rozrzucił szeroko ramiona. -

343

Rozejrzyjcie się dokoła, panie d'Albret! Mało tu nas? Anglików jest garstka zaledwie!

Słowom księcia towarzyszyła żywa entuzjastyczna re-akcja zebranych.

- Zgadzam się z konetabłem! - oświadczył twardo Boucicaut, co nieco ostudziło zebranych. Ten i ów przyznał

marszałkowi słuszność.

Do rozmowy włączył się w końcu książę Orleanu.

- Wedle mnie czekaliśmy już i tak za długo! - rzekł. -

Pozwoliliśmy Anglikom wejść głęboko w nasz kraj. Nie po to mój dziadek Karol z konetabłem du Guesclinem tak zażarcie wydzielali naszą ziemię Anglikom, byśmy teraz pozwalali ją im jeszcze dłużej deptać.

- Niech żyje Orlean! - zakrzyknął stojący w pierwszym szeregu młody hrabia d'Artois.

- Niech żyje Orlean! - zawołało wielu innych, a po-

śród nich i konetabl, on jednak jakby mniej radośnie niż pozostali.

Boucicaut westchnął, a d'Albret rzekł:

- Skoro na to zgoda, to zastanówmy się, czy winniśmy czekać na marszałka Lognyego.

Widząc nadciągającą falę sprzeciwu, konetabl wycią-

gnął przed siebie okryte stalą ręce i zawołał:

- Pax! Zważcie, panowie, że marszałek jest już w drodze i prowadzi sześciuset konnych.

Zatrzymana fala po chwili znów by ruszyła, gdyby nie mocne słowa Boucicauta:

- Jestem za tym, żeby czekać! Przypomnijcie sobie, panowie, błędy naszych przodków! Pośpiech na nic nam się nie zda! Anglicy otoczeni, a nam jeno dyktować warunki!

344

-

Popieram marszałka! - zawołał d'Albret.

Alencon prychnął gniewnie, ale mimo wysokiego uro dnia wstrzymał się ze sprzeciwem.

- Książę Karol ma rację, by nie czekać - odezwał się świeżo pasowany Filip de Nevers. - Wydajmy wrogowi bitwę, cóż wobec naszej przewagi znaczy sześćset basinetów mniej lub więcej?!

- Niech żyje Burgundia! - rozległy się pojedyncze okrzyki.

- Dobrze mówicie, hrabio - stwierdził książę Orleanu.

Widać było, że z trudem przyszły mu te słowa. Wyrażały bowiem nie tylko aprobatę dla Burgundczyka, ale też pojednanie w obliczu wspólnego wroga.

- Niech żyje książę Orleanu! Niech żyje król! - zawo-

łał entuzjastycznie d'Artois, a po chwili dodał ku po-wszechnemu zdziwieniu, ale i radości: - Chwała hrabie-mu Nevers!

Reszta zebranych przyłączyła się do owacji, w których mieszały się słowa poparcia dla Orleanu, króla i Burgundii. Konetabl spojrział zrezygowany na marszałka. Boucicaut wzruszył jedynie ramionami, nie mając już najwyraźniej zamiaru czynić użytku ze swojego hełmu, i zaczął

krzyczeć z innymi. Konetabl zwrócił więc wzrok na pana Rambures. Mistrz kuszników patrzył jednak gdzieś przed siebie nieobecny wzrokiem. Nie mając nikąd poparcia, dowódca armii królewskiej również zaczął wiwatować na cześć księcia Orleanu i króla. Powszechna euforia mimo wszystko nie udzieliła mu się na tyle, by zaczął wynosić pod niebiosa księcia Burgundii, z którym od lat toczył wojnę i przez którego stracił raz swój urząd.

345

Rozległ się wielki szum i szcęk, gdy kolejne linie Anglików przykłękały, by po raz ostatni przed starciem uczynić znak krzyża. Wielu podniosło do ust garść ziemi.

Ucałowali ją na znak przymierza, czując, że mogą w niej pozostać na zawsze. Potem wstali i ruszyli. Kilkaset kroków przeszli bardzo powoli, by zachować jak najwięcej sił. Ich podeszwy wkrótce pokryła namokła gleba zmieszana z ziarnami pszenicy. Szli przez zaorane pole z godnością i spokojem, a do tego, choć przerażeni, w ładzie.

Chorągwie francuskie były coraz bliżej. Przed nimi wyrósł falujący las proporców i sztandarów, gonfanonów i gonfalonów, prostych i powycinanych w różnorodne zęby, wielo- i jednobarwnych. Pośród nich święty sztandar królów Francji, *wielki* szkarłatny gonfanon o pięciu zębach - Oriflamme - lekko, acz złowrogo unoszony nieznacznym wiatrem. Tuż obok, na równie dużym płacie materii, w polu srebrnym widniał czarny, gotujący się do ataku jeżozwierz, znak księcia Orleanu. Niedaleko powiewał sztandar konetabla i złociły się lilie z pasem trójzębnym w polu błękitnym, herb hrabiego Eu.

Angielscy rycerze czytali z tych znaków jak z księgi.

Większość wiedziała, naprzeciw kogo staje. Młodzi wy-pytywali czasem starszych, z kim przyjdzie im się zetrzeć. Tak też było z drugiej strony, z tą jednak różnicą, że niektórzy młodzi Francuzi o bardziej praktycznym podejściu pytali od razu, ile kto jest wart. Nie zamierzali walczyć o nędzne denary, skoro mogli poświęcić siły na zdobycie znaczniejszego okupu.

346

Francuska armia tłoczyła się w niewielkiej leśnej przesiece przed obozem. Uformowana została w trzy paroty-sięczne batalie stojące jedna za drugą. Francuscy dowódcy liczyli na to, że już atak dwóch pierwszych spieszonych oddziałów rozstrzygnie bitwę. Dlatego też najmożliwsi rycerze przepychali się ile sił w łokciach, by zająć pozycję bliżej czoła armii. Ostatnia batalia, złożona z dużej liczby konnych, miała właściwie tylko uczynić zadość formal-nościom.

Na flankach tych trzech wielkich formacji stały mniejsze oddziały ciężkozbrojnej jazdy, których zadaniem by-

ło przełamanie linii łuczników. Początkowo pan Rambures ustawił przed pierwszą batalią kilka tysięcy kuszników, którzy mieli rozpocząć bitwę, jednakże usunęło ich z pola bitwy żadne sławy rycerstwo. Stojący w pierwszej linii konetabl i marszałek wspomogli mistrza kuszników i starali się namówić szlachetnie urodzonych, by ustąpili pola jego ludziom, oni jednak nie chcieli o tym słyszeć.

Wypchnięci z szeregów i lżeni kusznicy przeszli na tyły, nie mogąc wystąpić przeciw woli lepszych od siebie.

Na prawym skrzydle znakomitej konnicy zaczął się ruch. Dowódcy, wśród których prym wiedli Wilhelm de Saveuse, Robert de Bar hrabia Marle, jak również do-

świadczony Clignet z Brabantu, zwrócili się do zgroma-dzonych pod swoimi sztandarami rycerzy. Naj donośniej przemawiał Saveuse:

- Oto przed nami Anglicy! Spójrzcie na łuczników, którzy stoją po bokach schowani za naostrzonymi palami. Nie lękajcie się! Ziemia miększa jest dziś niż ciasto.

Zaprawdę powiadam wam, Bóg jest z nami, skoro zrosił

347

miłosiernie to pole, gdyż jest to po naszej myśli, bo piersi naszych koni roztrącą owe patyki, które angielskie cham-stwo powbijało przed sobą, by schować się przed nami.

Położymy je niczym snopy zboża, a z nimi te tchórzli-we psy!

Z rycerskich gardeł dobył się krzyk aprobaty.

Panna Julia klęczała obok matki w oratorium kaplicznym na zamku pana Vaartbruta. Budowla ta była równie imponujących rozmiarów jak jej właściciel. Ponadto znajdowała się na dostatnich ziemiach Flandrii, która utrzymując silne związki handlowe z niemal całym cywili-zowanym światem, nie była

zagrożona wojną. Mimo to serce panny Julii było ściśnięte ze strachu, i to co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, jej ukochany pan Bertrand ryzykował życie na wyprawie wojennej, a po drugie, pani matka była tak blisko, że łącznie mogła odkryć, iż córka zanoszą modły w intencji owego rycerza.

Modliła się więc w myślach, udając jedynie, że zagląda do modlitewnika, a co jakiś czas mimowolnie podnosiła oczy i wzdychała.

- Duszno ci, moja droga? - zapytała w końcu pani Rambures, której wzdychanie córki nie pozwalało się skupić na modlitwie.

Dziewczyna z lekka poblądła i niezgrabnie poprawiła jedwabny czepiec.

- Ależ nie - zapewniła matkę.

- Cóż więc z tobą, moja droga? Ostatnio zachowywałaś się tak, gdy pan Clermont opuścił nasz zamek.

348

Słowa te zadziałały jak zaklęcie. Na twarz panny Julii wypłynął nieokielznany dziewczęcy rumieniec. Matka rzecz jasna natychmiast to dostrzegła. Nie czekając na odpowiedź, ujęła dłoń córki i uczyniwszy znak krzyża, powiodła dziewczynę przez kaplicę. Po drodze rzuciła tylko:

- Nie godzi się o takich sprawach rozmawiać w domu Bożym, wyjdźmy na podwórzec.

Stały w marmurowym portalu ozdobionym scenami z życia świętych. Czuć było jesienny chłód, więc panie schowały dłonie w podbijanych futrem szerokich rękawach sukien.

- Pójdźmy - powiedziała pani Rambures. - Arystoteles lubił rozmyślać, chodząc, dlatego nie miałybyśmy brać z niego przykładu?

Ruszyły wolno kruzgankiem.

- Chciałabyś pana Clermonta za męża? - zapytała bez ogródek matka.

- Najbardziej na świecie! - odrzekła po chwilowym zaskoczeniu Julia.

- Oho... aż tak? - Pani Rambures uśmiechnęła się. -

A myślisz, że on ci jest wzajemny?

- O tak - westchnęła rozmarzona Julia.

- Lepiej więc wróćmy do kaplicy i pomódlmy się, aby Bóg zachował nie tylko twego ojca, braci i siostrę, ale też pana Clermonta, którego tak umiłowiałaś. A o błogosławieństwo możesz być spokojna,

bo swoje ci dają już teraz, ojciec zaś twojego pana Bertranda między synów poli-czy. - Na twarz pani Rambures wyplął ciepły uśmiech. -

Byle tylko z wojny cało wrócili... - dokończyła z obawą w głosie.

349

Pierwsze strzały z sykiem wzniosły się w górę i długim łukiem przecięły pochmurne niebo.

- Zaczęło się - rzekł głucho sir Tomasz Chaucer, obserwując, jak pociski opadają na Francuzów.

- Miło było zawrzeć z wami znajomość - odezwał się stojący obok sir Ralf.

- Z wami również, panie Ralfie - powiedział Chaucer. -

Ale kto wie? Może kapryśna Fortuna da nam unieść głowy z tej przygody?

- No proszę, pokładacie jednak ufność w tej damie -

zauważył sir Ralf, uśmiechając się półgębkiem. Zaraz jednak mocniej zacisnął dłoń na młocie bojowym i spojrzał

z uwagą przed siebie.

Rozciągnięty przed nimi las sztandarów zafalował gwał-

towniej, zmacony pierwszą falą strzał. Ruszyły się oba skrzydła Francuzów, na których stała ciężka jazda. Ziemia zadrżała, najpierw lekko, a potem coraz silniej. Powiewały chorągwie, z jednej strony hrabiego Vendôme, z drugiej hrabiego Marle i pana Wilhelma de Saveuse. Mimo użytku, który jeźdźcy czynili z ostróg, a nawet płazów mieczy, ich destriery nie mogły nabrać pożądanego pędu. Grzęzły po pęciny w błotnistym polu i ryły je wielkimi kopytami.

Wkrótce na rycerzy oraz ich wierzchowce spadł deszcz strzał. Do przejechania mieli mniej niż trzysta kroków, ale zdawało się im, że jadą całą wieczność, powolni i bezradni jak w koszmarnym śnie. Strzały odbijały się i łama-

ły z suchym trzaskiem na blachach, część jednak znalazła cel w szczelinach zbroi, najwięcej jednak doszło gorzej chronionych koni. Rozległy się kwiki trafionych zwierząt i wrzaski ranionych ludzi. Wierzchowce padały na łeb, 350

wyrzucając jeźdźców z siodeł i łamiąc karki, a na domiar złego pociągały za sobą następne.

Mimo to dwa żywe stalowe tarany wpadły w stojących za palami łuczników. Kiedy Wilhelm Saveuse wyrokował

przed szarżą, że francuska jazda roztrąci pale wbite przez Anglików w rozmięktą ziemię, miał tylko częściową rację, większość kotów wytrzymała bowiem napór stalowych końskich napierśników.

Ironią losu wierzchowiec pana Saveuse również padł ich ofiarą, jeździec zaś, przeleciawszy przez koński łeb, z chlupotem padł twarzą na ziemię. Błoto błyskawicznie wypełniło otwory oddechowe hełmu i wizurę. Pan Saveuse podniósł zasłonę i plując brunatną mazią, rozejrzał się dokoła. Czuł potworny ból połamanych kończyn. Ostatnim, co zobaczył na tym padole, były sylwetki kilku łuczników, którzy podbiegli do niego z tasakami i siekierami. Potem zaczął krzyczeć, ale nie trwało to długo, bo Anglicy odwrócili go na plecy i zmiażdżyli mu twarz obuchami.

Taki lub podobny los spotkał w ciągu kilku minut wielu Francuzów. Był wśród nich młody hrabia Marle. Rycerz spadł z konia raniony strzałą w bark, tuż przy krawędzi naramiennika. Nieszczęściem sabaton uwiązał mu w strzemieniu, a ostroga przecięła bok destriera. Przer-

zone, ranne zwierzę wlokło swojego pana dobre pięćdziesiąt kroków. Gdy strzemień w końcu się zerwało, hrabiego opadli łucznicy. Miał on jednak więcej szczęścia niż Saveuse, gdyż przy upadku stracił przytomność i nawet nie poczuł ciosów spadających mu na kark.

Taplających się w błocie i próbujących wstać francuskich rycerzy dorzynano zajadle i bez litości. Wkrótce 351

kałuże zabarwiły się na czerwono. Łucznicy nie brali jeń-

ców. Była to czysta, dławiąca pańską dumę rzeź dokonywana rękoma ludzi, którzy na co dzień pasali owce lub młócili zboże.

Oparci Francuzi zawrócili konie, żeby nabrać impetu do kolejnej szarży, ale ich odwrót przeszedł w beładną ucieczkę. Wypuszczane z bliska strzały łatwo trafiały w cel, przebijały nawet słabsze elementy zbroi. Gęsto padali ranni i zabici, padały też ich konie, a na tych, którzy byli już na ziemi, czekały kordy, tasaki, łopaty, siekiery i ciężkie młoty do wbijania pali.

Gdy konnica wpadła między pale, od obozu Francuzów podniósł się wielki zgiełk. Zagrały trąbki i trąby, zadudniły bębny. Na ten sygnał stojący w pierwszej linii wielcy panowie zakrzyknęli. Nie był to ani piękny jednogłosny śpiew, ani modlitwa. Przypominało to raczej odgłosy z jarmarku, tyle że zamiast cen i nazw produktów wyrzaskiwano zawołania bojowe i wzywano licznych świętych.

Zaraz potem pierwsza batalia, wyglądająca jak niski stalowy zamek, ruszyła do boju równym krokiem.

Pierwsze trzydzieści kroków przeszła równo i pewnie, potem jednak zaczął się koszmar. Sabatony i długonose trzewiki ślizgały się i grzęzły w błocie rozrytym kopytami wierzchowców. Zaraz też nad maszerującymi zaśpiewały tysiące strzał. Łucznicy, którzy nie byli akurat zajęci dobijaniem jazdy, wypuszczali teraz pocisk za pociskiem, z piekielną szybkością, bo nie musieli nawet zbyt mierzyc do celu tej wielkości. Na domiar francuskiego nieszczęścia konie bez jeźdźców, rżąc przeraźliwie, usi-

łowały znaleźć drogę ucieczki z pola bitwy. Wybór miały 352

między dwiema ścianami lasu a nadchodzącą pierwszą batalią. Jakby na złość Francuzom sporo

zwierząt wybra-

ło tę drugą możliwość.

O ile szarża ciężkozbrojnej jazdy na Anglików była za-

łosnym fiaskiem, o tyle zderzenie uciekających bezpań-

skich koni i rejterujących rycerzy z własnymi szykami było zupełną katastrofą. Nastąpił niewiarygodny chaos.

Pierwsza batalia zachwiała się i zafalowała jak sztormowe morze. Zbrojni wpadali na siebie i deptali obalonych.

Panował ścisk, w którym niejeden oddał ostatni dech.

Dowódcy dziko wywrzaskiwali rozkazy, ale nie potrafili zapanować nad wojskiem. Cała pierwsza batalia zamieniła się w wielki kłęb ludzi i zwierząt, na który sypał się grad strzał. Mimo to nie przestawała brnąć przed siebie.

W końcu ostatnie konie wyrwały się z tego ogromnego wiru lub padły zduszone w tłumie.

Francuscy rycerze szli dalej i zostało im już tylko pięć-

dziesiąt kroków. Mogłoby się zdawać, że taki dystans to nic nawet dla zgrzybiałego starca. A jednak inaczej o tym myśleli Francuzi grzęznący w rozmięklej ziemi pod cię-

żarem stalowych blach okrywających całe ciało, mający ledwie kilka małych otworów w hełmach, by chłonać powietrze. Inaczej patrzyli na te pięćdziesiąt kroków, chyląc głowy w obawie przed strzałą. Zupełnie różnie wyglądał

ów śmiesznie krótki dystans, gdy starali się odwrócić my-

śli od martwych towarzyszy zdeptanych i zduszonych, nim jeszcze skrzyżowali broń z wrogiem. Mimo to szli nieustępliwie, a ostatnie kilkanaście kroków pod komendą konetabla i marszałka pokonali żwawym truchtem, chcąc odrzucić stojących naprzeciw Anglików.

353

Nikt z walczących nie słyszał dotąd tak głośnego dźwię-

ku jak ten, który rozległ się, gdy w końcu nastąpiło starcie. Angielscy rycerze stali na pozycjach wypoczęci i gotowi dać przeciwnikom godny odpór. Ale siła, która w nich uderzyła, nie mogli dać odporu. Zwarty mur tysiąca wojowników króla Henryka, choć zapierał się ile sił, został

odepchnięty. Razem, w szyku, bez paniki, ale niezaprzeczalnie. Poszły w ruch topory, kiścienie, miecze, włócznie, buzdygany i młoty rycerskie. Zabrzęczała stal. Rozległy się wrzaski, w pierw

zagrzewające do walki, później pierwsze okrzyki rannych i umierających.

Król Henryk, stojący w pierwszej linii z pięcioma giermkami, został wraz z nimi obalony. Widząc to, walczący blisko króla rycerze ruszyli mu na ratunek i od-rzucili Francuzów. Byli wśród nich sir Ralf i sir Tomasz.

Dwaj doświadczeni wojownicy wdarli się między Francuzów. Nawet w wielkim ścisku umieli znaleźć miejsce, by wyprowadzić cios. Atakowali rzadko, głównie się broniąc, ale ich ciosy odznaczały się zabójczą precyzją. Młot sir Ralfa zgruchotał nagolennik młodego giermka, po czym zdarł rycerski nakolaniek wraz z rzepką, pan Chaucer zaś wywijał nad głową towarzysza poleaxe'em, trzymając tłum na dystans. Król błyskawicznie powstał i ruszył w ciżbę walczących, nie chcąc pozostać w tyle.

Impet nacierającej batalii został powstrzymany. Francuzom szybko dało o sobie znać zmęczenie. Zaczęły im ciążyć zbroje, łąpczywie chwyтали oddech w zamkniętych hełmach. Na domiar nieszczęścia chorobliwa ambicja kazała im dążyć do zwania w samym centrum. Wkrótce tłok w szeregach atakujących stał się tak wielki, że wielu 354

świetnych wojowników nie mogło nawet unieść broni.

Niektórzy zostali obaleni przez ślepo prących do przodu kompanów. Inni, gnieceni ze wszystkich stron, bez tchu padali w błoto.

Na próżno marszałek nawoływał do porządku. Nic nie wskórał również d'Albret, którego wepchnięto prosto między rycerzy z pocztu księcia Yorku. Kilkanaście ciosów ciężkich poleaxe'ów i młotów bojowych spadło na wyśmienity pancerz, zamieniając konetabla w krwawy ochłap okryty popękana skorupą.

Do walki włączyła się w końcu druga batalia, pod wodzą książąt Alencon i Baru. Zdawało się, że wypoczęci Francuzi rozstrzygną na swoją korzyść losy bitwy. Zamiast jednak zgnieść z impetem Anglików, wpadli na rodaków z pierwszego rzutu, wprowadzając jeszcze większe zamieszanie. Książę Karol Orleański nawoływał towarzyszy, ale na próżno - nikt nie słuchał i każdy próbował zdobyć jak najwięcej chwały dla siebie.

Pierwsza batalia przypominała teraz wielką niezdarną bestię, która wpadła w ciasną szczelinę. Widząc tę nieporadność, część angielskich łuczników rzuciła łuki i do-skoczyła z boków do Francuzów, tłukąc ich tym, co akurat miała pod ręką. Stłoczeni rycerze Boucicauta odcinali się przeciwnikom ze wszystkich stron, ale nie wychodzi-

ło im to najlepiej. Nie obciążeni blachami łucznicy dopa-dali do nich, zadawali po kilka ciosów i uskakiwali w tył.

Padający ze zmęczenia Francuzi nie mieli sił ich gonić.

Nie trzeba było długo czekać na to, by walka przybrała dla pierwszej batalii dramatyczny obrót. Księcia Orleanu wciągnięto w głąb angielskich szeregów, gdzie został

błyskawicznie obezwładniony. Marszałek ruszył mu na ratunek, ale czyjś poleaxe posłał go na ziemię. Próbował

wstać, ale ktoś zdzielił go morgensternem po plecach.

Pancerz wytrzymał uderzenie, ale pozbawiło go ono sił

i tchu. Zaraz potem ktoś nastąpił wodzowi na rękę, ktoś inny potknął się o jego nogi i runął mu na plecy. Boucicaut zrozumiał, że bitwa się dla niego skończyła. Jeden po drugim francuscy panowie ściągali w poddańczym geście prawe rękawice, zdając się na łaskę Anglików.

Mundutn renovavit deus dum puerpera clausit intra viscera mare terram aera, qui sponte creavit et causa non extera.

Inflammatu nec crematu rubu hac et vellera gedeonis. Salomonis hic

prefulgent opera. Figura hac quod testatur.

Głosy chórzystów niosły się po książęcej kaplicy. Za-pełniali ją najbliżsi słudzy księcia, którzy ze swoim panem przyszli na mszę w intencji poległych w 1396 roku pod Nikopolis. Niektórzy mężczyźni pamiętali jeszcze ową niefortunną klęskę krzyżowców. Pamiętali szarżę na saraceńskich łuczników i strach, gdy zostali wzięci do niewoli. Cieszyli się, że mogą być teraz u boku swojego pana, a nie na jakimś rozmiękłym polu pszenicy dziesiąt-kowani przez angielskich łuczników.

Radość tę dzielił również Filip Munier, choć miał też pewne zmartwienie. Z obitych futrem rękawów jego sza-356

ty wystawały złożone w pobożnym geście dłonie. Jednakże pan Jossequin nie potrafił owego dnia oddać się bez reszty modlitwie. Cały czas gnębiła go myśl, że zawiódł swojego pana, a jego samego zawiedli wynajęci zabójcy. Muniera nachodziły niestosowne w domu Bożym myśli. Przypomniawsobie złowróźbny uśmiech bezczelnego Rouecourta i zdrajcę, którego wszak znał dość dobrze. Zastanawiał

się też, kogo pośle, żeby zlikwidował wreszcie owego nie-wygodnego człowieka, skoro Rouecourt ewidentnie za-wiódł. Przed oczyma przechodziły mu kolejno postacie znanych mu osobiście lub jedynie z reputacji morderców, zawadiaków i wszelkiego autoramentu niebezpiecznych oprychów.

Qui de morte suscitatur, et ad

vitam revocatur homo. Vicio

qui fuscabatur tam virtute

decoratur homo.

Tymczasem książę Jan z radością spoglądał na swój chór, który tak bardzo starał się uświetnić. Na jego twarzy malowała się jednak również odrobina smutku. Być może przeczuwał, że jego kapliczny chór nigdy nie dorówna temu, który stworzył jego ojciec. Być może przyszło mu do głowy, że niedługo będzie musiał zapłacić za mord na królewskim bracie, a może po prostu martwił się o własnych braci, którzy wyruszyli na wojnę.

Antoni książę Brabantu dał ostrogę galopującemu ostatkiem sił koniowi. Już dawno wyprzedził swój poczet, za 357

wszelką cenę usiłując zdążyć na bitwę, na którą spieszył

prosto z uroczystości weselnej. W prześwicie między drzewami dostrzegł w końcu linię francuskiego rycerstwa.

Była to trzecia grupa uderzeniowa, dowodzona przez Waleriana de Reinevala hrabiego Fauquem. Wierzchowce przebierały w miejscu kopytami, a rycerze trzymali kopie wsparte tyłcem na strzemienu.

Gdy książę podjechał bliżej, zauważył, że ciężka jazda nie jest zupełnie nieruchoma. Grupa pana de Reinevala nieustannie falowała, a konie przesuwwały się na boki, ustępując z drogi uciekinierom z pola walki.

Książę Antoni wyjechał w końcu na rozległą przesiekę, na której od dwóch godzin rozgrywała się bitwa. Jego oczom ukazał się smutny widok: Francuzi tłumnie i w nie-

ładzie opuszczali pole bitwy. Do jego uszu doszedł potęż-

ny zgiełk, dzika mieszanina dźwięków, a wszystkie wydawały się nieludzkie. Pan Brabantu nie trwonił jednak czasu na kontemplowanie bitwy, przyjechał tu bowiem, żeby walczyć, i nic nie zdołałoby go od tego odwieść.

By dopiąć swego, zaczął się gorączkowo rozglądać za swoim poczetem, który prowadził jego szambelan, pan Goblet Vosken. W końcu dojrzał w polu niewielką grupę zbrojnych trzymającą się nieco na uboczu głównego starcia, zebraną pod sztandarem, na którym widniał książę-

cy herb - dzielony na cztery, w części pierwszej i czwartej pole niebieskie usiane liliami złotymi o kresie na przemian czerwonym i srebrnym, w części drugiej i trzeciej w polu czarnym lew stojący złoty, zbrojenia i język czerwone. Książę popędził konia i puścił się galopem na skos przez pole bitwy, zerkając pogardliwie na stroniącą od 358

walki grupę hrabiego de Reinevala. Gdy tylko dotarł do swoich, zeskoczył z konia i podbiegł do zaskoczonego szambelana.

- Panie Vosken, wasza zbroja! - zawołał, nim jeszcze się zatrzymał.

- Słucham?! - Pan Goblet zaczął szybko ściągać hełm w obawie, że źle zrozumiał swego

chlebodawcę. Gdy tylko to zrobił, księżę Brabantu wyrwał mu go z ręki.

- Bardzo dobrze, teraz reszta...

- Słucham?!

- Przeciwnie, Goblet, coś nie słuchasz! Powiedziałem, żebyś ściągnął zbroję! - wrzasnął Antoni Brabancki, usi-

lując przekrzyczeć bitewną wrzawę.

Szambelan otworzył usta, ale widząc poczerwieniałą twarz seniora, zaczął pośpiesznie odpinać naramiennik.

Pan Brabantu rozejrzał się, wypatrując kogoś wśród otaczających go ludzi, z których kilku pomyślało sobie, że takie spojrzenie miał święty Jerzy, gdy zabijał smoka.

- Trębacz! - zawołał księżę, zdzierając z siebie bogato zdobioną jedwabną houppelande.

Przed grupę zbrojnych wystąpił młody mężczyzna, drżą-

cą ręką ściskając instrument. Antoni przyskoczył do niego, gdy tylko uporał się z houppelande. Jedną ręką chwycił trąbkę, a drugą oderwał od niej proporzec ze swoim herbem. Ściskając w rękę zdobycz, zwrócił się do spoglą-

dających nań zdziwionych rycerzy.

- Na co czekacie, do kroćset diabłów?! - zawołał. -

Pomóście mi wdziać zbroję i ruszamy w pole!

Rycerze i giermkowie, nie bez kłopotów, jako że sami byli w zbrojach, pomogli okryć blachami swego księcia, 359

który łajał ich nieprzystojnie i wytykał im opieszałość.

Kiedy ostatnia sprzączka naręczaka została zapięta, Antoni kazał zawiązać sobie na szyi niewielki proporzec, który wydarł trębaczowi, i zatrzaskał zasłonę hełmu.

Po chwili podniósł ją jednak, zorientowawszy się, że nie ma broni. Rozejrzał się nieprzytomnie. Kilka kroków od niego leżał w błocie rumak i rycerz przebici strzałami.

Antoni przyskoczył do poległego i wyrwał z jego prawicy pięknej roboty półtoraręczny miecz. Zaciekawiony zerknął na częściowo wgnieciony w ziemię tabard trupa.

Cóż, wicehrabio, postaram się oddać miecz nie naru-szony, pomyślał, i odwróciwszy się do swoich ludzi, zakrzyknął:

- Na nich, panowie, kto w Boga wierzy! Za króla i Matkę Boską!

Ruszyli zwartą grupą, chcąc się przebić do centrum pola bitwy, gdzie sytuacja stawała się tragiczna dla Francuzów.

- Wracajcie, panowie! Zaklinam was na honor!

Rozpaczliwe wrzaski księcia Alencon z trudem prze-dzierały się przez bitewną wrzawę. A ci, do których dotarli, zrozumieli głównie to, że sytuacja jest rozpaczliwa, i zamiast usłuchać seniora, zdwoili wysiłki, by wydostać się z morderczego ścisku. Alencon wołał, przetykając łyzy wściekłości i goryczy. W końcu zamilkł, oderwał pogiętą zasłonę hełmu i rzucił się z powrotem w wir walki. Potrą-

cony i parokrotnie popchnięty przez uciekających kompanów, dotarł w końcu do linii angielskiego rycerstwa.

360

Tuż przed sobą zobaczył napierającą grupę zbrojnych.

Spojrzał na sztandar i zrozumiał, że jego życie dobiega końca.

Jeden z królewskich giermków rzucił się na księcia, tnąc oburącz mieczem. Alencon przyjął cios i dał gwał-

towny odpór. Skrzyżowane w bliskim zwarciu miecze ześlizgnęły się po zbrojach, jednak impet książęcego uderzenia wytrącił giermka z równowagi. Francuz ciął

oburącz zza głowy. Krew chlusnęła spod rozciętego stalo-wego podbródka, obryzgując już i tak całkowicie zbruka-ny książęcy tabard. Zaraz potem Alencon runął do tyłu, puszczać miecz i brocząc krwią z rozciętej szczęki. Nie zauważył nawet, że otrzymał cios od samego króla - nie myślał zresztą, kto go zranił, gdy podnosił się, krwawiąc, na kolana.

Z trudem uniósł prawicę, dając znak, że odstępuje od walki. Zbyt późno jednak. Jeden z walijskich giermków Henryka stał już nad nim i opuszczył mu na głowę ciężkie żeleźce poleaxe'a. Książę Alencon nie wydał najmniej-szego dźwięku, gdy jego przecięta na pół głowa padła w błoto.

Pan Rambures, który poszedł do boju w pierwszej batalii, leżał oszołomiony pośród spiętrzonych ciał. Ostatnim jego wspomnieniem był widok najstarszego syna przy-bitego do ziemi włócznią, potem coś pozbawiło go przytomności. Nie bardzo wiedział, gdzie jest, a w uszach wciąż mu dzwoniło. Poderwały go na nogi czyjeś krzep-kie ręce. Ludzie mówiący w niezrozumiałym języku po-361

wiedli mistrza kuszników przez pole. Wszędzie wokół

pełno było angielskich rycerzy, z czego wyciągnął dwa wnioski. Po pierwsze, że bitwa wciąż się toczy, a po drugie - że znalazł się na tyłach wroga, który odparł francuskie natarcie i sam przeszedł do ataku.

Rambures potoczył wokół ledwie przytomnym wzrokiem. Dwóch zbrojnych doprowadziło go przed kordon Anglików, za którym stały setki rozbrojonych francuskich rycerzy. Wepchnięto go między jeńców i dopiero tu pojął

grozę sytuacji. Wśród stojących obok niego rycerzy dojrzał zalanego łzami goryczy księcia Orleanu, a tuż obok bladego jak śmierć hrabiego Eu, a prócz nich mrowie możliwych, wspaniałych rycerzy w powyginanych zbrojach i poszarpanych, okrwawionych tabardach. Byli bez hełmów, a wielu również bez prawych rękawic, które oddali przeciwnikowi. Nie wszyscy pilnujący jeńców Anglicy byli szlachetnie urodzeni. Stało tam wielu łuczników szydzących w najlepsze z pojmanych arystokratów i pokazujących w nieprzystojnym geście dwa palce prawej dłoni.

Mistrz kuszników uczuł, że głowa sama opada mu na piersi i do oczu cisną się łzy. Wracająca świadomość przypomniła mu, że na jego oczach zabito mu właśnie trzech synów.

Paix est tresor qu'on ne peut trop loer.

*Je higuerre, point ne la doyprisier**

Karol Orleański

ir Ralf pochylił się i wsparł ciężące mu S ramiona na udach. Przed nim leżał hełm, a z głowy rycerza aż parowało. Oddychał miarowo i głęboko, wracając do siebie po morderczym starciu.

Stojący obok sir Tomasz, dysząc jak miech, niemal wisiał na swym zakrwawionym poleaksie. Znajdowali się obecnie na tyłach armii. Przed nimi kilka tysięcy Anglików brało jeszcze udział w bitwie, ale Francuzi byli już w odwrocie.

- Wychodzi na to, że obaj żyjemy - zauważył sir Ralf, wreszcie odzyskawszy dech.

Sir Tomasz tylko pokiwał głową, a potem wskazał coś ręką. Pan Moorow podniósł oczy. Niedaleko od nich stał

ogromny krąg łuczników i rycerzy otaczający setki pokonanych Francuzów. Panowie Tomasz i Ralf postanowili dołączyć do kordonu.

** Pokój to skarbiec o niezmiernej cenie; Wojny i nienawidzę, i nie cenię {Op. cit, przeł. Jacek Kowalski)*

363

- Szliśmy jak na rzeź, a oto setki pobitych wrogów. Le dwie ludzi starcza do pilnowania - zauważył sir Ralf, gdy podeszli.

Jeńców ciągle przybywało i było ich wielekroć więcej niż strażników. Francuzi w większości byli w pełnych zbrojach płytowych, oprócz hełmów, które pozdejmowali, by zaczerpnąć tchu. Na ziemi tuż za kordonem leżały stosy porzuconej broni. Sir Ralf, widząc napięte ze zdenerwowania i nienawiści twarze łuczników i stojących za nimi rycerzy, poczuł, że lada chwila może dojść do czegoś wielce haniebnego.

Spojrzał na stłoczonych Francuzów. Uwalane błotem pancerze i zmęczone, często poranione oblicza składa-

ły się na obraz porażki. Tuż obok sir Ralfa jakiś brodaty rycerz spuścił głowę i zasłochał. Wyróżniał się potężną budową ciała, ale miał na sobie białą zbroję, bez żadnych oznaczeń, więc Anglik go nie rozpoznał. Pan Rambures również nie zdawał sobie sprawy, że stoi przed nim człowiek, z którym skrzyżował broń na leśnym trakcie w okolicach Noyon. Zresztą nie miało to już większego znaczenia.

Do grupy trzymany na uboczu Francuzów podbiegł

posłaniec królewski. Dysząc ciężko, wskazał na pobliski las i zawołał:

- Tamtędy. . Francuzi! Tabor zaatakowany! Król roz kazuje zabić jeńców!

Sir Ralf spojrział na las, nim pojął, co wykrzykuje po-słaniec. Między drzewami migały sylwetki jeźdźców. Niektórzy oddalali się od placu boju, ale inni rzeczywiście zmierzali w stronę obozu. Dopiero teraz do sir Ralfa do-364

tarło ostatnie zdanie gońca. Pan Moorow zamarł. Popatrzył na sir Tomasza, który z półotwartymi ustami wpatrywał się w posłańca, ten zaś chrapliwie powtórzył:

- Zabić jeńców! Oto słowa króla!

Zapanował chaos. Niektórzy Francuzi, zrozumiałwszy wiadomość, zaczęli krzyczeć oburzeni i przerażeni. Inni dopytywali się, o co chodzi. Angielscy rycerze z kordonu podzielili się na trzy grupy. Jedni stali jak wryci, mimo jasnego rozkazu nie wiedząc, co czynić. Drudzy i trzeci zaprotestowali. Z tą różnicą, że jednych oburzyło, iż mają mordować rozbrojonych rycerzy, a drugich to, że odbiera im się ich prawo do okupu za pochwyconych. Niezależ-

nie od motywu żaden z angielskich rycerzy nie zamierzał

wykonać rozkazu. Widząc, że jego słowa nie trafiają na żyzny grunt, goniec zwrócił się do łuczników:

- Król rozkazuje zabić jeńców!

Któryś z wezwanych do mordu zawinął młyńca cięż-

kim młotem i spuścił go na nogę jednego z Francuzów, która wykręciła się nienaturalnie w nakolanniku. Rycerz upadł, skowycząc. Stojący obok łucznik przyskoczył do niego. Błysnęła klinga puginału i na szyi jeńca wykwi-tła czerwona linia. Skowyt przeszedł w bulgot. Wszystko jakby zastygło na moment. Jeńcy i strażnicy spojrzeli w milczeniu na krótką agonię rycerza, a potem zaczęła się rzeź. Francuzi krzyczeli i bronili się ile sił, ale wobec uzbrojonego przeciwnika byli bezradni. Celowano w gło-wy i twarze. Dźgano po oczach i w szyje. Przygniatanym do ziemi miażdżono krtanie i łamano karki. Zlani krwią łucznicy nie słuchali błagań o litość. Mimo nieludzkich wrzasków mordowali, bo taki był rozkaz.

365

Sir Ralf rzucił się w środek jatki i pochwycił księcia Orleanu, którego poznał po resztkach herbu widocznych spod błota na tabardzie. Pociągnął młodego Francuza ku sobie i wrzeszcząc, odepchnął od niego dwóch łuczników z siekierami.

- Precz! Precz, psy, od księcia!

Pan Chaucer wyrwał z szamotaniny hrabiego Eu, samemu narażając się na razy zatraconych w rzezi łuczników. Kilku innych angielskich rycerzy również usiłowało uratować co znaczniejszych jeńców, lecz szło im to z podobnym trudem.

Popchnięty pan Rambures podniósł głowę. Początkowo miał nieprzytomne spojrzenie, jakby nie wiedział, gdzie jest i co się wokół niego dzieje. Gdy to wreszcie pojął, na twarz wystąpiły mu czerwone plamy. Dopadł zamierzającego się łopatą łucznika i cisnął nim o ziemię jak kukłą.

Pochwycił upuszczone przezeń narzędzie i z dzikim rykiem ruszył przed siebie. Kolejny Anglik, który zastąpił

mu drogę, padł, plując krwią, ze zgruchotanymi mimo przeszywanicy żebrami. Jeden z łuczników skoczył na rycerza, usiłując go obalić, lecz potężne ramię strąciło go jak natrętne kocię. Zaraz potem Rambures złamał łopatę na jego głowie. Hełm wytrzymał, ale kark pękł jak spróchniały patyk. Mistrz kuszników obrócił się, szukając broni, lecz znalazł jedynie sztych kordą, który przebił

mu na wylot czaszkę. Ogromne ciało momentalnie padło na ziemię. Łucznik wyciągnął klingę i ruszył szukać kolejnego Francuza.

366

Sir Ralf trzymał za ramię księcia Orleanu i w zaciętym milczeniu obserwował rzeź. Koło Francuzów zdążyło poważnie stopnieć do czasu, gdy kolejny goniec przyniósł

rozkaz, by zakończyć masakrę. Okazało się, że francuski oddział, który zaatakował tabor, był za mały, aby przeważyć szalę zwycięstwa. Anglikom nie groziło już okrą-

żenie. Pozostało im jedynie oczyścić skrwawioną broń.

Kończy się moja epoka, najwyższy czas umierać, pomyślał z goryczą sir Ralf, patrząc na trupy jeńców.

Wokół namiotu, w którym ich przetrzymywano, wrzało jak w ulu. Bitwa osiągnęła apogeum i nawet ciury obozowe biegały jak szalone, łapiąc uciekające konie i ściągając rannych z pola. Czeladzi pomagali zapanować nad chaosem odsunięci od walki kusznicy.

- Ha! Niech żyje król! Sądząc po tym popłochu, dajemy im łupnia! - wołał baron Pitchfork.

- Najwyższy czas uciekać, tylko cóż zatrzymuje waszą ukochaną?! - pytał Guillaume, próbując przekrzyczeć panujący na zewnątrz hałas i radosne porykiwania barona.

- Obawiam się, że wiem o tym tyle co i wy - odparł sir Robert, nerwowo obserwując wejście do namiotu.

Po chwili lniana płachta odskoczyła w bok, a w wejściu stanęła panna Rambures z dużym kuchennym nożem w garści. Za jej plecami ludzie biegali w tę i z powrotem jak wściekłe osy. Dziewczyna podbiegła do masztu i zaczęła ciąć sznury. Gdy uwalniała z pęt sir Roberta, przyłgnęła do niego i pocałowała w usta. Rycerz poczuł, 367

jak wrze w nim krew, i nawet na moment uwierzył, że ta desperacka ucieczka może się powieść.

Wiedział, co należy teraz zrobić. Gdy tylko Maria odsunęła się od niego, by uwolnić pozostałych, skoczył do szkatuły pana Rambures i włożył ją pod pachę. Zaraz potem zwrócił się do uwolnionych towarzyszy. Sir Artur i Guillaume podtrzymywali się nawzajem i kuśtykali w stronę wyjścia, a Maria pilnowała, by któryś nie upadł.

Robert chwycił leżący pośród sprzętów jednoręczny miecz. Zważył go w dłoni i z obnażoną klingą wyskoczył

przed namiot, zanim pozostali dotarli do wyjścia. Obowizisko wyglądało jak podpalony ul. Ludzie i zwierzęta biegali bezładnie. Nieopodal kilku okrwawionych giermków płakało nad zwleczonym z pobojowiska ciałem pana.

W innym miejscu grupa kuszników wybierała co cenniejsze sprzęty z oznaczonego dwiema rybami namiotu.

Zaledwie parę kroków przed sir Robertem przemknął

spieniony koń bez jeźdźca. Kropierz i pęciny zwierzę-

cia uwalane były błotem i krwią. Rycerz spojrzął za ramię, a jego wzrok zatrzymał się na jakichś ludziach biegnących w jego stronę. Przed trzema uzbrojonymi w glewie żołnierzami pędził Huxley. W garści trzymał

obnażony miecz, a palcem lewej ręki mierzył w sir Roberta.

- Drugą stroną! Rozetnijcie tylną ścianę i uciekajcie tamtędy! - krzyknął młody rycerz do towarzyszy, którzy dokuśrykali już prawie do wejścia.

Sir Artur zerknął kuzynowi przez ramię.

- Czyż to nie ów zdrajca Huxley biegnie ku nam, jakby go śmierć gnała? - zapytał.

368

- W rzeczy samej, a teraz proszę odwróćcie się i uciekajcie - powtórzył błagalnie Robert.

- Mowy nie ma, bym uciekał przed tym psem! - zadudnił basowo baron, po czym odstąpił od Guillaumea.

Giermek zachwiał się pozbawiony podpory, ale Maria w porę go podtrzymała. Tymczasem sir Artur, nie zważając na swój stan, wyszarpnął z drewnianego stojaka cięż-

ki półtoraręczny miecz.

Szaleństwo, pomyślał podekscytowany sir Robert. Ostroż-

nie postawił za sobą szkatułę z listami i oburącz ująwszy miecz, zmówił w duchu krótką modlitwę. U

jego boku pojawił się Artur, który mimo ran stanął w nienagannej pozycji fechtunkowej.

- Czyście powariowali? Przecież oni was zabiją - rozległ się za ich plecami głos Marii.

- Nie wiem, czy zwariowaliśmy, ale oni zapewne nas zabiją - stwierdził rozbijając Robert.

Nagle z boku, pomiędzy namiotów, wypadł wierzchowiec. Okrytego stalą destriera dosiadał Clermont.

Koń szedł galopem, wyrzucając spod kopyt grudy błota.

Kropierz łopotał od pędu, a ladry chrzęściły przy każ-

dym ruchu. Tylko opuszczona kopia i prawica Clermonta były nieruchome niczym wykute w kamieniu.

- Pięknie prowadzi - komentował baron, kiwając głową.

-

To prawda - przyznał mimowolnie sir Robert.

Maria popatrzyła na stojących przed nią rycerzy i unio sła wzrok ku niebu.

- To nie turniej, drodzy panowie, tu idzie o nasze ży cie! - zakrzyknęła, ciągnąc Roberta za ramię.

Rycerz jednak stał jak wrośnięty w ziemię, podziwia-369

jąc scenę rozgrywającą się ledwie dwadzieścia kroków dalej. Huxley i żołnierze zauważyli Clermonta, dopiero gdy był już o długość kopii przed nimi. Kował skoczył

szczupakiem w bok i zgrabnie się przeturlał. Pozostali nie zdążyli umknąć. Clermont przeszył na wylot pierwszego ze zbrojnych, który stanął mu na drodze. Mężczyzna poleciał w tył jak zdmuchnięty przez wichurę liść i padł na plecy z drzewcami skruszonej kopii sterczący-mi z piersi. Jeździec, nie tracąc pędu, naparł wierzchow-cem na kolejnego żołnierza. Zerwany kopytem basinet przekoziółkował kilkakroć po ziemi, rozchlapując krew ze zmiażdżonej głowy. Ostatni ze zbrojnych rzucił glewie i puścił się pędem między pobliskie namioty.

Clermont dobył miecza i obrócił spienionego wierzchowca. Huxley rozejrzał się i widząc, że nic nie wskóra przeciw konnemu, wziął nogi za pas. Pan Clermont za-salutował Anglikom mieczem i popędził konia za uciekającym.

- Skoro rycerskie popisy mamy już za sobą, to może uciekniemy stąd wreszcie?! - zawołała Maria i wyduła usta, okazując niezadowolenie.

- Oczywiście, najdroższa - odparł radośnie sir Robert, ignorując dąsy ukochanej, po czym podniósł szkatułę i pobiął przed siebie.

Panna Rambures pokręciła głową i westchnęła, ale ruszyła za swoim rycerzem.

Guillaume znów stracił równowagę, ale tym razem przyszedł mu z pomocą baron, podtrzymując go ramieniem.

- Cóż, chyba jesteśmy zdani na siebie - zauważył pan Pitchfork, patrząc za biegnącą parą.

370

Guillaume zrobił kwaśną minę i pokręcił głową. Zaraz jednak oczy mu zabłyśły, gdy jego wzrok padł na szparę w słabo związanych tylnych płachtach namiotu.

- Jeśli się nie mylę, tam stoi jakiś koń - powiedział.

- No cóż, mnie też się tak zdaje - ocenił baron.

Zaciekawieni obeszlili namiot. Między napiętymi linami stał okryty stalą wierzchowiec. Koń ze spokojem obwąchiwał ziemię pod lnianą płachtą sąsiedniego namiotu. Wyglądało na to, że usiłuje wsadzić pod nią łeb. Guillaume pogłaskał go po szyi, drugą ręką ujmując wodze.

- Chyba zasmakowało mu czyjeś posłanie - zauważył

wesoło, przypatrując się, jak zwierzę dobiera się do siennika. - Zdejmę z niego ladry, nim wsiądziemy - zaproponował.

- No cóż, dobrze - zgodził się łaskawie sir Artur. -

Szkoda, że mój kuzyn i panna Rambures zachowali się tak lekkomyślnie i pobiegli beztrosko przez obóz.

- Prawo zakochanych, ale może zdołamy ich odszukać - odrzekł giermek, ostrożnie zdejmując koniowi na-czółek.

Sir Robert biegł przed siebie, zgodnie z prawem zakochanych nie mając pojęcia, co właściwie chce osiągnąć. Po prostu liczył na to, że znajdą jakieś osiodłane konie. Po chwili zauważył jednak kilka luk w swoim planie. Zatrzymał się, łapiąc oddech.

- Dlaczego stanąłeś? - zapytała panna Rambures.

- Bo muszę zebrać myśli. Biegając na oślep, możemy nie znaleźć koni.

371

- Stojąc, mamy natomiast pewność, że ich nie znajdziemy - zauważyła Maria.

- Słusznie, czy zatem powinniśmy biec dalej? - Robert wyprostował się i rozejrzał dokoła.

Między namiotami przebiegali zbrojni i serwanci. Na ich twarzach malowało się przerażenie. Tuż obok dopalało się jedno z wielkich ognisk rozpalonych poprzedniej nocy. Koni jednak jak na złość nie było.

- Nie wiem - odrzekła po chwili Maria.

- Może więc skryjmy się w lesie i poczekajmy na moich rodaków. Sądząc po nastrojach panujących w obozie, los im sprzyja. Jeśli wygrają, jesteśmy bezpieczni.

- Nie jesteśmy bezpieczni - wyszeptała Maria, łapiąc Roberta za rękawy.

- Czyli nie wygrają? - zapytał młody rycerz, patrząc zdziwiony to na ukochaną, to na uciekających Francuzów.

- Nie. Nie to miałam na myśli... - odrzekła pobladła Maria, spoglądając na coś za plecami Roberta.

- Jakże to? Skoro twierdzisz, że nie jesteśmy bezpieczni...

Zanosilo się na dłuższy wywód, toteż Maria, która zblad-

ła jeszcze bardziej, obróciła Roberta w stronę, w którą patrzyła.

Ścieżką między namiotami szedł prosto na nich Huxley.

Twarz miał dziko wykrzywioną, a w ręku ścisnął miecz.

- Pan Clermont... zabił pana Clermonta... - wyszeptała przerażona Maria.

- Zabiłeś pana Clermonta, Huxley? - spytał niezbyt lotnie Robert.

- Nie musiałem. Wpadł między namioty i zaplątał się

w liny. Jeśli oddacie mi szkatułę z listami, pozwolę wam odejść.

- Nie - odparł twardo sir Robert, po czym spokojnie odłożył przedmiot sporu i stanął z mieczem w pozycji fechtunkowej.

- Robercie, błagam cię, oddaj mu tę szkatułę. - W słowach Marii pobrzmiwał niepokój i zdumienie.

- Nie. Dla tych listów zginęło zbyt wielu ludzi, żebym oddał je teraz tak po prostu temu zdrajcy, ku hańbie kró-

la i księcia, z którym miał paktować.

- Nie wierzę. Miałam cię, Robercie, za człowieka uczzonego i rozsądnego... - Maria popatrzyła chłodno na rycerza.

Sir Robert posmutniał, ale nie opuścił miecza. Postąpił

mimo to dość rozsądnie, gdyż Huxley właśnie przyskoczył do niego w miękkim wypadzie.

Robert zbił miecz kowala w półobrocie, po czym bez przekonania i finezji zaatakował na czoło. Kowal bez trudu sparował i ciął na odlew. Zaczęła się szybka wymiana uderzeń, w której rycerz cały czas tracił pole. Na szczę-

ście miał się gdzie cofać, a na nieszczęście dla Huxleya Maria postanowiła działać. Chwyła szkatułę z doku-mentami i cisnęła ją w ognisko.

- Masz swoje listy! Weź je sobie, jeśli wola! - zawołała, biorąc się pod boki i patrząc wyzywająco na kowala.

Huxley odskoczył od przeciwnika jak oparzony i dopadł stosu polan, nie dostrzegł jednak między nimi szkatuły. Robert, chcąc niezbyt honorowo wykorzystać okazję, zwinął się w wypadzie, Huxley jednak dostrzegł ruch kątem oka i błyskawicznie zszedł z linii ataku. Sir Robert 373

stracił równowagę, a kowal podciął jego wystawioną do przodu prawą nogę. Rycerz, który z jękiem rozciągnął się w szpagacie, powstał najszybciej jak zdołał, ale to nie wystarczyło. Huxley zdzielił go mieczem w nie zagojony łuk brwiowy. Sir Robert krzyknął i wypuściwszy broń, poderwał dłonie do głowy. Upadł na kolana, a pomiędzy kurczowo zaciśniętych na twarzy palców pociekła krew.

- Nie zabijaj go! - krzyknęła zrozpaczona Maria.

Dziewczyna stała z rękoma złożonymi jak do modlitwy, z twarzą ściągniętą strachem. Huxley odstąpił od Roberta i spojrzał na nią. Na jego twarzy nie było już wściekłości, zastąpiło ją coś gorszego. Lodowate spojrzenie zielonych oczu świdrowało Marię.

- Oczywiście - powiedział. - Dlaczegoż miałbym go zabijać? W końcu to wy wrzuciliście listy w ogień.

Huxley postąpił krok w stronę Marii. Chciała uciekać, szukać schronienia, ale nogi odmawiały jej posłuszeń-

stwa. Czują, że zaraz stanie się coś strasznego. Sir Robert, jęcząc, spojrzał na Huxleya. Spróbował wstać, ale ból go obezwładnił.

- Mam lepszy pomysł - ciągnął kowal. - Po prostu zawiozę was do narzeczonego. Czyż nie byłoby to chrze-

ścijańskie wyjście z sytuacji? - Podeszedł do Marii na wy-ciągnięcie ręki. - Zapewne spełniłbym też ostatnią wolę nieboszczyka ojca - dodał, spoglądając na pole bitwy, na którym jakby robiło się ciszej.

- Nie... - wyszeptała pobladłymi wargami Maria, gdy Huxley szarpnął ją za rękę i pociągnął za sobą.

Sir Robert pomyślał, że jest ofiarą sennego koszmaru. Powstał chwiejnie. Na jego twarzy krew zmieszała się ze łzami 374

bólu i bezsilnej wściekłości. Wszystko było rozmyte. Spróbował otrzeć twarz i pobiec za Huxleyem, ale po kilku krokach poczuł, że zaraz zemdleje. W oczach latały mu czarne plamy.

Maria szarpała, kopała i tłukła Huxleya pięściami, on jednak ciągnął ją za sobą tak szybko, że większość ciosów nie dochodziła celu. Sir Robert przystanął i wsparł dłoń na kolanie, by złapać równowagę. Drugą ręką uciskał

ranę, z której bezustannie ciekła krew. Już prawie zupeł-

nie stracił z oczu ukochaną i kowala, gdy ten przystanął

nagle, jakby sobie o czymś przypomniał. Maria wykorzystała ten moment, by do niego przyskoczyć. Chciała zdzielić go pięścią w szyję, ale Huxley chwycił ją za nadgarstek i uderzył głową w czoło. Panna Rambures padła bez *przytomności* na ziemię, a Hiudey zakrzyknął do oniemiałego Roberta:

- Aha! Byłbym zapomniał! Nie zwracajcie się do mnie nigdy więcej jak do kmięcia, bom rycerz. Jestem Jan Ha-

uelin, gdyby was to ciekawiło!

Następnie podniósł nieprzytomną pannę Rambures i za-rzuciwszy ją sobie na plecy, puścił się biegiem między namiotami, aż zniknął Robertowi z oczu. Młody rycerz ryknął

ze wściekłości i bardziej wysiłkiem woli niż mięśni ruszył za Huxleyem. Po paru krokach ogarnęła go jednak ciemność.

Ocuciło go lekkie uderzenie w twarz i znajomy niski głos. Rozejrzał się zdziwiony. Przez myśl przeszło mu, że to wszystko jedynie mu się przyśniło. Ale przeszywający głowę ból promieniujący znad prawego oka uświadomił

mu, że albo to nie był sen, albo koszmar wciąż trwa.

375

- Cóż się stało, kuzynie? - zapytał z troską klęczący nad nim Artur. - Gdzie panna Rambures?

- Huxley... - wyszeptał słabo sir Robert. - Spaliliśmy listy, a on ją porwał z zemsty...

W obozie panował spokój. Uciekinierzy zdążyli już go opuścić, a ci, którzy mieli go triumfalnie splądrować, jeszcze nie nadeszli. Padał słaby deszcz, a wiatr unosił

ostatnie kłęby dymu z dogasających ognisk. Guillaume stał tuż obok, trzymając konia, i pilnie obserwował okolicę.

- Na pewno je spaliliście? - zapytał niespodziewanie giermek, patrząc w ledwo tłące się polana najbliższego ogniska.

Sir Artur również tam spojrział.

- Ha! - odezwał się. - Guillaume, zaiste bystry z ciebie człek, przynieś no tu tę szkatułę.

Guillaume podszedł do popiołów i wygrzebał leżącą na skraju ogniska nadpaloną skrzynkę.

- Zapewne osunęła się po drwach - stwierdził, zdmuchując z niej popiół i sadzę.

- Myślę, że listy są całe - dodał po chwili.

- To i tak bez znaczenia... - rzekł sir Robert, czując, że narasta w nim pustka. - On porwał Marię, a nam nic z tych listów nie przyjdzie.

Nagle znów ogarnęła go ciemność. Sir Artur popatrzył

smutno na kuzyna, po czym zwrócił się do Guillaumea.

- Hm. . Zapewne nie przyjdzie, ale myślę sobie, że to może być znak Boży, iż pisma ocalały. Zachowajmy je, niech król zdecyduje, co z nimi począć. Tymczasem opa trzymy głowę Robertowi, bo gotów się wykrwawić.

376

Poczet sir Tomasza Chaucera jeden z pierwszych wjechał

do opustoszałego francuskiego obozu. Okoliczne wrony krążyły po niebie, obwieszczając krakaniem koniec krwa-wego dnia. Łucznicy Chaucera wzięli kilkunastu jeńców, w większości porzuconych przez kompanów rannych.

Wyjątkiem był pewien rycerz pechowo zaplątany w liny namiotów.

Sir Ralf jechał ze spuszczoną głową, pogrążony w za-dumie. Przeżył wielką bitwę, co go cieszyło. Od tej niewielkiej radości dużo większy jednak był smutek. Drę-

czyło go, że nie będzie miał wnuków, którym by mógł

o tym wydarzeniu opowiedzieć.

- Żyję już pewnie zbyt długo i w tym przyczyna moich trosk - mówił do siebie. - Przeżyłem najdroższą żonę, zdzierżyłem, ale syna? - Wzniósł oczy ku niebu i wes tchnął. - Ech, a do tego kości łupią i lichy jakoweś kiszki mi szarpie. Cóż to za życie dałeś swojemu słudze, Panie?

Byłoby lepiej, żebym padł wtedy na trakcie lub dziś za miast jakiego młodziana wyzionął ducha. Co komu po rycerzu, który nawet na utrzymanie zamku nie ma?

Sir Ralf podniósł wzrok. Spomiędzy namiotów wyszło dwóch ludzi podpierających się nawzajem.

- O proszę - mruknął - dziady proszalne już się ze brały. Może oddam panu Tomaszowi konia, obrobię so bie jaki kijaszek i z tymi żebrakami w drogę ruszę.

Tu pan Moorow przerwał swój smętny monolog, gdyż odebrało mu mowę. Żebracy mieli znajome twarze Guillaumea i bratanka. Gdy go radośnie zawołali, pomyślał, że chyba padł w boju, skoro widzi i słyszy tak wyraźnie błakające się duchy. Nic nie odrzekł, tylko podejrzliwie 377

rozejrzał się wokół. Łucznicy sir Tomasza przeszukiwali namioty, a klęli przy tym zupełnie jak żywi.

- Wuj! Toś ty żyw! - ryczał basowo sir Artur, mimo bólu biegnąc na spotkanie krewniaka.

Dopiero gdy obaj chwycili jego dłonie ciepłymi ręko-ma, zrozumiał, że jeszcze nie oddał ducha. Otarł grube łzy, które same pociekły mu po twarzy.

- A Robert? Wiecie, co z nim? - zapytał, gdy wróciła mu mowa.

- Żyw! Tylko ranion i tam leży! - potwierdzili zgodnie, wskazując między namioty.

Na te słowa sir Ralf obrócił się w siodle, by nań nie patrzyli, i zaszlochał głośno a pogodnie jak dziecko.

Zaszumiały sosny trącone wiatrem. Zmarszczyło się lustro wody. Jakobina szła przybrzeżną dróżką, tuląc do piersi balię z rzeczami do prania. Tego dnia po raz pierwszy w tym roku wyczuła delikatną zapowiedź zimy. Coś w zapachu wiatru zwiastowało, że mróz jest tuż-tuż.

Wcześniej, pomyślała służka, stawiając balię przy mizernych szuwarach. Oj, zima będzie sroga jak nic.

Chwyciła okrutnie ubrudzoną koszulę i westchnęła.

Nagle zamarła. Po plecach przeszedł jej lodowaty dreszcz, a nie było to sprawką chłodnego wiatru. Poderwała ręce do twarzy i krzyknęła ile sił w płucach, po czym rzuciła pranie i pognąła z powrotem do karczmy. Byle szybciej, byle powiadomić pana Martyrea.

Wiatr beznamiętnie potrząsnął szuwarami, raz, drugi i trzeci. Gdy zawiał po raz czwarty, nad brzegiem stał

378

oprócz służki Jakub Martyre z dwoma parobkami. Chłop-cy mozolnie wyciągali z szuwarów wór, z którego wystawiało głowę i ramię blade truchło. Sapali przy tym, bo wór obciążono pięknymi, obłupanymi przez mistrzów z Tournai kamiennymi bloczkami.

Parobkowie stanęli i uczynili znak krzyża. Martyre spojrział kwaśno na spęczniała twarz i ziejące pustką oczodoły. Spojrzał, choć patrzeć nie musiał, bo wiedział, kogo ujrzy.

- Panie Martyre, czy to nie ten burgundzki rycerz, co to u nas stanął onej nocy? - spytał jeden z

parobków.

- Onże to, Piotrze, pan Rouecourt we własnej osobie.

- Oj, znaczy będą kłopoty, co panie Martyre? Więcej ich jeszcze wypłynie, co? - ciągnął dociekliwy parob-czak, z nieśmiałą fascynacją zaglądając w trupie oblicze.

- Tak, Piotrze. Wypłynie ich więcej, a żywi będą o nich pytać. - Karczmarz westchnął ciężko i pokręcił głową. -

A wierzaj mi, że nic dobrego z tego nie wyniknie...

Słowniczek

trudniejszych terminów

aketon - patrz *przeszywanica basinet* - łebka, jeden z najpopularniejszych hełmów w XIV

i XV wieku. Miał obły, zwężony u szczytu dzwon przylega-jący do czaszki, chroniący także policzki, kark i częściowo szyję, zwykle mocowano do niego kaptur kolczy; wyposa-

żony w zasłonę twarzy zwany był przyłbicą *chaperon* - bardzo popularne wśród zamożniejszych stanów męskie nakrycie głowy wywodzące się z noszonego w szczególności kaptura. Zrolowaną w górę część okrywającą twarz zastąpił wypchany wałek, z którego spływał na bark kołnierz i zawijany zwykle wokół szyi ogon *chevauchée* - rajd konny na nie ufortyfikowane tereny przeciwnika w celu zniszczenia upraw, zastraszenia ludności, grabieży i zapewnienia sobie zaopatrzenia *destrier* - koń bojowy

dublet - obcisły, niekiedy pikowany kaftan sięgający bioder, noszony zwykle pod ubiór wierzchni; jego pierwowzorem była *przeszywanica*

gambeson - patrz *przeszywanica glewia* - dwumetrowa broń drzewcowa o żelźcach przypominających długi szeroki nóż, zwykle o zagiętym ku górze sztychu

381

henin - wysokie kobiece nakrycie głowy w kształcie stożka zwieńczone białym welonem

heuke - *hoike*, *cloche* - wkładana przez głowę peleryna o ko-listej formie

houppelande - obszerna, reprezentacyjna szata dworska z długimi, sięgającymi nawet ziemi lejkowatymi rękawami i stojącym kołnierzem

kapalin - hełm przypominający kapelusz z szerokim rondem *kiścień* - guzowata lub kolczasta metalowa kula na łańcuchu lub rzemieniu przytwierdzonym do okołometrowych drzewc

kord - bardzo popularna wśród niższych stanów broń o lekko zakrzywionej jednosiecznej kłindze ze

ściętym sztychem, asymetrycznej rękojeści i prostych jelcach *ladry* - zbroja końska

liripipe - długi, rurkowaty ogon kaptura, często fantazyjnie zawijany wokół szyi

m&lce - drużynowy turniej rycerski *młot rycerski* - używana przez rycerstwo krótka (ok. 0,5 m) broń obuchowa służąca głównie do rozbijania zbroi płytowych, o żeleźcach z jednej strony zakończonych dziobem, a z drugiej młotkiem

partyzana - broń drzewcowa, której żeleźce przypominało głownię miecza. U podstawy żeleźców znajdowała się stalowa poprzeczka lub tarczka zapobiegająca grzeźnięciu broni i ułatwiająca parowanie

poleaxe - długi (1,5-2 m) dwuręczny topór bojowy zaopatrzo-ny w siekierę oraz obuch lub kończysty hakowaty dziób, u góry zaś w grot. Używany głównie przez rycerstwo i cięż-

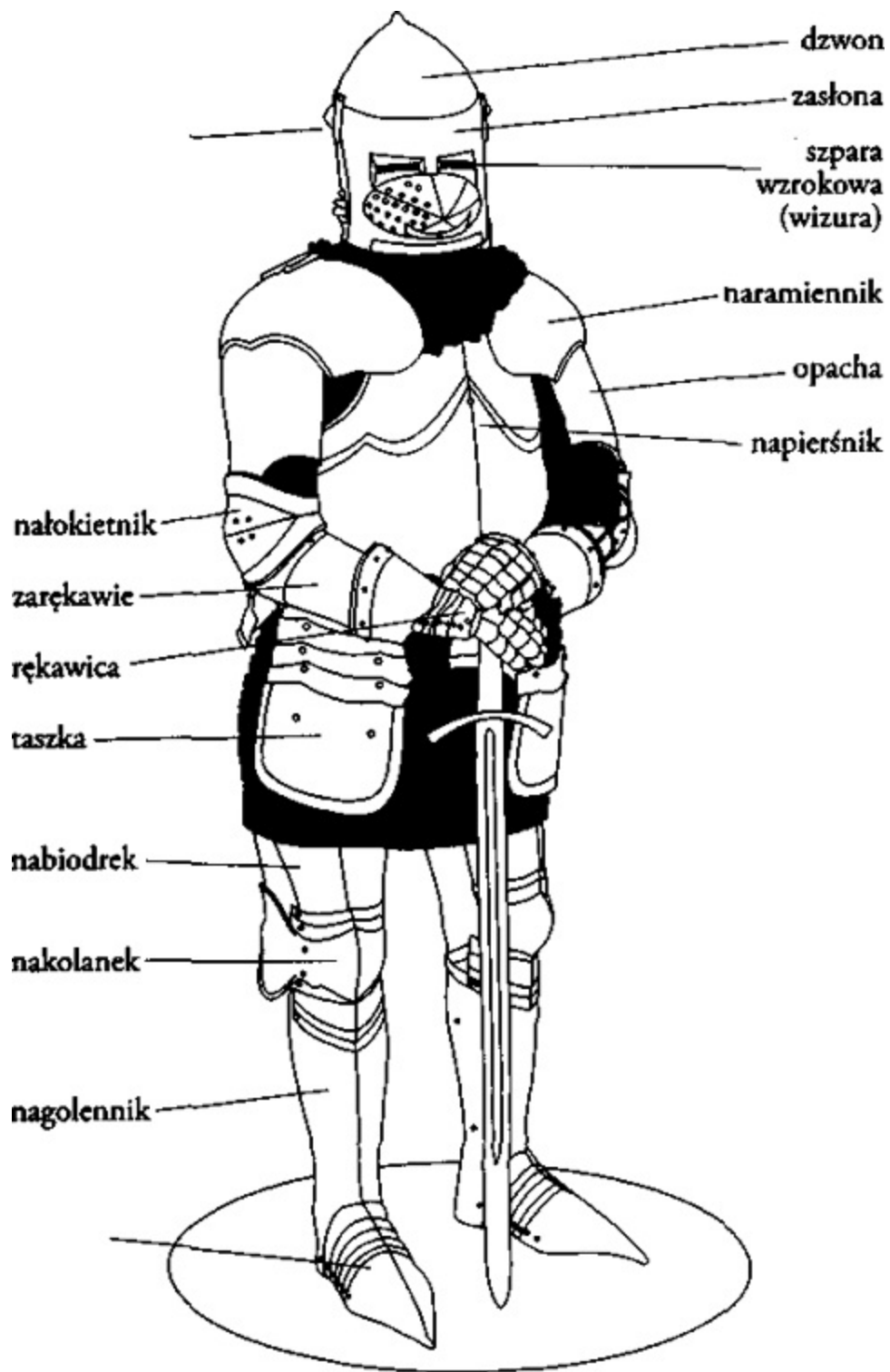
kozbrojnych piechurów

przeszywanica - aketon, gambeson - miękki pancerz lniany lub skórzany noszony samodzielnie lub pod kolczugę *robę* - wkładana przez głowę fałdzista szata męska, często z po-szerzanymi ramionami i kołnierzem stójką, noszona od po-

łowy XIV do końca XV wieku, początkowo długa, do kostek lub kolan, w drugiej połowie XV wieku sięgająca bioder *sabaton* - trzewik - element zbroi płytowej *tabard* - krótki płaszcz w barwach herbowych noszony na zbroję

tasak - krótka broń o rękojeści mieczowej i prostej jednosiecznej głowni rozszerzającej się ku sztychowi bądź też zakrzywionej jak w szabli, z bardzo szerokim piórem i ściętej przy sztychu

trebusz - stromotorowa machina miotająca dużych rozmiarów działająca na zasadzie dźwigni dwuramiennej; przeciwwa-ga na krótszym ramieniu belki nadawała jej ruch obrotowy, do dłuższego ramienia umocowana była proca



Średniowieczna zbroja płytowa

hełm zwany,

psim pyskiem

trzewik

(sabaton)

Rys. Sławomir Folkman